

*Romans historyczny*

***CONNIE  
BROCKWAY***

**W labiryncie uczuć**

## *Prolog*

*York, 1801*

Charlotte Elizabeth Nash siedziała we wnęce okiennej pochłonięta lekturą. Na dźwięk głosów osób wchodzących do przestronnego, oszczędnie umeblowanego salonu skuliła się i przywarła do ściany. Miała już dość szeptów i współczujących spojrzeń ludzi, którzy nie potrafili się powstrzymać od wodzenia wzrokiem po ścianach ogołoconych z obrazów.

Opuściła książkę na kolana i zaciągnęła kotarę, osłaniając kryjówkę. Jej ciekawość obudziły męskie głosy, rzadkość w domu, który stał się wyłącznie kobiecym gospodarstwem, od kiedy Kate „zrezygnowała” z lokaja.

Miała dopiero szesnaście lat i nie wprowadzono jej jeszcze do towarzystwa, nie wątpiła więc, że gdyby odkryto jej obecność, natychmiast została by odprawiona. A Charlotte nie lubiła być odprawiana.

Tak jak wszystkich trapił ją smutek po śmierci ojca i tak samo była dotknięta zgubnymi skutkami tej straty dla przyszłości rodziny, ale żywotność właściwa młodości i płynąca z niej odporność na przeciwności losu sprawiły, że przez długie miesiące żałoby poczuła się trochę, powiedzmy to szczerze, znudzona. Goście mogliby oderwać Kate od nieustającego obmyślania koniecznych oszczędności, a Helenę od przybierania maski wymuszonego optymizmu. Może też odrobina męskiej adoracji wywołałaby w końcu rumieniec zadowolenia na białych policzkach matki.

Charlotte wsunęła dłoń między kotarę a ścianę i zerknęła przez szparę. Matka zasiadła na jedynej kanapie, jaka pozostała w salonie, i zajęła się czytaniem jakiegoś pisma. Po obu jej stronach usadowiły się dwie starsze siostry Charlotte: Helena, bladą jak zimowe słońce, i Katherine, tajemnicza jak letnia bezksiężycowa noc. Siedziały sztywno z dłońmi splecionymi

na kolanach, z uprzejmymi minami przylepionymi do twarzy, utkwwszy obojętny wzrok w trzech młodych ludziach stojących przed nimi.

Charlotte nie widziała ich dokładnie, ale nie odważyła się bardziej odchylić kotary. Zamiast tego osunęła się bezszelestnie na nieskazitelnie czystą posadzkę i uchyliła rąbek zasłony. No, dużo lepiej.

Z ukrycia obserwowała, jak goście przedstawiają się paniom. Z pewnością nie należeli do tej samej sfery, co Nashowie, ale z jakiej, trzeba by dopiero ustalić.

Właściwie nie potrafiłaby powiedzieć, co skłoniło ją do takiego wniosku. Ubrania mężczyzn, choć schludne, były liche i znoszone: miały postrzępione mankiety i powypychane ramiona i plecy, ale od wybuchu wojny z Francją wielu ludzi żyło w niedostatku i nie nadażalo za modą. Także nie złe maniery sprawiały, że goście nie wyglądali na zubożałych szlachciców: zachowywali się ze wszelkich miar układnie i powściągliwie.

Nie, to było coś subtelniejszego. Wyczuwało się wokół nich aurę zagrożenia, jakby niepokromiona dzikość wtargnęła do spokojnego domu w Yorku.

Charlotte przycupnęła przy szparze pod kotarą. Pierwszy z mężczyzn przedstawił się jako Andrew Ross. Mówił niskim głosem z gardłowym akcentem szkockich górali. Średniego wzrostu, zgrabny, ogorzały szatyn uśmiechał się i spoglądał przyjaźnie. Ale gdyby ktoś dokładniej mu się przyjrzał, zauważyłby szramę, przecinającą szczupły policzek, i nieugięte spojrzenie, kłójące się z ciepłym kolorem brązowych oczu.

Obok niego stał w swobodnej pozie najprzystojniejszy młodzieniec, jakiego Charlotte widziała w życiu. Ramsey Munro, jak się przedstawił, był wysoki, smukły i blady, z czarnymi kędziorami lśniących włosów spadającymi na białe czoło. Intensywnie niebieskie oczy błyskały zza gęstych rzęs. Na twarzy o arystokratycznych rysach gościł ironiczny wyraz. Tego człowieka Charlotte mogła sobie wyobrazić w najlepszym towarzystwie. Ten wdzięk maskował tylko nieznacznie prawdziwą drapieżność jego natury. Widziała to u pantery w menażerii ubiegłego lata.

Trzeci młodzieniec - Christian MacNeill - trzymał się z tyłu. Był to mężczyzna o barczystej sylwetce. Nierówno ostrzyżone, zbyt długie mdawozłote włosy okalały wychudzoną twarz, zapadającą w pamięć z powodu jasnozielonych czujnych oczu. Z całej trójki on wydawał się najbardziej nieokrzesany. Miał szeroko osadzone oczy, zmysłowe usta i wydatną szczękę.

Charlotte przechyliła głowę. Kogoś jej przypominał... No tak!

Kilka lat temu, gdy późno wieczorem łagodziła w kuchni ból brzucha szklanką mleka zaprawionego brandy, posłyszała gwizd przed domem. Po-

kojówka Annie pobiegła otworzyć drzwi od tyłu. Z ciemności wyłonił się mężczyzna, w którym wszystko zdawało się niepokojące i podniecające, chwycił Annie w ramiona, uniósł i obrócił wkoło, póki nie zauważył Charlotte. Przystał się kręcić, ale nie postawił Annie na ziemi. Odeszła z nim tamtej nocy, z oczyma wielkimi ze strachu i radości. Nigdy nie wróciła.

Christian MacNeill przypominał Charlotte tamtego szubienicznika, który wykradł Annie.

Co nie znaczy, że Annie pozostałaby u nich, gdyby nie uciekła. Z wyjątkiem kucharki i kilku zapracowanych dziewczek odprawiono całą służbę.

- Nie rozumiem, czego chcą- odezwała się jakby do siebie matka tym tonem osoby zagubionej, który przybrała w dniu, gdy dowiedziała się, że jest wdową. Zerknęła pytająco na Helenę, a ta dotknęła jej ramienia pocieszającym gestem.

Kate bez słowa wzięła papier z rąk matki i zaczęła czytać.

- Niczego nie chcemy, szanowna pani - powiedział Ross. - Przybyliśmy tylko po to, by złożyć ślubowanie pani rodzinie. Do pani należy decyzja, czy jest pani gotowa z niego skorzystać. Ale jakkolwiek pani postąpi, ślubowanie wiąże nas na całe życie.

Oczy Charlotte stały się okrągłe ze zdumienia. „Ślubowanie?” Zrozumiała, że młodych ludzi wiązało coś z jej ojcem, zgadywała, że byli jego podwładnymi, a teraz przybyli, by złożyć mu ostatni hołd.

- Cóż to za ślubowanie? - spytała Helena.

- Przyrzeczenie służenia nam - odparła Kate, nie przerywając lektury.

Charlotte popatrzyła na średnią siostrę z niechętnym podziwem. W ciągu minionego roku to Kate, nie Helena, stała się podporą rodziny, mimo że z nich wszystkich miała najwięcej powodów, by wpaść w rozpacz.

W wieku dziewiętnastu lat poślubiła pełnego fantazji porucznika Michaela Blackburna i wraz z nim opuściła swój dom w Plymouth, by udać się do Indii. Jej mąż zginął w drodze, wróciła więc do Yorku jako wdowa w niespełna rok po ślubie. Pół roku później nadeszła wiadomość, że ojca zabito we Francji, dokąd się udał na tajne spotkanie ze zdymisjonowanymi ministrami Ludwika XVI, ściślej mówiąc, z tą garstką, która jeszcze zachowała głowy.

Zanim rodzina podniosła się po tej tragedii, pojawili się prawnicy z informacją, że roczny dochód lorda Nasha, będący źródłem jej utrzymania, uległ wstrzymaniu wraz z jego śmiercią. Prawie natychmiast do kuchennych drzwi zaczęli pukać dostawcy, służba rozglądała się za pewniejszymi posadami, a nowi właściciele ich miejskiego domu przysyłali listy, których matka nigdy nie otwierała. Zresztą nikt ich nie otwierał.

Oprócz Kate. To ona wzięła na siebie trud wyprzedaży majątku osobistego, pisania listów polecających odchodzącej służbie, regulowania niezapłaconych rachunków. I to ta sama Kate, która niegdyś wolała taniec od lektury, nie znosiła rachunków, a uwielbiała ploteczki, ta, którą czcigodne matrony zwykły nazywać trzpiotką i kapryśnicą. Do dziś Charlotte nie mogła wyjść ze zdumienia. Nie poznawała swej beztroskiej, towarzyskiej siostry w opanowanej młodej kobiecie, spokojnie składającej list.

- Dziękuję panom za ich oddanie - mówiła Kate. - Ale nie potrzebujemy wsparcia. Ani nie spodziewamy się takiej potrzeby w przyszłości.

Charlotte żałośnie skrzywiła wargi. Przecież z pewnością potrzebują wsparcia. I to bardzo. Tyle że ich potrzeby dotyczą głównie pieniędzy, a ci trzej z pewnością nie są bogatsi od nich. A może nawet biedniejsi. Choć trudno sobie coś takiego wyobrazić.

Charlotte nie wtajemniczano w kłopoty finansowe rodziny. Siostry udawały wobec niej spokój i pewność siebie, ale dziewczyna podsłuchiwała dostatecznie dużo przez zamknięte drzwi i po nocach, by w pełni pojmować, jak rozpaczliwe jest ich położenie.

- Rozumiem. - Ross patrzył uprzejmie na trzy kobiety siedzące przed nim, Ramsey Munro pozostał niewzruszony, tylko Christian MacNeill wymownie powiódł lodowatym spojrzeniem po salonie, zatrzymując wzrok na miejscach, gdzie na jedwabnych pasiastych obiciach ścian widniały ciemniejsze prostokąty, na wgnieceniach w perskim dywanie, zdradzających ślady po usuniętych meblach, i jedynym niskim kredensie ogołoconym z bibelotów.

On wie, pomyślała Charlotte. Ale co może poradzić, skoro Kate odmawia przyjęcia pomocy?

- Nie chcemy dłużej sprawiać kłopotu, pani Blackburn. Ale zanim odejdziemy - Ross wskazał gestem swoich towarzyszy - czy zechce pani coś od nas przyjąć?

Podał Kate sakiewkę, której Charlotte nie zauważyła wcześniej. Z wywinętego brzegu wystawał patyk.

- Cóż to? - spytała Helena.

- Róża, panno Nash - odpowiedział Ross. - Jeśli kiedyś znajdzie się pani w potrzebie, a nasza pomoc będzie się mogła na coś przydać, wystarczy, że wyśle pani jeden z kwiatów do opata w St. Bride's w Szkocji. On będzie wiedział, jak nas zawiadomić, a wtedy stawimy się jak najszybciej.

Na wargach Heleny pojawił się leciutki uśmiech zakłopotania.

- Dlaczego właśnie...

- Róża? - zapytał niedowierzająco kobiecy głos od progu. Kuzynka Grace rzuciła z ramion aksamitną pelisę i roztoczyła w chłodnym salonie blask złotych pukli i nieskazitelnej cery.

- Witajcie, moje drogie! - Schyliła się, by złożyć zdawkowy pocałunek na policzku ciotki, po czym wyprostowała się i spojrzała na gości z wyrazem zdumionej wyższości.

- Grace, to są młodzi ludzie, których twój wuj... którzy... - Matka płała się, niepewna co powiedzieć.

Wyręczyła ją Helena.

- To są młodzi ludzie, których ojciec uratował, zanim sam zginął: pan Ross, pan Munro i pan MacNeill. Panowie, poznajcie naszą kuzynkę, pannę Grace Deals-Cotton.

Uratował? Więc to są ludzie, za których ocalenie ojciec zapłacił życiem? Charlotte wyżej uniosła kotarę.

Mężczyźni skłonili się i wymamrotali stosowne grzeczności, a-Grace uśmiechnęła się swym kocim, zadowolonym uśmiechem, mrużąc wielkie oczy w taksującym spojrzeniu.

- Ach tak - powiedziała. - I panowie przynieśliście... różę. Bardzo sentymentalne. - Czy wuj Roderick lubił różę? - spytała ciotkę. - Nie wiedziałam. Ale jestem u was zaledwie od roku. - Znów się uśmiechnęła. - Tym razem.

- Jestem pewna, że lord Nash bardzo by się ucieszył z róż - powiedziała matka z udawaną uprzejmością. - Nam też będzie miło, kiedy krzew zakwitnie... latem.

Jej wahanie zdradziło niewypowiedzianą myśl, którą dzieliły wszystkie. Nie zostaną tutaj dość długo, by doczekać się kwitnienia róży. Żadna jednak nie podzieliła się z gośćmi tą wątpliwością. Kobiety z rodziny Nashów były na to zbyt dumne.

- Chyba nie chce ciocia powiedzieć, że macie zamiar pozostać tu. Ach, rozumiem, zabierzecie krzaczek, kiedy się przeprowadzicie - stwierdziła radośnie Grace. Przysiadła na skraju kanapy i sięgnęła po tamborek, który zostawiła tu poprzedniego wieczoru.

- Panie się przeprowadzają? - spytał gwałtownie Ramsey Munro.

- Tak - odparła Helena, zerkając z zakłopotaniem na Kate. - Tak postanowiłyśmy. Te wspomnienia... - urwała i wykonała nieokreślony ruch ręką.

Grace, którą Kate spiorunowała wzrokiem, odpowiedziała spojrzeniem urażonej niewinności. Charlotte tak się zirytowała na Kate, że upuściła brzeg kotary. Grace wyjawiała, że muszą się wyprowadzić z eleganckiego miejskiego

domu. Nie zrobiła tego naumyślnie, ale Kate nigdy w to nie uwierzy. Wzajemna niechęć tych dwu dam datowała się od zawsze, może dlatego, że są, a przynajmniej kiedyś były do siebie tak podobne. Dawniej Kate miała równie niepraktyczne i żywiołowe usposobienie jak Grace. Powinna o tym pamiętać, a nie ciągle mieć pretensje do impulsywnej kuzynki.

Helena spróbowała odwrócić uwagę obecnych.

- Ty też się przeprowadzasz, Grace.

- A, tak - odparła Grace, wdzięcznie spuszczać oczy i biorąc się do haftowania. - Ale ja, biedaczka, udam się na pustkowia, a wy nie przestaniecie bywać w towarzystwie. - Uśmiechnęła się do Rossa. - Za pięć miesięcy wychodzę za mąż za Charlesa Murdocha. Jego brat jest markizem Parnell. Przypuszczam, że nie zna panów... - Uświadomiła sobie gafę, nim dokończyła zdanie. - Panowie zapewne go nie znają. Jego zamek... - nie ukrywała zadowolenia, wypowiadając to słowo, ale czemu właściwie nie miałyby być zadowolona? W końcu zamek to jest coś. - ... jego zamek znajduje się na północnym wybrzeżu Szkocji. Tam zamieszkamy, kiedy nie będziemy bawić w Londynie.

- W Londynie, nie w Edynburgu? - rzucił od niechcenia Ramsey Munro. - Przyznam, że mnie pani zaskoczyła. Szkoci bardzo się szyczą Edynburgiem.

Coś w sposobie, w jaki się zwrócił do Grace, powiedziało Charlotte, że nie jest oczarowany wdziękami kuzynki, co czyniło go, przynajmniej w oczach naiwnej Charlotte, wyjątkiem wśród młodych ludzi.

- W Edynburgu? - powtórzyła Grace. Gdy rozważała te słowa, igła nawleczona jedwabną nicią błyskała jej w ręce jakby machinalnie. Grace była utalentowaną hafciarką, podobnie jak Kate. - Być może. Prawdę mówiąc, niewiele się nad tym zastanawiałam. Całkowicie pochłonęły mnie przygotowania do ślubu.

- Proszę przyjąć powinszowania z okazji bliskich zaślubin - wtrącił Ross. - Pozwolą panie, że wymogę na nich jeszcze jedną uprzejmość?

- Oczywiście - odparła Helena, zanim Kate zdążyła zaprotestować.

- Czy moglibyśmy być obecni przy sadzeniu róży?

- O! - Helena zamrugała ze zdziwienia. - Ależ oczywiście. Kate, jak sądzisz, gdzie mogłybyśmy posadzić...

- Nie, kochanie, ty zdecyduj. Razem z matką. Wy jesteście ogrodniczkami, nie ja.

Matka obudziła się ze swego snu na jawie i na chwilę jej twarz ożywił uśmiech, z którym znów prawie stała się sobą.

- Ogród? Oczywiście. - Podniosła się i zachwiała, Helena szybko ujęła ją pod ramię. - Zróbmy to od razu. Ty też chodź z nami, Grace. Masz oko artystki.

- Miło mi będzie, jeśli się przydam, ciociu Elizabeth. - Grace odłożyła tamborek.

Matka, prowadzona przez Helenę, pierwsza wyszła w łagodne poranne światło. Charlotte już miała zamiar wysliznąć się spod kotary i wymknąć z salonu, gdy nagle zamarła, zauważywszy, że Kate nie poszła z innymi i że zielonooki Christian MacNeill przystanął w progu.

- Proszę. - Jego niski głos był łagodny i uprzejmy.

- Nie, dziękuję panu. Moje zdanie nic nie wniesie, by jak najlepiej umieścić pańską różę. Proszę, niech pan idzie pierwszy.

- Jestem tak samo pewien, że nie trzeba nas trzech do posadzenia tego kwiatu - odparł kpiąco. - Czy nie sprawię kłopotu, jeśli zaczekam tu z panią?

- W żadnym razie. - W przyzwoleniu brzmiała nutka wątpliwości. - Napije się pan... ponczu?

Charlotte o mało się nie roześmiała, ujrawszy oczyma wyobraźni Christiana MacNeilla popijającego poncz z maleńkiej czareczki. Delikatne kryształowe naczynko utonęłoby w jego wielkich dłoniach. Nagle spochmurniała. Przypomniała sobie, że już wyzbyły się wazy do ponczu. Kate widocznie zapomniała, że sprzedano ją w zeszłym tygodniu. I co teraz? Będzie upokorzona, podając poncz w filiżankach do herbaty...

- Nie, dziękuję.

Charlotte odetchnęła z ulgą. Przynajmniej tym razem Kate ominęło zażenowanie.

Christian MacNeill czekał, aż Kate przysiadzie na brzeжку kanapy. Wyglądała, jakby miała lada chwila rzucić się do ucieczki. Co się stało siostrze, zawsze tak opanowanej? Jest zdenerwowana, stwierdziła Charlotte ze zdumieniem. Nie pamiętała, żeby ktokolwiek tak zbił z pantałyku Kate. Zanim Michael zaczął się o nią starać, nieźle dała się we znaki jakiemuś tuzinowi młodych ludzi. Nikt, choćby nie wiem jak uczony i światowy, nie zachwiał jej roześmianej pewności siebie.

Charlotte wychyliła się nieco i uważnie obserwowała szorstkiego, złotowłosego górala, który zawrócił od drzwi i stanął nad siostrą. Kate odwróciła twarz i zapatrzyła się w okno, a on wydawał się rozbawiony. Ale też... głodny.

- Ufam, że pani nie peszę, pani Blackburn - powiedział. Jego głos był szorstki, a jednocześnie melodyjny. Jak szum wody spływającej po kamieniach.



- Ani trochę.

Kłamiesz, pomyślała Charlotte.

- Obawiam się, że jestem trochę roztargniona. Proszę mi wybaczyć. - Kate ułożyła dłonie na kolanach tak samo jak w latach szkolnych, gdy ćwiczyła z guwernantką sztukę prowadzenia konwersacji. Chrząknęła. Upływały minuty, a wysoki Szkot stał nienaturalnie nieruchomy, bez śladu zmieszania na twarzy ani znaku emocji w zachowaniu. Za to Kate wyglądała, jakby miała wybuchnąć, wbrew udawanemu *opanowaniu*. Wreszcie nie wytrzymała.

- Jeśli dobrze zrozumiałam, byli panowie uwięzieni. Szczerze boleję z powodu waszych cierpień.

Słowa zabrzmiały grzecznie i stosownie. Tak samo wypadł jego ukłon podziękii za współczucie.

- Czy wolno mi spytać, w jakiej bitwie wzięto panów do niewoli? - ciągnęła posępnie.

- Nie walczyłem w bitwie - odpowiedział spokojnie.

- Ach tak. - Kate zmarszczyła brwi. - Sądziłam... w takim razie, jak to się stało, że pan z przyjaciółmi znalazł się w tych wojennych czasach we Francji? - Prawdziwe zainteresowanie zastąpiło ton grzecznej konwersacji.

- Sam się nad tym zastanawiałem, nie zliczę, ile razy - odparł. - To wszystko przez różę.

Kate lekko zmarszczyła czoło i zaczęła skubać palce. Jak ona młodo wygląda, pomyślała Charlotte. *Cera* Kate przy jej ciemnych włosach zdawała się niezwykle biała, a szyja smukła i delikatna. I wbrew swemu przekonaniu, że Kate jest wspaniałą, silną kobietą, Charlotte nagle pomyślała, że siostra wygląda na bardzo... delikatną i kruchą.

Z uczuciem, z jakim przestępuje się próg nieznanego ciemnego pokoju, Charlotte nagle zadała sobie pytanie, czy to, że wszystko spadało na barki Kate, jest... no... całkiem uczciwe ze strony jej, Heleny, a nawet matki.

- Co mają wspólnego różę z pana uwięzieniem? - spytała Kate. Podniosła błyszczące oczy, by spotkać wzrok MacNeilla.

Splótł ręce za plecami. Popatrzył na Kate z zagadkowym wyrazem twarzy. Charlotte przeszły ciarki. Był o wiele większy, niż jej się wydawało. Wrażenie wywołane jego chudością rozwiało się, gdy znalazł się tuż przy Kate. Teraz wyglądał wręcz groźnie.

- To niemiła historia, pani Blackburn.

- Proszę *mi* ją opowiedzieć.

Bezpośredniość siostry zaskoczyła Charlotte. Guwernantka z pewnością by tego nie pochwaliła. Nie zadaje się osobistych pytań znajomym, a co do-

piero nieznanym. Ale on nie wydawał się urażony, a nawet coś złagodniało w jego surowej twarzy.

- Wszyscy posiadliśmy pewną wiedzę o ogrodach - zaczął. - Tam gdzie się wychowywaliśmy, do naszych obowiązków należało pielęgnowanie róż.

- Przykro mi. - Jej głos był nabrzmiały współczuciem.

Zaśmiał się krótko.

- Proszę się nad nami nie litować. To nie był przytułek. Przytułki, o ile\* wiem, nie mają ogrodów różanych. Nie, był to rodzaj sierocińca, tak bym to nazwał.

Kate czekała.

- Ale z powodu róż i pewnych umiejętności, które nabyliśmy, skontaktowałem się ze mną i moimi towarzyszami pewien dzentelmen, który poprosił, byśmy udali się do Francji i, oprócz wykonania innych zadań, zawieźli pewnej damie niezwykle rzadką żółtą różę. W ten sposób mieliśmy zyskać dostęp do jej świata, a w konsekwencji... - wzruszył ramionami - ..zmienić świat.

- Jedna dama była zdolna zmienić świat? - odezwała się Kate niedowierzająco, a Charlotte jeszcze raz poczuła zakłopotanie. Cokolwiek powie gość, nie wypada otwarcie wątpić w jego prawdomówność.

- Miała na imię Marie-Rose, ale mąż nazywał ją Józefiną.

Wargi Charlotte ułożyły się w bezgłośnie „O!” Wepchnęła knykcie palców do ust, z trudem tłumiąc okrzyk. Ten człowiek zna żonę Napoleona Bonapartego?

Kate również nie potrafiła ukryć zdumienia.

- Poznał pan Józefinę?

- Spotkałem ją raz, krótko. Gdy przybyliśmy na miejsce, odkryto nasze plany... Nie. - Jego twarz zastygła w twardym wyrazie, od którego Charlotte aż się wzdygnęła. - Nie odkryto naszych planów, tylko wyjawił je zdrajca. Ktoś, kto wiedział o naszej misji. Uwięziono nas i zostalibyśmy straceni, gdyby pani ojciec nie interweniował. Jeden z nas istotnie został stracony.

- Przykro mi - powtórzyła Kate. - Żałuję, że mimo poświęcenia ojca nie udało się ocalić pańskiego przyjaciela. - Podniosła wzrok. - Chcę przez to powiedzieć, że jeśli ktoś upiera się, by zostać męczennikiem, powinien być z tego jakiś pożytek. Dobry Boże! Przepraszam! Nie wiem, czemu to powiedziałam. Proszę... mi wybaczyć. Naprawdę nie chciałam pana obrazić. To chyba dlatego... że często - jej głos przeszedł w chrapliwy szept - traktuję śmierć ojca jako zdradę.

Charlotte skuliła się w swojej wnęce okiennej porażona wyznaniem siostry. Nie miała pojęcia, że Kate tak to odczuwa. Znow spójrzała na pokój.

Żarliwość, widoczna na twarzy MacNeilla, ulotniła się, gdy patrzył na Kate, siedzącą z opuszczoną głową.

Nagle przykląkł na jedno kolano i ich oczy znalazły się na wprost siebie.

- Przysięgam, że gdyby było w naszej mocy powstrzymać pani ojca przed tym poświęceniem, niechybnie byśmy to uczynili - powiedział cicho. - Wiedzieliśmy, jakie ponosimy ryzyko, i nigdy celowo byśmy nie przyzwolili, by ktoś inny poniósł karę za nasze czyny. Niestety, nie dano nam wyboru. Nikt nas o nic nie zapytał.

Charlotte cofnęła się nachmurzona. To nie była stosowna rozmowa między osobami, które wcale się nie znają. Ludzie nie powinni prawić sobie złośliwości ani odśłaniać intymnych szczegółów swego życia po półgodzinnej znajomości. Nie rozmawia się tak namiętnie z nieznanymi! Zresztą, z najbliższymi też nie! *To jest...* w złym tonie.

Była wstrząśnięta, troszkę urażona i mocno wytracona z równowagi. Miała rację, ci młodzi ludzie są dzicy. Wtargnęli do jej domu i z miejsca złamali wszystkie reguły, którymi się kierowała ona i jej rodzina.

Dalsze słowa Kate tylko potwierdziły te odczucia.

- Jak właściwie umarł ojciec? Co się wydarzyło? Nikt nam nie powiedział. - Ciche słowa Kate płynące z głębi duszy, dyktowane były rozpaczą i sprawiały ból.

Jakiś mięsień drgnął w twarzy Christiana MacNeilla, ostatnio gładko wygolonej. Ciemno opalona skóra nie przypominała delikatnej, bladej cery dżentelmena. Drobnutki zmarszczki rozchodziły się wachlarzem z kącików zielonych oczu, nadając im złowrogi wyraz. Czy Charlotte powinna coś zrobić?

Mężczyzna z kocią zręczności ą poderwał się z kłęczek i splótł ręce za plecami. Bezszelestnie okrążył pokój i stanął bokiem do Kate, utkwivszy wzrok w pustej ścianie.

- Lord Nash nie powinien się tam znaleźć. To była pomyłka. Przypadkiem wspomniał o nas pewien pijany oficer, który w ogóle nie miał wiedzieć o naszym istnieniu. Kiedy ojciec pani usłyszał, że nas zatrzymano i o tym, jak długo jesteśmy więzieni, zaproponował, że odda się w ręce Francuzów w zamian za naszą wolność.

- Powiedziano nam, że ojciec zginął w czasie próby odbicia was - powiedziała Kate.

- Nie da się odbić więźnia z francuskiego lochu, proszę pani. Prowadzi się układy, obiecuje pieniądze, a gdy ich brakuje, można się targować. Pani ojciec sam oddał się w ich ręce, w zamian za nasze uwolnienie. Ponieważ

był cenniejszą zdobyczą niż trzech nędznych obszarpańców, francuski pułkownik, który trzymał nas w ręku, skorzystał ze sposobności, bez wątpienia chcąc to wykorzystać dla kariery. Zaproponował, żeby na czas negocjacji pani ojciec pozostawał w zamku, gdzie nas trzymano. Lord Nash zgodził się, ale pod warunkiem że najpierw zostaniemy uwolnieni. Francuski pułkownik wpadł w szal, ale pani ojciec nie dał sobie narzucić jego woli. Czeakał na moście, póki nie... wyjdziemy. Dopiero wtedy sam wszedł do zamku.

Tą chwilą wahania MacNeill się zdradził. W jakikolwiek sposób więźniowie odzyskali wolność, z pewnością nie „wyszli” tak po prostu. Popatrzył w zwróconą ku niemu twarz Kate.

- Miał być zwolniony po paru dniach, najdalej po tygodniu, gdy tylko załatwi się sprawę okupu. Sądono, że chroni go immunitet dyplomatyczny.

- Kilka godzin później bramy twierdzy znów się otworzyły i wyłonił się z nich koń bez jeźdźca, z puszką przytroczoną do siodła. - MacNeill na chwilę zamknął powieki, jakby próbował odpędzić z oczu jakiś obraz. - W puszcze był list, oznajmiający, że pani ojciec nie żyje i że odtąd tak się będzie traktować wszystkich brytyjskich szpiegów. Zginął zamiast nas. Pani ojciec nie był szpiegiem, pani Blackburn.

Podniosła głowę.

- Ale panowie byli szpiegami. Pan i pańscy przyjaciele.

- Wiedzieliśmy, co nam grozi - odparł wymijająco. - Byliśmy gotowi na karę. Nie przewidywałem, że za mnie poniesie ją ktoś inny i muszę z tym żyć. Właśnie dlatego tu jesteśmy.

- Rozumiem. - Z nieszczęśliwą miną utkwiała wzrok w jakimś tylko sobie znanym obiekcie. - I nadal jesteście panowie... szpiegami?

- Jestem taki, jak mnie pani widzi. Człowiekiem bez zajęcia, domu i rodziny.

- I zapewne bez środków, by ofiarować komuś pomoc - dodała Kate bez złościwości.

Uśmiezek zaigrał na jego wargach.

- Niewiele posiadam, ale nadal władam pewnymi talentami. I nie brak mi determinacji. - Uśmiech zgasł. — Tej mam aż w nadmiarze, szanowna pani.

- Rozumiem.

- Naprawdę? - zapytał z nagłą żarliwością. - Potrafi pani to zrozumieć?

- Oczywiście - odparła Kate z roztargnieniem. - Chcieliście zostać bohaterami. Młodzi ludzie chcą stać się bohaterami, prawda? To jest absolutnie zrozumiałe. Ale mój ojciec was przebił?

- On nie miał prawa, widzi pan. - Głos Kate stał się ochrypły z emocji. - Za nic nie miał prawa narazić się na takie niebezpieczeństwo. Nie w sytuacji, gdy wiedział, a z całą pewnością wiedział, że jego śmierć uczyni z nas...

Nędzarki. Charlotte w myśli dopowiedziała słowo, które Kate zdławiła w sobie. Ale zawisło nad nimi, jakby Kate je wykrzyczała. A przecież Kate od dawna nie krzyczała. Nigdy nie zrobiła niczego niestosownego, niewłaściwego, zawsze była opanowana. Dopiero ten młody człowiek zdarł z niej pancierz dobrego wychowania, obnażył ją, wyjawiał Charlotte jej urazy, wątpliwości i gniew.

Uznała to za okropne. Wszystko przeraziło ją, jakby świat i bez tego nie był dość przerażający; jakby nie dość rzeczy się zmieniło. Nie chciała się wyzybyć wyobrażenia o Kate, jakie żywiła tak długo.

- Nie mogę obiecać, że skorzystam z pana propozycji, mimo całej jej szlachetności. - Kate westchnęła głęboko. - Dość już było bohaterów w moim życiu - szepnęła. - Znużyli mnie. Musi pan poszukać kogo innego, kto skorzysta z tego pięknego gestu.

- Źle mnie pani zrozumiała, uważając naszą propozycję za szlachetną czy rycerską.

- Rozumiem, że czujecie się panowie w obowiązku spłacenia nas. Nie musicie. Zaciągnęliście dług wobec mego ojca, nie nas.

Pokręcił głową, a światło zamigotało w jego lśniących włosach, podkreślając twardość i kanciastość rysów.

- Żąda pani, bym dźwigał nieznośny ciężar, który zgniecie nas, jeśli czegoś nie zrobimy. Jeśli ja czegoś nie zrobię. Muszę wierzyć, że pewnego dnia zdołam spłacić choć część długu, jaki mam wobec pani rodziny, podobnie jak muszę wierzyć, że pewnego dnia odkryję, kto nas zdradził. Jak pani zauważyła, niewiele mi zostało na tym świecie... prócz honoru. Muszę spłacić długi i zemścić się na zdrajcach. Będę czekał. Tak długo, jak będzie trzeba.

I nie mówiąc już nic więcej, wyszedł energicznym krokiem.

## *Gdy opuszcza nas służba*

*Południowa część gór szkockich, 1803*

*Proszem pani,*

*Ta pod rusz to warjactwo i nie pszytoże renki do tego, żeby jaki paskudny zbuj nas pozabijot hoćbyż pani mi zap/acifa dwakroć, co nie wieże, byż pani zrobiła. Wim takosz, że mi pani nie dasz refrencyj, ale co mi tam. Na co mi ony, jak mnie zabijom? Powodzenia pani życzem, do-bra byta z was pani i odmuwie modlitwę za pani dusze.*

*Sue McCray*

No proszę, pomyślała Kate, nowa niespodzianka, i to właśnie kiedy jej się zdawało, że już nic w życiu nie zdoła jej zaskoczyć. Nigdy by nie przypuszczała, że Sue McCray umie pisać. W każdym razie o tyle o ile, stwierdziła, przypatrując się słowu „podrusz”.

Parsknęła śmiechem, nim zdążyła się powstrzymać. Na ten odgłos wrza-wa w sąsiedniej sali przycichła, a mężczyźni, którzy ją czynili, skierowali wzrok za niską ściankę oddzielającą salę gospody Pod Białą Różą od „prywatnego pokoju”, gdzie siedziała Kate. Przysunęła się bliżej mizernego kominka, którego rozpalenie wymusiła na oberżyscie.

Zmięta list i wrzuciła w ogień, zdumiona, że zaskoczyła ją dezercja służącej. Od tak dawna znajdowała się w farsowej sytuacji, że powinna się przyzwyczaić do takich rzeczy.

Najpierw kieszonkowiec w Edynburgu pozbawił ją sakiewki. Potem, pięćdziesiąt kilometrów za miastem, powóz się popsuł i razem z Sue MacCray musiały spędzić zimną noc skulone pod paroma kocami, kiedy stangret Dougal dokonywał naprawy. Gdy skończył, zażądał dodatkowej zapłaty, oprócz tej należnej jego kompanii od markiza Pameli, który zaangażował go na odległość.

Na dodatek śnieżycy zaatakowała ich tak nagle, że można by podejrzewać, iż żywiły są w zмовie z tym szubrawcem.

Widać jednak zguba nie była jej jeszcze pisana, bo litościwy los przywiódł ją na koniec do zwodniczo nazwanej gospody Pod Białą Różą, której ciasną przestrzeń wypełniała chmara uciekinierów przed burzą, podejrzanie wyglądających i jeszcze bardziej podejrzanie pachnących. Na domiar złego pokojówka Kate ulotniła się. Nie tylko pracowała za nieduże pieniądze, ale - mimo że na ogół podchmielona - spisywała się całkiem nieźle. Co złego może się jeszcze zdarzyć?

Kate skierowała wzrok ku mężczyznom tłoczącym się w drugim pomieszczeniu. Zaczepiały ją spojrzenia zmacone alkoholem.

No tak. Jeszcze to.

Ciaśniej owinęła się płaszczem, rozważając, jaki ma wybór. Do tej pory plotkarski gospodarz rozgadał, że służąca odeszła i że Kate została sama, nie licząc wątpliwej obrony Dougala. Pewnie nie powinna tu tkwić, ale któryś z „dzentelmenów” w sąsiedniej sali mógłby jej rejteradę do pokoju potraktować jako zaproszenie. Mężczyźni, zgodnie z jej nowo nabytym doświadczeniem, ciągle dopatrują się zaproszenia tam, gdzie go nie ma. Zwłaszcza ze strony ubogich wdów. Z drugiej strony, siedzenie na widoku może zostać odczytane jako jeszcze wyraźniejsze zaproszenie. Poza tym jeszcze nic nie jadła od... no, od wczesnego ranka.

W myśli rzuciła monetą i wyszło jej, że zostanie, pomimo niepokoju ciągnącego jej kamieniem w żołądku. Tutaj przynajmniej mężczyźni muszą mieć wzgląd na siebie wzajemnie. Wbrew hałaśliwym oznakom męskiej dobroduszości, wcale nie byli sobie przyjaźni. Znaleźli się tu z powodu pogody, a nie dlatego, że chcieli.

Jedynie grupka czterech mężczyzn siedzących wokół niskiego stołu wyglądała na znajomych. Przez mgiełkę dymu z palonego drewna Kate nie widziała ich wyraźnie, ale wszyscy byli dużymi, szorstkimi chłopami, o silnych barach, byczych karkach i wielkich dłoniach zaciśniętych na cynowych kufkach, które oberżysta wciąż napełniał mocnym piwem. Reszta podróżnych przybywała pojedynczo lub parami, szukając schronienia, nim ciemność nie pogorszy i tak fatalnych warunków, gdy lodowa burza trzęsie oknami i wicher wyje na dworze.

Kate zerknęła ukradkiem w stronę, gdzie zasiadł ostatni przybysz. W przeciwieństwie do większości obecnych, Szkotów z nizin, był góralem.

Wszedł w obszernym, znoszonym pledzie powiewającym mu wokół ramion jak skrzydła drapieżnego ptaka, z twarzą osłoniętą szerokim rondem

zniszczonego kapelusza. Bez słowa zaszył się w ciemnym kącie, usiadł na wolnym zydlu. Odrzucił do tyłu obszarpany pled, dosunął zydel do ściany i wyciągnął przed siebie długie nogi, okryte do łudek porysowanymi skórzanymi butami. Pod pledem nosił ciemnozieloną kurtkę ozdobioną czarnymi plecionymi sznurami i srebrnymi guzikami.

Ściągnął znoszone skórzane rękawice, pogrzebał w kieszeni i wyjął glinianą fajkę i kapciuch. Siedział tak cały czas, odkąd przybył, ściskając fajkę w zębach, z brodą wsuniętą w kołnierz, a jedyne, co dało się dojrzeć z jego twarzy, to błysk ciemnozłotego zarostu na policzkach. Jego jasne oczy połykiwały w migotliwym świetle padającym od misy z żarem. Nie próbował przyłączyć się do coraz liczniejszego towarzystwa swych ziomeków, tak samo jak nie próbował ukryć kierunku swych spojrzeń.

Przyglądał się Kate.

Wcale jej się to nie spodobało. W gruncie rzeczy to właśnie jego spojrzenie kazało jej zostać na dole, zmęczonej i obolałej po długim dniu spędzonym na wyboistych drogach w powozie bez resorów. Ten człowiek budził jej niepokój.

Odwążyła się rzucić ku niemu jeszcze jedno szybkie spojrzenie. Dym z fajki unosił się i rozpląwał gdzieś w cieniu pod rondem kapelusza. Żar w misie całkiem się wypalił. Ciemność zakryła oczy nieznajomego.

Kate szybko odwróciła wzrok, kolejny raz porażona tym, jak wiele dzieli ją od młodej kobiety żyjącej pod kloszem, którą niegdyś była. Jeszcze niedawno myślała, że ścieżki ich dwojga mogą się ponownie zetknąć, wydała jej się absurdalna. Ale trzy lata nauczyły ją, że osoby jej pokroju, dobrze urodzone, lecz biedne, nieustannie stykają się z różnymi niewyraźnymi typami.

I to nie zawsze ze szkodą dla siebie.

Dowiedziała się na przykład, że zapijaczona służąca bez referencji umie całkiem przyzwoicie układać włosy i że jeśli takiej służącej zbyt surowo nie traktować, można ją skłonić, by zgodziła się na nieregularne wypłaty. Choć, pomyślała, leciutko się uśmiechając, podróż w te zakazane strony stanowiła widać niewybaczalne naruszenie układu pracodawcy i pracownika.

Musi sobie to wbić w pamięć: nigdy nie należy wymuszać ryzykownej podróży na nieopłacanej służącej.

Może powinna napisać poradnik? Rodzaj broszury. Powiedzmy: *Niezastąpiony przewodnik dla dobrze wychowanych dam zmuszonych pędzić życie przy ograniczonych środkach*. Klasa mieszczańska zaczytuje się w poradnikach, jak naśladować arystokrację. Czemu nie zaadresować książki do osób chcących zachować godność w ubóstwie? Jeśli nie jest to sprzeczność sama w sobie.



Wargi drgnęły jej pod wpływem rozbawienia i przypomniała sobie, jak była kiedyś pewna, że już nigdy się nie roześmieje. Myliła się, dzięki Bogu. To jednak nie pora na beztruskę. Poczucie humoru ocaliło ją od rozpaczki, która zabiła matkę, ale może jej też przysporzyć kłopotów. Tak jak wtedy, gdy w mówiła rzeźnikowi, że gość Jasperów jest wegetarianinem, nie będą więc potrzebowali pieczeni, odłożonej dla nich na niedzielny obiad, i że wybawi go od kłopotu, odkupując mięso po okazyjnej cenie. Od tamtego czasu pani Jasper przestała z nią rozmawiać.

Głośne trzaśnięcie drzwiami oznajmiło przybycie jeszcze jednego uciekającego przed burzą. Wyrostek z czerwoną twarzą, potykając się, przekroczył próg, popychany przez falę deszczu ze śniegiem, z dłońmi wsuniętymi pod pachy, twarzą zsiękaną wiatrem i oszronioną.

- Zamknij drzwi, bałwanie - wrzasnął jeden z mężczyzn przy stole i zerwał się na nogi.

Chłopak zdawał się nie słyszeć. Gdy tylko znalazł się w środku, zgiął się w pół i rozpaczliwie zaczął chuchać w złożone dłonie, krzywiąc się z bólu. Czubki palców miał zbieleiałe i przezrocyste. Biedaczysko może stracić palce...

- Powiedziałem: zamknij te cholerne drzwi! - Potężny brutal złapał chłopca za ramiona i pchnął na ścianę. Biedak wrzasnął, kiedy rozpostartymi palcami uderzył w deski. Kate serce drgnęło w przypływie współczucia.

- Precz stąd, smarkaczu! Nikt nie chce słuchać, jak się mażesz! - Schwycił chłopaka za kołnierz, chcąc go wypchnąć przez otwarte drzwi. I wtedy Kate rozpoznała w nim Dougala, swego woźnicę.

W sali zapanowała cisza. Kilka twarzy wykrzywiło się drwiąco, jeden z ziomeków Dougala prychnął z rozbawienia, ale większość przyglądała się, nic nie rozumiejąc.

Z mdlącym przecuciem czegoś nieuniknionego, Kate zdała sobie sprawę, że wstała ze swojego krzesła. Trzęsła się tak jak chłopak, ale nie potrafiła się cofnąć, ponieważ, razem z zupełnie błędnym poczuciem własnej wartości, wpojono jej równie przesadne poczucie odpowiedzialności. Do tego cechował ją przeklęty brak uległości. Wcale nie chciała się wtrącać. Przeciwnie, wolałaby zamknąć oczy i odwrócić się, jak niektórzy z obecnych. Ale... przecież Dougal pracuje dla niej. Odpowiada za jego postęпки.

Serce biło jej szybko i bała się. Prawie paraliżował ją strach przed tym, co stanie się, gdy się wtrąci. Ale tylko prawie.

Machinalnie przekroczyła próg sali. Dougal potrząsał wyjąłym chłopakiem.

- Mam cię nauczyć tak, żebyś zapamiętał, jak się zamyka...

- Puść go - usłyszała Kate słowa wypowiedziane czymś spokojnym głosem. Dzięki Bogu, nie jej.

Dougal rozejrzał się, kto śmiał mu się sprzeciwić. Był to wysoki mężczyzna w starodawnym pledzie.

- A teraz - przemawiał góral łagodnie - sam zechciej zamknąć te cholerne drzwi.

- A kim ty do diabła jesteś, żeby mi rozkazywać? - ryknął Dougal. Wystraszony chłopak nie mógł się oswobodzić z zaciśniętej pięści wielkości szynki.

Przednie nogi krzesła lekko dotknęły podłogi i z niesamowitą, wręcz taneczną gracją obszarpaniec wstał, z twarzą wciąż osłoniętą rondem kapelusza.

- Jestem człowiekiem, który zziąbnął, a ty - przypomniał Dougalowi - nie puściłeś chłopaka ani nie zamknąłeś drzwi. - Nutka groźby zadźwięczała w spokojnym tonie.

- Idź do diabła! - warknął Dougal. - Zamknę drzwi, jak tylko wyrzucę za nie tego...

Chłopiec został odebrany z jego rąk starannie jak dojrzała gruszka z nisko zwisającej gałęzi, w następnej chwili popchnięty ku dwójce młodych ludzi, z wyglądu dzierzawców, którzy przyglądali się wszystkiemu bez słowa, ale z wyraźną dezaprobatą. Następnie, tak samo gładko, jak zajął się chłopcem, góral sięgnął za plecy Dougala i zatrzasnął drzwi.

- Gotowe. Im prędzej, tym lepiej, jakby powiedziała moja stara matka. - Mężczyzna przekrzywił głowę i dodał z udawaną skruchą: - To znaczy, gdybym miał matkę, jestem pewien, że powiedziałaaby coś w tym rodzaju.

Paru innych mężczyzn w sali parsknęło nerwowo, ale Dougal nie uległ łagodnej perswazji. Poczzerwieniał na twarzy jak burak.

- Nie lubię, kiedy ktoś wtrąca się w nie swoje sprawy, mój panie. A ty właśnie to robisz. Może nie? - Dougal obrócił się ku swym kompanom. Kiwnęli głowami, przyglądając się uważnie wybawcy chłopaka. Nie dość, że Dougalowi wyrwano jego ofiarę, to ich pozbawiono wieczornej rozrywki.

Góral wyglądał, jakby się tym nie przejął. W przeciwieństwie do Kate. Znow sparałizował ją strach ściskający gardło.

- Podejrzewam, że masz rację - przyznał wysoki nieznajomy. - Niejeden próbował wybić mi tę wadę z głowy.

- Co ty powiesz? Spróbujmy, może tym razem zapamiętasz lekcję, co, chłopaki? - zapowiedział Dougal.

Jego towarzysze mruknęli coś potakująco. W tej samej chwili naprzód wystąpili dwaj dzierzawcy, którzy zaopiekowali się niedoszłą ofiarą Dougala.

- Słuchaj no - powiedział do Dougala ten postawniejszy. - Nie bardzo nam się podoba, że ty tu jesteś przeciw jednemu...

- Cofnij się, przyjacielu - przerwał mu góral. - Doceniam twój gest, ale kiedy takich czterech wspaniałych wojowników chce mnie wykończyć, nie mam czasu zatroszczyć się o ciebie.

Dwaj młodzi dzierzawcy wymienili zaskoczone spojrzenia.

- Siądźcie sobie, chłopaki, postawię wam kwartę. - Góral skinął na obezrystą i zrzucił spłowiała zieloną kurtkę. Dougal zaszarżował, jak szakal na widok odsłoniętego mięsa.

- Uważaj! - krzyknęła Kate, ale góral już dał nura pod wymierzone w niego pięści Dougala, zakreślił się w miejscu i wymierzył cios w gruby biceps przeciwnika. Z głośnym sapnięciem Dougal zgiął się w pół i runął na podłogę.

Kamraci woźnicy skoczyli naprzód, reszta ludzi w gospodzie powstała z miejsc, by lepiej śledzić przedstawienie. Jeden z towarzyszy Dougala chwycił ciężki metalowy półmisek i zamachnął się nim jak toporkiem. Szkot odskoczył wysoko. Kapelusz spadł mu z głowy, uwalniając gęszcz zbyt długich rudozłotych włosów.

Przed oczyma Kate mignęła kanciasta szczeka i szczupła twarz, pokryta smugami brudu po ciężkiej podróży, i już góral wycofywał się, ścigany przez najsilniejszego z kompanów Dougala. Dwaj pozostali zaszli go z boków i przypierali do ściany... krąg widzów zamknął się przed nią, spychając ją na zewnątrz. Dougal dyszał u jej stóp.

Wybuchła wrzawa. Machano kapeluszami i rękami. Niektórzy widzowie krzywili się na to, co ujrzeli, inni głośno wiwatowali. Kate niewiele mogła dostrzec: wymachujące pięści, złotawą czuprynę, zamazany obraz napiętych, ociekających potem twarzy. Przekleństwa i wyzwiska latały w powietrzu wraz z ciosami pięści.

Ktoś krzyknął ostrzegawczo i nagle ludzki krąg otworzył się przed nią. Ujrzała dwóch kompanów Dougala od szklanki leżących bez ducha jeden na drugim i trzeciego gramolącego się na kolana. I nagle stanął przed nią.

Już wcześniej zrzucił tartan, koszulę miał wypuszczoną ze spodni, wyrwany rękaw odsłaniał szerokie muskularne ramię. Podczas starcia z najgroźniejszym przeciwnikiem włosy rozsypały mu się na barki wilgotnymi pasmami. Odpierał ataki, jakby to była błąhostka.

Walczył jak diabelska maszyna, metodycznie, oszczędny w ruchach, obdarzony straszliwym, skupionym pięknem. Odparowywał jeden po drugim ciosy przeciwnika, precyzyjnie wykorzystując okazję do błyskawicznego

ataku przy najłżejszym odślonięciu się. Na koniec ciosem od dołu trafił wroga w szczękę, a ten zwał się z nóg i potoczył po podłodze do stóp Kate.

Góral przeraził ją swą postawą i wyrazem twarzy. Mężczyzna u jej stóp przewrócił się na brzuch i zaczął umykać, pełzając po podłodze. Szkot schylił się i chwycił leżącego za kołnierz. Szeroki uśmiech ukazał olśniewające białe zęby w ciemnej twarzy.

Z groźnym pomrukiem postawił na nogi brzuchatego brutala.

- Nie chcesz chyba tak szybko pozbawić mnie swego towarzystwa, przyjacielu? Cóż, skoro musisz odejść, to idź. Ale najpierw zabiorę ci sztylet, którym mnie zadrasnałeś, bo nie chcę go poczuć w plecach.

Zapomniał o Dougalu, tak samo jak Kate.

Ten zaś ryknął i skoczył na górala, nie zważając na Kate stojącą między nimi. Szkot wypuścił mężczyznę, którego trzymał, podciął mu nogi i powalił na ziemię. Błyskawicznie przyklęknął na jedno kolano, chwycił Kate za przegub i usunął z drogi Dougala, wypychając w tłumek gapiów. Młodzi dzierzawcy podtrzymali ją, nim zdążyła upaść.

Pozbierała się w samą porę, by dojrzeć, jak Dougal unosi sztylet i uderza nim w dół. Góral, wciąż klęcząc, chwycił go za przegub, zatrzymując uderzenie w pół drogi. Napiał mięśnie, na szyi z wysiłku wystąpiły żyły, gdy powstrzymywał ostrze od śmiertelnego uderzenia.

Dougal zacisnął zęby, ślina zebrała mu się w kącikach ust. Góral powoli, z wysiłkiem wstał, pokonując napór potężnego cielska napastnika.

W tłumie rozległ się szmer.

- Odejdź, a oszczędzisz sobie sporo bólu - doradził góral ponuro.  
- Idź do diabła, bękarcie!  
- Doskonale! Przyznaję, że gorzko bym się rozczarował, gdybyś wybrał inaczej.

Nagłym obrotem zakręcił się w miejscu i szarpnął na zewnątrz ramię Dougala. Równocześnie podsunął bark pod łokieć przeciwnika i nacisnął do dołu. Rozległ się głuchy trzask łamanych kości.

Na ten dźwięk zołądek Kate podszedł do gardła. Twarz Dougala zbiałała. Ostrze wypadło z palców pozbawionych czucia i uderzyło o podłogę. Ranny otworzył usta i zawył.

Z wyrazem niesmaku góral pchnął chwiejącego się Dougala ku jego kumpłom. Rozejrzał się za oberżystą.

- Włóż mu rękę w łupki, inaczej już nigdy nie będzie powoził.

Jakby czytał w myślach przerażonej Kate! Patrzyła nieruchomym wzrokiem, nie widząc Szkota, słysząc tylko jego prorocze słowa. I nagle uświadomiła sobie sens tego, co się wydarzyło: nie ma już woźnicy.

Z trudem unosząc stopy, podeszła do oberżysty. Zdrętwiałymi palcami wygrzebała z kieszeni kilka bezcennych monet, które przechowała zaszyte w płaszczu.

- Znajdźcie kogoś, kto złoży mu ramię - powiedziała drewnianym głosem i obróciła się, by odejść, nie wiedząc, dokąd się właściwie kieruje.

Jeśli nie uda jej się nając innego woźnicy, będzie musiała zabrać się pocztowym dylizansem z powrotem do Yorku. Z powodu zbójców, złodziei i bandytów na drogach, i wczesnego początku zimy, zapowiadającej się na mroźną niewiele prywatnych linii ryzykowało wysyłanie koni i ludzi do północnej Szkocji. Była dość zaskoczona, że markiz znalazł kompanię, która zgodziła się przyjąć zamówienie o tej porze roku. Jeśli jednak wróci do Yorku, nie będzie miała drugiej okazji dostania się do Clyth tej zimy.

A musi tam dotrzeć. Uwierzyła, że wreszcie zyskała ostatnią szansę odzyskania tego, co straciły. A teraz i ta się rozwiewała.

Zakręciło jej się w głowie i po raz pierwszy w życiu poczuła, że mdleje. Za mało jedzenia, za mało nadziei. Zachwiała się, zamknęła oczy, wyciągnęła ręce, szukając czegoś, by się przytrzymać. Na nic nie natrafiła.

A może to ulga w końcu się poddać, raz na zawsze przestać próbować...

Silne ramiona chwyciły ją pod łokcie i podtrzymały. Męczyzna pachniał skórą, potem i dziwnym metalicznym zapachem. Otworzyła oczy.

Stał odwrócony plecami do paleniska i światło padające z tyłu tworzyło ognistą aureolę nad jego złotymi włosami. Nie widziała dokładnie jego rysów, tylko rudawy zarost na brodzie, skrzący się na policzkach.

- Kim pan jest? - spytała.

- Ja? - zamruczał głęboki głos. - Może twym aniołem stróżem, najdroższa?

Przecucie, że zaraz wydarzy się coś doniosłego, przejęło Kate dreszczem. Zrobiła krok w tył, potknęła się i żeby nie upadła, góral przysunął się do niej i lekko przyciągnął ją do siebie. Teraz światło w pełni oświetlało mu twarz. Pierwszy raz tego wieczoru zobaczyła go wyraźnie: bezwzględne, lodowate zielone oczy, usta hulaki i szczękę celtyckiego wojownika.

Padła bez przytomności w ramiona Christiana MacNeilla.

# *Noclegi w gospodach, oberżach, zajazdach i innych podłych kwaterach*

**K**ate przebywała międzyjawą a snem. Ciemność przesycił ciepły, męski zapach, unoszący się z powierzchni, na której spoczywała. Czuła się bezpieczna, zupełnie odprężona... troszeczkę... obezwładniona. Obezwładniona?

Przytomność zaczęła wracać. Otworzyła oczy i zobaczyła kanciastą szczękę i silną męską szyję. Złotowłosey góral spoglądał w dół oczyma jak z chalcedonu: jasnozielonymi, srebrzącymi się i nieodgadnionymi.

- Pamięta mnie pani? - spytał. - Pamięta pani Kita MacNeilla?
- Christiana.

Kącik wyraźnie zarysowanych ust drgnął w lekkim uśmiechu.

- Bardziej Kita niż Christiana, obawiam się. A więc pamięta pani.

O tak. Pamięta. Pamięta, jak siedziała rozdygotana w pokoju ogołoconym z wszelkich ozdób, wpatrując się w zranione, dzikie szarozielone oczy młodzieńca, który krążył po pokoju jak zwierzę w klatce, człowieka spoza jej sfery, ze sfery tak innej, że poczuła się zdolna do wyjawienia mu rzeczy, których nigdy nie powiedziałyby bliskim - rzeczy gorzkich i gniewnych - dlatego, że była pewna, że ich światy, zderzwszy się na jedną krótką godzinę, już nigdy się nie zetkną. Powinna być bardziej przewidująca.

- Tak. Pamiętam. - Gorąco uderzyło jej na policzki i szyję. - Jak... po co pan się tu zjawił?

Brew jak ciemne skrzydło, przecięta głęboką szramą, uniosła się ironicznie.

- Nie wierzy pani w anioła stróża?
- Nie. - Jeśli naprawdę istnieją, jej anioł tak skandalicznie zaniedbywał swe obowiązki, że zapewne wyrzucono go z chórów już dawno temu. Poruszyła się, a on podniósł ją i ułożył wygodniej, co przypomniało jej dobitnie, że dotykają człowieka właściwie całkiem obcy. - Proszę mnie puścić. Dam radę stanąć.

Bez słowa postawił ją na ziemi, ale zachwiała się, czując nagły zawrót głowy. Wyciągnął ku niej rękę, ale się usunęła.

- Nic mi nie jest.

I znów na ustach górala zagościł zagadkowy uśmiech. Młody człowiek, który przyniósł jej rodzinie wspaniałe złote róże, był dziki, ale miał w sobie coś, co wzbudzało w niej poczucie pokrewieństwa dusz. W niewyjaśniony sposób Christian MacNeill wydawał jej się znajomy. Nie czuła nic podobnego wobec szorstkiego, szczupłego „Kita” MacNeilla. Skąd się tu właściwie wzięła?

- Gdzie jest pani pokój?

Wskazała najbliższe drzwi, a on pchnął je i odsunął się, ustępując jej miejsca. Obróciła się, a wtedy światło padające przez drzwi odkryło to, co osłaniał cień korytarza: grudki zakrzepłej krwi, zlepiające złote włosy na skroni. Rany po niedawnej walce. Przeniosła wzrok na jego dłonie. Knykcie miały poodcieraną i krwawiącą. Wzdrygnęła się, widząc ślady brutalnej przemocy.

- Jest pan ranny.

- Wszystko to wygląda gorzej, niż jest naprawdę. Tak bywa z ranami głowy.

Zawahała się. Może z powodu lekceważenia obrażeń, a może dlatego, że jeszcze raz odezwało się jej poczucie obowiązku, zostawiła drzwi otwarte.

- Proszę przynajmniej skorzystać z umywalki. To lepsze niż poidło dla koni.

- A nie mam innych możliwości? - spytał kpiąco.

- Wzięłam ostatni wolny pokój, więc dopóki któryś się nie zwolni, nie ma pan - odpowiedziała chłodno, nie dając się sprowokować. Wskazała obtłuczoną porcelanową miskę. - Proszę.

Paruszył, a potem z miną osoby ulegającej czyjemuś kaprynowi, wszedł, zatraskując za sobą drzwi. Pochylił się nad miskę. Kate przyglądała mu się, kiedy obmywał twarz wodą.

Nic dziwnego, że w pierwszej chwili go nie poznała. Pociągła twarz stała się pełniejsza, rysy stwardniały. Do szramy na czole, którą zauważyła przy pierwszym spotkaniu, doszły nowe blizny. Trzy lata temu już miał tych blizn w nadmiarze.

Był teraz większy, niż go zapamiętała. Szerszy. Gdy przecierał twarz, zgarbił się, rozchylając koszulę podartą na plecach i odsłaniając wydatne mięśnie, przeżące się przy każdym ruchu. Wszystko w nim było męskie. Zbyt męskie.

Dlaczego zamknął drzwi? Powinien zostawić je otwarte. Dżentelmen poszukałby drugiej kobiety jako przyzwoitki. Boże drogi! Co jej przychodzi do głowy? Tawerniane dziewczki nie nadają się na damy do towarzystwa. A on z pewnością nie jest dżentelmenem, mimo poprawnej wymowy. A ta wymowa nie była znów taka wytworna tam na dole. Co się dzieje?

Nie powinna zapraszać go do pokoju. Może sobie pomyśleć, że kierowało nią coś innego, nie tylko zwykła ludzka uprzejmość. Nie wiadomo, co to za człowiek, co robi ani co zrobił.

Ryki z sali na dole wstrząsnęły cienkim stropem, uświadamiając Kate, w jakim niebezpieczeństwie się znajduje. Gdyby krzyczała, nikt by jej nie usłyszał. Zerknęła ukradkiem na zamknięte drzwi i przysunęła się ku nim.

- Czy ma pani ręcznik? - Wyprostował się, a ona, wzdrygnawszy się, podała mu ręcznik, po czym nerwowo odskoczyła. Przez chwilę patrzył na nią, a potem odwrócił się plecami.

- Domyślam się, że zachowuje się pani jak wystraszony królik, bo się mnie boi. Nie mam zamiaru pani zgwałcić, pani Blackburn - rzucił od niechcenia, wycierając twarz, jak gdyby codziennie był podejrzany o usiłowanie gwałtu.

Zaczerwieniła się speszona.

Znów odwrócił się w stronę umywalki i lustra, schylił się i zaczął oglądać rozcięcie na skroni. Kate trochę ochłonęła, widząc, że ją ignoruje, zajęty wyżymaniem ściereczki i zmywaniem krwi z dłoni.

Nawet oczy ma inne, stwierdziła, zerkając na jego odbicie w lustrze. Kiedyś były jak otwarte drzwi prowadzące do pokiereszowanego wnętrza, teraz ani trochę nie zdradzały uczuć mężczyzny. Niezmienione zostało tylko piękno tych oczu, jarzących się zimną zielenią spod ciemnozłotych rzęs. MacNeill odrzucił na bok poplamiony ręcznik. Z rany na skroni pociekła świeża krew.

- Pan nadal krwawi - szepnęła Kate.

Dotknął zranienia i ze zdziwieniem spojrzął na pokrwawione opuszki palców. Stał, nie wiedząc, co robić. Nie miał pod ręką więcej ręczników. Po chwili wahania Kate energicznie sięgnęła pod łóżko po bagaż swej nieżyjącej kuzynki, ozdobny skórzany kufer z mosiężnymi okuciami.

Oprócz rzeczy należących do Grace Murdoch zawierał on całą garderobę Kate: trzy najlepsze suknie jej matki, odświeżone jak należy, żeby przybywając do zamku Parnell, nie wyglądała na żebraczkę, którą w istocie była. Ostrożnie przeniosła na łóżko suknie owinięte w płachtę. Pod nimi znajdowała się starannie poskładana bielizna.

Kiedyś stanowiła wyprawę panny młodej, uszytą z batystu, haftowaną jedwabiem i obszytą brukselską koronką. Najdelikatniejsze sztuki dawno temu zostały znoszone, a koronki poddzierano, by przystroić nimi ubiory Charlotte. To, co pozostało, było przezroczyście od wielokrotnego prania i nie wiedzieć ile razy cerowane. Szpitalne bandaże pewnie wydałyby się gęściej tkane.



- Co pani robi? - spytał MacNeill.

- Nie może pan chodzić, ociekając krwią. - Rozpruła wzdłuż szwu wysłużoną koszulę. - To nie do przyjęcia. Proszę usiąść.

Przekrzywił głowę, przyglądając jej się zaskoczony, ale usłuchał. Zbliżył się do niej i usiadł na jedynym krześle w pokoju. Stała nad nim, drąc koszulę na wąskie pasy. Złożyła z nich gruby kompres i przycisnęła mu do rozciętej skroni.

- Proszę to przytrzymać.

Zacisnął rękę na jej dłoniach. Ta ręka, jak on cały, była wielka, szorstka i podrapana, ale miała nieoczekiwanie długie, smukłe palce i silne, lecz szczupłe nadgarstki. Kate pospiesznie uwolniła rękę i zaczęła bandażować mu głowę.

Wstrzymał oddech pod jej dotknięciem.

- Czy sprawiam panu ból? - spytała.

- Nie.

Zapewne więcej ran kryło się w gęstych rozczochranych włosach. Przysunawszy się bliżej, zaczęła delikatnie obmacywać mu czaszkę opuszkami palców. Trwał nieruchomo z rękami na kolanach, ze spojrzeniem utkwionym prosto przed siebie. Stojąc nad nim, musnęła wzrokiem potężny tors, ciemne włosy wystające spod rozchełstanej koszuli. Ciało mężczyzny. Odwykła od widoku męskich kształtów...

- Nisko pani upadła, moja droga - odezwał się.

Drgnęła w poczuciu winy, ale on powiedział tylko:

- Wątpię, czy trzy lata temu zabandażowałyby mi pani głowę.

- Doprawdy?

- Była pani bardzo elegancką młodą damą. Idealną. Czystą. - W zamysleniu ściszył głos do szeptu. - Najczystsza istotą, jaką w życiu widziałem.

Zesztywniała, urażona jego aluzją.

- Jeśli nie wyglądam teraz nieskazitelnie, to dlatego, że jestem w podróży - powiedziała.

Roześmiał się, a ta niewczesna wesołość kompletnie zbiła ją z tropu. Doszukiwała się w jego słowach ukrytego znaczenia. Czy próbował wy badać, do jakiego stopnia ograniczenie środków finansowych doprowadziło ją do rozluźnienia zasad moralnych? Już wielu mężczyzn popełniło ten błąd i niejednemu dostało się za to; byli to jednak ludzie z nizin, nędzne istoty, liczące się wszakże z pewnymi nakazami społecznymi. Kit MacNeill nie wyglądał na kogoś, kto by liczył się z czymkolwiek. I z pewnością nie przestraszyłyby się łajania.

Chrząknęła.

- Ma pan całkowitą rację. Trzy lata temu posłałabym pana do kuchni i kazała ochmistrzyni pana opatrzeć. To prawda, że nie mam już ochmistrzyni ani kuchni, ale nie upadłam tak nisko, bym zapomniała o obowiązku i wdzięczności, zwłaszcza wobec kogoś, kto bardziej ucierpiał ode mnie. Mam nadzieję, że nigdy nie zapomnę.

Błysk rozbawienia znowu rozświetlił jego surową twarz.

- Zatem przyznaję się do błędu. Oczywiście, postąpiła pani właściwie. Mam wielkie szczęście, że zachowała pani dobre manieri.

- Mówi pan to tak, jakby w stosownym zachowaniu kryło się coś podejrzanego - odparła wyniośle, oddzierając zębami jeszcze jeden pas batysty. - Według mojej znajomości świata, manieri ludzi dobrze wychowanych są miłą alternatywą dla impulsywnych reakcji i skłonności do przemocy.

Mówiąc to, nie patrzyła na niego. Nie potrzebowała. Sens jej słów był całkiem jasny.

Zdumiała się własną czelnością. Powinna była nadal trząść się ze strachu. Jej niewzruszona wiara we własną nietykalność jest jeszcze jednym reliktem stylu życia z odległej przeszłości. I jeszcze jednym punktem do jej poradnika: „Jako uboga osoba wywodząca się z wyższych sfer, dama powinna stałe mieć na uwadze, że nie obraca się w kręgach towarzyskich, w których jeśli nie dobrobyt, to w każdym razie bezpieczeństwo dam było kiedyś gwarantowane”.

- Nie chcę się wydać niewdzięczna - dodała nerwowo.

- Nic nie szkodzi - odparł. - To ja jestem pani wdzięczny za naukę.

Nie potrzebowała jego podziękowań. Chciała, żeby sobie poszedł. Ten człowiek wytrącał ją z równowagi, przerażał. Ale dawno temu wyniosła z lekcji jazdy konnej przekonanie, że niebezpiecznemu zwierzęciu nigdy nie wolno dać wyczuć swego strachu.

- Krwawienie chyba już ustało - powiedziała. - Dziękuję za to, co zrobił pan dla tego chłopca. - Odsunęła się, wyraźnie dając mu do zrozumienia, że powinien odejść. Nie zareagował. - A teraz pozwoli pan, że go pożegniam.

Nadal się nie ruszył.

- Obawiam się, że przez moją interwencję znalazła się pani w niedogodnej sytuacji.

- Okazał pan wielką odwagę. - Pozwijała skrawki szmat i spojrzała mu w twarz z uśmiechem, który w zamiarze miał być spokojny i lekceważący. - Wszelka niewygodna to błażostka wobec większego dobra.

- Nie ryzykowałem zbytnio - powiedział.

- Nie zgadzam się. Dougal miał nóż. Widziałam. Zachował się pan bohatercko. - Tym razem zrobiła krok ku drzwiom i zamierzając je otworzyć, położyła dłoń na klamce.

- A pani, jak pamiętam, nie potrzebuje bohaterów - mruknął.

Zbyła go milczeniem, wzruszył ramionami na znak lekceważenia zarówno dla noża Dougala, jak i możliwych konsekwencji zajścia. Dlaczego wciąż tu jeszcze siedzi?

- Jestem pani winien przynajmniej przejazd dyliżansem do - pytająco uniósł brwi - Yorku?

- Nie.

- Czy to dobre wychowanie powstrzymuje panią przed przyjęciem ode mnie pieniędzy?

- Nie jadę do Yorku, udaję się w przeciwną stronę.

Naprawdę ma taki zamiar. Jest co prawda bez pieniędzy, ale markiz, szwagier Grace, na pewno zapłaci każdą cenę, jakiej zażąda woźnica. Już raz przysłał po nią powóz. Przecież odbywa tę podróż w jego interesie. No, w pewnym sensie w jego interesie. Rzekomo w jego interesie...

MacNeill zmierzył ją spojrzeniem od stóp do głów, rejestrując skrupulatnie wiele mówiący rdzawy kolor szwów trzykrotnie nicowanej sukni i zniszczoną skórę wielokrotnie żelowanych trzewików.

- Straciwszy woźnicę, wierzy pani, że zdoła znaleźć innego?

- Tak. Jestem tego pewna.

- Obawiam się, że gorzko się pani rozczaruje - oznajmił. - To nie jest zajazd dla dyliżansów, pani Blackburn. To miejsce odwiedzane przez złodziei i zbójów.

- Mówi pan jak jego częsty bywalec - odparowała.

- Niektórym po prostu odpowiada - zauważył uprzejmie.

Nie obchodziło ją, w ilu jaskiniach rozpusty zwykł bywać. Przecież nie *zna jej* położenia. Nie *wie*, o jaką stawkę toczy się gra. Nie rozumie, że otworzyła się przed nią szansa wygrania powrotu do dawnego życia, jeśli tylko zaaranżuje wszystko należycie. Dla siebie i dla sióstr.

- Wystawia się pani na wielkie ryzyko - powiedział. - Nie mogę z czystym sumieniem zostawić pani, zwłaszcza że to moje wyczyny przeszkodziły pani w dalszej podróży.

- To nie pańska sprawa. - Starannie zmroziła każdą sylabę z całą wyniosłością, na jaką potrafiła się zdobyć.

Uśmiech satysfakcji powoli rozkwitał na jego twarzy.

- Ale, droga pani, dopiero co pouczyła mnie pani, jak ważne jest stosowne zachowanie, odróżniające człowieka cywilizowanego od, powiedzmy, barbarzyńskiego Szkota. Nie może pani tylko sobie pozwalać na stosowne zachowanie, a mnie odmawiać tego przywileju.

Zarumieniła się. Sprytnie wyprowadził ją w pole.

- Marnuje pan czas, próbując mnie przekonać, bym zawróciła z drogi. Udaję się na północ, do Clyth, a stamtąd do zamku Parnell. Ma się rozumieć, jeśli nie powstrzyma mnie pan przemocą - rzuciła nieostrożnie wyzwanie.

Jego uśmiech przybrał odcień politowania, jak gdyby powiedziała coś absurdalnego.

- Dobra kobieto, popatrz na mnie.

Z zabójczym wdziękiem uniósł się z krzesła i rozpostarł długie ramiona. Ich mięśnie naprężyły się pod ogorzałą skórą. Wilgotną koszulę znaczyły krwawe plamy. Krople potu wciąż połyskiwały u nasady szyi. Wszystko w nim było niecywilizowane, rozdarte i niebezpieczne.

- Czy choć na moment zwątpiła pani w to, że jestem zdolny to zrobić?

- Sądzę - powiedziała półgłosem - że ze względu na ten dług, który jak pan niegdyś twierdził, ma wobec mojej rodziny, nie zechce pan robić mi trudności.

Drgnął jak ugodzony ciosem. Uśmiechnął się krzywo.

- Trafny strzał, droga pani. Ale postawiła pani przede mną trudny wybór między narzucaniem się jej a dopuszczeniem, by wystawiła się pani na niebezpieczeństwo.

- To nie pana sprawa. Proszę zapomnieć, że się spotkaliśmy, jeśli gryzie pana sumienie.

- Niestety mam diabelsko dobrą pamięć. Już raz powiedziałem, że cięży mi zaciągnięty dług. Zwykłem spłacać długi, szanowna pani, i wobec nikogo nie okazać się niewdzięcznikiem. Proszę zatem powiedzieć, moja urocza nauczycielko, co mi dyktuje kodeks towarzyski?

Z rozmachem otworzyła drzwi.

- Przede wszystkim nie wolno panu narzucać się damie... bez względu na wyrzuty sumienia, które pana dręczą. Teraz chciałabym udać się na spacer. Jeszcze raz dziękuję, że obronił pan tego chłopca. I jeszcze raz do widzenia.

Ruszył za nią podejrzenie uległy. Gdy znalazł się tuż przy niej, sięgnął nad jej głowę ku drzwiom, zatrzasnął je i docisnął szeroką dłonią. Wydatne bicepsy wysklepiły się tuż pod jej brodą, ale się nie cofnęła.

- Gdzie pani znajdzie nowego woźnicę?

- Spytam oberżystę - odpowiedziała rozdrażniona. - Powinien znać kogoś, kto zgodzi się mnie zawieźć.

- Będzie pani musiała obiecać garść złota, by skłonić kogoś do udania się na północ o tej porze roku. - Przyjrzał się jej uważnie. - Nie ma pani garści złota, prawda?

Nie było sensu zaprzeczać.

- Nie.

- Właśnie. Ten nieznany woźnica miałby panią zawieźć na *północ* Szkocji na podstawie czego? Pani pięknych oczu?

- Niepotrzebnie pan ze mnie szydzi - rzekła. - Zapewniam, że markiz Parnell wynagrodzi go po przybyciu.

- I sądzi pani, że to przekona owego nieznanego galanta?

- A dlaczego nie?

- Nie przekona, bo tutejszym ludziom przez całe życie obiecywano różne rzeczy, droga pani. Nieobecni właściciele mieli im obniżyć czynsze, politycy uchwalili prawo chroniące ich skromny dobytek, rządcy płacić wyższą dniówkę, a sądy zagwarantować sprawiedliwość. Nie dotrzymano żadnej z tych obietnic. My, Szkoci, mamy dość obietnic, droga pani. Nawet od takiej ładnej dziewczyny. A może zwłaszcza od takiej ładnej dziewczyny.

- Ale ja przecież nie kłamię!

- To bez znaczenia. Nikt tu pani nie zna. Oprócz mnie.

Z jakiegoś powodu oburzyła ją jego zarozumiała uzurpacja.

- Wcale mnie pan nie zna. Nic pan o mnie nie wie. - Dała nura pod jego ramieniem, ale chwycił ją za rękę i obrócił twarzą do siebie.

Przyciągnął ją bliżej, choć gwałtownie się wrywała. Jeszcze nigdy nikt nie położył na niej rąk w taki sposób, zdradzający hamowaną gwałtowność i bez wysiłku demonstrujący pełną władzę nad nią. Poczuła własną bezsilność, absolutną przerażającą, duszącą ją gardło i pulsującą w skroniach.

- Proszę posłuchać - powiedział, nie zważając na jej udękę. - Nawet jeśli znajdzie pani kogoś, kto przyjmie jej warunki, czy pomyślała pani, co to będzie za człowiek? Co zdarzy się za dwa dni, gdy będziecie sami na drodze? Pani ostatniego woźnicę poleciała agencja i proszę, jaki z niego kryształowy charakter. Człowiek, którego pani znajdzie, gotowy powozić dla pani, nie będzie miał rekomendacji.

Wreszcie wyswobodziła się, a raczej on ją wypuścił, tak szybko, że poleciała do tyłu, aż oparła się rękoma o ścianę. W mgnieniu oka zawisł nad nią, odcinając ją od reszty pokoju.

- Powiedzmy, że zniknie pani bez wieści. - Piękne oczy spoczęły na niej, jak syty drapieżnik, zdolny zaatakować dla odrobiny zabawy. Serce łomotało jej w piersi. - Kto panią odnajdzie? Kto w ogóle będzie pani szukał?

Pochylił się nad nią, wsparł zgięte potężne przedramię na ścianie nad jej głową, zamykając ją jak w klatce. Obróciła się i mocno przywarła policz-

kiem do ściany. Miała jego palce tuż nad skronią. Dotknąłby jej, gdyby się poruszyła. Przerazenie wirowało w jej krwi jak silny narkotyk. Jego spojrzenie ześliznęło się leniwie po jej twarzy, by zawisnąć na ustach. Zamknęła oczy, drżąca.

- Kto zgadnie, gdzie i kogo o panią pytać?

Mógł zrobić z nią, co chciał, tu i teraz, i nikt by mu nie przeszkodził. I to właśnie chciał jej udowodnić: jeśli jest bezbronna tutaj, to o ile bardziej naraża się na pustej drodze? Zrozumiała. Przyznała mu rację. Ale to nie miało znaczenia.

Przez lata szukała wyjścia z obecnego położenia. Teraz pierwszy raz zaświtała jakaś nadzieja. Strach i ryzyko, choćby nie wiadomo jak wielkie, nie wystarczyły, by ją zawrócić z drogi. Nie teraz.

Otworzyła oczy.

- Muszę jechać.

- Dlaczego? - Myślała, że skończył ją pouczać, ale widać lekcja jeszcze trwała, bo wciąż wpatrywał się w jej usta, jakby zafascynowany sposobem, w jaki wypowiadała słowa.

- Pamięta pan naszą kuzynkę, Grace?

- Tak. I cóż?

- Wyszła za męża za Charlesa, młodszego brata markiza Parnell. Zamieszkali w jego rodzowym zamku niedaleko Clyth. - Słowa popłynęły wartkim strumieniem. - Kilka miesięcy temu Grace napisała, że oboje z Charlesem przenoszą się do Londynu. - Kate odważyła się zerknąć na pociągłą twarz MacNeilla. - Przysłała kufer pełen osobistych drobiazgów, rzeczy o małej wartości, i poprosiła, bym go przechowała do jej przyjazdu. - Ruchem ręki wskazała otwarty kufer. Wierzchnią warstwę stanowił teleskop, kilka książek i płaska podróżna kasetka z przyborami do pisania. - Krótco po tym dowiedzieliśmy się, że Grace i Charles zginęli w katastrofie morskiej. Markiz jest pogrążony w żałobie i napisał do mnie z prośbą, bym ze względów sentymentalnych zwróciła ich rzeczy. Obiecałam, że sama mu je przywiozę.

- Cóż, jest pani niewyczerpaną krynica uczuć rodzinnych - oświadczył MacNeill kpiąco. Odgarnął pasmo włosów, które opadło na jej twarz. - Ale jestem pewien, że jego lordowska mość wytrzyma jedną zimę bez bibelotów swego brata.

Wymuszał na niej wyznania, na które nie miała chęci. Odwróciła wzrok.

- Markiz i ja spotkaliśmy się kilka lat temu. Ufam, że miło mnie wspomina - powiedziała, z konieczności wyrzekając się dumy. - Mam nadzieję, że

w jego smutku i z uwagi na dawne... względy, zdołam go skłonić, by stał się dobroczyńcą mojej rodziny. Jesteśmy ostatnimi żyjącymi krewnymi Grace.

MacNeill roześmiał się.

- Uboga krewna? To do pani nie pasuje.

- Głodowanie jeszcze mniej do mnie pasuje. - Gwałtownie odwróciła się ku niemu, mierząc go wyzywającym spojrzeniem. Jak śmie ją osądzać? Wiele osób żyje na łasce tych członków rodziny, którym się lepiej powodzi. Ona i siostry nie byłyby pierwsze.

Wytrzymał jej spojrzenie przez krótką chwilę, po czym skrzywił usta i bez słowa dał za wygraną.

- Wiosna równie dobrze się nadaje na pani misję.

- Wiosną nie będę miała środków na tę podróż.

- Ja je mam. - Nagle opuścił rękę, nie chciał dalej z nią igrać. Była wolna. W jego pojęciu wszystko jest załatwione. Odeśle ją z powrotem do Yorku, da jej sakiewkę dość wypchaną, by na wiosnę wynajęła powóz i ruszyła w drogę, i tak załatwi ostatecznie sprawę długu wobec jej rodziny. Tylko że wiosną będzie dla niej za późno. Pomoc markiza jest jej potrzebna teraz.

- I ma pan środki na utrzymanie nas podczas zimy? Na opłacenie chesnego w szkole Charlotte? Na kupienie jej sukien? - Miała zbyt dużo dumy, by mu powiedzieć, że suknie nie są najbardziej palącym z ich problemów. Powiodła wzrokiem znacząco po jego wystrzępionych włosach, poszarpanej koszuli i zdartych butach.

Odwzajemnił jej spojrzenie nieugiętymi, szyderczymi oczyma.

- Gdybym wiedział, że sytuacja jest tak opłakana...

- Panie MacNeill - powiedziała, - nie byłoby mnie w tej gospodzie dziś wieczór, gdybym *nie* uważała mojej sytuacji za „opłakaną”. Niewiele sposobności ratunku nadarzyło się nam w ostatnich latach. Nie mogę sobie pozwolić na zwlekanie z wykorzystaniem tej, która się wreszcie trafia. Do wiosny smutek markiza się ukoi, zmysł praktyczny weźmie w nim górę, a moje heroiczne wysiłki, by zwrócić mu pamiętki po bracie, nie wydadzą się tak imponujące. Ani warte nagrody.

- Wyrachowana z pani bestyjka. Proszę mi powiedzieć, czy to też cecha... wysoko urodzonych?

- Jestem taka, jak wymagają okoliczności - powiedziała. Czy on to może rozumieć? Jest zdrowy, silny i nie ma zobowiązań, oprócz tych, które desperacko chce wypełnić. - W tej chwili okoliczności wymagają działania. Muszę zaufać zdaniu oberżysty i znaleźć woźnicę. Nie mam wyboru.

- Przeciwnie, ma pani - sprzeciwił się. - Sam panią zawiozę.

- Nie! -wyrwało się jej.

Skrzywił wargi.

- A co się pani nie podoba? Nie ufa mi pani?

- Nie.

Roześmiał się, ani trochę nie rozgoryczony.

- Niegłupie to z pani strony, ale nie ma obawy. Nie zrobię pani krzywdy. Niewiele mam, ale cenię to, co mam: moje słowo, honor i niezależność. Tego pierwszego potrafię dotrzymać, bo mam po temu dosyć siły i zręczności, drugi cenię, bo taką mam wolę, a trzecią się cieszę, ponieważ nie jestem związany z żadną kobietą ani żadnym mężczyzną oprócz tych, wobec których mam dług. I wśród tej niewielkiej garstki, pani rodzina zajmuje poczesne miejsce.

Próbowała czytać w jego surowej twarzy, mając zamęt w głowie. Nie jest głupia. Być może on stanowi jedyną realną szansę dostania się do zamku Pameli. Nie miała ochoty pokonywać drogi z nieznanym, zwłaszcza w warunkach, które MacNeill tak zwięźle i wyraziście przedstawił. Instynktownie jednak wiedziała, że może on jej zrobić wielką krzywdę i ufała swojemu instynktowi.

- Nie.

Zacisnął pięść. Odruchowo skuliła się i cofnęła, mając w pamięci gniew, jaki w nim wyzwolił Dougal i jego kamraci. MacNeill zaklął cicho i odsunął się od niej.

- Może ma pani rację - powiedział szorstko. - Bóg wie. Może ma pani rację.

A potem, gdy przyglądała mu się zdumiona, przykląkł na jedno kolano i spuścił głowę, a ramiona skrzyżował na piersi, przyciskając pięści do serca. Dopalająca się świeca rzucała migotliwy blask na jego złotawe włosy.

- Katherine Blackburn, ślubuję pani służyć. Uroczyście oddaję na tę służbę mą prawicę i miecz, mój oddech i moją krew. - Głos wibrował mu z przejęcia. - Czegokolwiek pani zażąda, to zrobię; czegokolwiek zapagnie, zdobędę. Z woli samego Boga, nie ludzi, tego wiernie dotrzymam.

Uniósł ku niej twarz.

- Ładne słowa, prawda? Takie, którym się nie sprzeniewierzę, choćbym miał umrzeć.

Ostatnie słowa brzmiały tak cicho, że Kate nie miała pewności, czy je dobrze dosłyszała. A on znów zaczął mówić, błyskając jasnymi oczyma.

- To moje rodzinne strony. Znam te góry i rzeki. Wiem, gdzie znaleźć schronienie, a gdzie nie ma żadnego. Potrafię odróżnić igraszki wiatru od



jego dzikości i znam ścieżki, które nas doprowadzą do celu, omijając niebezpieczeństwa.

- Już kiedyś powiedziałem, że będę czekał, jak długo trzeba, by spełnić moją przysięgę. I czekałem długo. Wiernie. Może pani uwolnić mnie od ciężaru zobowiązania i dojechać bezpiecznie do Clyth. Proszę mi na to pozwolić.

Zarumieniła się, zdumiona jego zapałem. Trzy lata temu zdobyła się wobec niego na szczerość. Teraz echo tej szczerości brzmiało w jego słowach. Pomysł był szalony, ale z pewnością jeszcze bardziej szalone było podróżowanie z kimś zupełnie nieznanym.

- Zgoda.

- Zbiorę moje rzeczy. - Wstał z gracją, znów zrównoważony i spokojny. Wydawało się, że emocjonalne ślubowanie nigdy nie zostało wypowiedziane. - Ruszamy z pierwszym brzaskiem.

## *Pogodzenie się z odmianą losu*

Bała się go. Wbrew swojej brawurze wzdrygała się odruchowo, gdy tylko się poruszył.

Kit MacNeill przemierzył ciemny dziedziniec, nie zważając na kłujące szpilki lodowatego deszczu ani na wiatr targający mu włosy. Zrobił, o co go poproszono. Przed trzema tygodniami, po blisko dwu latach spędzonych w Indiach, wylądował w Bristolu i sumiennie dopełnił obowiązku kontaktowania się z londyńskim adwokatem, któremu opat przekazywał wszelkie wiadomości. Nie spodziewał się nowin. Szczerze się więc zdziwił, gdy doręczono do jego kwatery różę, uschniętą i drobną, ale nadal złotą.

W dołączonym liście proszono go, by ochraniał Kate Blackburn w jej podróży do północnej Szkocji, podano trasę, którą obrała, i ostrzegano, że ona nienawidzi, gdy ktoś miesza się do jej spraw, a zatem nadawca - czyżby Charlotte? podpis był nieczytelny - błaga go, by udawał przed Kate, że ich spotkanie jest dziełem przypadku. Oczywiście postąpił zgodnie z instrukcją. Nie miał wyboru. Złożył przecięż przysięgę.

Ale to nie zmniejszyło jego niechęci wobec cudzej ingerencji w jego życie i marnotrawienia czasu na eskortowanie młodej piękności do domu jej ewentualnego następnego męża. Miał własny cel związany z powrotem do Anglii po tylu latach, a teraz musi swoje sprawy odłożyć.

Spędził trzy lata, próbując zapomnieć, że miał kiedyś „braci”, zastępczą rodzinę, którą kochał, której ufał i wobec której był żarliwie lojalny. W ciągu tych trzech lat starał się zapomnieć o przeszłości. Nie udało mu się. Nie potrafił. Widział tylko jedną drogę, którą może pójść, mianowicie znaleźć człowieka - prawdopodobnie jednego z tych samych braci - który go wydał na pewną śmierć we francuskim więzieniu. Ale teraz... jego jasne spojrzenie zbcoczyło ku ciemnej gospodzie. Na pierwszym miejscu stoi Kate Blackburn.

Tak, wystraszył ją. I dobrze. Wystraszona kobieta jest bardziej skłonna robić, co jej się każe. A to usprawni podróz. Zawsze wybierał to, co najlepiej służyło jego celom.

Dlaczego w takim razie wciąż widzi jej obraz, bladej i wstrząśniętej, przyglądającej się bijatyce? Czym się przejmuje? Ot, zobaczyła świat, w którym ludzie się biją i krwawią. Jego świat. Pomyśleć, jak byłaby przerażona, gdyby poznała coś z tego, co widział czy robił w ciągu minionych trzech lat. Życie żołnierza nie jest ładne.

Trzeba przyznać, że choć przerażona i roztrzęsiona, nie do końca straciła panowanie nad sobą. Nie brak jej odwagi. Uśmiechnął się mimowolnie, kiedy przypomniał sobie, jak usiłowała go przywołać do porządku. Patrzyła z góry, zadzierając ten swój mały nosek, jak jakaś pyszna bogini skazana na żywot śmiertelniczki, jak gdyby wciąż obracała się w wytwornym towarzystwie w Yorku i mogła miażdżącym spojrzeniem posłać niższych od siebie tam, gdzie ich miejsce.

Tak, w Yorku zaliczał się do tych niższych. Ale nie tutaj.

Tyle że ona też nie. To prawda, spadła sporo niżej na drabinie społecznej, lecz to nie zachwiało w widoczny sposób jej pewności siebie, jak gdyby urodziła się lepsza od reszty świata i nic nie mogło zmasać jej wiedzy o tym fakcie. Niech to licha, patrząc na nią, miało się wrażenie, że jej swoboda oraz wyniosłość raz po raz błyskająca w jej oczach naprawdę są czymś, z czym człowiek musi się urodzić. Jej wyższość była jej nieodłączną częścią, tak samo jak diabeł był częścią jego. Przynajmniej tak twierdzili mnisi. Co po prostu znaczy, że nikt nie mógłby bardziej się różnić od niego niż Kate Blackburn.

Co gorsza, ta wiedza nie przeszkadzała jego ciału prężyć się pod smagnięciami pożądania.

Wśliznął się do ciemnych stajni i znalazł boks swego wałacha Dorana. Ściągnął przez głowę podartą koszulę, zerwał i cisnął precz tampon wełny, którym wcześniej opatrzył sobie bok rozcięty nożem Dougalowego kamrata. Szczęściem nie zauważyła tej rany, bo tkwiłby nadal w jej pokoju i znosił jeszcze bardziej intymne dotknięcia.

Otworzył skórzaną torbę, wyciągnął jedną z dwóch koszul, jakie mu pozostały, włożył ją i usiadł oparty plecami o drzwi boksu. Stąd miał widok na jej oświetlone okno. Nie zamierzał spać, bo przysiągł ją chronić i nic go nie mogło powstrzymać przed dochowaniem przysięgi.

Ciemny cień przeciął oświetloną szybę w jej pokoju. Kate.

Gardził sobą za nagłe przyspieszenie pulsu, ale się go nie wypierał. Miał dosyć umartwiania się przez całe życie. Pozwolił, by jej obraz bez przeszkód rozkwitał w jego wyobraźni, by w marzeniu oglądać to, na co nie pozwolił sobie w rzeczywistości.

Czas strawił jej pierwszą młodość, uwydatniając piękne, delikatne kości policzkowe wąskiej twarzy, teraz bardziej kanciastej niż okrągłej. Lekkie cienie podkryżały oczy, subtelne i ciemne jak onyks. Tylko usta nadaśane, wrażliwe i dojrzałe, zostały dobrze znajome. Dlaczego nie? Snuł marzenia o tych miękkich, słodkich wargach przez wiele nocy i w wielu okropnych miejscach.

Cicho przeszedł do drzwi stajni i wystawił twarz na lodowaty deszcz, by ochłoniąć z gorących wizji.

- Jeszcze nie widziała takiego pięknego chłopca - zamruczała kobiecie głos.

Kit dostrzegł przez ramię dziewczynę stojącą w przeciwległych drzwiach. Poczuli jej zapach, nim ją dojrzała, zapach ziemi, piżma i pożądania.

- Wszyscy o tym gadają. Jakiś capnął tę czarną damę i zaniósł po schodach do jej pokoju. Myśleli, że wy dwoje - urwała, uśmiechając się lubieżnie - nie zaśniecie tej nocy.

- Źle myśleli.

- Wiem. - Przynęła się chyłkiem i oblizała wilgotne wargi. - Nie znam twojego tartanu. Skąd on jest?

- Znikąd.

Uśmiechnęła się zuchwale.

- A ty skąd jesteś? Z daleka, ani chybi.

- Czego chcesz, dziewczyno? - Wiedział bez pytania: paru godzin zapomnienia albo monety na łyk gorzałki, albo upojonej nocy z dziko wyglądającym Szkotem dla zabicia nudy. Tego samego chciały markietanki, a nawet niektóre żony oficerów. W ciemnościach nocy zacierają się granice dzielące dżentelmena od prostaka, bogatego od biednego. Żądza jest taka sama dla wszystkich.

Dziewczyna zaśmiała się na to pytanie, ale zostawiła je bez odpowiedzi.

- Widuję czasami takich jak ty, kiedy przychodzą z gór. Takich samych dzikusów. - Z uznaniem prześliznęła się wzrokiem po jego torsie. - Niemal

każdy idzie na południe i tyle się go widzi. Ale bywa, że wracają w góry, kiedy już świat ich dosyć poharata i dosyć nacieszy. Ciekawam, co się wtedy z nimi dzieje? Już nie pasują ani tu, ani tam, skąd uciekają.

- Słusznie - mruknał.

- Ty gadasz o niebo lepiej niż każdego z tamtych. To ci przyznam, ale nawet jak gadasz po książkowemu, nie ukryjesz, kim jesteś.

- A kim jestem?

- Górale - odparła, jakby zdziwiona, że musi ją pytać. - Prostakiem dodała dla ścisłości. - Bezdomnym - znów oblizała wargi - zapalczywym hultajem.

Wspięła się na palce i przejechała językiem po jego szyi aż po brodę.

- A właśnie na takiego mam ochotę.

Kiedy nie zareagował, jej uśmiech przyszał.

Sterczysz tu sam, bo chcesz jej? - spytała niedowierzająco, wskazując ku gospodzie ruchem głowy. - Marnujesz czas. Ona jest lepsza od ciebie. Wyjdziesz do księżycy. Ja jestem tak jak ty. Wiem, jak zadowolić chłopaka takimi sposobami, o których dama nie ma nawet wyobrażenia.

Ledwie jej słuchał; spojrzeniem wciąż wracał do okna Kate.

- Tak?

Zarzuciła mu ręce na szyję i skubnęła go wargami w bark. Zacisnął powieki i od razu ujrzał morze połyskujących czarnych włosów, tęczówki czarne jak górski staw o północy i miękkie pełne usta. Gwałtownie otworzył oczy. W umyśle mu się miesza.

- Wracaj do gospody. - Rozplatał ramiona dziewczyny. Zapatrzyła się na niego.

- Głupi jesteś, że nie chcesz mieć tego, co ci dają darmo. Dlaczego? - spytała.

Odpowiedział z gorzkim uśmiechem:

- Widać jeszcze muszą sobie powyc.

### *Opactwo św. Brygidy, góry szkockie, 1789*

- Jaki tam z niego diabeł! - Chłopak o inteligentnej twarzy i niebieskich oczach naśmiewał się z chłopców otaczających Kita. Ten, który spróbował ukraść mu ciastko, leżał skulony u jego stóp, pochlipując.

- No to jest diabelskim nasieniem, Dougie - oświadczył inny chłopak. Kit był wśród nich nowy i jeszcze nie znał imion wszystkich. - Albo wilczym

szczeniściem. Słyszałem, jak bracia o nim mówili. Powiedzieli, że urodził się zły.

Nieproszony i jak dotąd niedoceniony obrońca Kita odparł kpiąco:

- Oni wszędzie węszą zło. Przecież to księża- wynioskował z nienaganą logiką.

- Powiadam wam, że wygląda niesamowicie z tymi zielonymi ślepiami - oznajmił ktoś z grupy wyrostków. - Nienaturalnie.

Ileż to razy w ciągu swych dziesięciu lat życia słyszał to samo? Zacisnął dłonie w pięści, czekając na ciosy, które zawsze następowały po takich słowach.

- A ty wyglądasz bardzo głupio, Angus. - Wysoki, czarnowłosy chłopiec, może rok starszy od Kita, przepchnął się przez zbiegowisko. *Kit* nigdy nie widział tak pięknego chłopaka, a mimo to nie było w nim nic kobiecego. - Ale nie dopatruję się w tym czegoś nienaturalnego, zważywszy, jaki jesteś głupi.

Douglas uśmiechnął się do przybysza z wyraźną ulgą.

- Mówisz jak z nut, Ramseyu Munro.

Kit stał i czekał. Tak jak zawsze. Jak wtedy, gdy matka zniknęła na całe dnie to w jednym mieście, to w drugim, jak wtedy, gdy tawerniane dziewczki bawiły się z nim jak z zabawnym pieskiem, jak wtedy, gdy mężczyźni, z którymi matka wychodziła, dawali mu w twarz i kazali czekać na drodze albo w stajni, albo gdziekolwiek, byle zszedł im z oczu.

- O co poszło? - spytał czarnowłosy chłopak. Mówił po szkocku z obcym akcentem.

- John uznał, że nowy już się dość najadł i zabrał mu ciastko - wyjaśnił Douglas. - A on się na to nie zgodził. A teraz wszyscy uważają, że to czar-towska sztuka, żeby ktoś o połowę mniejszy i lżejszy od Johna tak łatwo go pobił.

- Świnia z ciebie, John - stwierdził przyjaźnie Ramsey Munro, trącając leżącego końcem znoszonego buta. John usiadł i wytarł nos. - I obzartuch. Nie uczył cię to opat o siedmiu grzechach głównych? - A co do tego, że ten mały dał w skórę Johnowi - ciągnął Ramsey - to tylko kwestia czasu, żeby ktoś się połapał, że wcale nie jest taki groźny, jak się przechwala.

- Ale ten mały jest taki niepozorny, tylko te oczy. Są gorące jak ogień piekielny i zimne jak lód w Morzu Północnym. To nie jest naturalne, jak on patrzy - wtrącił nowy głos.

Przeważnie mama też nie lubiła na niego patrzeć, ale od czasu do czasu ujmowała go pod brodę długimi palcami i wpatrywała mu się w twarz, do-

póki jej oczy nie nabiegły łzami. Potem odpychała go i znikwała. Aż w końcu nie wróciła.

Za to pewnego dnia zjawił się potężnej budowy opasły mnich, zwany Fidelisem, i zapłaciwszy monetę wiedźmie, która wynajmowała łóżko matce, wpakował Kita do wozu i zabrał ze sobą. Tydzień później znalazł się tutaj, w głębi gór szkockich, w miejscu zwanym St. Bride's, z około tuzinem innych chłopców, z których większość nie była pobożniejsza niż on. Ale wyglądali na pobożniejszych.

Byłby stamtąd uciekł, gdyby St. Bride's nie leżało na takim pustkowiu, że trudno sobie wyobrazić większe. Poza tym spodobały mu się góry i zapach sosen, przejrzystość powietrza i kolory nieba. I z pewnością lubił świeży chleb, który dostawał co rano, a także ciasteczka i ser, które podawano każdego popołudnia.

Kit spuścił wzrok na Johna, przekonany, że nie poturbował go tak mocno, jak jego zamierzają poturbować koledzy pobitego. Taka już jest kolej rzeczy. Ale zanoszi się na to, że w ogóle nie dojdzie do bójki z powodu tego Douglasa, wokół którego nawet Kit wyczuwał aurę autorytetu, czyniącego z ludzi przywódców, i z powodu tego czarnowłosego Ramseya Munro.

Tylko... dlaczego?

- Wstań, John. Twoja duma bardziej ucierpiała niż cokolwiek innego. - Douglas podał Johnowi rękę i chłopak, ponuro łypnąwszy okiem w stronę Kita, pozwolił postawić się na nogi.

- I przestań patrzeć wilkiem na naszego malca. - Douglas obejrzał się na Kita. - Jak się nazywasz, mały?

- Christian. MacNeill.

- MacNeill, powiadasz? Słyszycie, chłopaki? I nosi pled - stwierdził, oglądając Kita uważnie. - Bo to chyba jest pled? Trudno rozpoznać pod tym brudem.

- To jest pled - odrzekł Kit naburmuszony. Matka dała mu go pięć lat temu, po tym jak wynalazła go u pewnego księdza w Glasgow. Nie powiedziała nic poza tym, że pled jest jego własny i dobry jako ochrona przed zimnem.

- No, no! To nie jest zwykły góralski bachor, chłopcy - oświadczył Douglas z entuzjazmem. - Widziałem już kiedyś taki tartan. Należy do starodawnego tajnego klanu. Christian MacNeill może być jednym z jego książąt!

Ramsey nachylił się ku Kitowi i przemawiał do niego półgłosem, tymczasem Douglas starał się udobruchać chłopaków.

- Teraz lepiej miej się na bacności przed Johnem, Christianie... - urwał. - Nieprawdopodobne, mały, że nosisz takie świątobliwe imię. Musieli cię jakoś inaczej nazywać.

- Mówili na mnie Kit.

- Hej ty tam! Nowy chłopcze! - rozległ się głęboki baryton od łukowatego portalu, stanowiącego wejście do klasztoru. Brat Fidelis, jego potężny dobroczyńca i porywacz, sunął ku nim zwirowaną alejką jak karzące fatum, a brązowy habit trzepotał mu wokół grubych kostek. Chłopcy rozpierzchli się na jego widok, ale on nie zważał na ich ucieczkę.

- Wszystko widziałem! Widziałem, jak bijesz jednego z chłopców. To niegodziwe! Nie dopuszczę tutaj do takiego zachowania. Rozumiesz?- Brat Fidelis podsunął mu pod nos ubłocony palec.

- On jest nie winowy - powiedział Douglas.

- Winien - poprawił brat Fidelis.

- John próbował zwędzić mu ciastko - wtrącił się Ramsey.

Fidelis podejrzliwie pokręcił głową, przewiercając Kita wzrokiem.

- Bicie naszego brata to grzech.

- Tyż mi brat - oświadczył Kit obojętnie. Nie miał rodziny. Teraz, kiedy jego mama zniknęła, został sam na świecie. To nawet lepiej, tak jak jest.

- Też nie tyż, a poza tym wszyscy tu jesteśmy braćmi. Dzięki temu udaje nam się przeżyć. Nie mając brata, człowiek jest samotny. Chcesz być samotny przez całą wieczność?

Kit wzruszył ramionami. Douglas pokręcił stanowczo głową, podłużne oczy Ramseya lekko się zmrużyły. Fidelis westchnął.

- Nie, nie chcesz. Ale musisz się wiele nauczyć. A co do bijatyki, jeśli jesteś naprawdę zły, nic na to nie pomogę. Zło to sprawa, której tylko Bóg może zaradzić. Za to ja mogę coś poradzić na to, że chłopców ręce swędzą z braku zajęcia. Chodź ze mną - podreptał naprzód, pewien, że jego rozkaz zostanie spełniony.

Może jest zły, ale na pewno nie jest tchórzem. Kit ruszył w ślad za zakonikiem, zauważając po chwili, że Ramsey Munro i Douglas Stewart posuwają się krok w krok za nim.

- Co robicie? - szepnął.

- Idziemy z tobą- odrzekł obojętnie Douglas.

- Jeszcze nie widziałem, żeby brat Fidelis kogoś ukarał. Jestem ciekaw - dodał Ramsey.

Zakonnik prowadził ich krętą drogą przez walące się opactwo. Część budynków była tak zaniedbana, że ściany osunęły się ze starości. Okrążył klasz-

tor i skierował się w stronę wysokiego muru obrośniętego winoroślą, po czym przystanął przed łukowatą drewnianą furką i wygrzebał z kieszeni ciężki klucz. Otworzył zamek, pchnął skrzypiące drzwi i obejrzał się na trójkę chłopców. Jeśli nawet go zdziwiło, że do Kita dołączyli dwaj pozostali, nie okazał tego po sobie, zesnurował tylko usta, kiedy jego małe ciemne oczka, przypominające rodzyнки, wypatrzyły coś nad ich głowami.

- Jeszcze jedna dusza dojrzała do upadku! - zamruczał, wskazując na starą jabłoni w pobliżu. - Hej, ty! Andrew Rossie, bądź łaskaw tu przyjdź!

- Hej? - spytał chłopięcy głos gdzieś z góry.

Kit zadarł głowę. Przez chwilę nikogo nie dostrzegł. Potem lekki szelest kazał mu spojrzeć ku najwyższym gałęziom starego drzewa. Para brązowych nóg majtała wśród liści.

- Schodź stamtąd, Dand! - powiedział brat Fidelis głośniej, lecz bez gniewu. Chwilę później zwinny, szczupły chłopak o szarawych włosach ześliznął się na ziemię. Szeroko otwarte ciepłe brązowe oczy wyrażały absolutną niewinność.

- Chodź tutaj.

Wystraszony chłopak podszedł do nich.

- Andrew Ross - szepnął Ramsey do Kita. - To ktoś, kto się ucieszy z twojego przybycia.

- Czemu?

- Bo to jego wszyscy nazywali diabelskim nasieniem. - Ramsey uśmiechnął się znacząco. - Do tej pory.

- Nic nie zrobiłem! - powiedział opalony chłopak, rozkładając na dowód puste ręce.

- Ale zrobisz - sarknął brat Fidelis. - Dołącz do reszty. - Zakonnik prze-pchnął się przez wąskie wejście. - Nie zbaczajcie ze ścieżki i niczego nie ruszajcie. - Machnięciem ręki kazał chłopcom wejść i zamknął furkę.

Kita ogarnął odurzający zapach, tak ciężki i egzotyczny, że zakręciło mu się w głowie. Rozejrzał się zdumiony, oszołomiony aromatem po części ko-rzennym, po części bosko słodkim, równocześnie gęstym jak śmietana i le-ciutkim jak mgiełka. Powoli obrócił się wkoło i odkrył jego źródło.

Róże. Wszędzie róże. Pięły się po wyszczerbionych ceglach i omszałych kamieniach. Zwiślały z na pół zawalonych arkad. Kaskadami spływały z wa-lących się murów i rozpościerały gęstym dywanem wzdłuż zatartych ście-żek. Wybuchały fajerwerkiem kolorów i skupiały w małe, ustronne kępki. Mieniły się i lśniły, delikatne i śmiałe, krzykliwe i subtelne.

Szkarłat i purpura, różowość i paśowość. Róże śnieżnobiałe i różowe jak muszelki, żółtawe jak kość słoniowa i jak świeża śmietana. Ale najbardziej



zaskakująca ze wszystkich, najbardziej okazała, niedaleko miejsca, gdzie stali, wśród powodzi mięto-zielonych liści o precyzyjnie karbowanych brzegach, rozkwitała żółta róża. Jarzyła się w jaskrawym świetle słonecznym i zdawało się, że chwyta i więzi część słonecznego blasku w swym radosnym wibrującym kolorze.

- Cudo! - mruknął Kit, nachylając się nad szafranowym kwiatem. - Żółciutka jak żółtko jaja. Nigdy nie widziałem róży w takim kolorze.

- Nikt nie widział.

Kit podniósł wzrok. Fidelis przyglądał mu się z góry z rodzajem aprobaty.

- W każdym razie niewielu - dodał po chwili. - Nie więcej niż garstka Anglików i Szkotów razem wziętych. Większość znawców róż przysięgnie, że żółtych róż nie ma.

- Skąd się wzięła? - spytał Ramsey, nie mogąc oderwać oczu od pięknej rośliny.

- Krąży opowieść, że pewien krzyżowiec przywiózł ją z Ziemi Świętej i podarował opactwu w podziękę za opiekę nad jego rodziną podczas zarazy. Z kolei my... - nagle urwał. - Jest tu od tamtych czasów.

- A reszta róż? - spytał Douglas.

- Zbierane latami. Wyszukiwane i zwożone ze wszystkich stron świata. Kiedyś nasze opactwo było znane ze swych róż - oświadczył dumnie. - Ale po roku czterdziestym piątym, kiedy król wypędził Kościół katolicki ze Szkocji, róże przestały kogokolwiek obchodzić. My tutaj w St. Bride's nie odeszliśmy. Byliśmy tak na uboczu, sami widzicie, z daleka od wszystkiego. Nikt nie zwracał na nas uwagi. Ten klasztor - zatoczył łuk ręką - chociaż nie został opuszczony, nie obchodził nikogo.

- Ładne. - Chłopiec imieniem Andrew pochylił się i pociągnął nosem. - Ale głowa może rozboleć od mocnego zapachu.

Łagodny nastrój brata Fidelisa gdzieś się ulotnił. Oschle zmierzył chłopa-ka wzrokiem.

- Zapomniałem, że jesteś małym poganinem, Andrew Rossie. Ale dzięki ci za przypomnienie, że nie przyszlście tu, by poznawać historię ogrodu. Przyszlście do pracy.

- My też? - spytał Ramsey w popłochu.

- Ależ tak. Ty, Ramseyu Munro, masz w sobie tyle samo diabła, co ten tu Christian. Tylko że go wystroiłeś w wizytowe ubranie.

Kit nie miał pojęcia, o co chodzi zakonnikowi, ale podobała mu się myśl, że ktoś inny też jest zły.

- A ja? - spytał zgnębiony Douglas.

- Pan zawsze obejmuje rolę przywódcy, panie Stewart. Nie widzę powodu, żeby się jej teraz zrzekać. - Odwrócił się do Andrew Rossa. - A co do ciebie... - Pokręcił głową, nie siląc się dokończyć.

Kit nie rozumiał, o co właściwie chodzi. Skubał pakuły ze starych lin, zamiatął stajnie i nosił wodę po osiem godzin bez przerwy. Jak ciężka w porównaniu z tym może się okazać praca w ogrodzie?

- Jak długo mamy pracować? - spytał Ramsey.

- Dopóki nie wytepiacie chwastów - powiedział brat Fidelis - i może nie naprawicie kilku murków.

Kit poczuł, że mimowolnie uśmiecha się coraz szerzej. Wyrwać chwasty? Wyciągać z ziemi śliczne zielone chwasty? Ułożyć parę kamieni? O mało nie roześmiał się na głos.

Sześć godzin później łamało go w plecach, uda dygotały od kucania, ręce miał podrapane milionem ostrych kolców, pokrywających gałązki róż, a dłonie swędziały od jadu pokrzyw, które wyrwał. Miał spaloną na czerwono twarz, a kolana poodgniatał pod połatanymi spodniami. Nie narzekał jednak i nie zrezygnował. Ani on, ani pozostali.

Dwie godziny później skończyli. Stękając i złorzeczając, schowali się w cień jednego z kamiennych łuków zdobiących ogród. Wszyscy, jakby się zmówili, padli znużeni na ziemię.

- Powiniennem im pozwolić wybić z ciebie diabła - powiedział Douglas, ale w jego słowach nie było urazy.

- Nie powiniennem się wtrącać - zawtórował mu Ramsey.

- Aleście się wtrącili - powiedział Kit. - Przekleści głupcy.

- A ja? - wykrzyknął Andrew Ross z oburzeniem. - Zajmowałem się własnymi sprawami.

-- Takimi jak kradzież jabłek.

Andrew wzruszył ramionami.

- Grzesznymi, nie zaprzeczam - zgodził się, wcale nieskruszony - ale własnymi.

Uśmiechnęli się do siebie wzajemnie w jakimś nagłym absurdalnym poczuciu wspólnoty duchowej i nie przestawali się uśmiechać, kiedy parę minut później nadszedł brat Fidelis.

- Skończyliście robotę, jak widzę? - spytał łagodnie.

- Ano tak, proszę brata. Ani jeden chwascik nie został. Tylko same róże. -

Douglas powstał ciężko.

- Na dzisiaj.

- Jak to?

- Na dzisiaj, Douglas. Dzisiaj nie ma chwastów, ale różany ogród, jak ludzka dusza, musi być bez przerwy czujnie doglądany. Chwasty, jak grzechy, kiełkują z dnia na dzień. Przyjdźcie jutro. Wszyscy.

- A jeśli nie będzie chwastów? - wyrwał się Ramsey, na chwilę porzucając beztroskę, która, jak Kit zaczynał się orientować, rzadko go opuszczała.

- No, cóż. Są zatarte ścieżki do wytyczenia, murki do odbudowania, studnia do oczyszczenia, arkady do naprawy. Jakaś robota się znajdzie - zapewnił brat Fidelis. - A teraz jesteście wolni.

Przytrzymując furtkę, by się nie zatrzasnęła, Andrew rzucił Kitowi spojrzenie mówiące, że mogliby z powodzeniem pogodzić się z tym, co ich spotkało. Ale Kit nie chciał godzić się pokornie z losem, zwłaszcza że nie bardzo pojmował, o co chodzi w tym wszystkim, w co został wplątany, odkąd przybył w to dziwne miejsce.

- Po co nas tu trzymają? - szepnął natarczywie do Douglasa.

- Nie wiesz? Jesteśmy tu, bo zażądał tego rycerz Żółtej Róży w zamian za swą opiekę - szepnął tamten i ruszył naprzód. - Mamy zostać rycerzami.

## *Opłakane skutki porywczności*

Kate spała niespokojnym snem wśród gwaru dobiegającego z sali na dole i wycia wiatru na dworze. Jak się niejednokrotnie zdarzało, śnił się jej zmarły mąż Michael, ale teraz oczy robiły mu się zielone, a w jego mowie porbrzmiewał szkocki akcent. Obudziła się przed świtem, pełna obaw i nękana wyrzutami sumienia.

Poznała porucznika Blackburna, poślubiła go i owdowiała w ciągu dwu lat od chwili, kiedy ojciec ich sobie przedstawił. Z perspektywy czasu wydawało się cudem, że ojciec zgodził się, by Michael się o nią starał. Podobnie jak ojciec, Michael był czarujący, odważny i całkowicie lojalny. I tak samo wywodził się ze zbiedniałej szlacheckiej rodziny.

Nie żałowała, że za niego wyszła. Żałowała jednak, że okazał się bohaterem, człowiekiem, który podejmował ryzyko, nie zastanawiając się nad losem tych, których zostawia.

Nie znosiła bohaterów.

Zwlekła się z łóżka, wyrwana ze snu na pół świadomą niewiernością popełnioną w myśli, i ubrała w tę samą bawełnianą suknię, w której podróżowała od trzech dni. Spakowała na powrót skromny dobytek do kufra Grace, wzięła głęboki oddech i zeszła po schodach.

Na dole spali mężczyźni, porozrzucani po sali jak ciała na polu po bitwie. Kulili się na podłodze i podpierali ściany. Niektórzy opierali się o siebie nawzajem, a paru szczęśliwców zajęło ławy jako prycze. Nozdrza drażnił odór zwietrzałego piwa i wilgotnego popiołu, a głośne chrapania przerywały inne, przykrzejsze odgłosy. Z bocznych drzwi wychynęła posługaczka w krzywo zapiętej bluzce, niosąca naręczę podpałki.

- Pani Blackburn! - zawołał ktoś niskim głosem.

Kate obejrzała się, Kit MacNeill stał w otwartych drzwiach oberży, za nim nad ciemnym, niewyraźnym horyzontem kłębiły się ołowiane chmury. Wiatr odchylił brzeg jego pledu, odsłaniając na mgnienie oka ciemnozieloną kurtkę. Rozproszone światło podkreślało blizny na szczupłej opalonej twarzy. Ilu też ludzi nosi blizny po ranach, które on im zadał? Ilu nie dożyło, by to ujrzeć? Wzdrygnęła się. Popełniła błąd. Nie może jechać z tym człowiekiem. On jest...

- Czy pani rzeczy już gotowe?

Jakając się, odparła:

- Przemysślałam na nowo swoje plany.

Milczał wyczekująco.

- Zostanę tutaj - oznajmiła. - Kompania, która jest właścicielem powozu, przyśle kogoś na miejsce Dougala, przynajmniej żeby zabrał powóz. Przekonam nowego woźnicę, by zawiózł mnie do Clyth, a nie do Yorku.

- Dougal odjechał powozem - powiedział Kit. - Razem z jednym z kompanów zabrali się wieczorem.

- Naprawdę? - Ogarnęło ją uczucie ulgi. Los uwolnił ją od Kita MacNeilla. - W takim razie muszę poczekać, dopóki nie przyjedzie inny powóz.

- Ja mam inny powóz - powiedział. - Oberzysta trzyma stary faeton w stajni.

Na powrót los zdał ją na łaskę Kita MacNeilla. Faeton? Mały dwuosobowy powozik z jedną wspólną ławką dla powożącego i pasażera. Do tego odkryty, tylko z podnoszoną budą. Ale to zapewne jedyna szansa dostania się do zamku Parnell. - Ja... moje rzeczy są spakowane.

- Przyniosę je. - Peleryna kołysała się na potężnych barach, kiedy zniknął na schodach. Wrócił po kilku minutach, niosąc ciężki kufer tak, jakby nic nie ważył. Przystanął u stóp schodów. - Załatwię sprawę z oberzystą... Spokojnie!

Proszę mnie nie besztać za taki drobiazg. Pieniądze odda mi pani, kiedy dojedziemy do zamku tego pani markiza.

Zarumieniła się.

- On nie jest mój!

Spojrzał spode łba, jakby oskarżał ją o nieszczerłość, ale powiedział tylko:

- Koń jest zaprzężony i powóz czeka. Do pani usług, madame. - Zatoczył łuk rękaw żartobliwym zaproszeniu, a Kate ruszyła przed nim na dziedziniec.

Na widok faetonu serce jej zamarło. Stał w rozdeptanym lodzie z błotem, staily i bardzo zniszczony. Wyściełaną ławeczkę zastępowały dwie zbite razem nieheblowane deski. Całość osłaniała popękana i spłowiała buda, a skroplona mgła skapywała z jej wystrzępionej krawędzi. Tylko młody dereszowaty wałach stojący w zaprzęgu wyglądał jak trzeba.

- Gdzie pan znalazł konia? - spytała.

- W Indiach. Dwa lata temu. Jest mój.

- W Indiach - powtórzyła zaskoczona.

- Tak. - Umieścił kufer na półce z tyłu ławeczki i obszedł powóz. Wyciągnął dłoń. Kate zawahała się. Czekał z uniesioną odstłoniętą dłonią, wilgoć kroplami osiadała mu na płaszczu, a za nim snuła się zimna mgła.

Niepewnie dotknęła jego palców dłonią w rękawicze. Przebiegł ją gorący prąd w nagłym poczuciu zagrożenia. Spróbowała cofnąć rękę, ale on lekko ją przytrzymał.

- Wolę pani pogardę niż odrazę, pani Blackburn.

Gorący rumieniec zalał jej policzki, a broda sama uniosła się w górę.

- O! Właśnie tak.

Wyszarpnęła dłoń i wspięła się bez pomocy na gołe deski. Uśmiechnął się i zostawił ją, a sam zawrócił do gospody.

- Proszę pani? - Posługująca dziewczyna, którą Kate zauważyła wcześniej, podeszła do powozu i podała jej zawiniątko zawierające spory wiklinowy koszyk i gliniany dzbanek.

- Prosił, żebym pani przyniosła trochę jedzenia. - Kate nie musiała pytać, kim jest ów „on”. - To tylko trochę chleba, sera i dzbanek piwa - tłumaczyła się. - Tyłu gości się naszło wieczorem, że wyjedli wszystko, co było.

- Dziękuję - powiedziała Kate, przyjęła zapasy i schowała pod siedzeniem. Wygrzebała z kieszeni monetę i wręczyła dziewczynie, która pochwycała ją i odwróciła się, by odejść, ale się zawahała.

- Nie bywałam w świecie - kiwnęła głową w stronę wzgórz na południu - a myślę, że mężczyźni są wszędzie tacy sami. Widzę, jak pani patrzy na Szkoła, Boi się go pani.

Kate nie odpowiedziała. Naprawdę się bała.

- Inni - ciągnęła dziewczyna - mają powód się bać, czy mu nie przyjdzie chęć na jaką bójkę. Ale pani nie.

Zanim Kate zdążyła odpowiedzieć, służąca oddaliła się spiesźnie, minawszy wychodzącego z gospody Kita. Bez słowa przymocował swoją torbę na wierzchu kufra, a potem lekko wskoczył na siedzenie obok Kate. Rzucił jej gruby wełniany koc.

- Proszę owinać tym nogi - powiedział. - Wyruszamy na wrzosowiska, a wiatr jest tam bardzo porywisty. Będzie zimno. Dotkliwie zimno.

- To dlaczego tamtędy jedziemy? - spytała.

- W gospodzie kilku ludzi spoglądało na panią z zaciekawieniem, które nie ograniczało się do pani pięknej buzi - powiedział, rozplątując lejce. - Założę się, że widzieli też, jak Dougal taszczy pani kufer do pokoju.

Zrozumiała.

- Sądzę, że w takim razie należy znaleźć się od nich jak najdalej. Czy nie najłatwiej to osiągnąć, trzymając się łatwo przejezdnych gościńców?

Parsknął śmiechem.

- Na północy Szkocji nie ma łatwo przejezdnych gościńców, pani Blackburn.

- Zdaje mi się jednak, że słusznie byłoby nie oddalać się od uczęszczanych dróg.

- Nie jest pani w Anglii i musi mi pani zaufać. - Cmoknął na konia i powóz ruszył. - Pojedziemy przez wrzosowiska, bo w dzisiejszych czasach góry szkockie pełne są morderców, złodziei i zbójców. Ale nie głupców. A tylko głupiec wyruszyłby na tutejsze wrzosowiska w listopadzie.

Większość osób z kręgu towarzyskiego Nashów, nawet jeśli nikt o tym nie mówił, szczerze dziwiło, że trzy sieroty tak dobrze radzą sobie po śmierci matki. Ten sukces oparty na oszczędności i przezorności przypisywano Kate. A jednak się myłono.

Kate szybko się przekonała o konieczności tego, co nazywała ostrożnym tupetem, a co polegało nie tylko na chwytności okazji, gdy się nadarzały, ale przede wszystkim na zdolności do torowania drogi okazjom. Jeśli czasami balansowała na krawędzi reguł postępowania przyjętego w jej dawnym życiu lub nieco odstępowała od tego, co uważano za przyzwoite zachowanie,

robiła to z dobrym skutkiem. Ale to, na co ważyła się teraz, samotne podróżowanie w towarzystwie gruboskórnego, upartego i niebezpiecznie wyglądającego mężczyzny, wykraczało poza wszystko, do czego uważała się zdolna. I coraz częściej myśli, że może życiem przypłacić błędną decyzję, wracała z upływem minut, gdy patrzyła, jak MacNeill powozi z absolutną obojętnością i chłodnym spojrzeniem utkwionym gdzieś w widnokręgu.

Rozejrzała się, lecz nie znalazła pociechy w posępnym otoczeniu. Nigdy jeszcze nie znalazła się w okolicy tak pustej. Wczoraj podróżowała zamknięta bezpiecznie w pudle powozu i tylko czasami odsuwała ciężką zasłonę, by spojrzeć na krajobraz. Faeton nie chronił pasażera, a ten bezpośredni kontakt przerażał i niepokoił Kate. Podobnie jak bliskość małomównego MacNeilla.

Koło południa Szkot zatrzymał powozik w małym osikowym zagajniku rosnącym przy drodze i zeskoczył na ziemię. Kate poszła w jego ślady. Nogi zdrętwiały jej po godzinach spędzonych na twardym siedzeniu. Załatwiła swoje potrzeby, a po powrocie zastała MacNeilla na ławce, spokojnie pogryzającego chleb, który dostali od dziewczyny w oberży. Bez słowa wyciągnął rękę, by pomóc Kate wsiąść. Posłusznie podała mu swoją. Bezceremonialnie podciągnął ją w górę, wręczył porcję chleba owiniętą w serwetkę i kazał jeść. Nie czekając, aż skończy, trzepnął lejcami i ruszyli w dalszą drogę.

Jechali w kierunku gór, które wyłaniały się z wrzosowiska jak barki Atlasa, przygarbione i muskularne, okryte cienką pokrywą kosodrzewiny. Kolcolist i paproć, ciemnozłote i rdzawe, zarastały pobocza drogi i falowały w silnym wietrze. Ogrom przestrzeni, niezmiernie pustka nie dały się porównać z niczym, co Kate poznała do tej pory. Wydawało jej się, że wiatr jest oddechem gór, że droga, niemająca wyraźnego początku, nigdy się też nie skończy, że na zawsze pozostaną na tym odludziu, w jakiejś syzyfowej podróży.

Pędziła życie w przytulnej ciasnocie, wśród odgłosów koni i zaprzęgów, jazgotu ulicznych handlarzy i okrzyków parobków, wśród dymu węglowego i wyciewów fabrycznych, zapachu świeżego krochmalu i wosku. Oczy przywykły do kształtów i kolorów miejskiego życia, regularności bruku i żelaznych barier, geometrii miejskiej architektury i sieci ulic. Tutaj nic nie miało narzucanego porządku. Droga wiła się nieregularnie, to opadając, to się wznosząc, góry garbiły się i sterczały, chmurne niebo kłębiło się i mieniło kolorami.

Kate obejrzała się na MacNeilla. Jego profil zdawał się być wycięty z tej samej skały, co góry. Podbródek rysował się śmiałą linią, jak i ostro rzeźbione nozdrza. Tylko mieniające się złotem rzęsy i złotawy połysk włosów opa-

dających na kołnierz peleryny miały w sobie nieco ciepła. Wydawało się, że stanowi część tego surowego, pierwotnego krajobrazu: wytrzymały, nieustępliwy, samotny i zamknięty w sobie.

Od śniadania nie odezwał się ani słowem, a Kate napomniała się w myśli, że powinna ją cieszyć jego absolutna obojętność. Zamiast się zamartwiać tym, co już się stało i nie odstanie, powinna pielęgnować w sobie iskierkę zadowolenia, która zatliła się, gdy opuszczali gospodę Pod Białą Różą.

Na przekór wszystkim przeciwnościom uda jej się dotrzeć do zamku Parnell. Ubłaga markiza o wsparcie. Wreszcie ma szansę powrotu wraz z siostrami do czegoś przypominającego ich dawne życie, szansę, która tak długo im się wymykała. Zdołały przetrwać: ona sama, Helena i Charlotte, ale teraz może wyzwolą się z przerażającego stanu zwanego ubóstwem. Myśl o ciepłym, wygodnym pokoju, dobrze osłodzonej kawie, bez głowienia się, jak za to zapłaci, sprawiła, że na ustach pojawił się uśmiech.

- Wygląda pani jak kotek, który opił się śmietanki.

Niski gardłowy głos MacNeilla sprowadził ją z obłoków na ziemię. Nie przypuszczała, że poświęca jej choć odrobinę uwagi. Wpadła w popłoch, gdyż zrozumiała, że nie tylko dostrzegł wyraz jej twarzy, ale najwyraźniej cały czas ją obserwuje. Jakie myśli ukrywają jego kamienne rysy?

- Myślałam o kawie - powiedziała z udawaną niefrasobliwością.

- W takim razie musi pani bardzo lubić kawę - oświadczył.

Nie była pewna, co powiedzieć, i zignorowała tę uwagę. Może nie jest winien temu, że peszy ludzi. Po prostu wygląda jak chodząca groźba. A ona już się nauczyła, że najlepszym sposobem na uniknięcie groźby jest uczyńnienie z wroga sprzymierzeńca.

MacNeill jej sprzymierzeńcem? Skarciła się za tę myśl, choć musiała przyznać, że pomysł nie jest głupi.

Trafiał jej się dobry materiał do studiów i wykorzystania w książce. Jak często zdarza się sposobność rozmowy z opryskiem? Z osobą mającą niewątpliwe powiązania z marginesem społeczeństwa? Mógłby okazać się bezcennym źródłem informacji o tym, jak omijać niebezpieczeństwa, które nie sie ubóstwo. Okazja była zbyt dobra, by ją przepuścić.

- Hm.

Nie odrywał wzroku od drogi przed nimi.

Klasnęła w dłonie jak ktoś, kto pragnie nawiązać pogawędkę dla umilenia podróży.

- Co pan robił przez ostatnie trzy lata?

Powoli obrócił się w jej stronę.



- Słucham?

- Czym się pan zajmował? - Pewnie jakimś niecnym procederem, dodała w myśli. - I gdzie się pan obracał? - W świecie przestępczym? - odpowiedziała sobie na pytanie.

Zawahał się, jakby szacując ryzyko udzielenia odpowiedzi, i dziwna rzecz, dodało jej to pewności siebie. Jakże może stanowić niebezpieczeństwo dla kogoś takiego jak on?

- W Indiach - odparł.

- Ach, prawda. Stamtąd pochodzi ten koń.

- Tak.

- Czy tam też był pan szpiegiem?

Zaskoczony błysnął oczami.

- Nie!

- Proszę się tak nie zaperzać. Kiedy odwiedził nas pan w Yorku, wyznał całkiem jasno, że szpiegował we Francji, wtedy gdy panów przyłapano i uwięziono.

- Nie przyłapano - sprostował obojętnie. - Zdradzono.

Nastąpiła długa chwila ciszy.

- Spędził pan w Indiach całe trzy lata? - spytała wreszcie Kate. Ojciec opowiadał im o trudach i ciężarach służby żołnierskiej w Indiach: o upale, brudzie i chorobach. - Musiało panu być strasznie ciężko. Jak pan to wytrzymał?

Nie warto było się silić na współczucie. Wyglądał, jakby go to rozbawiło.

- Nie miałem wielkiego wyboru, pani Blackburn. Strzelec idzie tam, gdzie go posła.

A zatem służył w nowym regimencie strzelców. Doborowe wojsko, tak zdaje się mówiono o żołnierzach tego pułku. Z pewnością nie jest oficerem. Jak mógłby być? Szkocki sierota bez nazwiska i pieniędzy na pewno nie miał środków, by kupić sobie patent.

Ale skoro był tylko prostym żołnierzem, co robi tutaj? Żołnierz jest powołany do dożywotniej służby, jeśli nie zostanie ciężko ranny. A MacNeill nie wygląda na inwalidę. Przeciwnie, wydaje się okazem zdrowia.

- A inni? Też się zaciągnęli?

- Inni? - Zerknął na nią pytająco.

- Dwaj młodzi ludzie, którzy przybyli z panem do Yorku. Pan Ross i pan Munro. Czy też służą w wojsku?

W zielonych oczach znów błysnęła zawziętość.

- Nie.

- A gdzie są?  
- Ostatnio słyszałem, że Munro jest w Londynie, uczy chłopców kłuć się wzajemnie szpadą dla zabawy. Dand... nie wiem, gdzie jest pan Ross. Ale się dowiem - dokończył ponuro. - I odbędziemy rozmowę. Pogadamy o dawnych czasach.

Same w sobie te słowa były niewinne, ale ich ton przejął Kate dreszczem, łą tak zakończyła się jej chwilowa bez troska. Zbyt wiele rzeczy w MacNeillu napełniało ją strachem. Nie cierpiała się bać. Żle to znosiła. Tak jak teraz.

- Czy pan to robi umyślnie? - spytała niespodziewanie.

Nachmurzył się, nie patrząc na nią, z oczyma utkwionymi w drodze.

- Co takiego?

- Straszy ludzi? Jeśli tak, to uważam, że jest to w bardzo złym tonie.

Podniósł brwi.

- W złym tonie?

Tak. Bardzo złym. To chyba poniżej pana godności wpędzać bezbronną wdowę w paniczny strach.

- Paniczny strach?

- Tak. I po co to panu? Jestem zbyt łatwym celem, by marnować dla mnie taki talent, ale jeśli daje to panu poczucie wyższości, to przyznaję, że jestem pełna podziwu i lęku przed panem.

- Podziwu?

- Czy zechciałby pan uprzejmie przestać powtarzać moje słowa? - spytała lodowatym tonem. - To w najwyższym stopniu żenujące.

- Żenują... - Twarz mu złagodniała, nawet uśmiechnął się półgębkiem, od czego zrobił mu się głęboki dołek w policzku. - Proszę mi wybaczyć. Jeszcze nigdy żadna dama nie wyznała, że żywi dla mnie podziw i lęk. To zbyt pochlebne.

Zachłysnęła się z wrażenia, właśnie w momencie, gdy powóz zarzuciło w koleinie i osunęła się całym ciężarem na MacNeilla. Błyskawicznie wyciągnął rękę i przytrzymał Kate za biodra, wielką, potężną i bardzo męską dłońią, przyciskając ją ciasno do siebie. Nawet przez warstwy halki, sukni i płaszcza wyczuwała bijące od niego gorąco.

- Ostrożnie, pani Blackburn. Mężczyźnie trudno jest znieść zbyt wiele... podziwu.

- Szarpnęła się, odskakując jak najdalej od niego. A to hultaj!

Roześmiał się.

- Oj, dziewczyno. Proszę mi wybaczyć. Jestem brutalem bez wychowania, który nigdy nie potrafił się powstrzymać od skubnięcia paru piór z ogona,

zwłaszcza jeśli mu się nimi macha przed nosem - powiedział niespodziewanie łagodnie.

To nie słowa ją rozbroiły, lecz jego uśmiech. Pierwszy raz dojrzała w tej twarzy coś chłopięcego i uświadomiła sobie, że przy całej surowości i bogactwie doświadczeń wciąż jeszcze jest bardzo młody. Wydawała jej się taki doświadczony i taki... sterany.

Nie powinna dopuścić, by czyjś sposób bycia zacierał jej osąd.

Sięgnęła pod siedzenie z desek i wydobyła z torebki gryzek ołówka i starannie złożoną kartkę. Pospiesznie zanotowała uwagi. Przyglądał jej się bez słowa, póki nie skończyła i nie schowała notatek.

- Niewygodnie pisać list w czasie jazdy - powiedział obojętnie. - Przypuszczam, że brakuje pani towarzystwa siostr i matki. - Zawahał się, jakby prowadzenie rozmowy było dla niego nienaturalne i niezręczne.

- Matka zmarła kilka miesięcy po panów wizycie w Yorku.

Zmarszczył brwi.

- Nie wiedziałem. Bardzo mi przykro.

Kate kiwnęła głową, tracąc czujność pod wpływem poczucia straty i towarzyszącego mu strachu. Teraz były z siostrami same na świecie. Matka dzielnie walczyła z chorobą, ale w końcu jej uległa. Jej ostatnie słowa do Kate brzmiały: tak mi żal.

Czy nie było żał im wszystkim? Czy ojciec nie żałował, gdy stał przed katem? Czy Michael nie żałował, że zgłosił się na ochotnika do swej misji? Odpędziła od siebie bolesne myśli.

- A pani siostry?

Szykowała się, by opowiedzieć mu kłamstwo, które nie odarłoby jej całkiem z godności, ale zbyt żywo pamiętała swoje wyznania z poprzedniego wieczoru. Od pierwszego spotkania MacNeill znał o niej naga prawdę. Cóż szkodzi, jeśli się dowie, jak nisko upadła jej rodzina?

- Helena została damą do towarzystwa naszej leciwej sąsiadki. - Nie opowie mu szczegółowo, jaką złośliwą jędzą jest owa sąsiadka ani jak dokucza Helenie. Kate nawet przez chwilę nie ścierpiałyby starej wiedźmy, ale Helena, chłodna i opanowana jak lodowa rzeźba, zносиła wszystko z najwyższą godnością i spokojnym, choć ironicznym uśmiechem.

- Miała pani też młodszą siostrę - podpowiedział MacNeill.

- Tak. Charlotte. - Kate uśmiechnęła się na myśl o pięknej, lecz upartej pieszczoszce rodziny. Przynajmniej Charlotte spadła na cztery łapy. - Chodzi do szkoły. Dostała zaproszenie, by spędziła sezon letni z przyjaciółką, Margaret Welton, jedyną córką baronostwa Weltonów.

- Imponuje to pani.  
- Sprawia mi ulgę - odparła Kate sztywno, reagując na pogardę kryjącą się bardziej w tonie niż w słowach. - Może uda jej się mimo wszystko znaleźć dobrą partię.

- Ona może dobrze wyjść za mąż, a pani tłucze się po pustkowiu otwartym powozem w absolutnie gorszącym towarzystwie. I gdzie tu sprawiedliwość? Jakże musi to być przykre dla pani.

Nie odpowiedziała. Denerwowała ją wszystko: jego wysoki wzrost, męski zapach skórzanego kaftana, szerokość barów, szorstki zarost na brodzie i policzkach, zręczność każdego ruchu rąk manewrujących lejcami. Zbyt była świadoma jego bliskości.

Stado owiec na stromym zboczu uniosło łby i śledziło ich przejazd. Kate skorzystała z okazji do zmiany tematu.

- Już myślałam, że nie ma tu żadnej żywej istoty.

- To rasa szewiot - powiedział MacNeill. - Czworonożni Szkoci, jak mówią niektórzy.

- Dlaczego? - spytała Kate zdziwiona.

Wzruszył ramionami.

- To są nowi dzierżawcy tutejszych dziedziców. Często jedyni. Wygnano ludzi, by zrobić im miejsce.

- Wszystkich? - spytała niedowierzająco.

- Większość. Pamięta pani Białą Różę? - Szkocki akcent nadawał chrapliwe brzmienie jego słowom. - Kiedyś gospoda leżała w samym środku wsi, dopóki lord Ross nie przeniósł osady.

- Przeniósł całą osadę? Dokąd?

MacNeill nie odrywał oczu od drogi.

- Na wybrzeże. Niektórzy mieli zbierać wodorosty, inni popróbować rybołówstwa. Ale ludzie Rossa nie są rybakami i odeszli. Pożęglowali na zachód. Przeważnie do Kanady.

- Po co ktoś miałby zrobić taką rzecz?

- No cóż - jego głos był pełen sarkazmu - proszę spojrzeć na te wielkie tłuste owce, gapiące się na panią. To mniej kłopotliwi dzierżawcy niż paru starych ludzi hodujących bydło. Przynoszą też większy dochód. I w tym cała rzecz - stwierdził. - Tak się dzieje w całych górach. Wkrótce zabraknie Szkotów w Szkocji.

- Nie można pozbawiać ludzi wszystkiego.

- Nie wszystkiego - odparł MacNeill z krzywym uśmiechem. - Można zabrać człowiekowi ziemię i konia, pozbawić go pledu i fajki, ale nie da się

wyrzucić mu jego natury, a w naturze Szkota leży duma i lojalność. To właśnie dlatego regimenty szkockie tak dzielnie walczą dla pani króla, pani Blackburn. Złożyliśmy przysięgę i pozostaniemy jej wierni do śmierci. - Jego spojrzenie stało się mroczne i nieprzeniknione. - I niech będą przekłeci ci, którzy jej nie dotrzymają.

Na tym zakończył i popadł w długie milczenie.

## *Noclegi w miejscach podlejszych niż gospody, oberże i zajazdy*

Zapadał zmrok i robiło się coraz zimniej. Kate nie miała odpowiedniej odzieży na podróż w otwartym powozie, a jej obuwie, zrobione w poprzednim życiu dla modnej młodej mężatki, nadawało się do spacerów po trawiastych ścieżkach ogrodowych, a nie po oszronionych skałach. Zamknęła oczy i zapadła w drzemkę, kuląc się przed lodowatym uściskiem nadchodzącej nocy.

- Jesteśmy na miejscu.

Obudziła się gwałtownie, uniosła głowę i wyjrzała spod budy.

- Niczego nie widzę - powiedziała, szukając wzrokiem świateł osiedla.

MacNeill wstrzymał konia i lekko zeskoczył na ziemię. W słabym świetle zmierzchu nie widać było jego twarzy. Obszedł powóz, bez wahania uniosł Kate, nim zdążyła zaprotestować, postawił na ziemi i wrócił do powozu.

Gdy jej wzrok przyzwyczał się do zmroku, dojrzała, że otaczają ich prymitywne kamienne chaty. Przez malutkie okienka i pootwierane drzwi widać było nieoświetlone wnętrza. Budynki były opuszczone.

- Co to za miejsce? - spytała.

MacNeill, zajęty wyprzeganiem konia, wzruszył ramionami.

- Nigdy nie słyszałem, by miało jakąś nazwę. Ta chata jest równie dobra, jak każda inna. Proszę wejść.

- Do tej chałupy? - Spodziewała się noclegu w gospodzie lub stajni albo przynajmniej na jakiejś farmie, gdzie da się wynająć łóżko. Nie przyszło jej do głowy, że znajdzie się w nocy na bezludziu sama z MacNeillem.

- Czy w pobliżu nie ma gospody lub czegoś, gdzie można się zatrzymać?

- Nie, całe kilometry dokoła.

- Mogę pojechać trochę dalej. Noc jest piękna...

Zacisnął dłonie na uprzęży i spojrzął na Kate przez ramię. Uśmiechnęła się niepewnie.

- Nie widać księżyca, a kiedy mówię o kilometrach, to mam na myśli całe kilometry, a nie godzinę czy dwie jazdy. Droga jest wyboista, a będzie jeszcze gorsza, zanim wespniemy się na wrzosowiska. Nie narażę nóg Dorana po to, by dogodzić pani wrażliwości. - Jego ton świadczył, że nie dopuszcza sprzeciwu. - A zatem, pani Blackburn, proszę wybrać sobie kwatere.

- Rozumiem. Skoro to sprawa dbałości o konia, oczywiście musimy tu zostać - powiedziała z wymuszoną swobodą i ruszyła do najbliższej rudery.

Inaczej nie dało się określić chałupy.

Drzwi częściowo wyrwane z zawiasów chwiały się, zwisając krzywo na framudze. Zasłona z obszarpanej szmaty osłaniała ciasne wejście, polepa wewnątrz opadała skosem ku niskiemu płaskiemu kamiennemu palenisku pod prymitywnym kominem. Izba była pusta, jeśli nie liczyć kupki skorup z potłuczonych naczyń.

Co ma zrobić? Nie było żadnego umeblowania. Kręciła się niezdecydowana przy drzwiach, nieszczęśliwa, zziębnięta i przerażona.

- Proszę się odsunąć. - Podskoczyła na dźwięk jego głosu, ale on udał, że tego nie zauważa, wymijając ją z nareczem drewna na opał. Cisnął je na palenisko i sięgnął do kurtki po pudełko z hubką, której użył do rozpalenia ognia. Wstał. - Przyniosę pani kufer.

- Dziękuję.

Zniknął, a po paru minutach wrócił z jej bagażem i koszykiem z gospody. Przysiadł na skraju paleniska, dołożył parę drzazg do ognia, pogrzebał w koszyku i wyjął dzbanek z piwem.

Dobry Boże, proszę, nie pozwól mu się upić. Nie wiem, co zrobię, jeśli się upije. Kate przysunęła się bliżej do drzwi, gotowa do ucieczki. Ale dokąd?

MacNeill odkorkował dzbanek zębami i wypluł korek na palenisko. Przechylił naczynie do ust. Zadał głowę i wlewał piwo do gardła przez długą chwilę. W końcu opuścił dzbanek, wytarł usta rękawem i podał jej naczynie.

- Proszę. To panią rozgrzeje lepiej niż woda, choć nie tak dobrze jak brandy.

Nie miała chęci na ordynarne piwo, ale zostawienie mu wszystkiego wydawało się nierozsądne. Z wahaniem przyjęła dzbanek. Oczy Kita pobłyskiwały w blasku tańczących płomieni.

- Czy ma pan jakiś przybór do picia, wszystko jedno jaki?

Popatrzył na nią obojętnie.

- Pewnie. Nazywa się usta. Proponuję go użyć.

- Rozumiem.

Ułamał chleb, obserwując spod oka, jak Kate stara się naśladować jego ruchy, ale dzbanek był ciężki i chociaż próbowała, tak jak on, podeprzeć ciężar przedramieniem, wysliznęła się jej z rąk i piwo obryzgało jej stanik.

- Do diabła!

Zdumiony uniósł jedną brew. Nie obeszło jej to ani trochę. Nie dość, że zziębnięta, była teraz mokra i lepka. Droga, która dziś wydawała się nie mieć końca, jutro będzie zapewne ciągnąć się całą wieczność, w chacie nie ma porządnego łóżka, gdzie można by się wyspać, do tego znalazła się sam na sam z ogromnym, gruboskórnym drabem, który pewnie w życiu popełnił niewysłowioną okropność wobec mnóstwa kobiet. Co gorsza, znalazła się tu z własnej woli. Była nie na żarty wystraszona, a od najmłodszych lat zwykła pokonywać strach gniewem.

- Do diabła, mówię! Jak mam pić... z czegoś takiego? - zapytała. - Dlaczego, u diabła, nie ma pan kubka, czy to sprzeczne z pańskim góralskim kodeksem abnegacji? Najprostsza czynność nie musi się stawać mordęgą. Parę przyborów nie uczyniłoby pana zniewieściałym! Ani nie pozbawiłoby pana szkockości, jeśli pan utożsamia te dwie rzeczy.

Wyprostował się błyskawicznie z zabójczym wdziękiem i jednym skokiem stanął przed nią, spoglądając z góry na jej uniesioną twarz. W oczach połykiwały gorąco-zimne światła. Uśmiech nie był przyjemny. Mimo to Kate nie opuściła zadartej brody, mierząc go wyzywającym spojrzeniem.

- No cóż, dziewczyno, mogę cię tylko zapewnić o swojej męskości, chyba że wolisz, bym ją okazał? - zamruczał. Zarumieniła się. On zaś zawisł spojrzeniem na jej ustach. Musiała zebrać wszystkie siły, by nie zagryźć warg, które starała się powstrzymać od drżenia. - A co do przyboru do picia... Możesz pić z moich ust, jeśli masz ochotę. To jedyne naczynie, jakie mam. I zapewniam, że nie uznaję tego za mordęgę.

Odebrało jej dech. Spuściła oczy, a palące gorąco ogarnęło jej szyję i zalało twarz.

- Nie? - zapytał. Nagle jego twarz straciła zmysłowy wyraz. - Proszę się trochę przespać - powiedział obojętnie. - Jutro czeka nas kawałek ciężkiej jazdy, a nie wierzę, że pogoda się utrzyma. - Odwrócił się do paleniska, nie przestając patrzeć na nią przez ramię. - I niech pani nie drażni mężczyzny, jeśli nie chce drogo zapłacić za tę zabawę.

Tak. To sobie zapamięta. Do grobowej deski.

Drżącymi palcami rozpakowała kufer i zaczęła szukać czegoś do okrycia. Nic się nie nadawało. Suknie, które przerobiła z dawnych, niegdyś modnych strojów matki, uszyte z jedwabiu i muslinu, były tak przejrzyste i delikatne

jak skrzydła ważki. Westchnęła głęboko. Cóż, on pewnie sobie wyobraża, że powinna spać na ziemi.

- Proszę.

Obejrzała się. MacNeill stał nad swoim pledem ułożonym u jego stóp na kształt posłania.

- Może pani spać tutaj. Zjrzę do Dorana i poszukam więcej drewna. Jeśli ma pani trochę rozsądku, pożywi się i pójdzie spać.

Nie czekał na odpowiedź, ale nim zniknął w ciemności, dodał jeszcze:

- Nie musisz się niczego bać, dziewczyno. - Potem dodał tak cicho, że nie była pewna, czy sobie tego nie zmyśliła: - Księżyc nie boi się wycia wilka. Nawet nie wie, że on wyje.

- Czas wstawać, pani Blackburn.

Kate przewróciła się na drugi bok i z trudem powstrzymała jęk. Otworzyła jedno oko. Było jeszcze ciemno.

- Zaczekajmy, aż się rozwidni - mruknęła. - Pan, koń i wszystko...

- Na dworze jest jaśniej niż tu, a z północy idzie ku nam burza. Nie chcę być na wrzosowiskach, kiedy nas ogarnie. Ruszamy zaraz.

Nie protestowała. Późno w nocy obiecała sobie nigdy więcej nie ulegać prostackim odruchom. Jest przecież damą. Na chwilę się zapomniała, ale to sienie powtórzy. Wstała sztywno i zauważyła, że głównie już są wygaszone, a kufer wyniesiony.

Pozwolił jej spać do ostatniej chwili.

- Proszę- powiedział, wręczając jej niski cylindryczny przedmiot. - To rodzaj górskiej herbaty. Proszę wypić, zje pani po drodze.

Z wdzięcznością objęła ciepły metal chłodnymi dłońmi.

- Gdzie pan znalazł naczynie?

- To osłona teleskopu z pani kufra. Zobaczyłem ją, gdy zamykałem wieko. - Czyżby naprawdę się przejął jej zgryźliwymi żądaniem? Popatrzyła na niego uważnie, zadziwiona nieoczekiwaną galanterią.

- Nie grzebałem w pani rzeczach, jeśli to pani podejrzewa - powiedział kpiąco. - Jako Szkot uważam to za niemęskie.

- Ależ nie. - Zarumieniła się i zdumiała uśmiechem, który przemknął mu po twarzy. Wypiła gorzki gorący płyn, niepewna, czy MacNeill próbuje się z nią droczyć.



Wetknęła pustą mosiężną przykrywkę do kieszeni, wyszła za nim z chałupy i wspięła się na siedzenie powozu, nie czekając na pomoc. Udowodni mu, że nie jest słabą kobietką.

Jeśli nawet zrobiło to na nim wrażenie, niczego nie okazał. Poprawił coś przy uprzęży Dorana, wskoczył na siedzenie obok Kate, chwycił lejce i uderzył nimi w koński zad.

Nie jedli ani teraz, ani później. Kilka kilometrów od opuszczonej wioski przekraczali wartki potok. Tylnym kołem zawadzili o kamień ukryty na dnie i faeton stanął dęba pod prąd, przechylając się gwałtownie i grożąc im upadkiem do lodowatej wody. MacNeill objął Kate w pasie i pociągnął z sobą na unoszącą się krawędź powozu, krzycząc na Dorana, który parł naprzód pod prąd i w końcu wyciągnął ich na brzeg.

Opadli z pluskiem, a wstrząs zrzucił do wody koszyk zjedzeniem. Zawiorował i wywrócił się, gdy wpadł w główny nurt. Tylko fakt, że siodło MacNeilia i kufer były dobrze przytroczone z tyłu, ocalił je od podobnego losu. Nie stanowiło to pocieszenia parę godzin później, kiedy Kate, skulona na twardych deskach, chowała brodę w fałdy peleryny, ciasno oplatając się ramiarami pod jej okryciem, i czuła natarczywe burczenie w brzuchu.

Koło południa wspięli się na niewielkie wzgórze, z którego otwierał się widok na wyżynne pustkowie wrzosowisk. Wiatr wył jak przyczajony zwierz. Faeton trząsał się i zarzucał z każdym uderzeniem wichru, aż zapierało Kate dech w piersiach. Przez pelerynę czuła lodowate ukąszenia, oddech zamarał. Zaciskała zęby, by nie szczękały.

Nie pamiętała, by kiedykolwiek było jej tak zimno.

Mrużyła oczy przed uderzeniami wiatru. Ciemny musztardowy kolcolist i wilgotne zielone paprocie kołysały się i falowały aż po bezkresny horyzont. Wąska ciemnoczerwona linia chmur oddzielała ziemię od ołowianej szarości nieba. Burza, która zaatakowała ich dwie noce wcześniej, zbierała siły do nowego ataku.

Myśl o tym, że znajdują się w środku burzy na wrzosowiskach, sprawiła, że Kate podupadła na duchu. Nie odezwała się jednak do MacNeilia, bo co tu było do powiedzenia? Nie mogli nic zrobić lepszego, niż tylko jechać przed siebie aż na drugi kraniec pustkowie. Skargi na nic by się nie zdały, a co gorsza pewnie spotkałyby się z pogardą. Szkot zdawał się być niewrażliwy na zimno, jakby żywiły dawno temu straciły nad nim moc.

Trzeba jakoś wytrzymać. A w tym Kate miała blisko trzyletnią praktykę.

## *Moda czy zdrowie ?*

### *Wymuszony wybór*

**K**ate osunęła się na Kita i nie poderwała natychmiast. Już to świadczyło, że coś jest nie w porządku. Dziewczyna - mimo wdowieństwa było w niej coś wzruszająco dziewczęcego - bardzo dbała o przestrzeganie zasad przyzwoitości.

Ściągnął Dorana, by zatrzymać powóz, a ona pochyliła się naprzód i spadała z siedzenia, gdyby jej nie chwycił. Ułożył ją sobie na kolanach i zajrzał jej w twarz. Powieki miała białe jak alabaster, leciutko niebieskawe, wargi bezkrwiste. Najwyraźniej zemdląca.

- Pani Blackburn!

Potrząsnął nią łagodnie, powieki Kate drgnęły i uniosły się.

- Dojechaliśmy? Czy to się skończyło?

- Jeszcze nie. - Niech to licha! Czeka ich jeszcze wiele godzin drogi, nim się wydostaną z wrzosowisk. Przebiegł wzrokiem widnokrag, szukając jakiegoś znaku orientacyjnego. Zaczęła siąpić zimna mżawka, zacinająca z boku w podmuchach wiatru. Poszarpana buda nie chroniła Kate, jedyną skuteczną osłoną był on sam. Przyciągnął jąblisko do siebie i rozejrzał się. Musi tu być coś, co zapewni im schronienie: zagroda, sterta kamieni, cokolwiek.

Nagle zobaczył go, w sporej odległości, jak okręt widmo dryfujący po niezbadanym morzu mgły. Serce skoczyło mu na znajomy widok. Nie przypuszczał, że są tak blisko zamku.

Zaciał konia lejcami i skierował się na południe. Mieli do przebycia około dwóch kilometrów.

Dwóch kilometrów rozstrzygających o życiu lub śmierci.



- Czyj to zamek, nie wiecie? - spytał Dand, utkwivszy zmrużone ciemne oczy w masywnej bryle ruin górującej nad okolicą.

Ramsey wzruszył ramionami lekceważąco.

- Czyjkolwiek był, teraz należy do wrzosowiska.

- Słyszałem, jak ojciec opat mówił, że należał do jednego z iairdów, którzy walczyli w czterdziestym piątym - powiedział Douglas. - Wielkiego walecznego wodza.

- A jeszcze większego głupca, jeśli walczył pod Culloden przeciwko koniowi - oświadczył Ramsey.

- Wszyscy wielcy wojownicy to głupcy - odparł Dand.

Zamek. Kit nigdy nie słyszał, by określano tę budowlę inną nazwą. Żaden z chłopców inaczej o niej nie mówił. Poszarpany kontur wznosił się na tle nieba jak stworzony w wyobraźni malarza wizerunek wieży czarownicy. Większość zamków stawiano na szczycie skalistych wzniesień, inne w gęstych lasach albo w widłach rzek. Nie wiadomo, z buty czy dla kaprysu, budowniczy tego zamku postanowił uczynić wrzosowisko jego strażnikiem.

Kit zatrzymał Dorana przed ogromną wyrwą w murze, która kiedyś mieściła masywne drzwi, świadomy jedynie tego, że trzyma na rękach lekkie, zziębnięte ciało Kate i że koniecznie trzeba je ogrzać. Niósł dziewczynę ostrożnie po schodach zamczyska, a potem długim pustym korytarzem. Nie zważając na wiatr gwizdający w odsłoniętych krokwiach, brodził w zbutwiały liściach, przez ponad pięćdziesiąt jesieni zasypujących splekaną i uginającą się podłogę.

- Gdzie jesteśmy? - szepnęła Kate. Oczy wciąż miała zamknięte, ale zmarszczyła brwi, przez co dwie bruzdy zarysowały się na czole.

- Odpoczywaj.

Dotarliśmy na koniec korytarza, Kit zszedł po kilku schodach do kuchni w suterenie. Z wysoka, przez dymnik w zewnętrznym narożniku, sączyło się popołudniowe blade światło. Kominy w pozostałych pomieszczeniach dawno temu pozapychał gruz, tylko tutaj można było bezpiecznie palić ogień.

Ukląkł, położył Kate, rozpostarł pled na podłodze, przeniósł ją na to prowizoryczne posłanie i otulił wełnianym kocem. Wyprostował się.

- Rozniecę ogień.

Otworzyła oczy.

- Dziękuję.

Pewnie dziękowałyby samemu diabłu za otwarcie przed nią drzwi piekła. Ci arystokraci! I ich przekłete dobre maniery! Nie licząc ostatniej nocy, kiedy strach wyzwolił w niej nieoczekiwany i imponujący wybuch gniewu.

Przeszukał izbę, by znaleźć co się da na opał.

- Co to za miejsce? - dobiegło go pytanie Kate.
- Sterta ruin. Kiedyś była zamkiem.
- Skąd pan wiedział, że tu jest?
- Przychodziłem tu, kiedy byłem chłopcem. Wykradaliśmy się z sypialni, spędzaliśmy tu noc i wracaliśmy na jutrznię.
- Jutrznię? Był pan w klasztorze?
- W opactwie. W St. Bride's.
- Miał pan zostać zakonnikiem? - Przy całej słabości głosu, wyraźnie pobrzmiwało w nim zdumienie.
- Nie.
- Och! - Nagle podparła się na łokciach. - Jeśli przychodził pan tu jako chłopiec, opactwo musi być niedaleko.

Skrzeszał iskierkę na kupkę drzazg.

- Dwie godziny drogi, mierząc w locie ptaka, ale Doran nie jest ptakiem. Drogami zajęłoby to jakieś pięć godzin, a burza rozszalała się na dobre. Nie możemy ruszyć, póki pogoda się nie poprawi.

Rozdmuchał żarzący się węgielek i drewno zajęło się płomieniem. Szybko dokładał do ognia, aż rozpałił się na dobre. Teraz wrócił do Kate. Znow miała zamknięte oczy, więc myśląc, że usnęła, sięgnął, by ściągnąć z niej wilgotną pelerynę.

Gdy tylko jej dotknął, gwałtownie otworzyła oczy, poderwała się i rzuciła do tyłu, zaciskając dłonie na pelerynie.

- Nie zamierzam pani zniewolić. - Znow stał przed nią wyprostowany. - To nie tylko niemęskie, a zatem i nieszkockie, ale w dodatku jest piekielnie zimno.

Odpowiedziała mimowolnym uśmiechem.

Nie czułaby takiej ulgi, gdyby wiedziała, ile kłamstwa mieściło się w jego słowach. Nie wiedziała, jak pociągająco wygląda, spoczywając na rozpostartym pledzie, z włosami kłębiącymi się wokół twarzy jak u wiedźmy, z ciemnymi i pełnymi niepokoju oczyma. Był najpodlejszym psem, pragnąc kobiety, która ma ledwie tyle sił, by unieść głowę. Ale taka niestety była prawda.

- Pani peleryna jest mokra - powiedział szorstko i wyciągnął rękę. - Proszę ją zdjąć, powieszę ją przy ogniu.

Ze wzrokiem utkwionym w jego twarzy rozwiązała troczki pod szyją, a okrycie samo zsunęło się z jej ramion. Gdy zobaczył jej suknię, zaklął cicho pod nosem. Była to ta sama cienka bawełniana suknia, którą Kate nosiła poprzedniego dnia. Nic dziwnego, że przemarzła.

Nie pytając o pozwolenie, zdjął kurtkę i otulił nią Kate. Nie zaprotestowała, co znów wywołało w nim dreszcz niepokoju. Jak mógł nie zauważyć, że nie jest odpowiednio ubrana na podróż, jaką przedsięwzięli?

Przyjął, że jest dobrze opatulona, ponieważ podróżowała po Szkocji w listopadzie. Nie przyszło mu do głowy, że skoro to pierwsza podróż w jego strony, Kate po prostu nie wie, co jest potrzebne. Będąc damą, ubrała się, jak zwykły robić to damy w podróży.

- Jak można narażać zdrowie dla mody...

- Nie znoszę się z panem spierać, MacNeill - przerwała Kate z wątlym, lecz triumfującym uśmiechem - ale wybór tej sukni to nie kwestia mody. To jedyna możliwość.

- Nie ma się z czego śmiać - odparł szorstko. - Nie rozumie pani? Moja ignorancja mogła panią zabić.

Otworzyła szeroko oczy ze zdumienia, a później spojrzała na niego łagodnie, zadając mu tym dużo dotkliwszy cios, niż gdyby odpowiedziała mu pogardą i pretensjami.

- Cóż, jeśli to jest życie pozagrobowe, MacNeill, pewien ksiądz w Yorku mógłby wiele powiedzieć na ten temat. Niech pan tak nie patrzy. Muszę tylko trochę się ogrzać i... - urwała i zaczerwieniła się, a Kit łatwo się domyślił, że chciała zażądać czegoś do jedzenia. Nie mieli niczego. Na razie.

Wstał.

- Pójdę zająć się Doranem, a potem się rozejrzę. Kiedyś było mnóstwo królików na wrzosowiskach. - Nie dodał, że króliki, znacznie rozsądniejsze od istot dwunożnych, podczas burzy zaszywiają się głęboko w norach. Był jednak gotów zrobić co w jego mocy, by znaleźć trochę jedzenia. - Będzie tu pani bezpieczna.

- Wiem.

- Palenisko jest dość głębokie, by iskry nie wylatywały, a ja wrócę, nim głównie się wypalą. Proszę odpoczywać.

- Dobrze.

Gdyby został dłużej, już by nie odszedł, a ona potrzebowała jedzenia, a przynajmniej wody *do picia*. Popatrzył na nią. Zamknęła oczy i prawie zasypiała. Nic złego jej się tu nie stanie. Do zamku nikt nie przychodzi. Nigdy nie przychodził.

Zastał Dorana tam, gdzie go zostawił. Koń kręcił się nerwowo w zaprzęgu, wiatr kołysał powozem na boki. Kit wyprzągł i spętał konia, odprowadził go do zrujnowanej części zamku i zostawił nad potokiem występującym z brzegów.

Potem załadował strzelbę i podniósłszy kurek, wyruszył w burzę.

Kate spała, budząc się raz po raz, gdyż ręce i nogi dygotały jej mocno, a zęby szczękały. Wydawało się jej, że nie zdoła się ogrzać, choćby nie wiadomo jak blisko podsuwała się do ognia. Gorąco szczypało ją w policzki i parzyło w palce, gdy podciągała koc pod brodę. Wydawało się jej, że upłyneła wieczność, nim znów usłyszała głos MacNeilla.

- Wypij to, Kate. - Podłożył jej ramię pod głowę, uniósł ją i cierpliwie wlewał wodę do ust. Był mokry. Nie wilgotny, lecz kompletnie przemoczony. I zimny. Lodowaty. Woda wsiąkała jej w suknię, przygotowując o gwałtowne dreszcze.

— Tak mi zimno - wymamrotała żałośnie.

Opuścił ją na ziemię, a ona skuliła się na boku, próbując przestać się trząść i patrząc na niego spod zmrużonych powiek. Wstał, zrzucił przemoczoną opończę na ziemię i szybkim, swobodnym ruchem ściągnął koszulę przez głowę. Oświetlone od tyłu migotliwym światłem smukłe ciało lśniło silne i muskularne, z szerokim torsem i płaskim brzuchem. Błask ognia grasował po szerokich barach i pełzał wokół szyi, ale nie sięgał rysów twarzy, ukrytych w głębokim cieniu.

Ukląkł i przygarnął Kate do nagiej piersi. Gorąco jego krwi dosięgło jej skóry i wsiąkało w nią, rozkoszne, ciepłe i życiodajne. Powinna czuć się zawstydzona, próbować się uwolnić. Zamiast tego wtuliła się jak najciaśniej, owinęła go ramionami i przycisnęła policzek do zbitych muskułów jego torsu. Odprężyła się, chłonąc gorąco, przyjmując jego ciało za postanie.

I usnęła.

Kit osunął się na ziemię. Plecami oparł się o ścianę, nogi wyciągnął przed sobą i trzymał Kate na kolanach. Nieśmiało odgarnął jej włosy z twarzy. Skręcały mu się w palcach, jedwabiste i miękkie jak kocie futerko, czarne jak naoliwiony atłas. Uniósł głowę i utkwiał niewidzące spojrzenie w pułapie.

Spała, całkowicie uspokojona, cudownie bezbronna, zachwycająco urna. Gdzieś głęboko w nim zbudziło się dręczące pożądanie. Miękkie kształty wtopiły się w niego, upodabiając się do jego kanciastej postaci, jak ciepły воск do formy, kiedy z westchnieniem niewypowiedzianego osamotnienia wtuliła mu głowę pod brodę. Błądziła po jego piersi dłońią z bezwładnie opuszczonymi palcami. Jej oddech muskał mu skórę, ulotny jak sny dzieciństwa, którego nie miał, słodki jak letnie dni, których nie pamiętał.

Spuścił wzrok. Jej wargi rozchyliły się. Widać śniła o czymś, bo rzęsy drgały, rzucając cienie na wypukłość kości policzkowych. Nawet we śnie

była elegancka i dystyngowana. Co mężczyzna jego pokroju robiłby z taką istotą? Istotą, której głównym zainteresowaniem było znalezienie kogoś, kto na nowo ubierze ją i jej siostry w kaszmirowe szale?

Już trzy lata temu zdawał sobie sprawę, że krótka wymiana zdań między nimi była dziełem przypadku. Nie powinien pozostać w salonie, raczej wyjść z innymi. Rozmawiała z nim jak z równym, lecz nim nie był. W żadnym innym miejscu, o żadnym innym czasie to by się nie zdarzyło.

Wyszedł z miejskiego domu Nashów i ruszył w stronę portu, żeby się upić. Udało mu się to całkiem łatwo, a kiedy się ocknął, odkrył, że zaciągnął się do armii i płynnie statkiem transportowym do Indii. Cóż, jeśli żołnierz Jego Królewskiej Mości ma coś własnego, to czas na rozmyślenia.

Rozmyślał o dwóch rzeczach. Pierwszą była Kate. Nie widział w tym nic złego. Złe byłoby dopiero nieodróżnianie fantazji od rzeczywistości. Rzeczywistość to była spalona słońcem skóra i pieczenie w płucach, i poranione nogi w niedopasowanych butach; rzeczywiste były słone strugi, które przyklepiały mundur do pleców, a także krew ludzi, którzy ginęli. A tak. Rozpoznawał rzeczywistość całkiem wyraźnie. Wizja Kate Blackburn dostarczała nieszkodliwej rozrywki, pozwalającej oderwać myśli od rzeczywistości.

Nie odmawiał sobie zatem przyjemności myślenia o niej; o oczach w kolorze nocnego nieba i iskierkach słońca w czarnych włosach, o białej skórze, drobnych nadgarstkach i miękkich, aksamitnych ustach. Była dla niego ucieczką, kiedy rzeczywistość stawała się zbyt przytłaczająca. I tyle. Nigdy nie sądził, że ją jeszcze zobaczy. W czasie kilku minut spędzonych z nią w salonie bez trudu odgadł, jak bardzo jest dumna. Nigdy nie wysłała żółtej róży do St. Bride's.

Bywało, że śmierć, krzyki rannych i wspomnienia bitwy jawiły mu się tak żywo, iż nie był zdolny wywołać w myślach obrazu Kate. Wtedy rozmyślał o zdradzie. O człowieku, który zamordował Douglasa Stewarta tak pewnie, jakby własną ręką zwołał ostrze gilotyny.

W czasie gdy Kit rozmyślał, kim może być zdrajca, armia maszerowała. Wojna z Francją rozlała się w liczne wojny z władcami Indii, Rosjanami i Hiszpanami. Kit zdążył wziąć udział w dziesiątkach potyczek i bitew. Wystarczyło trochę czasu i łut szczęścia, by dostrzeżono jego talenty. Wobec tego, że oficerowie padali w bitwach jak zboże pod kosą, jego umiejętności zostały nagrodzone na krwawym polu walki awansem na dowódcę za zasługi w boju. Nie raz, lecz trzykrotnie.

Wiedział, że jest dobrym dowódcą. Podwładni mu ufali, podporządkowywali się bez szemrania jego decyzjom. Ale za każdym razem, kiedy go awan-

sowano, powierzając mu życie coraz większej liczby ludzi, dawna zdrada przytłaczała go jeszcze bardziej. Jak może wierzyć w słusność swego osądu, skoro był tak ślepy, tak katastrofalnie głuchy i ślepy? I to stało się jego obsesją. Musi odkryć tożsamość człowieka, który go wydał, i spojrzeć mu w twarz. Wtedy odkryje własny błąd i stawia mu czoło. Poprosił o urlopowanie z armii i otrzymał je.

Ale los kpi sobie z ludzkich zamiarów.

Kate poruszyła się nagle, a on zastygł nieruchomo, gdy podniosła głowę i rozejrzała się nieprzytomnie, pocierając jedwabistą koroną włosów jego policzek, wciąż bardziej we śnie niż na jawie. Wstrzymał oddech, póki jej głowa znów nie opadła mu ciężko na pierś, a wargi nie dotknęły nasady szyi.

I podziękował Bogu za to, że rozróżnia, co jest rzeczywiste, a co nie jest.

## *O budzeniu się w nieznanym otoczeniu*

*J* aka śliczna, aż mnie zazdrość bierze, Kit. - Słowa wymówiono ledwie dosłyszalnym szeptem. Coś chłodnego i suchego pieściło szyję Kate, muskało jej ramiona, przesuwało się niżej... Odsunęła się, uchylając od poufałości, oszołomiona gorączką i wyczerpaniem.

- Ale jaki sens ma zazdrość, skoro mogę ci zabrać, co zechcę? - Płytki oddech mówiącego zdradzał podniecenie. - Włącznie z życiem.

Palce zjawy zahaczyły o brzeg jej stanika i zsunęły go niżej. Wzdrygnęła się na niechcianą poufałość, usiłując się obudzić. Dłoń zjawy leniwie pieściła jej pierś. Coś przysunęło się do jej twarzy.

- Powiedz Kitowi, by cieszył się różami. - Usta dotknęły jej ust. Zachłysnęła się i zerwała z posłania.

W rogu ciemnej izby coś się poruszyło, ciemniejsza plama wtopiła się w kąt. W powietrzu zadrżał dźwięk przypominający cichy śmiech - a może to wiatr gwizdał w dymniku?

Kate z wysiłkiem starała się ustać na nogach, oszołomiona i zdezorientowana. Wzdrygnęła się i rozejrzała wkoło. Na palenisku żarzyło się jeszcze parę głowni. Nie było ich, kiedy się obudziła. A może zasłonił je ktoś, stojący pomiędzy nią a ogniem?

Strach całkowicie wytrącił ją ze snu. Obróciła się i potknęła o kurtkę MacNeilla. Gdzie on może być?



Zauważywszy niskie schody, weszła po nich, zataczając się na chwiejnych nogach.

- MacNeill! - wychrypiała. W gardle drapało ją boleśnie i z wysiłku zakręciło jej się w głowie. - MacNeill!

Żadnego odzewu. Ruszyła długi, mrocznym korytarzem, w którego głębię wdzierał się promień księżyca. Wlokła się, mijając kolejne komnaty. Wszystkie ciemne i ciche, jak grobowce czekające na zmarłych.

Wreszcie dotarła do wejścia skapanego w mglistym szarym świetle. Spojrzała w górę. Trzy kondygnacje ruin wznosiły się wokół ogromnej ziejącej wyrwy w dachu, przez którą zaglądało ciemne, sine niebo. Chmury przepływały przez półkolistą twarz księżyca, a zimny, ostry wiatr, wirując, wdzierał się z góry, poruszał liście u jej stóp i bił ją włosami po twarzy.

- MacNeill! Wiatr poniósł jej słaby krzyk.

Nikt nie odpowiedział.

Wszystkie najgorsze obawy wracały, wywołując w sercu ukłucia paniki. Odszedł. Opuścił ją.

Niech to się znów nie stanie. Proszę, modliła się w duchu. Mrugnięciem strząsnęła łzy z rzęs, broniąc się przed płaczem, chociaż jej zamysły obracały się wniwecz, jak mgła rozwiewana przez wiatr, nogi trzęsły się pod nią jak galareta, a chłód nocy wysysał z niej ostatnią odrobinę ciepła. Nagle dojrzała słaby błysk światła.

Jednak jej nie zostawił.

Pociągając nosem, pokuśtykała w stronę oświetlonego pokoju, oszołomiona i dezorientowana, z sercem dygoczącym jak u schwytanego królika. MacNeill stał w środku, plecami do niej, z płonąca gałęzią w rękę, chłostając światłem ciemne ściany.

- MacNeill... - słowa uwięzły jej w gardle, gdy ogarnęła wzrokiem scenę przed sobą. Potężny dębowy stół leżał na boku z białym porysowanym głębokimi cięciami, jak gdyby rąbano go siekierą. Coś, co wyglądało na szczątki ław lub krzeseł, zostało połupane w drzazgi. Odłamki szkła pokrywały podłogę jak dywan zdobiony klejnotami, a pod poszczerbionymi i pobijanymi gipsowymi ścianami leżały pogięte cynowe talerze i kubki.

- Co tu się wydarzyło? - spytała.

- Wygląda to - odrzekł MacNeill spokojnie - jakby ktoś nieszczęśliwy wyładowywał swą rozpacz. - Płonącą gałęzią oświetlił górną część ścian.

Kate wzdrygnęła się. Metr nad ich głowami sztylet przyszpilał do ściany ścierwo szczura. Szyję wysuszonego stworzenia oplatały cztery kwiaty, uschłe i skurczone, ale z całą pewnością dające się rozpoznać jako róże. Małe żółte róże. Kate sięgnęła ręką za siebie, szukając po omacku ściany.

MacNeill zniżył pochodnię i makabryczny trupek zniknął z pola widzenia. Wodził wzrokiem po sali, rejestrując w pamięci jedne szczegóły, inne odrzucając, nie omijając niczego.

- Kto to zrobił? - szepnęła. - Czy to on?

Obrócił głowę i utkwiał wzrok w Kate.

- Kto?

- Kiedy się obudziłam, w kuchni był jakiś człowiek. Powiedział... pana imię, a potem jeszcze, że może panu zabrać co zechce, włącznie z życiem. Potem...

Obrócił się.

- Co potem?

- Dotknął mnie.

- Niech to diabli! - Skoczył ku niej i wyglądał wtedy jak szalony i wspinały celtycki wojownik. Chwycił ją za ramiona i spojrzał badawczo w oczy.

- Coś ci zrobił? Naprzykrzał się?

Przez chwilę nie zrozumiała, o co mu chodzi. Oczywiście, że się naprzykrzał. Potem pojęła. Spłonęła rumieńcem.

- Nie, nie. Tylko mnie dotknął... - machinalnie sięgnęła do rozluźnionego stanika.

MacNeill krzyknął coś dziko, puścił ją i rozejrzał się.

- Kazał mi powiedzieć, żeby pan się cieszył różami.

- Co?

- Mówił: powiedz Kitowi, by się cieszył różami.

Jeszcze raz zaklął. Schwyił ją za ramię i okręcił wkoło, aż ziemia uciekła jej spod nóg.

- Jak pan śmie! - zaprotestowała, próbując go bić po rękach, ale jego chwyt był jak stal i sprzeciw na nic się nie zdał. - Nie wolno panu...

- Wolno mi.

Z wyczerpania i strachu potknęła się i byłaby się osunęła na kolana, gdyby nie przyciągnął jej do szerokiej piersi i nie poniosł bez wysiłku korytarzem, wciąż dzierżąc w jednej ręce pochodnię.

- Musi mi pan powiedzieć - szepnęła. - Obiecał pan! Co się tu dzieje?

- Niech się stanie według pani woli, madame. - Zaśmiał się gorzko. - Widziała pani szczura w naszymyśniku z róż?

- Tak. - Zbierała myśli, walcząc z zamroczeniem. - To takie same róże jak te, które przywieźliście nam do Yorku.

- Tak. Osoba, która przekłuła szczura, nie zrobiła tego w dowód miłości - ciągnął Kit ponuro. - Nie wiem, kto to jest ani czego chce, ale nie chcę, by była pani przy tym, kiedy to odkryję.

Zatrzymał się pośrodku korytarza, z płomiennymi i skupionymi oczyma. Na twarzy widać było wewnętrzną walkę.

- Niech to piekło pochłonie! - burknął. - On wie, że nie mam czasu go szukać. Drażni się ze mną. Jest tysiąc miejsc, gdzie może się ukrywać, a ja *nie* mam czasu. Pani jest taka słaba i... do diabła!

Kate, przerażona gwałtownością słów i wyrazem jego twarzy, skuliła się w jego objęciach, a wtedy ogień w jego oczach zgasł i wrócił mu spokój.

- Już czas jechać. Ale najpierw... proszę to przytrzymać.

Wręczył jej pochodnię i podszedł do samego końca wąskiego przejścia, niosąc na rękach przerażoną Kate. Otworzył ciężkie dębowe drzwi i zajrzał w ciemność stromych schodów.

- Przepraszam - powiedział. Lekko się skrzywił, oczekując wybuchu protestu. Zabrał pochodnię i przewiesił sobie Kate przez plecy, by uwolnić ręce. Nie zawiódł się.

- Nie wolno panu! Ach! Trzymając płonąca gałąź wysoko nad głową, mszył w dół po schodach, a na każdy głośny protest Kate odpowiadała tupnięciem.

W piwnicy nic się nie zmieniło. Pajęczyny nadal zwisały grubymi warstwami z niskich, wilgotnych kamiennych łuków, a tupot uciekających gryzoni tak samo odbijał się w ciemności niesamowitym echem. W chłodnym powietrzu wisiał zapach pleśni i wilgoci.

Kit postawił Kate na nogi, oparł ją o ścianę i znów przekazał jej pochodnię.

- Trzymaj i czekaj tu.

Wzięła gałąź bez słowa, mrugając gwałtownie, jak gdyby chciała odzyskać ostrość widzenia. Wyglądała na bardzo chorą, czy to z braku jedzenia, czy z zimna i bezsenności. Kit wiedział jedno: musi ją jak najszybciej dowieźć do St. Bride's. Wszystko inne się nie liczy. Nawet tamten przeklętnik, chociaż burzyło się w nim pragnienie znalezienia go i ukarania za to, że jej dotykał.

Zawrócił do zatechłej piwnicy, przystanął pod najdalszą ścianą i przesunął rękoma po dziobatej powierzchni, aż wymacał wystającą krawędź kamiennego bloku. Pociągnął, mruknął coś do siebie i wepchnąwszy rękę w otwór, który *sią* odsłonił, wyjął paczkę owiniętą w skórę. Rozwinał ją i odsłonił długi, ciężko wyglądający brzeszczot.

- Co robisz, Kit?
- Zakładam skrytkę, Dand. Nigdy nie wiadomo, kiedy będziemy potrzebować broni.

Dand roześmiał się.

- Ale dlaczego tutaj? Boisz się, że bydlę ruszy na ciebie pewnego dnia?

- Co to? - Słaby głos Kate przywołał go do teraźniejszości.

Szkocki miecz - powiedział, unosząc nieporęcznie wyglądającą broń, jak gdyby to była lekka szpada. Musnął stępione ostrze wzrokiem znawcy.

- Dlaczego upierasz się przy używaniu tej pałki, Kit? Mógłbyś się uzbroić w coś bardziej finezyjnego - powiedział Ramsey.

- Pałka daje jasno do zrozumienia, o co ci chodzi, a nie czyni subtelne aluzje.

Wyjął ze schowka skórzaną pochwę i przewiesił sobie przez plecy między łopatkami. Ze świstem wsunął do niej ciężkie ostrze.

- Teraz ruszamy.

Napięcie w jego głosie zmusiło Kate do pozbierania myśli. Kiwnęła głową i tym razem przywarła do niego, gdy ją wziął na ręce. Wrócił do kuchni, pozbierał ich rzeczy i wyszedł z nią na dwór. Postawił ją pod zewnętrznym murem i kazał zaczekać, aż przyprowadzi i zaprzęgnie Dorana.

Słaby brzask znaczył horyzont na wschodzie. Została, gdzie jej rozkazał, nieprzyjemnie oszołomiona, czując za plecami przytłaczający ciężar i przeżający spokój ponurego zamczyska. Niespokojnie obróciła się i uniosła głowę, a wtedy pierwszy raz zobaczyła zamek z zewnątrz, jego potężną bryłę, odkształconą linię dachu, odsłaniającą zwęglone fragmenty ścian na piętrze, fasadę upstrzoną zacienionymi wnękami i czarne ślepe okna. Wysoko

nad nimi bagienne trawy zakorzeniły się wśród splekań. Grube łodygi poruszały się na wietrze, bieląc się w poświacie jak widmowe armie małych dzieci, machających na nią, by wspięła się do nich, a dalej ciemna postać...

- Kate!

Odwrociła się, zaskoczona. Za późno usłyszała złowróżbny hurkot gdzieś na górze. Później on szarpał ją i wpychał na ścianę zamku, osłaniał rękami ich głowy, przygważdżał ją do ściany, gdy z nieba leciały na nich kamienie. Przywarła do niego, wtuliła twarz w jego szyję i czuła, jak wielkie ciało drży pod ciosami odłamków. Ją wszystkie ominęły.

Skończyło się tak nagle, jak się zaczęło. Odepchnął ją i odsunął od siebie na długość ramienia.

- Nie jesteś ranna?

- Nie.

Odetchnął i wzniosł oczy ku zdradliwemu dachowi nad nimi.

- Widziałas coś? Albo kogoś?

- Nie wiem. Wydawało mi się... - Pokręciła głową. - Nie wiem.

Schylił się, ujął ją pod kolana, zaniósł do powozu i posadził na ławce. Koń niecierpliwie bił kopytem o ziemię. Potem sam wskoczył na kozioł.

- Dokąd jedziemy?- spytała.

- Tam, gdzie się to wszystko zaczęło - odrzekł. - Do St. Bride's.

## *Zapomnieć o przeszłości: pożyteczne, choć niewykonalne*

**K**it lekko smagnął batem boki Dorana i wałach wydłużył kłus. W powietrzu zdawała się unosić ścigająca ich wrogość. A przecież nikt nie mógł ich dojrzeć pod podniesioną budą powozu. Co ważniejsze, nie byli łatwym celem, chociaż nie chwaląc się, Kit byłby zdolny do takiego strzału.

- Nic nam nie grozi? - spytała Kate bez tchu.

- Nie.

- A jeśli będzie nas ścigał? Albo czeka, wyprzedziwszy nas?

- Proszę się rozejrzeć. Na przestrzeni wielu kilometrów nie ma gdzie się schować. Gdyby chciał nas zabić, zrobiłby to, gdy spaliśmy.

- O Boże - szepnęła cichutko, coraz mocniej wspierając się na nim. Popatrzył na nią i jeszcze raz poraziła go biel jej twarzy, sińce pod oczami i na skroniach.

- Wielki Boże! - powiedziała. - Wygląda pani okropnie.

Zrobiła wysiłek, by się wyprostować. Broda jej się zatrzęsała, a potem zniechęciła we władczym wyrazie, który stawał mu się coraz lepiej znajomy.

- A pan - oznajmiła - jest gburem.

- Chciałem tylko powiedzieć, że...

- Doskonale wiem, co pan chciał powiedzieć - odparła. - Już mi pan mówił, że jestem brudna...

- Co takiego? - Bezwładnie poleciała w przód, wyciągnęła ręce i chwyciła ją za ramię, ale mu się wyrwała. - Ja nigdy...

Tak, powiedział pan. Dał mi pan to do zrozumienia! W gospodzie! A teraz pan mówi, że wyglądam okropnie. Chciałby pan poczynić więcej takich miłych uwag?

- Jezusie! Wygląda pani na bardzo chorą i nie mam pojęcia, o czym pani mówi, że twierdziłem, iż jest pani brudna, chociaż w istocie jest pani brudna.

Boże, miej go w opiece, pociągnęła nosem.

Wpatrywał się w nią z przerażeniem. Nigdy nie miał tak blisko przy sobie płaczącej kobiety. Oddech rwał się jej w rozpaczliwym szlochu.

- Ja też jestem brudny - zaczął ją gorliwie pocieszać. - Jesteśmy w podróży. Spała pani na podłodze. Wygląda pani... wygląda... - Boże, to nie do uwierzenia, że jedzie przez lodowate wrzosowisko, niebezpieczeństwo wisi mu nad głową, a on wysiła się na zgrabny komplement! I że ona go do tego skłoniła! Co go u licha naszło? - Nie mogę w to uwierzyć.

- W co? - chlipnęła.

- Że jest pani urażona, kiedy mężczyzna, który panią nic nie obchodzi, śmie nie uważać pani za pociągającą. Czy jest coś oprócz próżności w dobru wychowanych damach? Zgoda, choć to nie ma wcale znaczenia, naprawdę uważam panią za pociągającą. Ale to nie zmienia faktu, że wygląda pani jak siedem nieszczęść.

Jej twarz skurczyła się.

- Bo czuję się jak nieszczęście! - i ukryła twarz w dłoniach.

- Kate!

- Nie! - Pokręciła lekko głową i wierzchem dłoni strzepnęła łzy z policzków. - Obiecałam sobie zachowywać się jak dama. Spokojnie ścierpię wszystko, cokolwiek mnie spotka w tej podróży. Czy ktokolwiek. I dotrzymam tego.

Ale... - obrzuciła go chmurnym spojrzeniem. - Żądam pewnych wyjaśnień. Kim był tamten człowiek?

Kit wolałby uniknąć tej rozmowy.

- Musi mi pan powiedzieć. On... pozwolił sobie na poufałość.

- Nie sądzi pani chyba, że nie zdaję sobie z tego sprawy? - wycodził przez zaciśnięte zęby. - Że nie ponosi mnie wściekłość? Zapewniam panią, że tak. I zapewniam też, że drogo zapłacą za tę zniewagę.

- Pana oburzenie mnie nie ułagodzi. Chcę prawdy. Należy mi się.

Badała go wzrokiem, wyczekując odpowiedzi. Jej rysy były naznaczone strachem, ale starała się mu nie poddawać.

- MacNeill!

Uciekł wzrokiem na powrót ku drodze. Zaciśnął dłonie na lejcach, a znoszone skórzane rękawice napięły mu się na knykciach.

- Było nas czterech - zaczął.

- Trzech, którzy odwiedzili nas w Yorku, i jeden, który zginął w więzieniu? - podpowiedziała.

- Tak.

- Jak się poznaliście?

- Byliśmy sierotami, pozbieranymi jak kłaczki ze szkockich ostów po miastach i wsiach i przywiezionymi do St. Bride's, ostatniego z katolickich klasztorów.

- Kto was zebrał?

MacNeill wzruszył ramionami.

- Opat. Zakonnicy,

- A jak was znaleźli? Skąd wiedzieli, gdzie was szukać? Dlaczego właśnie was?

- Boże, ależ pani dociekliwa! - Kiedy pojął, że nie uda mu się jej zbyć, westchnął. - Jakiś list, pogłoska, plotka przyniesiona przez starego poganiacza była, słowo szepnięte przez tajemnego stronnika starczyły, by wyruszyli na poszukiwanie.

- W jakim celu?

- Nie jestem pewien. Mogę się tylko domyślać. - Zmarszczył brwi. - Kiedy byliśmy chłopcami, przekonywali nas, że jesteśmy przeznaczeni na rycerzy starego tajnego stowarzyszenia. Uwierzyliśmy im. Złożyliśmy nawet przysięgę wierności. - Uśmiechnął się gorzko. - Później, choć zdaliśmy sobie sprawę, że nie dostaniemy srebrnych rumaków, nadal dotrzymywaliśmy tej przysięgi. A przyrzeczenie wierności, które złożyliśmy, nie dotyczyło zakonu św. Brygidy, lecz nas wzajemnie.

- To była ta sama przysięga, którą pan mi złożył - zaczęła mówić powoli z rosnącą pewnością.

- Tak.

- Ale co to ma wspólnego ze zrujnowanym zamkiem i człowiekiem, który się tam ukrywa?

- Ktoś złamał przysięgę. I moim zdaniem może to być człowiek, którego pani widziała.

- Nie rozumiem.

Zmarszczył czoło z zaambarasowania i irytacji.

- Nie sposobiono nas na rycerzy, lecz na... żołnierzy, jak sądzę. Nasze działania były kierowane i sankcjonowane przez Kościół.

- Jak działania templariuszy?

Nie tak formalnie. Byliśmy narzędziami do użycia w czasach wielkiego zamętu i zagrożenia. Takiego, jak we Francji roku dziewięćdziesiątego trzeciego. Tamtego września w samym Paryżu zmasakrowano czterystu księży i ponad tysiąc katolickiej szlachty.

Niektórzy księża uciekli do Anglii, jeden z nich, brat Toussaint, trafił do St. Bride's. Zanim przyjął święcenia, był żołnierzem. Uczył nas tego, co sam umiał. Któregoś dnia do opactwa przybył pewien człowiek. Francuz. Nie znam jego prawdziwego nazwiska - sam nazywał siebie Duchesne. Widać było, że znał brata Toussainta w Paryżu. Teraz podejrzewam, że był to ktoś królewskiej krwi francuskiej. W tamtym czasie rojaliści i Kościół mieli zbieżne interesy, polegające na przywróceniu monarchii i jednocześnie Kościoła katolickiego we Francji. Człowiek ten miał pewien plan. Chciał, byśmy pojechali do Francji, udając podróżników, którzy przemierzają świat w poszukiwaniu nieznanymi gatunków roślin i zwierząt, ale przede wszystkim róż. Jako poszukiwacze róż mieliśmy przybyć na dwór Józefiny Bonaparte, by jej zaprezentować nasze odkrycia.

- Róże? - Pytanie Kate musiało zabrzmieć niedowierzająco, bo po jego twarzy przemknął cień złośliwego rozbawienia.

- Żona Bonapartego miała w swoim domu w Malmaison największy ogród różany na świecie. Ma obsesję na ich punkcie, a Napoleon, jako oddany mąż, zaspokaja jej zachcianki. Jej ogrody przeszły do legendy, ona zaś rozsyłała ludzi po całym świecie, by znajdowali dla niej nowe odmiany. Dyplomaci, pochlebcy, ambasadorowie wielu państw i księstw stale przybywają do jej domu z podarunkami. Może sobie pani wyobrazić, jaki podamy grunt dla pracy wywiadowczej stanowi takie miejsce. Z pewnością królewscy doradcy nie zmarnowali takiej możliwości, ani też Stolica Apostolska.



Kate czekała. Jego zaś wciągnęła ta opowieść, już nie tylko chciał jej o wszystkim opowiedzieć, ale też spojrzeć z perspektywy na własną przeszłość.

- W jej otoczeniu był człowiek, który chciał przekazać informację o współpracownikach Napoleona, jego planie dnia, nawet korespondencji. Mieliśmy się z nim spotkać. Ale nim zdążyliśmy, w istocie nawet nim poznaliśmy jego nazwisko, schwytano nas, oskarżono o szpiegostwo i uwięziono.

- I sądzi pan, że to jeden z pana towarzyszy albo tamten francuski książę wyjawiał wasze zamiary?

- Tak.

- Dlaczego?

- Ponieważ w dniu, gdy wyprowadzili Douglasa na gilotynę, strażnik powiedział nam, że wie wszystko: o naszych spotkaniach, księżkach, z którymi się spotykaliśmy, znał nazwisko kapitana francuskiego okrętu, który nas przewiózł na kontynent, a nawet właściciela tawerny, który nam udzielił schronienia. I że wszyscy ci ludzie nie żyją. Zdradzeni. Znajdował szczególne upodobanie w podkreślaniu, że nie tylko zostaliśmy zdradzeni, ale że zrobił to ktoś z naszego kręgu.

- Jak może mieć pan pewność, że mówił prawdę? - spytała Kate. - Może próbował was dręczyć. Podstępem wyłudzić od was więcej informacji.

MacNeill pokręcił głową.

- Nie było więcej informacji. Wiedział wszystko. Włącznie ze słowami przysięgi, którą znało tylko pięciu ludzi: Douglas, Ram, Dand, ja i brat Tousseint, do którego mieliśmy całkowite zaufanie.

- To nie ma sensu. Wszyscy byliście w tym więzieniu. Wszyscy cierpieliście.

- Gzy na pewno? - Kit popatrzył jej w oczy. - Brano nas na spytki oddzielnie. To powszechna praktyka, oddzielać człowieka od towarzyszy, zwłaszcza kiedy ma się nadzieję wydobyć z niego jakieś informacje. Tak, cierpieliśmy wszyscy. Ale czy wszyscy w tym samym stopniu?

- Ale jaka była korzyść zdrajcy? - spytała Kate, kręcąc głową. - Nikt nie został uwolniony. Nikt na tym nie zyskał.

- Ceną za jego zdradę miało być jego życie w zamian za nasze. On jeden miał przeżyć, nie rozumie pani? Jedyne żywy, no i bogaty, jak przypuszczam. - Niedobry uśmiech igrał na wargach Kita. - Ktokolwiek nas zdradził, nie mogliśmy żyć dalej z myślą, że jego zdrada została wyjawiona, nawet tym, których wydał. Jego mniemanie o sobie, jego wina byłyby zbyt przytłaczające. Nagroda miała przyjść dopiero po naszej śmierci. - Douglas był

pierwszy. Reszta poszłaby wkrótce za nim, ale zjawił się pani ojciec i popsuł cały plan.

- Ale dlaczego zabito Douglasa, a nie wszystkich razem?

- Mogę się tylko domyślać, że strażnik chciał zastraszyć swojego informatora. Chciał, żeby tamten się napatrzył, co go czeka, jeśli przyjdzie mu na myśl zdradzić Francję tak, jak zdradził swoich towarzyszy.

- Wspólnie odwiedziliście moją rodzinę. Jeśli pan sądził, że jeden z tych, którzy przeżyli, jest zdrajcą, dlaczego podróżował pan z nimi? Dlaczego nie spytał pan pozostałych?

- Zrobiłem to - wychrypiał. - Razem to zrobiliśmy. Ale dwaj z nas są niewinni. A może wszyscy trzej. Może brat Toussaint był w tym francuskim więzieniu i wyjawiał prawdę, choć nie potrafię sobie wyobrazić jak... - Pokręcił głową. - Oskarżenia zostały rzucone i każde spotkało się z zaprzeczeniem. Ram i Dand oskarżyli mnie. Ja z kolei oskarżyłem ich obu.

- Jakie to straszne.

Zignorował jej współczucie.

Kiedy złożyliśmy ślubowanie pani rodzinie, my, którzy byliśmy sobie bliżsi niż bracia, nie mogliśmy na siebie patrzeć. Rozstaliśmy się, mając nadzieję nigdy więcej się nie spotkać. Tylko...

- Tylko...?

- Tylko że nie mogłem tego tak zostawić. Gryzło mnie to przez trzy lata. Jak mogę ufać sobie, jeśli nie potrafię zaufać własnej przeszłości? Jak mogę zawierzyć swoim osądom, odczuciom, lojalności, na których opierałem całe moje życie, skoro to wszystko może być kłamstwem? Muszę wiedzieć.

Oderwał od niej wzrok.

- A teraz mam dodatkowy bodziec.

- Dlaczego więc pan nie został? - spytała zmieszana. Odpowiedzi na jego pytania niewątpliwie znalazły się w zasięgu ręki, a on zrezygnował z nich. - Dlaczego nie poszukał pan człowieka z zamku?

- Bo obiecałem, że doprowadzę panią bezpiecznie do celu. A pani jest chora i nie mogę wystawiać na ryzyko jej zdrowia, zwlekając choćby minutę dłużej, niż muszę. - Smagnał lejcami zad Dorana, jakby przypomniał sobie o pośpiechu. - Odpowiedziałem na pani pytania. Pani prawo zostało wyegzekwowane. - W jego głosie brzmiała niechęć. Unikał wzroku Kate. - A teraz proszę odpoczywać. Będziemy w St. Bride's przed nocą.

## *Zawieranie nowych przyjaźni*

Co to? - szepnęła Kate, nie unosząc głowy z ramienia Kita. Obudziła się kilka minut wcześniej i nagle ujrzała przed sobą parę małych ciemnych oczek, tłuste różowe policzki i usta rozwarte w niemym zdumieniu na kształt litery O.

- Nie „co” - odpowiedział Kit swobodnie - tylko „kto”. To brat Fidelis.

Korpulentny mężczyzna w brązowym habicie lustrujący ją krótkowzrocznymi oczyma, przysunął się trochę bliżej.

- Wielkie nieba, Christianie, co to takiego?

- Nie „co” - powtórzył Kit, tonem podejrzanie zatrącającym o rozbawienie - tylko „kto”. To jest pani Katherine Blackburn.

Kobieta! - Kilka męskich głosów zachłysnęło się, jak gdyby oczekując potwierdzenia tej strasznej prawdy.

Kate, dotychczas wtulona w Kita, dźwignęła się z wygodnej pozycji i popatrzyła poza brata Fidelisa na grupkę podobnie jak on ubranych mężczyzn, stojących trochę dalej, o twarzach zaciekawionych lub zaniepokojonych, ale wszystkich do pewnego stopnia wyrażających zdumienie.

Zdawało jej się, że wie dlaczego. Znalazła się przed nimi ubrana w za dużą kurtkę Kita i owinięta w jego pled, leżąc na nim w najbardziej niedbałej z pól. Z wysiłkiem spróbowała się poprawić i... och! Bez ostrzeżenia świat zawirował szerokimi kręgami i poleciała twarzą w dół na powrót w ramiona Kita.

Zapomniała, jak bardzo była i jeszcze jest osłabiona. A już jej się zdawało, że zaczyna myśleć jaśniej i że nie jest jej tak zimno jak przedtem. Właściwie czuła się całkiem dobrze i po raz pierwszy, odkąd ruszyła w tę podróż, uświadomiła sobie, że się nie boi. Przestała się bać w trakcie słuchania opowieści, którą wymusiła na Kicie. Zaczęła rozumieć charakter mężczyzny, który poprzysiągł jej bronić. Kit MacNeill nie jest okrutną, zimną, niszczącą maszyną. Pod pewnymi względami... nie bardzo różni się od niej.

Zdumiała ją ta konkluzja i speszyła. Całkowicie zmaćlała spokój jej myśli.

I to właśnie teraz, gdy wreszcie poczuła się pewnie. Westchnęła głęboko.

- Co ona mówi?

- Coś ty zrobił?

- Christianie, chyba nie...

- Biedactwo...

- Nic nie zrobiłem - oświadczył Kit stanowczo. - Ale dziękuję wam za wzruszającą ufność w moją moralność. - Delikatnie zakołysał Kate na kola-

nach, co wprawiło jej świat w leniwe obroty. Zacisnęła powieki i kazała mu znieruchomieć. Świat nie posłuchał.

- Ależ, Christianie, nawet przez myśl nam nie przeszło nic takiego.

- Nie takiego, to innego - odparł Kit sarkastycznie, przygarniając ją ciasniej, gdy przerzucał nogi przez brzeg faetonu.

- Może któryś z was przytrzymałby konia? - Gdy zeskakiwał na ziemię, wstrząs sprawił, że pod zamkniętymi powiekami Kate rozprysły się kropelki światła.

- Och!

- Christian, co ty robisz z tą kobietą? - Przez beładną gadaninę reszty przebił się nowy głos, pełen namaszczonej powagi i podejrzliwy.

- Trzymam ją na rękach. Kit nie wydawał się bardzo przejęty. - I będę trzymał dalej.

Przez ułamek sekundy Kate miała chęć otworzyć oczy i wyjaśnić sytuację mężczyznom, którzy ich otaczali, ale naprawdę nie czuła się w nastroju do składania wyjaśnień i bardzo nie chciała, by świat zakręcił się po nowej orbicie, a przy tym wydało jej się całkiem miłe, że może zrzucić wszystkie sprawy na kogoś innego. W jego ramionach czuła się o wiele przyjemniej. Nie otworzyła zatem oczu i pozwoliła ciału bezwładnie spoczywać, dziwiąc się sobie, że nigdy wcześniej nie doceniła korzyści płynących z udawania zemdlonej.

- Tyle sam widzę - oświadczył ten sam władczy głos. - Chodzi mi jednak o to, po co przywiozłeś tutaj tę kobietę? Jesteśmy zakonnikami. Nasza reguła nie dopuszcza obecności kobiet.

- Tę jedną musicie znieść - oznajmił Kit i zrobił krok naprzód. - Jest chora.

- Co jej jest? - spytał brat Fidelis, u którego współczucie zaczęło brać górę nad podejrzliwością.

- Przede wszystkim jest na pół zamarznięta, ale chyba też trochę wygłodzona. - Dla podkreślenia swoich słów, zakołysała ją lekko na rękach. Świat jej zawirował. - Dokąd mam ją wziąć?

- Christianie. - MacNeill zatrzymał się. Kate poczuła, jak napinają się jego ramiona i tors.

- Ojczy opacie. ~ Pełen szacunku zwrot w ustach MacNeilla brzmiał jak wyrzut. - Nie przywiozłem tu tej młodej damy, żeby ją obrabować albo skompromitować. Ani też, mimo że bez wątpienia wniosłoby to trochę ożywienia, nie przywiozłem jej po to, by mogła zedrzeć z siebie odzienie i jak szalona biegać po klasztorze. Przy wiozłem ją, bo nie miałem innego wyboru. Tak jak wy, ojczy, jako dobry chrześcijanin i benedyktyn, nie macie innego

wyboru, jak tylko ją przyjąć. W końcu, pasterzu -jego niski głos był pełen sarkazmu- to tylko jeszcze jedna bardzo zagubiona, bardzo zziębnięta owieczka.

Kate odliczyła pięć miarowych uderzeń serca w ciszy, która nastąpiła po wyzywających słowach Kita, bo nawet w swym obecnym stanie wyczuła ich ton.

Potem opat rzekł:

- Sarkazm nie przystoi człowiekowi o twoim wykształceniu i...  
- ..wychowaniu? - Pytanie padło z pozoru swobodnie, ale zadźwięczała w nim niepokorna nuta.

- Chciałem powiedzieć, zasługach - odrzekł opat chłodno. - A co do młodej damy, może zostać, dopóki nie nabierze sił do dalszej podróży. A odzyska je bardzo szybko. Nalegam na to, bracie Marcinie - skończył surowo, a ktoś, kogo Kate nie widziała, coś odburknął.

- Możesz ją zabrać do... - opat zawahał się - ..do cieplarni. Na tyłach jest tam mała szopa. Zdaje mi się, że jest w niej prycza. - Kiedy już ją ulokujesz, zrób mi tę uprzejmość i przyjdź do mojej celi, Christianie. - Nie była to prośba.

- Może ojciec być tego pewien. - Nie było to ustępstwo.

Nie czekając na dalsze wskazówki, Kit oddalił się od gromadki szepczących mnichów. Po przejściu paru metrów wymruczał:

- Już może pani otworzyć oczy. Brązowa zgraja została daleko w tyle i o ile ich znam, a jest tak z pewnością, nie wykrzeszą z siebie dość odwagi, by odwiedzić panią wcześniej niż po obiedzie.

- Skąd pan wiedział, że jestem przytomna? - spytała Kate, spoglądając mu w twarz. Bardzo surowe, ponure oblicze, wyrzeźbione przez życie pełne trudności i okrucieństw, kryło w spojrzeniu, które na nią skierował, isierki rozbawienia.

- Pomimo przekonującego bezwładu, z jakim osunęła mi się pani na piersi? Poderwała głowę.

Skarciła go cichutkim westchnieniem. Teraz przyzwoitość nakazywała wydostać się z jego objęć. Chociaż było jej wygodnie tak jak jest. Ale dama powinna się zachowywać jak dama.

- Mogę chodzić.

- Może i tak - zgodził się. - Ale nie zechce pani chyba zepsuć naszego przedstawienia. Dobrzy bracia już żywią mnóstwo uprzedzeń do kobiecości. Nie chodzi o to, że winią konkretne osoby waszej płci, proszę pamiętać. To byłoby nie po chrześcijańsku. Mają jednak poważne wątpliwości na temat kobiet w ogólności. Uważają je za słabe i perfidne, ale w czarujący i de-

moralizujący sposób. Są jednak współczujący wobec tych nieszczęsnych, sprowadzonych na złą drogę lekkoduchów, którzy ulegną ich urokowi. Wcale bym się nie dziwił, gdyby się okazało, że już teraz moja nieśmiertelna i zbyt podatna na pokusy dusza jest umacniana dziesiątkami modlitw.

- O!

- Niech się pani nie zachłystuje oburzeniem, pani Blackburn. Udawała pani zemdloną, a to świadczy o tym, że podejrzenia dobrych braciszków nie są nieuzasadnione.

- Daje pan do zrozumienia, że jestem perfidna? - spytała, szeroko otwierając oczy, jak uosobienie niewinności.

Uśmiechnął się.

- A jakże. I gdyby nagle wyrwała mi się pani z objęć i żwawo pomaszowała, tylko by to potwierdziło ich podejrzenia, że kobietom nie można wierzyć.

- Może naprawdę nie można - powiedziała Kate. - Może znajduje się pan w strasznym zagrożeniu z mojej strony, słabej i perfidnej kobiety. Nigdy bym sobie nie wybaczyła wystawienia na ryzyko demoralizacji takiego niewiniątka jak pan. Nalegam, by mnie pan postawił na ziemi.

Wybuchł serdecznym śmiechem.

- Kate Blackburn, kto by panią podejrzewał o tyle bezczelności?

Ten śmiech ją rozbroił. Rozbawienie nadawało zielonym oczom Kita ciepło.

- Nie wiem, o co panu chodzi - powiedziała, pragnąc, by jeszcze raz się roześmiał.

- O to, że młode wdowy z wysokich sfer, z widokami na powrót do towarzystwa, nie powinny czarować prostaków. - Wyraz jego twarzy subtelnie się zmienił, oczy błyszczały mu drapieźnie. - To może być niebezpieczne. Nigdy nie wiadomo, co taki robi.

Uniósł ją wyżej i przygarnął bliżej ust. Skuliła się i cofnęła, chociaż coś jej podszeptywało, by wyjść mu naprzeciw, zostać tam, gdzie jest, przekonać się, co zrobi. Fala strachu powróciła, ale nie był to strach przed Kitem MacNeillem, lecz przed samą sobą, przed tym, do czego byłaby zdolna przy najmniejszej zachęcie. Dzięki Bogu, że jest tak tchórzliwa.

- A może pani wie? - szepnął, wpatrując się jej w oczy.

- Nie - wymówiła prawie bezgłośnie i rozejrzała się, zmuszając się do poznawania nowego otoczenia.

W jej niedoświadczonych oczach St. Bride's nie wyglądało na opactwo, lecz na małe osiedle zabudowane w prostokąt i otoczone murami. Jeden bok prostokąta stanowił niski kamienny budynek. Jego dach osłaniał otwartą

frontową galerijkę, prowadzącą do kilkunastu drzwi. W narożniku przylegała do tego budynku *piętrowa* budowla z *mocno* spadzistym dachem. Zapewne kaplica, pomyślała Kate. Wzdłuż pozostałych dwóch ścian wznosił się ciąg budynków różnej wielkości i w różnym wieku, żaden nie wyróżnił się szczególnym stylem architektonicznym i wszystkie najwidoczniej wznoszone, jak dyktowała potrzeba i pozwalały dostępne materiały.

W gruncie rzeczy jedyną cechą wyróżniającą to miejsce, było jego położenie. Ponad klasztorem i wszędzie wokół wznosiły się ośnieżone góry. Na wschodzie promienie słońca spływały po ich białych zboczach, ogrzewając małą osadę przykucniętą u podnóża i pozwalając nawet w listopadzie na utrzymanie się paru skrawków zieleni nieskażonych podmuchem zimy. Zimny wiatr, który stale im towarzyszył przez ostatnie dwa dni, całkowicie ucichł, w powietrzu czuło się delikatność i miękkość. Musieli znaleźć się w głębokiej dolinie, gdzie panował rodzaj mikroklimatu.

-- Tu nie jest tak zimno, prawda? - mruknęła.

- Nie. Nigdy nie jest - odparł Kit, zatrzymując się na chwilę przed solidną furką w kamiennym murze. Skręcił w nią i tyłem wszedł do środka.

Wkroczyli do ogrodu różanego, wypielęgowanego jak wszystkie *inne* w całej Anglii. Ścieżka wysypana drobnym żwirem okrążała studnię obłożoną marmurem, której obwód dzieliły na równe odcinki puste kratki na pnącza. Po obu stronach furty ciągnęły się tarasowe grządki nowych sadzonek, oczekujących ataków zimy pod grubą warstwą liści. Cała tylna część ogrodu, jak stwierdziła ze zdumieniem Kate, była zabudowana szkłem, tworząc z pewnością najbardziej odludną, jeśli nie najbardziej na północ wysuniętą cieplarnię w Wielkiej Brytanii.

Kit niósł ją prosto ku tej budowli i pchnął kolanem drzwi cieplarni. Kate zabrakło tchu. Na zewnątrz świat okrywała już brązowoszara opończa zimy, wewnątrz cieplarni resztki oznak lata jeszcze nie zostały usunięte. Pnące róże obrastały mozaikę szybek, tworząc sklepienie, z którego nadal zwisało trochę kwiatów, czerwonych, karminowych i różowych jak muszelki. Były to jednak tylko niedobitki tegorocznej obfitości, stara gwardia, która przetrwała ponad swój naturalny czas życia. Nawet leciutki ruch powietrza wywołany otwarciem drzwi powodował opadanie z góry wiru brązowych na brzegach płatków.

Kit mijał wspaniałe kwiaty, nie zatrzymując się, i wkrótce dotarł do małej szopy z dzielonymi drzwiami. Wewnątrz znajdowała się niewielka sznurowa prycza przykryta kilkoma kocami i parę półek zastawionych łopatkami, narzędziami i doniczkami z sadzonkami w różnych stadiach wzrostu.

Kit położył Kate na pryczy, wyprostował się i sięgnął po gliniany dzbanek u swych stóp. Powąchał zawartość, napełnił kamionkowy kubek i podał Kate.

- Proszę się napić.

Wzięła kubek z wdzięcznością i połykała łąpczywie czystą chłodną wodę, nie przejmując się, że kapie jej po brodzie. Strasznie chciało jej się pić. Skończywszy pić, oddała mu kubek i z zakłopotaniem otarła rękawem mokrą brodę i usta. Wyrzała przez górą połowę drzwi, którą Kit zostawił otwartą, na zielony gąszcz róż.

- To jest niezwykle.

Podążył wzrokiem za jej spojrzeniem.

- Myśmy to zbudowali - mruknął, jakby odgrzebując w pamięci coś dawno zapomnianego.

- Kto?

- Ja razem z Ramseyem i Dandem... i Dougłasem. - Popatrzył na nią. - To tutaj się wychowałem. Tu nauczyłem się mówić, czytać, pisać. I tu nas szkolono.

- Ale nie na księży - przypomniała.

Rozśmieszyło go to.

- Nie. Nawet ojciec Tarkin nie pogodziłby się z pomysłem zrobienia z księży skrytobójców.

- Skrytobójców? - Oniemiała.

Wzruszył ramionami.

- A jak nazwać kogoś, kogo się wyszkoliło po to, by go użyć jak broni? Jak pani myśli, co mieliśmy tak naprawdę zrobić w Malmaison?

Nim zdążyła odpowiedzieć, już go nie było.

Skrytobójca.

To nie była jej sprawa. Ani straszne słowo, jakim się nazwał, ani nawiedzony wyraz jego oczu, ani gorzkie rozbawienie, z którym obserwował, jak się od niego odwraca.

Bogu dzięki, że to powiedział, pomyślała rozżłoszczona. Ona wyobraża go sobie jako oswojone jagnię, choć na każdym etapie ich podróży dostarczał jej dowodów, że jest wilkiem. Już nigdy o tym nie zapomni. Napięcie ostatnich dni, brak snu i głód przysięgły się, by zmienić jej mimowolną zależność od MacNeilla w coś... Nie! Nic zmieniło się w mniej niż nic.



Christian MacNeill wkrótce zniknie z jej życia. Nie musi rozmyślać o jego przeszłości ani przyszłości. [ nie powinna. Ma się zająć własną historią i przyszłością.

Stukanie w ścianę szopy przerwało jej rozmyślenia. Rozejrzała się i zobaczyła dwóch mnichów przygarbionych po obu stronach kufra Grace, sapiących z wysiłku przy wnoszeniu ciężkiego bagażu. Kompletnie zapomniała o kufrze Grace. Doprawdy, omal nie zapomniała, po co w ogóle odbywa tę podróż i jakie ma być jej upragnione zakończenie. Dobrze zrobi, jeśli sobie przypomni.

Mnisi zerknęli na nią ukradkiem, upuścili kufer przy drzwiach i umknęli. Wciąż czując się słaba, opadła na poduszkę. Musi wrócić do sił, a potem ruszyć dalej do zamku Parnell. Zwariowana podróż stanie się anegdotą, którą uraczy markiza w trakcie jakiegoś obiadu w niedalekiej przyszłości.

Zastanowiła się, czy Kit coś jadł...

- Pani Blackburn? - Potężny brat Fidelis ukazał się w otwartych drzwiach w towarzystwie zasuszonego białowłosego starowiny, który, jak podejrzewała Kate, prowadził infirmerię, ponieważ przyniósł ze sobą różne przykro pachnące mikstury. Uznali widać, że zapadła w drzemkę, bo uciekli, pierwszy mamrocząc słowa przeproszenia z uśmiechem zakłopotania, drugi burcząc pod nosem jakieś złośliwości.

Zaraz potem zjawił się nerwowy mały człowieczek, wcisnął w jej dłonie talerz gorącej duszonej wołowiny i wycofał się za drzwi, gdzie czekał przysadzisty mnich. Wygłodniała, z trudem zmusiła się, by powoli spożywać smakowitą strawę. Gdy skończyła, świat wydał jej się lepszy i postanowiła zapytać kogoś z następnych odwiedzających, dokąd poszedł Kit. Wkrótce pojawiła się następna dwójka, by zabrać pusty talerz, ale zanim Kate zdążyła zadać im pytanie, rzucili się pospiesznie do ucieczki.

Przez chwilę usiłowała zrozumieć, co się dzieje, ale gdy wreszcie to pojęła, uśmiechnęła się szeroko. Przysyłano ich parami, by mogli się wzajemnie ochraniać. Przed nią! Nadzwyczajne! To zajmie chyba oddzielny rozdział w jej książce: *Szokowanie mężczyzn żyjących w celibacie*. Nie mogła opanaować chichotu.

Kiedy brat Marcin i brat Fidelis zjawili się ponownie, tym razem, by zmierzyć jej puls i ocenić jej bladość, spuściła nogi z pryczy. Obaj mnisi odskoczyli od niej, jakby miała jej wyrosnąć druga głowa.

- Proszę leżeć i wypoczywać, młoda damo! - skrzypiącym głosem zalecił stary brat Marcin, chowając się za brata Fidelisa, który starał się wyglądać w sposób wzbudzający respekt. Niestety, zatroskana twarz przeczyła wszelkiej groźbie, którą sugerowała jego postura.

- Czuję się dużo lepiej - powiedziała, chociaż naprawdę zdawało jej się, że zamiast stawów ma galareteę, i drapało ją w gardle. - Chciałabym zobaczyć się z panem MacNeillem.

- Przyjdzie, jak będzie pora - wykrztusił brat Marcin zza pleców brata Fidelisa. Ten ostatni uśmiechnął się niewyraźnie.

- Będę zatem musiała go poszukać.

- Nie może pani. Nie wolno! To wbrew regule!

- Nie jestem mnichem, więc wasza reguła do mnie się nie stosuje.

- Reguła stosuje się do każdego! Poza tym pan MacNeill jest zajęty przygotowaniem do odjazdu.

- Co? - Nagle znikła cała jej beztroska. On ją opuszcza?

- Tylko na parę dni - powiedział brat Fidelis uspokajająco. - Dopóki nie wydobrzeje pani na tyle, by móc podróżować. Ma pewne, hm... naglące sprawy, których musi dopilnować.

- Jakie naglące sprawy? - spytała.

- Tego nie potrafię powiedzieć, pani Blackburn. Ale wiem, że poprosił opata, żebyśmy się panią zaopiekowali pod jego nieobecność.

- Doprawdy? - spytała, dziwnie dotknięta, co było absurdalne, bo cóż innego mógł zrobić, jak nie poprosić opata? Nie mógł przecież zostawić im jej na progu i odjechać, jakby była podrzutkiem. Choć w gruncie rzeczy, dlaczego nie?

- Ano tak - bąknął bezcielesny głos zza zwałistego Fidelisa. - Odjechał jak wariat. Oto co świat mu zrobił.

Kate miała już dosyć złośliwych docinków starego mnicha.

- Nie zgadzam się prowadzić rozmowy z kimś, kogo nie widzę - burknęła, zaglądając za brata Fidelisa.

Brat Marcin wyskoczył z przeciwnej strony, ujawszy się kościstymi dłońmi pod wychudzone boki. '

- Dlatego wystrzegamy się towarzystwa kobiet, bracie Fidelisie - oświadczył ponuro. - Pięć minut w towarzystwie jednej z nich i widać aż zbyt wyraźnie, jak są zatwardziałe i krnąbrne, samowolne i przekorne. Czyż nie?

- Nie całkiem.

- Co? - Brat Marcin zmierzył swego towarzysza spojrzeniem, które wyraźnie podawało w wątpliwość jego lojalność.

- Złożyłem śluby, kiedy umarła moja matka. Miałem wtedy dziesięć lat. - Okręła twarz brata Fidelisa przybrała rozrzuwiony wyraz. - Mama bardzo mi się podobała. Miała włosy tak ciemne jak ta oto młoda dama. Zapomniałem, jakie były ładne.

Kate uśmiechnęła się triumfalnie do starego mizoginisty, który bez słowa podkasał habit i wypadł z szopy, zostawiając brata Fidelisa sam na sam z nią. Wobec ucieczki towarzysza odwaga brata Fidelisa osłabła. Zaczął przesuwac się chyłkiem ku drzwiom.

- Proszę zostać - powiedziała Kate.
- Nie sądzę, by ojciec opat to pochwalał.
- Proszę więc zaczekać za drzwiami szopy, a ja zostanę tutaj. Co w tym może być złego?

Nie dał się udobruchać. Spróbowała podejść go inaczej.

- Ta cieplarnia jest cudowna, nieprawdaż?

Zatrzymał się, a jego twarz rozpromieniła duma.

- Pan MacNeill powiedział, że zbudował ją wraz z kolegami.

- I tak było. Byli wtedy ledwie podrostkami. Albo przyłóż ręce do Bożego dzieła, albo diabeł ci je przyłoży do swego, mówiłem ojcu opatowi.

- Bardzo mądrze. - Znów usiadła na pryczy i przyjrzała mu się wnikliwie. - Ta konstrukcja jest niezwykła. Ktoś musiał ją starannie obmyślić. Z pewnością nie jest to dzieło chłopców. Czy to brat był architektem?

Zaróżowił się z zadowolenia.

- No cóż...

- Ach! - Kiwnęła głową. - A więc zgadłam. Proszę mi powiedzieć, jak brat obmyślił ten projekt?

Spuścił skromnie oczy. I dał się wciągnąć w rozmowę.

## *Wytyczenie realnych celów i skupienie się na nich*

*St. Bride's, 1797*

Czy są oddani? - spytał Francuz, przyglądając im się badawczo.

- Tak. - Spojrzenie ojca opata padło na Kita, przesunęło się na Douglasa, potem na Danda i Ramseya. - Ale oni służą Bogu. Nie Francji.

- Służąc Francji, będą służyć Bogu.

- Do tego ich przeznaczono! - W głosie wygnanego francuskiego księdza Toussainta brzmiało zniecierpliwienie. - W całej Anglii mogliśmy

szukać przez sto lat i nie znaleźlibyśmy młodych ludzi lepiej przygotowanych do tego, co zdolni są zrobić ci tutaj.

- A cóż to jest? - Douglas wysunął się naprzód.

Nowo przybyły francuski szlachcic skarcił go chłodnym spojrzeniem, lecz odpowiedział.

- Udać się do Francji i dopomóc w przywróceniu monarchii.

- I Świętego Kościoła - przypomniał opat gościowi.

- A jeśli nam się nie uda? - spytał Dand.

- Musi się udać - odparł nieznajomy. - Już czas. Dyrektoriat się chwieje po tym, jak miał śmiałość wypędzić Ojca Świętego z Rzymu. Ludzie mają absolutnie dość świętokradztwa, takiego jak zeświecczenie katedry Notre Dame, przemianowanie *jej* na Świątynię Rozumu i powołanie nierządnicę na jej kapłankę. - Przeżegnał się. - Niewiele trzeba, by wywołać chaos w tak zwanym rządzie, a potem? Odzyskamy Francję.

Kit przemierzał dziedziniec, osaczany przez żywe wspomnienia swych ostatnich tu odwiedzin. Byli tacy gorliwi, z ich młodzieńczym zapałem, marzeniami o chwale, pobożnością i butą.

Idąc, czuł na sobie wiele oczu śledzących go z niepokojem. Niech tam, niech się boją. Nie dba o ich obawy. Ani jej. Nie dopuszczał do siebie obrażonej twarzy, zmienionej od zmieszania i strachu, gdy wypowiedział słowo: skrytobójca. Cóż, uwolni ją od swego towarzystwa przynajmniej na kilka dni. I sam uwolni się od niej.

Wie o nim za dużo, za bardzo się do niego zbliżyła. Kryje się w tym niebezpieczeństwo, syrenie wezwanie do intymności, na którą on nie może sobie pozwolić. Ani nie chce. Odsłoniła w nim jątrzącą ranę, wyzwoliła pragnienia, o których myślał, że umarły, choć tylko pozostawały w uspieniu.

Pragnienie. Pożądanie. Potrzeby ciała. Nie były dla mężczyzny, jakim się stał, a więc oczyścił się z nich. A tego łatwiej będzie dokonać daleko od niej. Od jej zapachu i głosu, ciemnych oczu i gibkiego ciała...

Pchnął z rozmachem drzwi domu opata i pozwolił, by same się za nim zatrzasnęły, minął młodego akolitę, stojącego na straży, i skierował się do biblioteki. Była otwarta. Opat zasiadał przy ogromnym biurku, czekając z dłońmi złożonymi na stosie papierów.

Wyglądał dokładnie tak, jak go Kit zapamiętał: ta sama strzecha białych włosów, ten sam szpiczasty nos nad wąskimi surowymi ustami, głęboko osadzone oczy, spoglądające na świat z niezmaconym spokojem. Kita uraziło to, że podczas gdy on sam zmienił się nie do poznania, nie tylko na ciele, ale; i na duchu, ten człowiek wydawał się nietknięty przez świat, w który wysłał Kita i jego towarzyszy.

- Christianie. - Opat wyciągnął dłoń do ucałowania. Kit popatrzył na nią chłodno. Opat cofnął rękę.

- Modliłem się o twój powrót. - Ten sam głos, przepojony spokojną godnością i władczą.

- Nie miałem innego wyboru.

- Wiem. Jesteś tu jednak, z czego się cieszę. - W jego sposobie bycia czy wyrazie twarzy nie było śladu obawy, wyrzutu ani nieszczerości.

- Dlaczego?

Opat nie odpowiadał, jakby Kit dobrze znał odpowiedź i rozmyślnie udawał tępego.

- Jesteś w rozterce. Ja byłbym cię uspokoił.

- Naprawdę? - Kit leciutko się uśmiechnął. - Dobrze. Proszę, niech mi ojciec powie, kto wydał nas Francuzom.

Opat cicho westchnął.

- Tego nie wiem.

Kit wałnął dłońmi o blat biurka, aż papiery podskoczyły. Opat ani drgnął.

- Tylko pięciu ludzi mogło nas zdradzić. - Kit przechylił się ku opatowi nad biurkiem. - Ramsey Munro, Andrew Ross, Douglas Stewart, brat Tousseint i ja. Douglas nie żyje. Pozostaje czterech.

- Co chciałbyś ode mnie usłyszeć, Christianie? Gdyby ktoś wyznał mi to na spowiedzi, nie mógłbym ci powiedzieć.

- Chcę nazwiska człowieka, który nas zdradził. To on odpowiada za śmierć Douglasa. I dostanę je. Na Boga, dostanę.

- Mam nadzieję, że składasz przysięgę, a nie przeklinasz.

Ze zdławionym jękiem rozpaczy Kit oderwał się od biurka i obrócił na pięcie.

- Proszę, powiedz mi, ojcze, kto spośród nas, według ojca osądu, był zdolny do zdrady?

- Nie mogę sobie wyobrazić, by którykolwiek z was był zdolny do takiego wiarołomstwa. Nie Ramsey, nie Andrew - mówił opat spokojnie. - Nie

**ty.**

Christian rozdrażniony odgarnął z twarzy złotawe włosy.

- A co z Toussaintem? Nie widzę go. Już to z pewnością wskazuje na nieczyste...

- Brat Toussaint opuścił klasztor pięć lat temu i wrócił do Francji. Zaczął sekretnie pełnić obowiązki duszpasterskie, narażając się na wielkie ryzyko.

- Doprawdy? - Głós Kita wprost ociekał powątpiewaniem. - Jakże miał ojciec od niego wiadomości od tego czasu?

- Istnieje obawa, że wykryto go i stracono - odparł opat wymijająco.

Kit zmrużył oczy.

- Ale nie jest ojciec tego pewien.

- Nie - przyznał opat niechętnie. Wstał. - Czy nie możesz z tym skończyć? Masz młodą kobietę...

- Ona nie jest moja - rzekł Christian. - Jestem jej zobowiązany. Dotrzymuję swych zobowiązań, a ona jest jednym z nich. Kiedy z nią skończę, znajdę mordercę Douglasa.

Tak - zgodził się opat. - A kiedy już go znajdziesz, co zrobisz, Christianie?

Wilczy uśmiech błysnął na ogorzałej twarzy młodego człowieka.

- Nie nadstawię drugiego policzka. To mogę przyrzec.

- Zemsta jest moja, rzecz Pan.

- A ja jestem narzędziem Pana. Czyż nie tak mnie ojciec uczył?

- Jest w tobie mrok, Christianie, którego dawniej nie było.

- Dawniej nie byłem napiętnowany, ojcze opacie - odparł chłodno. - Nie każdy ogień hartuje ducha. Czasami po prostu parzy.

Dymiąca olejowa pochodnia zamocowana w uchwycie przy drzwiach migotała jak szalona, miotając światłem po ciemnych ścianach.

Pośrodku izby płytki piecyk dymił i płonął, przed nim stał strażnik, z rękoma splecionymi za plecami, kołysząc się lekko na palcach.

- Mam dla ciebie upominek. - Uśmiechając się, podniósł znad ognia długi żelazny pręt. Jego koniec, skręcony na kształt stylizowanej róży, jarzył się pomarańczowo w mrocznym pomieszczeniu.



- Nigdy w to nie uwierzę.  
- Może ojciec wierzyć, w co zechce. Ja już raz uwierzyłem. Uwierzyłem w was.

- Lepiej byś uczynił, uwierzywszy w Boży plan.  
- Myślałem, że to wy jesteście Bożym planem! - Słowa wyrwały mu się z głębi duszy, udręczone i gorączkowe. Potem wyraz cierpienia znikł i opat znów miał przed sobą opanowanego młodego mężczyznę o twardym spojrzeniu. - Nie dlatego tu przyszedłem.

- Zatem dlaczego, Christianie?  
- Znalazłem wianek z róż. Żółtych.  
- Gdzie? - spytał opat zaskoczony.  
- W ruinach zamku na wrzosowisku. Był założony na szyję martwego szczura.

Zmarszczki wzdłuż nosa opata pogłębiły się, gdy wpatrywał się niewidzącymi oczyma w papier pod ręką.

- Co o tym sądzisz?  
- Nie wiem - odrzekł Kit. Nie wiedział, jaką grę prowadzi opat, a dopóki się nie dowie, nie zamierza mu podarować żadnej informacji. - Chcę tam wrócić. Rozejrzeć się dokładniej. Ale... - spuścił wzrok - nie mogę jej zabrać.

- Co ty robisz z tą młodą kobietą, Christianie? - spytał opat po chwili milczenia.

- Pełnię przy niej straż. - Wzruszył ramionami z udaną nonszalancją. - Jestem jej stangretem, jeśli ojciec sobie życzy. Eskortuję ją do zamku Parnell.

Spojrzenie opata nabrało ostrości.

- Zamek Parnell jest w Clyth, nieprawdaż? To niebezpieczna okolica ostatnimi czasy, pełna niespokojnych dusz. Markiza i jego rodzinę dotknęła tragedia.

- Skąd ojciec wie takie rzeczy? - spytał Kit. Zastanawiała go osoba nieugiętego, prostego jak struna starego człowieka. Opat zawsze zdawał się wiedzieć więcej, niż można się było spodziewać po jego stanowisku przeora zakonu. Nawet gdy Kit przebywał tu jako chłopiec, zasięg kontaktów opata był dyskretny, ale szeroki. - Ale co mają niespokojne dusze do obecnej żaloby markiza? Śmierć jego brata i bratowej była skutkiem wypadku.

- Tak słyszałem.  
- Ale ojciec w to nie wierzy?  
- Nie mam powodu nie wierzyć - odparł opat łagodnie. - Wiem tylko, że kiedy ubóstwo i desperacja obcują twarzą w twarz z zamożnością i uprzywilejowaniem, powstaje żyzna gleba dla intryg.

Kit nie wiedział, czy ma dać wiarę podejrzaniom opata.

- Chciałbym zostawić u was panią Blackburn. Chcę spróbować podjąć trop tego, kto zostawił szczura. Jeśli nie, popytam w okolicy, czy nie widzieli nieznajomego podróżnika w tych stronach.

- Boję się, że polujesz na widmo, Christianie.

- Nie poluję. Jeszcze nie, dopóki nie odstawię pani Blackburn bezpiecznie na miejsce. Tymczasem tylko prowadzę zwiad. Kiedy zapoluję, nie wrócę z pustymi rękami, obiecuję. - Wytrzymał zamyślane spojrzenie opata. - Czy zajmiecie się nią?

Opat kiwnął głową.

- Dobrze, Christianie. Zaopiekujemy się twoją panią Blackburn, póki nie wrócisz. Ale wróć przed Dniem Pańskim.

- Zdażę w trzy dni - obiecał Kit. - A ona nie jest moja.

Opat zapatrzył się w zamyśleniu na swe złożone dłonie, słuchając kroków Christiana, oddalających się w korytarzu. Młody człowiek stał się bardziej niebezpieczny i dużo bardziej drapieżny niż dawniej. Zapowiedź przemocy uczyniona przy jego urodzeniu doczekała się spełnienia; młody wilczek wcale nie został oswojony.

Myśli opata cofnęły się o dwadzieścia lat. Wkrótce po tym, jak został księdzem, postawił sobie zadanie odnalezienia kwiatu katolickiej Szkocji, ostatnich potomków starej góralskiej krwi. Przemierzał kraj, wysyłał emisariuszy, szukał zagubionych latorośli, z zamiarem ocalenia ich przed bagnem i zamtuzami miast. Znalazł tylko czterech.

To mu nie szkodziło. Kiedy już odkrył, z jak szlachetnego metalu byli wykuci, nowa idea zastąpiła jego pierwotny zamiar. Postanowił ich szkolić, doskonalić i stworzyć z nich rycerzy, współczesnych krzyżowców. Trzeba było tylko postawić przed nimi cel, który właśnie podsuwał francuski terror.

Opat pokręcił głową. Cóż za próżność, co za zdumiewająca zarozumiałość. Poniósł ciężką karę za swoją dumę. Ale Christian i reszta chłopców zapłacili jeszcze drożej. Byli sobie tacy bliscy. Bardziej niż rodzeni bracia, nawet... tak, nawet bardziej niż bracia z tego zakonu. Przyjaźń była najważniejsza w ich życiu, była czymś jedynym. I tę przyjaźń ktoś zrujnował.

Jak ta sprawa podziałała na tak wrażliwego młodzieńca jak Andrew Ross, który skrywał uczucia za niefrasobliwymi żartami? Albo na Ramsey'a,



przestrzegającego światowych manier z mgliście zapamiętanej przeszłości, której nie śmiał drażyć? Czy na Christiana, który nigdy nie należał do nikogo ani niczego, dopóki ci młodzi ludzie nie uznali go za swego?

Opat przetarł oczy dłońmi, przypominając sobie wyraz twarzy Christiana. Wyczerpany, odarty ze złudzeń, sponiewierany i złowrogi. Tak złowrogi, że opat, przez chwilę wpatrując się w oczy MacNeilla, uświadomił sobie własną śmiertelność. Nie przestraszył się, ale poczuł głęboki żal, że ci ludzie, którzy polegali na jego informacjach i wiedzy, bez jego pomocy staną się rozbitkami życiowymi, a jego pokuta nie zostanie dokonana.

Ale Christian nie podniósł na niego ręki. Coś się chyba za tym kryje, pomyślał opat. Tak jak jest coś w jego trosce o panią Blackburn. Dostrzegł zaborczość w sposobie, w jaki na nią patrzył, w jaki trzymał ją na rękach.

Ale teraz ma inne sprawy na głowie.

Westchnąwszy, otworzył list, który nadszedł rankiem tego dnia. Rozpoznał charakter pisma. Człowiek ten pisywał systematycznie, choć niezbyt często, i zawsze miał coś ciekawego do przekazania.

Takie zresztą były zadania Danda Rossa jako szpiega we Francji Napoleona.

## *Spoufalanie się z woźnicą: czego należy unikać za wszelką cenę*

Jeden z zakonników przyciągnął przed szopę małą ławeczkę i tam właśnie Kit zastał Kate, z twarzą wzniesioną ku bezchmurnemu niebu. Zachodzące słońce wtapiało się w górskie szczyty. W zapadającym zmierzchu kilka gwiazd migotało na gładkiej powierzchni firmamentu.

- Może dojrzymy Andromedę - powiedziała Kate cicho. Wyglądała dużo lepiej niż zaledwie przed kilkoma godzinami. Ciepło przywróciło różowość policzków, ciemne oczy odzyskały bystrość spojrzenia.

Przyszedł jej powiedzieć, że zostawia ją pod opieką mnichów, ale kiedy przed nią stanął, poczuł, że wcale nie ma na to chęci. Była piekielnie ładna, choć błada i krucha, podobna do światła gwiazd. I tak samo nieosiągalna.

Coś się zmieniło w ich wzajemnych stosunkach, jakoś inaczej się do niego odnosiła, wydawała się tak przystępna, że miał nieprzepartą ochotę z tego

skorzystać, nie zważając na szaleństwo tej zachcianki. Po prostu nie potrafił zmusić się do odejścia.

- Andromedę?

- Gwiazdozbiór - wyjaśniła z nutką dumy. - Nazwany od Andromedy, córki Cefeusza, króla narodu żeglarzy, i pięknej królowej Kasjopei.

- Proszę mi o tym opowiedzieć - zaproponował, niemal pewny, że mu odmówi. W jej oczach jest pokrytym bliznami nieznanym żołnierzem. A ona jest damą. Mogła tolerować jego towarzystwo, kiedy nie miała innego wyjścia, ale z pewnością teraz nie zechce z nim rozmawiać. Jak najuprzejmiej, rzecz jasna. Odtrąci go z nienagannymi manierami.

- Jeśli pan usiądzie.

Było tylko jedno miejsce, by usiąść, na ławce obok niej.

- Wolę postać.

- A ja wolę uniknąć strzykania w karku. Jest pan bardzo wysoki i stoi nade mną jak kat nad dobrą duszą, kiedy chce pan wyjaśniać dogłębnie coś, przy czym się pan upiera. A zdarza się to często. Przynajmniej wobec mnie.

Spojrzał na nią zaskoczony i ze zdumieniem odkrył, że się uśmiechnęła. Prowokująco. To kompletnie zniweczyło jego zamiar, by szybko odjechać.

- Zgodzi się pan wyrzec przewagi, jaką daje panu wyższa pozycja?

Usiadł.

- Moja pozycja, jak pani dobrze wie, jest niestety pod każdym względem niższa niż pani - powiedział szorstko. - A teraz proszę mi opowiedzieć o Kasjopei.

- Kasjopeja przechwalała się, że jest piękniejsza niż jej sąsiadka, bogini mórz. Świadczyło to nie tylko o godnych ubolewania manierach, ale dowodziło zastraszającego braku rozsądku, gdyż greckie boginie nie grzeszą wyrozumiałością. Są natomiast wyrafinowanie mściwe.

Uśmiechnęła się figlarnie, a on dojrzał w niej młodą kobietę, którą przeciwności losu zbyt często trzymały w ukryciu. Ta młodzieńca Kate o błyszczących oczach była zbyt urzekająca i zdecydowanie zbyt żywiołowa.

- Czyżby?

- O tak. - Kiwnęła z powagą głową. - My, śmiertelnicy, jesteśmy żalonymi amatorami, jeśli idzie o zemstę, panie MacNeill.

Nie miał zamiaru się spierać. Miał własne zdanie o zemście i swojej biegłości w tej dziedzinie.

- Obrażona bogini zażądała, by jej papa, którym był sam Posejdon, ukarał za próżność śmiertelną królową - ciągnęła Kate. - Jako kochający ojciec Posejdon zgodził się i zmusił króla Cefeusza do dokonania strasznego

wyboru: musi złożyć w ofierze okropnemu morskiemu potworowi albo swoją córkę, albo swój kraj.

- Niemiła alternatywa - wtrącił KJt, bo Kate urwała opowieść, a filuterny uśmiech zgasł nagle. - Co wybrał?

- Postanowił stać się bohaterem swojego ludu - mówiła dalej Kate sztucznie niefrasobliwym tonem. - Kazał swą córkę Andromedę przykuć łańcuchami do skały pośrodku morza, gdzie miała oczekiwać strasznego losu. Opuścił ją i pozostawił całkiem bezbronną.

Nie mówi już o greckiej księżniczce, pomyślał Kit. Mówi o sobie, swoich siostrach i ojcu.

- I co się stało?

- Perseusz - powiedziała dalej z wymuszoną beztroską pomykając wysoko nad ziemią w uskrzydłonych sandałach, wypatrzył nieszczęsną dziewczynę przyczepioną do na pół zatopionego głazu. Obniżył lot, wypytał o okoliczności jej opresji i prawidłowo ocenił, że interwencja może się okazać niezwykle korzystna dla przedsiębiorczego młodego bohatera.

- Urodzony polityk - stwierdził Kit z uśmiechem, a kruchość Kate przez moment wydawała się rozczulająca.

- Istotnie! - przyznała. - Zgładził zatem zamaszystym ciosem okrutną bestię, wyratował dziewczynę i przyjął w nagrodę część królestwa Cefeusza. I wszyscy żyli długo i szczęśliwie. Znacznie później, kiedy główni bohaterowie tej historii pomarli, bogowie uznali, że będzie z tego ładna ilustracja na niebieskim gobelinie i- ściszyła głos - oto jest tutaj. - Smukłą dłonią wskazała skupisko gwiazd. — Dziewica w okowach.

- Czy kiedykolwiek wybaczyła ojcu? - zapytał.

Nie odwracając twarzy od czystego nocnego nieba, spytała:

- Co miała mu wybaczyć? Postąpił jak król. Nie wątpię, że Andromedzie łatwo przyszło uściskać go, kiedy została uwolniona i bezpiecznie osadzona w pałacu bogatego, przystojnego męża. - Jej ton ostrzegł, by nie próbował drażnić dalej tematu, pozwolił więc jej się wykręcić.

- A są tam jeszcze inne panny?

Lekko westchnęła.

- Jeszcze nie. Ale niedługo ukaże się królowa Kasjopeja we własnej osobie.

- Skąd pani wie takie rzeczy? Nie mieści mi się w głowie, by astronomia należała do obowiązkowej edukacji młodej damy. Ale prawdę mówiąc, nie znam się na tym, czego powinny się uczyć młode damy. - Komu to przypominał? Jej czy sobie?

- Nieważne, czego się uczą- mruknęła Kate. - Nic nie zaradzi na ich bezbronność i niesamodzielność. Oprócz bogactwa.

No tak. Bogactwa. Soki żywotne arystokracji, bez których nic nie działa, nic się nie liczy i nic nie jest warte uwagi, pomyślał.

Kate obejrzała się na niego, jej ciemne włosy odbiły ogień zachodzącego słońca. Jej wargi, zawsze powabne i kuszące, teraz lśniły wilgocią -widocznie piła wodę lub wino - i Kit przypomniał sobie własną propozycję, właściwie groźbę, że mogłaby pić z jego ust. Mięśnie brzucha napięło mu požądanie, a ona nie zdawała sobie z tego sprawy. Była kompletnie nieświadoma, jakie spustoszenie czyni w jego ciele.

- Mówiliśmy o gwiazdach, prawda? - Uśmiechnęła się, wyraźnie nie chcąc, by coś zmaćło pogodną rozmowę. Nie potrafił odgadnąć, dlaczego okazuje mu tyle uprzejmości. - Mój ojciec był zapalonym astronomem. Jednym z moich najwcześniejszych wspomnień, jest to, jak siedzę mu na kolanach i patrzę przez teleskop. Gdyby niańka nas przyłapała, poszłaby na skargę do matki i mielibyśmy za swoje! - Roześmiała się, a jego serce zabiło mocniej. Zaprzagnął, by znów poczuć, jak wtula się w niego, omdlewająca, wiotka i bezwładna od senności... a może rozkoszy.

Starał się poskromić rozszalałe myśli.

- Siostry też to interesowało?

- Nie. - W jej głosie zabrzmiał cień dziecięcej wzgardy i musiała się na tym przyłapać, bo zmarszczyła nos, sama sobie udzielając nagany. - Charlotte była jeszcze małym dzieckiem. Helena czasami przychodziła, ale zawsze zasypiała po paru minutach i trzeba ją było odnosić do łóżka. - Zdarzało się, że Grace zostawała, by oglądać nocne niebo. Zawsze była taka dociekliwa i nad wiek rozumna. Upierała się, że kupi sobie gwiazdy i zrobi z nich naszyjnik. - Powoli przesunęła palcem po niebie, wskazując szeroki pas gęsto usiany gwiazdami. - Grecy nazywali to „Drogą bogów”. Tak mówił ojciec.

Ojciec. Kit wahał się, popychany nagłym impulsem, którego nie rozumiał. O związkach między rodzicami a dzieckiem wiedział mniej niż o drugiej stronie księżycy, ale rozumiał jej cierpienie, poczucie, że została zdradzona. Ogarnęła go fala współczucia, a przecież, wielki Boże, nie chciał nic czuć do Kate: ani współczucia, ani czułości, ani zrozumienia. Godził się z żądzą, która nim targała, bo żądza była bezpieczna. Stwarzała dystans.

- Nie miał zamiaru porzucić swoich bliskich, Kate. Nie spodziewał się, że umrze.

Zesztywniała z oczyma wciąż utkwionymi w dalekim niebie.

- Nie musiał umierać. Miał wybór. Sam pan to powiedział. - Przeniosła na Kita mroczne spojrzenie. - Ofiarować się w taki sposób było... nieodpowiedzialnością! Miał obowiązek zapewnić nam przyszłość i chronić swoje życie! Gorąco chciałabym wiedzieć, dlaczego wolał umrzeć za was, niż żyć dla nas?

Nie obraził się. Doskonale ją rozumiał, jak chyba nikt inny. Straciła rzeczy, które były jej najdroższe, na skutek czegoś, co uznała za zdradę. Tak, rozumiał to aż nadto dobrze.

Nagle szeroko otworzyła oczy z wyrazem zażenowania.

O! Tak mi przykro. Nie to miałam na myśli. Sądziłam tylko, że nas kochał...

Zignorował te przeprosiny.

- Bo kochał. Ale musiał zrobić to, co... szukał właściwych słów - ..co musiał zrobić.

- Chciałabym móc w to uwierzyć. - Spuściła wzrok na dłonie, które spłótła na kolanach, skubiąc nerwowo palce. - Wiem, że nie powinnam myśleć w ten sposób. Ale to nie ma znaczenia, prawda? Kiedy się coś czuje głęboko, rozum nic dochodzi do głosu. - Popatrzyła na niego bezradnie. - Jak to panu wytłumaczyć?

- Ja to rozumiem.

Przekrzywiła głowę pytająco, a w czarnych jak noc oczach zatliła się iskra zrozumienia, że ktoś inny dźwiga podobny ciężar.

- Tak - szepnęła ledwie dosłyszalnie. - Tak. Oczywiście, że pan rozumie.

A on ze zdumieniem spostrzegł, że na myśl o zdradzie i utraconych towarzyszach czuje smutek zamiast dotychczasowej wściekłości.

Oczy Kate załśniły.

- Jak pan się godzi z tą zdradą?

- Nie godzę się - odparł, a jego głos nabrał stanowczości. - Żyję nadzieją, że odkryję prawdę i że kiedyś uda mi się spojrzeć w twarz człowieka, który nas sprzedał.

- A jeśli zdrajca nie żyje?

Dlaczego właśnie ona? Dlaczego jest w niej tyle zrozumienia, taka głęboka, spontaniczna szczerłość?

- Nie wiem, co zrobię.

- A ja wiem - powiedziała posępnie. Pochyliła się ku niemu. - Niech pan machnie na niego ręką. Kimkolwiek jest.

- Nie mogę. Pozostał dług wobec Douglasa.

Wyraz prośby zniknął z jej twarzy.

- Z pewnością nie wypada mi krytykować tego pana przymiotu.

Czego od niego oczekuje? Wyznania, że nawet gdyby nie ślubował jej rodzinie ani jej samej nie przysiągł wiernie służyć, i tak zrobiłby wszystko, by była bezpieczna, otoczona troską i zadowolona? Że gotów dla niej walczyć? I kraść? Zrezygnować z własnego życia?

Wstał.

- Wyjeżdża pan - stwierdziła obojętnie.

- Tak.

- Pilne zobowiązanie towarzyskie.

Chciał znów usłyszeć jej śmiech, ale jakaś część jego osoby pragnęła usłyszeć zupełnie inny dźwięk, słyszeć jak oddech zamiera jej z pożądania i uległości. Mimowolnie zapatrzył się na miękką nabrzmiałość jej dolnej wargi, na połysk skóry, widocznej spod wełnianego kołnierza narzutki, na delikatność smukłych, znaczonych błękitnymi żyłkami dłoni i blask jej oczu.

Pożądanie wybuchło w nim tak intensywnie, że przez chwilę kręciło mu się w głowie. Musi wyjść.

- MacNeill?

Za murem ogrodu jest studnia. Kiedyś woda była w niej lodowato zimna. Bóg da, że nadal tak jest.

- Będzie tu pani dobrze. Bracia są naiwni, ale to porządni ludzie. Dopilnują, żeby pani była najedzona i wypoczęta.

- Na długo pan wyjeżdża?

- Wrócę za kilka dni.

- Czy... - urwała i zmarszczyła brwi. - Czy pojedzie pan do zamku? To dość niebezpieczne.

Roześmiał się i kłamstwo przyszło bez trudu.

- Przyrzekłem pani, że doprowadzę ją bezpiecznie do celu podróży, za nim poświęcę się własnym sprawom.

Odetchnęła z ulgą, a jemu serce skoczyło w piersi na myśl, że się o niego martwi. Minęły lata od czasów, gdy ktoś troszczył się o jego bezpieczeństwo. Musi w tym kryć się jakaś pułapka.

- Kiedy pan wróci, wyruszymy do Clyth?

Powinien być wdzięczny, że mu przypomniała, dokąd, do kogo i po co jedzie. Ale czuł tylko ogień i zimno osadzające się w sercu.

- Tak, proszę pani. - Ukłonił się oficjalnie i odszedł, nim zdążyła zranić go do żywego następnym prostodusznym słowem.

# *Niebezpieczeństwa czyhające na ogrodowych ścieżkach*

*Moja droga Heleno,  
proszę, podziel się treścią tego listu z Charlotte, jeśli znajdzie ona chwilę czasu w napiętym programie towarzyskim Weltonów, by Cię odwiedzić.*

*Nie martw się, kochanie, że dopiero teraz napisałam, gdyż podróż prze-rwał mi niefortunny epizod klimatyczny, który zmusił nas do schronienia się w nieoczekiwanym i absolutnie czarującym małym szkockim...*

Kate gryzła koniec pióra i szukała odpowiedniego słowa. „Opactwo” utwierdziłoby Heleną w przekonaniu, że postąpiła nieodpowiedzialnie, pozwalając Kate podróżować samej. „Oberża” była jeszcze gorsza.

...„kurorcie”, napisała w końcu. A potem: *Żywię nadzieję, kochanie, że Twoja pracodawczyni nie nadużywa Twego łagodnego usposobienia, ale znając zarówno Ciebie, jak i ją, obawiam się, że moje nadzieje są płonne.*

Zawahała się.

*Oczywiście spał ten list, gdy tylko go przeczytasz.*

- Masz szczęście, dziecko, że nie nabawiłaś się zapalenia płuc.

- Ojciez opacie! - Kate zerwała się z ławki przed cieplarnią i o mało nie potknęła o rąbek brązowego habitu, w który była ubrana.

Opat udał, że tego nie zauważa.

- Przerwałem pani pisanie listów. Proszę mi wybaczyć.

~ Nie, nie - zapewniła go Kate pospiesznie. - Właśnie kończyłam krótki liścik do mojej siostry Heleny. Nie przypuszczam, by znalazł się ktoś, kto mógłby go doręczyć...

- Ależ nie jesteśmy aż tak bardzo odcięci od świata. Spodziewamy się posłańca dziś po południu. Dam mu pani list, aby go nadał w powrotnej drodze.

~ Dziękuję. - Nie bardzo wiedziała, czego wymaga od niej etykieta, i zastanawiała się, czy wypada siedzieć w obecności opata.

Rozwiązał jej wątpliwości, taktownie zajmując miejsce na ławeczce, jej zaś dał znak, by wróciła na swój stołek.

~ Jak się pani wie, pani Blackburn?

- Doskonale, ojciez. - Upłynęły dwa dni od wyjazdu Kita i znów poczuła się w pełni sobą. Przynajmniej pod względem fizycznym. - Raz jeszcze muszę

podziękować za gościnność. Kiedy dotrę do markiza Parnell, poproszę, by wynagrodził ojca za opiekę nadę mną...

- To zupełnie niepotrzebne. Jesteśmy zakonem benedyktynów i słuzenie podróznym i ubogim to nasza misja.

- Ubogim? - powtórzyła Kate drętwo.

Opat uśmiechnął się.

- Nie chciałem przez to powiedzieć, że należy pani do tej kategorii. Proszę mi wybaczyć, że wyraziłem się niejasno.

- Nic nie szkodzi - szepnęła Kate. - Od śmierci rodziców znajdowałam się bliżej ubóstwa, niż potrafiłabym się przyznać bez zażenowania.

- Nie było pani łatwo - przyznał łagodnie - zważywszy odejście służącej i ucieczkę woźnicy z powozem.

Najwidoczniej Kit opisał zakonnikom jej położenie.

- W dodatku była pani zmuszona zawierzyć uprzejmości człowieka, którego musi pani uważać za obcego.

- Zrobił wszystko, co w jego mocy, by mnie chronić - odparła nieco zbyt chłodno.

- Ach! - Opat uśmiechnął się. - Miło mi to słyszeć.

- Dlaczego? - spytała Kate podejrzliwie. - Czy ojciec ma powód przypuszczać, że mógłby zachować się inaczej? W takim razie ojciec go nie zna. To niezwykle szlachetny i przyzwoity dżentelmen.

- Oczywiście. Szczęśliwie się składa, że pani właściwie go ocenia.

Plecy Kate, z niewyjaśnionych przyczyn od kilku chwil niemal sztywne, teraz odprężyły się.

- Czy mógłbym coś jeszcze dla pani zrobić?

Zawahała się. Przyszło jej to do głowy ot tak, dla zabicia czasu.

- Tak. Proszę mi opowiedzieć o Christianie MacNeillu.

Kit przyspieszył kroku, idąc w stronę ogrodu różanego. Podróż do ruin zamku i okolic nie przyniosła niczego. Nikt inny nie widział nieznajomego, który mógłby być człowiekiem napastującym Kate, sam też niewiele znalazł śladów oprócz zwałonego muru w miejscu, gdzie poprzednio uwiązał konia.

Wrócił do St. Bride's rankiem i od razu spotkał opata. Ten powiadomił go, że Kate ma się dobrze, „kwitnąco”, jak się wyraził, wpadając w nietypową



dla siebie górnolotność. Potem, zgodnie z przykazaniem zakonnika, wziął kąpiel, a po kąpeli nie potrafił już dłużej trzymać się na uboczu.

Jest pod moją opieką, przekonywał sam siebie, a zatem do mnie należy osądzenie, czy nie doznała uszczerbku na zdrowiu podczas jazdy przez wrzosowiska.

- Ach! Rozumiem. - Głos Kate niósł się za kamienny mur ogrodu. Nie-naganny angielski akcent i staranna wymowa spółgłosek. - Więc te części są męskie? Niezbyt okazałe, prawda? - W jej głosie brzmiał cień rozczarowania.

Co się u diabła dzieje?

- Nie muszą być okazałe. - Czy to głos brata Marcina? Tego zacieklego wroga kobiet? - Muszą tylko wypełnić zadania rozrodcze, a to robią całkiem nieźle.

Kit pchnął furtkę ogrodu i po cichu ruszył przez gąszcz krzewów otaczający wejście. Kate siedziała przed ciepłarnią na marmurowej ławeczce obok zrzednego zakonnika. Oglądali różę, starannie przekrojoną na pół, leżącą na białej marmurowej powierzchni pomiędzy nimi.

Widział Kate tylko z profilu. Czoło zmarszczyła w skupieniu, włosy, splecione skromnie w jeden długi warkocz, opadały na plecy. Ktoś znalazł dla niej habit nowicjusza. Pewnie dla ochrony przed jej kobiecymi wdziękami. Próżny wysiłek. Zakonny ubiór tylko podkreślał jej urodę.

Opat nie mylił się. Miała się świetnie. Kit oparł się o mur i cieszył jej widokiem: rumieńcem na policzkach, leciutko zadartym nosem, delikatnym karkiem, błyskami porannego słońca w ciemnym warkoczu. Gdyby zamknął oczy, mógłby prawie poczuć jego jedwabistość przelewającą mu się przez pałce.

Na szczęście dwudniowa nieobecność przywróciła mu rozum. Przemysłał swoje zauroczenie Kate i uznał, że to tylko sprawa okoliczności, które ich zbliżyły, a także odwiecznego problemu pragnienia rzeczy nieosiągalnych. Po prostu znów wył do księżycy. A z tym już skończył.

- Powiada brat, że pan MacNeill wie to wszystko? - spytała z prostotą.

Kit otworzył szeroko oczy i wlepił wzrok w jej szczerą twarz. Co to znaczy?

- Jeśli nie wie, to nie z powodu zaniedbania z mojej strony. Wszyscy chłopcy byli uczeni ogrodnictwa. Trzeba było zająć czymś ich umysły, tak twierdził opat.

- Ale dlaczego ogrodnictwo? Wydawałoby się, że łacina, historia i geografia całkiem by wystarczyły.

Nie marnowała czasu. Czego jeszcze się dowiedziała?

- Byli za bystry, cała paczka. Najzdolniejsi chłopcy, jakich w życiu widziałem. Wszyscy razem i każdy z osobna, ale prawdę rzekłszy, trzeba na nich patrzeć jak na całość. Trzymali się razem mocniej, niż grzech trzyma się szatana, Boże, racz nas wybawić od jego sztuczek! Czwórka bystrych znajd. - Prychnął z dezaprobatą. - I co człowiekowi po rozumie? Do czego doprowadził każdego z nich? Rozum daje tylko tyle, że wie się w miarę dokładnie, jaką się jest nędzną istotą. Lepiej być jak brat John, który tylko mętnie podejrzewa, jakim żałosnym miejscem jest ten świat.

Kate zapewne uniosła jedną z delikatnie wygiętych brwi, bo kiedy brat Marcin znów się odezwał, przybrał zrzędlawy ton.

- Człowiek ma prawo mieć własne zdanie.

- Oczywiście. - W jej głosie nie było nagany. - Ale jeśli ktoś nie zna ogromu swej nędzy, jak może docenić chwałę zbawienia?

- Byłby z pani dobry jezuita, pani Blackburn - stwierdził chmurnie brat Marcin.

- Przyjmuję to za komplement - odparła. - Ale mówiliśmy o panu MacNeillu.

- To pani o nim mówiła. Znowu. Ja mówiłem o kwiatkach.

- Znowu.

Kit wyczuł ton gburowatego rozbawienia brata Marcina. Jak widać, Kate zdołała oczarować starego wroga kobiet i to zaledwie w ciągu dwu dni. Bóg jeden wie, co się przytrafiło innym zakonnikom. Pewnie wszyscy pobiegli do spowiedzi zdawać sprawę z interesujących i grzesznych rojeń. Bóg wie, że on sam powinien się wyświadczać z niektórych myśli, na jakie sobie pozwolił.

- Brat potrafi oświecić człowieka w różnych zawiłych sprawach.

- I znów myśli pani o MacNeillu.

- Doprawdy?

Czy naprawdę o nim myśli? I dlaczego? - zastanawiał się Kit. Ale już znał odpowiedź. Powiedziała mu kiedyś, że będzie taka, jak wymaga od niej sytuacja. Najwidoczniej teraz sytuacja wymaga, by dowiedziała się czegoś o jego przeszłości.

Najwyższy czas położyć kres tej dociekliwości. Wynurzył się z cienia, obserwując małą kusicielkę przebraną w habit. Przekrzywiła głowę, jakby flirtowała, a rzęsy, zroszone światłem na koniuszkach, wyglądały jak umoczone w złocie. Brat Marcin - nawet z odległości było to widoczne - miał nieszczęśliwą, zakłopotaną minę mężczyzny całkowicie urzeczonego.

Czego się dowiedziała o nim od zakonników? Że jest dzieckiem nierządnicy? Że wdawał się w bójkę częściej niż inni chłopcy? I co jej ta wiedza dała? Jak mogłaby się nią posłużyć? Przecież nikt nie chce zdobyć informacji, których nie ma zamiaru wykorzystać. To jeszcze jedna lekcja, której świat nauczył go, ledwie opuścił opactwo.

Tak, dobrze się stało, że wyjechał na trochę. Na chwilę zapomniał, co świat może uczynić komuś, kto zwiąże swoje losy z cudzymi. Lepiej być samotnym.

Brat Marcin podniósł z ziemi jakąś gałązkę i używał jej jako wskazówki, ale drzączka, która dokuczała mu od lat, jeszcze się nasiliła i dłoń mu się trzęsła. Bez słowa Kate położyła swoją dłoń na powykęcanej, pokrytej plamami ręce staruszka i uspokoiła ją.

Kit poczuł nagłe targnięcie zazdrości i aż się uśmiechnął na absurdalność tego odruchu. Jego nigdy nie dotknęła, w każdym razie nie z własnej woli. Nawet gdy go bandażowała, kierowało nią wyłącznie poczucie obowiązku.

Próbował sobie wyobrazić dotknięcie smukłych, delikatnych dłoni, gładzących go po rękach, po piersi. Czy te dłonie damy są zręczne w pieśczeniach? Czy delikatne palce bez odcisków sprawiają większą rozkosz niż dłonie dziewczki z oberży? Czy też to, czy jest się damą, czy dziewczką, nie ma nic do rzeczy, a dotyk Kate Blackburn byłby zniewalający bez względu na to, kim by była i skąd pochodziła.

Ale nie może myśleć w ten sposób, gdyż to, skąd pochodzi, ukształtowało ją taką, jaka jest, a jest damą. I daleko do niej takiemu prostakowi.

Zatrzymała się nagle, jakby wyczuwając czyjeś badawcze spojrzenie, obróciła głowę i napotkała jego wzrok. Oczy rozbłysły jej radością, uśmiechnęła się. A on opierał się, choć go ciągnęło do niej jak opiłki do magnesu.

- MacNeill - zawołała.

- Witam panią.

- Wrócił pan wcześniej, niż zapowiadał opat. - Powiedziała to z wyraźnym zadowoleniem. Poczul złość, choć wiedział, że to niesprawiedliwe. Jakże ma prawo go oczekiwać? Jakim prawem sprawiła, że pragnie tego powitania?

Czasami, by uniknąć szaleństwa, trzeba sobie pozwolić na szaleństwo. Przy najmniej tak sobie tłumaczył, gdy do niej podchodził, w mgnieniu oka natchniony tym pomysłem. Gdyby tylko mógł jej posmakować, odkryłby, że jest taka jak każda inna kobieta, że reaguje na nią jak na każdą inną kobietę. Może wówczas mógłby uwolnić się od pragnienia... posmakowania jej. I wrócić do sprawy zemsty.

- Nie było sensu uganiać się za czymś, czego tam nie było, pani Blackburn. - Jak ty sam. Nie jesteś tu naprawdę. Tylko udajesz, że jesteś.

- Żałuję, że się pan rozczarował.

- Czekala mnie nagroda po powrocie - powiedział z naciskiem, utkwivszy wzrok w jej twarzy. Spójrz na mnie. Pożądaj mnie. Choć troszeczkę.

Niezwykłe oczy Kate zaokrągliły się, jakby na głos wypowiedział swoje myśli. To dobrze. Nie chciał, by nic nie podejrzewając, padła jego ofiarą. Niech dostanie ostrzeżenie: on jej pragnie. Choćby dotknąć. Skraść pocałunek.

- Jużes powrócił, Christianie? - zapytał kwaśno brat Marcin, zmartwiony, że przerwano mu miłą rozmowę.

- Tak. - Nie spuszczał oczu z Kate. - Ufam, że dobrze się pani czuje, pani Blackburn?

- Oczywiście, że dobrze się czuje - obruszył się brat Marcin. - Dostała naparu z pierwiosnka i ślazu, a także cytrynowy balsam trzy dni z rzędu. Pozbyła się bólu gardła i odkarmiliśmy ją. Biedactwo, była na pół zagłodzona. - Spojrzenie zakonnika wyraźnie obwinało Kita za ten stan.

- Widzę, że jest w najlepszym zdrowiu.

Spuściła wzrok i lekki rumieniec zabarwił jej policzki.

Starając się zająć czymś uwagę, zwrócił się do zakonnika.

- Bracie Marcinie, czyżbyś znalazł nową uczennicę?

Staruszek prychnął.

- Pani Blackburn niecierpliwiła się, czekając na ciebie, w duchu więc gościnnności wypadało mi dotrzymać jej towarzystwa, skoro ty sobie pojechałeś i zajmowałeś się nie wiadomo czym, a ją zostawiłeś na pastwę losu. Biedne jagniątko.

Jagniątko! W trakcie perory brata Marcina Kate podniosła głowę, a wyraz skrzywdzonej niewinności na buzi kłócił się z szelmowskim błyskiem oczu.

- Nie musi brat się tłumaczyć, czemu tu jest - powiedział Kit. - Wystarczy spojrzeć na panią Blackburn i wszelkie wyjaśnienia stają się niepotrzebne. - Jej rumieniec uroczo się pogłębił.

Brat Marcin nie znalazł odpowiedzi na takie dictum. Zaprzeczyć znaczyłoby zranić jego, jagniątko", a potwierdzić - przyznać się do ziemskich pragnień. Nachmurzył się i poszukał innego tematu.

- Pani Blackburn była ciekawa, czy pamiętasz rzeczy, których cię uczyłem. - Uniósł głowę i przyjrzał się Kitowi z zaczepnością rywala. - I co ty na to?

- Cóż, to i owo pamiętam. Brat chyba nie zamierza mnie egzaminować? - spytał z udawanym przestrawieniem. Oblanie egzaminów u brata Marcina było

bolesną sprawą. Stary zrzęda wyglądał na wątego jak słomka, ale różgą posługiwał się biegle.

- Gdybyśmy byli w moim ogrodzie, nie omieszkałbym - odparł brat Marcin. - Ale to ogród brata Fidelisa. Zawsze mówiłem, że rozpieszcza was, chłopcy, tak samo jak te swoje kolczaste piękności. Nigdy nie widziałem sensu w trwonieniu wysiłku dla róż, kiedy mięta, złocien, przywrotnik i inne zacne lecznicze zioła walczą o przetrwanie gdzieś na polu.

- Róże rozwijają się dobrze tylko w szczególnych warunkach - powiedział Kit, patrząc na Kate. - Gina, gdy sieje przeniesie do realnego świata.

- Po co więc zadawać sobie dla nich tyle trudu? - spytała.

- Po pierwsze - powiedział łagodnie - dlatego, że nie mamy wyboru. A poza tym, no cóż, człowiek nie chciałby, żeby coś równie pięknego cierpiało z braku należytego starania.

Nie podobała mu się własna odpowiedź, Kate poznała to po grymasie, który przemknął mu po twarzy.

- Przypuszczam, że brat Fidelis oprowadził panią po ogrodzie?

- Nie.

- Musimy więc naprawić to zaniedbanie. Różany ogród jest fascynujący. Wymaga wiele zachodu i ciężkiej pracy.

- Ale jest wart wysiłku.

- Czasami. W sezonie róże zakwitają. To bardzo krótki sezon. Jego koniec zawsze łączy słodycz z goryczą. - Złagodził słowa przelotnym uśmiechem, czarującym i nieodpartym. Kate poczuła idący wzdłuż ciała ostrzegawczy dreszcz.

Cóż to znowu za podstęp? Mężczyzna, który wyjechał z opactwa, i ten, który powrócił, to dwie różne osoby. Ten Kit ma twarde spojrzenie, jest uwodzicielski, drapieżny i skupiony. Na niej. Wyciągnął dłoń, by pomóc jej wstać, czekając, aż ona poda mu swoją.

- Bracie Marcinie?

Staruszek wstał z wysiłkiem.

- Co? Miałbym człapać za wami, kiedy będziesz się mądrzył i sypał ła-cińskimi nazwami tych wypieszczonych kwiatów? Mam ważniejsze zajęcia. - Rzucił Kate znaczące spojrzenie pełne wyższości. - Przy moich ziołach. - Prychnąwszy wzgardliwie, ruszył ku furcie, powłócząc nogami.

- Pozwoli pani?

Przechyliła głowę.

- Tak, bardzo dziękuję. Ale ostrzegam, liczę na to, że będę zachwycona. Ułożył sobie jej dłoń w zgięciu ręki.

- Dołożą wszelkich starań, by nie sprawić rozczarowania.  
- Wie pan, MacNeill - powiedziała po chwili - utrzymuje pan, że jest tylko źle wychowanym sierotą, a czasami zdradza pan maniery, które bardziej pasują do salonu niż do poddasza.

- To przebranie - zapewnił. - Nic więcej. Przez lata przyswoiłem sobie trochę manier, które czasami odkurzam. Jeden z moich... dawnych towarzyszy miał język tak dworny i gładki, że potrafiłby namówić kota do śpiewu.

- Nie wiem, czy mam panu wierzyć.

- To pani wola, madame - odparł swobodnie, wpatrzony w nią najszczerzym podziwem.

Nagłe podejrzenie kazało jej przystanąć.

- Czy pan próbuje mnie uwieść, panie MacNeill? - wypaliła bez zastanowienia.

On także stanął. Wargi mu drgnęły, jakby chciał się zaśmiać, ale patrzące na nią z uwagą oczy były całkiem poważne.

- No cóż, pani Blackburn. Tak istotnie jest. Próbuję. Czy ta perspektywa panią przeraża?

- Tak - odparła bez wahania.

- To smutne i powiedziałbym, że niepotrzebne, chociaż z mojego punktu widzenia wolałbym, by niepokój pani miał podstawy.

- Czy mam wzywać pomocy? - spytała, starając się, by jej pytanie wydało się równie teoretyczne jak jego słowa.

Zmierzył ją sarkastycznym spojrzeniem.

- Jestem pewien, że powiedziała pani „uwieść”, a nie „zniewolić”. Nie grozi pani niebezpieczeństwo. Powiedzmy, nie jest to do końca prawda - przyznał. - Ale jeśli coś pani grozi, to tylko to, na co pani sama pozwoli.

- Rozumiem - powiedziała bez tchu.

- Doskonale. A zatem rozumiemy się wzajemnie. - Znów ułożył sobie jej dłoń na przedramieniu i chciał podjąć spacer, ale ona nie ruszała się z miejsca, jakby wrosła w ziemię.

- Czy posłucha mnie pan, jeśli poproszę, by zaniechał pan zalotów?

Na kilka sekund ściągnął brwi, zamyślił się nad jej prośbą.

- Nie - odparł wreszcie. - Nie, nie wydaje mi się, by było to możliwe.

- Jaki więc mam wybór?

- Kontynuować nasz spacer i pozwolić mi spróbować sił. Albo zrezygnować.

Gdy tylko wyjawiał swe zamiary, jej serce zabiło szybciej. Teraz skoczyło jej do gardła.

Uśmiechnął się skruszony.

- Już dobrze, pani Blackburn. Moje możliwości, nawet we własnej nieskromnej ocenie, nie są tak wielkie.

Nie wierzyła mu ani trochę. Wyglądał na zręcznego uwodziciela. Postawny, męski, śmiały i zdrowy. Zauważyła, że umył włosy. Błyszczały jak stopiony brąz, opalona szczupła twarz była starannie ogolona ze szczeciniastego zarostu, który wyhodował od czasu, gdy go spotkała Pod Białą Różą. Prezentował się niebezpiecznie pociągająco, kusząco i... przełknęła ślinę. Chciała ciągnąć tę grę. Jeszcze przez chwilę.

- Naprawdę jestem ciekawa róż - oznajmiła sztywno.

- Oczywiście. - Jego głos był ciepły od rozbawienia. Tym razem gdy ruszył z miejsca, mocno trzymając jej rękę, poszła z nim bez oporu.

Podążyli ścieżką wysypaną drobnym żwirem do cieplarni. Otworzył drzwi i przepuścił Kate przodem. Niewiele róż jeszcze kwitło, lecz wszystkie zachowały zielone listki. Zatrzymał się najpierw przed małą krzaczastą roślinką, najeżoną tysiącem kolców, ostrych jak igiełki.

- *Rosa gallica*. Sądząc z wielkości i zwyczajów, była to róża Lancasterów. Jedyna, która cieszy się uznaniem brata Marcina, gdyż znana jest również jako róża apteczna.

- A kwiaty?

- Kwitnie obficie, ale tylko raz. - Wskazał na rosnący obok krzaczek o podobnym kształcie. - To jest *Rosa mundi*. Też *gallica*, ale ma czerwono prążkowane płatki.

- Widziałam już taką - powiedziała Kate z dumą odkrywcy.

- Śmiem twierdzić, że tak jest w istocie. To bardzo stara odmiana. - Ruszył dalej, mijając kilka innych niskich krzewów, po czym zatrzymał się przed jednym, wyższym i o bardziej wydłużonych liściach. - A tu róża damasceńska, przywieziona do Brytanii z Persji.

Kate pochyliła się, by poszukać kwiatów, ale spotkało ją rozczarowanie. Wyprostowała się, gdy zauważyła, że Kit stanął blisko za nią. Czowała jego oddech, rozwiewający jej włosy na karku.

Zesztywniała. Serce waliło jej jak młotem. Od barków po biodra i uda czuła mrowienie, świadoma jego bliskości.

- Gdy w dalekiej przyszłości pewnego ranka zasiądzie pani przy toalecie... - szkocki akcent przypominał niskie mruczenie, drażące jej myśli i pieszczotliwe - ...i nałoży trochę zapachu tutaj - dotknął z boku jej szyi, a ona straciła oddech od kaszlu czy westchnienia, sama nie wiedziała - albo tutaj - koniuszki jego palców prześliznęły się w górę szyi i z lekkością babiego lata pogładzi-

ły wrażliwą skórę za uchem - proszę pamiętać o różach tysiącami składanych w ofierze dla wydobycia ich aromatu i użalić się nad ich śmiercią.

Nie powinien tak czynić, a ona nie powinna mu na to pozwolić. Niestety, nie była zdolna do poruszenia się. Czuła zagrożenie wibrujące tuż nad powierzchnią jej skóry. Przysunął bliżej twarz, jego wargi zawisły tuż nad jej szyją. Zadrżała i zachwiała się ku niemu.

- Ale czyż nie taka jest kolej rzeczy? - szepnął, co sprawiło, że usta musnęły jej kark. - Świat musi poświęcać piękno dla piękna.

Wstrzymała oddech, czekając, by ją pocałował. Nie zrobił tego. Czuła łaskotanie jego uśmiechu w miejscu, gdzie szyja spotyka się z barkiem. Nagle ku jej rozczarowaniu podniósł głowę, stanął u jej boku i znów ujął ją pod rękę. Ruszył naprzód, a ona dała się prowadzić, bardzo zmieszana, z trudem chwytając oddech. Pewnym krokiem poprowadził ją w boczną alejkę, a stamtąd ku kępie krzewów tak wysokich jak ona o srebrnozielonych liściach upstrzonych jaskrawymi owocami w kolorze persymony.

- *Rosa alba* - objaśniał rzeczowo, jakby przed chwilą wcale jej nie dotykał, jakby nie przystała na tę pieszczotę, wyczekując czegoś więcej. - Prawdopodobnie przywieziona przez Rzymian. Jej kwiaty są jak się pani domyśla, przede wszystkim białe. Ta szczególna odmiana to *alba semiplena*, historycznie uważana za białą różę Yorków. To jednak, co najlepsze, zostałem na koniec.

Wziął ją za rękę i pociągnął pod niewielką kratkę, porośniętą gęstwą zielonych liści. Po drugiej stronie wąska kręta ścieżka zaprowadziła ich do miejsca, gdzie liście krzewów wydawały się gładziej i bardziej lśniące. Nad nimi szklane szybki ociekały wilgocią, jakby ten gąszcz zamieszkiwała jakaś oddychająca istota. Błotnisty zapach wilgotnej ziemi ustępował innej woni: nie korzennej, goździkowej znanych jej róż, lecz słodsze i ostrzejsze aromaty.

Kit zatrzymał się nagle i popatrzył na nią z uśmiechem, lekko ściskając za ramiona. Potem okręcił ją, energicznie odwracając tyłem do siebie, i zasłonił jej oczy dłońmi. Zbita z tropu wyciągnęła przed siebie ręce.

- Jeszcze chwilę-powiedział.

Naparł na nią własnym ciałem, prowadząc we właściwym kierunku. Nie odstąpił jej oczu, zmuszając, by albo szła naprzód, albo ścierpięła intymność dotknięcia jego ud. Napięcie dławiło ją w gardle, a jednocześnie innego rodzaju napięcie rozlało się w jej lędźwiach, jakby na pół zapomniane skurcze pożądania powoli budziły się z uśpienia.

Trwało to parę sekund, które zdawały się godzinami. Nawet przez jego koszulę czuła gorąco, jakim promieniował, czuła każdy ze smukłych palców



zasłaniających jej oczy, jego ciało ocierające się o jej spódnicę. Ze wstydem uświadomiła sobie, że szuka dowodu jego pożądania zbudzonego przez ten kontakt, a nawet, co było jeszcze bardziej poniżające, doznała niezaprzecznego kobiecego triumfu, kiedy wyczuła, jak jest podniecony.

W końcu zatrzymał się. Musnął jej ucho wargami.

- „Z płatków róż będziesz mieć posłanie. Baldachim dębów nad nim stanie”\*

Młody żołnierz, poznaczony bliznami, cytujący Christophera Marlowe'a? Kita Marlowe'a, jak poeta zwykł siebie nazywać. Nie potrafiła poskładać kawałków tej układanki. Tymczasem on odjął dłonie od jej twarzy, a gdy otworzyła oczy, natychmiast zapomniała o swej konsternacji.

Stali w małej altance porośniętej zielenią, ozdobioną girlandami złotozłoty róż, których ciężkie głowy kołysały się w lekkim powiewie. Zrobiła krok naprzód, a wykwintny aromat, który zauważyła wcześniej, wzbił się w górę aż ponad nią. Spojrzała pod nogi. Stąpała po dywanie lśniących płatków, zgniatając ich jedwabistość i wyzwalając nieziemski zapach wypełniający nozdrza.

- Co to takiego? - spytała bez tchu. - Jak to możliwe, że kwitną teraz? Czy to czary?

- Swego rodzaju. To dzieci róży, którą przywieźliśmy dla pani rodziny.

- Dzieci?

- Potomstwo tamtej róży i damasceńskiej piękności, róży wiecznie kwitnącej.

- Nigdy nie przestaje kwitnąć? - spytała, sięgając ku powodzi kwiatów. Deszcz złotych płatków sfrunął w dół, mieniąc się w świetle dnia. Cofnęła się gwałtownie i obejrzała przez ramię. Dostrzegła, że Kit ją obserwuje z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

- Nic nie kwitnie wiecznie.

To proste stwierdzenie napełniło Kate melancholią. Czas upływa. Róże więdną. Świat się zmienia. Zima zawsze przychodzi. Zerwała jeden kwiat.

No tak. Magia się rozwiła. Atłasowe płatki okazały się lekko brązowe po brzegach, świeży środek wyblakły i bardziej przezroczysty niż złoty.

- To smutne, prawda?

Zrozumiał. Przysunął się do niej. Tym razem nie uchyliła się wstydliwie jak wystraszone kociątko. Stała nieruchomo, w zamyśleniu oglądając kwiat. Kit sięgnął ponad jej głowę i mocno potrząsnął gałęzią, spuszczaając kaskadę

\* Przekład Stanisława Barańczaka (przyt. tłum.).

płatków, które jak welon okryły jej ciemne włosy i ramiona. Podniosła na niego oczy zdumiona.

- Pocałuj mnie - powiedział.

Cofnęła się, ale on przysunął się bliżej. Kiedy chciała mu umknąć, zamknął jej drogę wyciągniętą ręką, którą zacisnął na słupku altanki.

- Powiedział pan, że nie powinnam się niczego obawiać.

- A obawia się pani?

- Tak.

- Niepotrzebnie - odparł, siląc się na spokojny, lekki ton. Pragnął jej. Nigdy niczego tak gorąco nie pragnął, jak teraz posmakować jej ust, zanurzyć dłonie w jej kruczoczarnych włosach i przycisnąć ją do siebie. Ale nie zrobił tego. - Nic nie poradzę na to, że postanowiła pani bać się bez powodu.

- Pan jest tym powodem.

W końcu wymusiła na nim krzywy uśmiech.

- Ależ nie. Przecież jestem dla pani niczym. Błahą anegdotą, którą przypomni sobie pani kiedyś, gdy będzie znudzona.

Zaczerwieniła się, zła, że tak dokładnie powtórzył jej wcześniejsze myśli. Nigdy nie zamierzała zaliczyć go do anegdot. Przenigdy. To straszne, że tak właśnie sobie pomyślał.

- A jeśli pana pocałuję, puści mnie pan wolno?

- Puszczę panią wolno, czy mnie pani pocałuje, czy nie - powiedział. - Po prostu wyjawiam swoje pragnienia.

- Naprawdę?

- Naprawdę. - By dowieść, że nie kłamie, opuścił rękę, która zagradzała jej drogę. Popatrzyła na niego, próbując czytać mu z oczu. Ale dobrze się strzegł, nawet przed sobą, jakże więc mogła się spodziewać, że odgadnie jego intencje. I to rozstrzygnęło o jej decyzji. Uznała, że jest zbyt niebezpieczny.

- Przepraszam - szepnęła, schyliła głowę i wyminęła go jednym susem.

Chwycił ją za przegub, okręcił i przyciągnął do siebie. Mignęły przed nią lodowate oczy, lśniące z emocji i twarz stężała w twardym, pożądlwym wyrazie.

- Proszę mnie nie krzywdzić.

Odskoczył, jakby go uderzyła, ale nagle...

- Chryste! - wybełkotał zdławionym głosem i ujął jej głowę w wielkie, pokryte bliznami żołnierskie dłonie. Zacisnęła powieki i czekała, niezdolna opanować drżenia, przewrotnie pragnąc, by to się stało, skoro wszelki wybór został jej odebrany.

- Do licha! - Zaklął pod nosem szorstkimi, gniewnymi, prostackimi słowami.

- Proszą.

Pocałował ją, najpierw tylko musnąwszy ją wargami, delikatnymi jak płatki pod ich stopami. Pieszczota jego ust była jak szept, nieoczekiwana, rozbrajająca. Z przejmującą czułością wysysał z niej oddech, raz po raz przesuwał delikatnie wargami po jej wargach, słodko... lecz grzesznie, każdym pocałunkiem zabierając jej resztki woli, kradnąc myśli i grzebiąc je pod natłokiem zmysłowych wrażeń. Zaczął drażnić kąciaki jej ust, a potem ze wzruszającą delikatnością powoli koniuszkiem języka w dół wzdłuż szyi, znacząc ścieżkę roztopiającą się z gorąca i... o dobry Boże! Rozmyślnie zatrzymał się na pulsie szalejącym w zagłębieniu u nasady szyi.

Kolana ugięły się pod nią. Zarzuciła mu ręce na szyję, by nie osunąć się na ziemię.

- Pocałuj mnie. Jeden raz. Jeden pocałunek - mruczał niecierpliwie, jedną ręką podtrzymując ją w talii. Wolną ręką okręcił sobie jej warkocz wokół dłoni i odciągnął głowę, by mieć lepszy dostęp do jej szyi. - Co to znaczy dla ciebie? - spytał ochryple. - Czemu nie chcesz?... Proszę. Nie każ mi brać. Daj.

Nie pragnęła niczego innego.

Rozchyliła usta pod jego wargami, łakomie odpowiadając na ich gorące żądanie. Z, głuchym jękiem padła mu w objęcia i odwzajemniła pocałunek, ciałniej owijając ramiona wokół szyi i przeczesując palcami jego jedwabiste włosy. Pomruk zadowolenia wydobył mu się z piersi, Nakrył ustami jej usta i zanurzył język głęboko między wargi.

Ogarnęła ją fala pożądania, wezbrana niosła ją ku kulminacji, od dawna przeczuwanej, nigdy nieosiągniętej do końca. Czuła, jak Kit zsunął dłonie po jej plecach, by je zacisnąć na biodrach i wciągnąć ją w siebie bez ceregie-li. Pragnienie przeszło w żądzę, rozchodzącą się ze złączenia ud i tam zbiegająca. Nagła, potężna rozkosz zwalczyła wszelką sensowną myśl i Kate poczuła się nierozumnym stworzeniem, skupionym na zaspokojeniu żądań swego ciała.

Trwało to długo. Zbyt długo.

Przyciągnęła do siebie jego głowę, pragnąc więcej. Więcej łakomego łączenia się języków i więcej gorących, zapierających dech pocałunków. Więcej jego, wielkiego, twardego i spragnionego, prężącego się z pożądania, pochodni dla drewna wyschłego przez lata, dla pragnień, których nigdy w sobie nie rozpoznała, a dopiero co nazwała. Chciała... chciała...

- Nie. -Zacisnął dłonie na jej barkach w bolesnym uścisku. Szorstko odepchnął ją od siebie. Zatoczyła się i byłaby upadła, gdyby jej nie podtrzymał. Wbiła nic nierozumiejący wzrok w jego gniewną, napiętą twarz, wciąż zbyt zaplątana w sieć pożądania, by poczuć zakłopotanie lub cokolwiek oprócz dezorientacji i rozczarowania.

- Co się stało? - spytała, nie pojmując nagłej zmiany, rozdarcia w tkaniu nie rozkoszy.

- Przysiągłem, że cię nie skrzywdzę.

- A czy to jest krzywda? - spytała, wstrzymując oddech, szukając jego lśniących zielonych oczu.

Na jego twarzy odbiła się wewnętrzna walka, a kiedy się odezwał, mówił przez zaciśnięte zęby.

- Tak.

Zmarszczyła brwi. Wyciągnęła rękę, by go dotknąć. Wzdrygnął się, jakby go oparzyła.

- Ale...

- Do diabła! - wybuchł. - Dziesięć minut temu błagałaś mnie, bym cię nie krzywdził, a teraz, pani Blackburn - wymówił to tak, jakby zwracając się do niej nazwiskiem męża, wznosił między nimi fizyczną barierę - teraz czynię wysiłki, by zadośćuczynić temu błaganiu.

Każde słowo było szydercze, twarde i opanowane. Nad ciałem panował tak samo bezkompromisowo jak nad tonem głosu.

- Nie skrzywdzę pani. Przysięgam. Ale - niech to diabli, pomyślał, gdy głos mu się załamał - będzie to o wiele łatwiejsze, jeśli pani wspomże, a nie utrudni mój wysiłek!

- Och!

Och. Czuł się odsłonięty i pokaleczony. Zwykły pocałunek, którego chciał użyć jako antidotum przeciwko jej urokowi, okazał się zabójczy, rozbił w pył jego intencje i prawie rzucił go na kolana z pożądania.

Oszukiwał się, wiedział o tym od początku: Kate nie jest taka jak inne kobiety. Pod jego ustami, w jego uścisku nie przypominała żadnej. I żadna kobieta na świecie nie będzie nią, choćby nie wiadomo z iloma się przespał i nie wiadomo jakie upodobania zaspokajał. Ta pewność była torturą i przeklinał siebie, że dobrowolnie uczynił się ofiarą własnych złudzeń.

Gwałtownie oderwał od niej ręce, wiedząc, że jeśli jeszcze chwilę ją potrzyma, to znów chwyci ją w ramiona i... Zamknął oczy, walcząc z pierwotnym instynktem. Gdyby tylko jego zmysły przestały szaleć. Gdyby mógł nie widzieć dojrzałego koloru jej ust i nie słyszeć rwącego się oddechu. Nie

czuć delikatnej cierpkiej woni jej mydła, zmieszanej z odurzającym aromatem zgniecionych róż. Gdyby wciąż nie czuł w palcach atłasowej kaskady jej włosów. Ale zmysły nie były uśpione i wciąż był spragniony.

Pocałunki tylko podsyciły apetyt, zrodzony trzy lata temu w pustym salonie jej ojca, pielęgnowany podczas długich marszów w rozpalonym piecu indyjskich pustkowi. Wydawało mu się, że fantazja jest lepsza od rzeczywistości. Zawsze to sobie powtarzał. Ale kłamał. Jej usta, słodkie i soczyste, ciało, gibkie i ciepłe - nic z jego wyobrażeń nie równało się doświadczeniu ostatnich dziesięciu minut.

A ona zdobyła się tylko na krótkie: „Och”.

Miał do wyboru albo się roześmiać, albo oszaleć, I roześmiał się.

Popatrzyła, mrugając rzęsami, a zamglone lśnienie jej ciemnych oczu powoli nabrało ostrości. Omdlewający, błagalny wyraz rozpułynał się, zacieraony przez inny, nieodgadniony, a zatem w pełni kobiecy. Odsunęła się.

Popatrzyła na niego przytomnie i na moment uniosła jedną brew, po czym zawróciła ścieżką, którą przyszli. Niech go licho porwie, jeśli zgadnie, o co go pytała ta wytworna brew.

Tak czy owak, pewnie go w końcu licho porwie.

## *Różnice między podłymi i wyjątkowo podłymi kwaterami*

Czy na pewno nie wolałaby pani, żeby jeden z nas jej towarzyszył? - spytał opat, uważnie przyglądając się Kate. Poczciwy zakonnik specjalnie poprosił ją do swego biura, a Kita poprosił, by zaczekał na zewnątrz. Drzwi były grube. Nie można było podsłuchać rozmowy.

- Nie - odpowiedziała pogodnie. - Zakonnicy pożyteczniej spędzą czas tutaj, niż służąc mi za przyzwoitkę.

Różaniec z kryształu w rękę opata wydał cichy brzęk, a spojrzenie zdradzało głębokie zamyślenie.

- Był czas, kiedy bym z pełnym zaufaniem powierzył Christianowi opiekę nad panią. Ale nie znam go już tak dobrze jak dawniej.

- Ja go znam - powiedziała z absolutnym przekonaniem. Kit chciał przestać ją całować, a ona... nie, nie była gotowa, by analizować motywy swoje-

go zachowania. Dość powiedzieć, że nie miała nic przeciwko temu, by dalej go całować. On to przerwał. Po prostu nie chciał dopuścić, by doznała jakiegokolwiek uszczerbu. Od niego też.

Nie, nie obawiała się, że Kit uczyni kolejny krok tego rodzaju. Powinna się z tego cieszyć. I cieszy się. W zasadzie. Kiedy nie dręczą jej na pół uświadomione pytania oraz jasno sformułowane i bardzo niestosowne spekulacje.

- Jestem równie bezpieczna z Christianem MacNeillem jak z bratem Marcinem. - Nawet sama dosłyszała swój nadany ton.

Opat uśmiechnął się.

- Jak pani sobie życzy. - Dał znak dłonią, a młody mnich czuwający przy drzwiach otworzył je przed Kitem, który nie czekając, wszedł.

- Zgaduję, że dostatecznie ostrzegł ojciec panią Blackburn o mych niezliczonych wadach?

- Próbowałem.

- Ale nie skorzystała z ojca rad.

- Ani z mojej propozycji, by ktoś z nas dotrzymał wam towarzystwa.

- Cóż, to bez znaczenia, i tak nie pozwolilibym na to nikomu.

- Christianie...

- Nie, ojciec opacie. Jest moja i tylko moja, dopóki...

- ...dopóki pan MacNeill nie wypełni swojego ślubowania - wtrąciła Kate, postanawiając położyć kres tym nonsensom. Spojrzała na opata. - Proszę mi wierzyć, nie grozi mi niebezpieczeństwo z jego strony.

- Istnieją różne niebezpieczeństwa - rzekł opat. - Czy nie pomyślała pani, że markiz może uznać za niestosowne pani przybycie w towarzystwie jedynie tego człowieka?

- Jestem pewna, że potrafię mu wyjaśnić, jak się sprawy mają, ku jego pełnemu zadowoleniu.

Kit uśmiechnął się do opata.

- Jak może mieć obiekcje względem tego, że dama ma stangreta?

- Ojciec opacie - powiedziała Kate, zignorowawszy tę uwagę - jeszcze raz z głębi serca dziękuję za dobroć i gościnność.

Podeszła do Kita z neodgadnionym wyrazem twarzy. Co się stało z jego zadyszana syrena, która wczoraj tak namiętnie mu się poddała? Wiedział dobrze, niech ją licha. Zniknęła, zastąpiona przez tę wytworną piękność, która została przywołana do porządku na wspomnienie markiza. Zacisnęła zęby.

- Cóż, skoro ojciec opat nie ma więcej ostrzeżeń ani wskazówek? - popatrzyła na opata. Pokręcił głową. - Myślę, że możemy ruszać, panie MacNeill.

Kil skłonił się z ironiczną dwornością.

- Według pani życzenia, madame.

Gdy tylko opuścili St. Bride's, z nieba zasnutego ciemnymi chmurami zaczął sypać śnieg, tworząc zaspę na drodze i szkląc się w cieniach pod drzewami. Kate siedziała w milczeniu, otulona w brązowy habit otrzymany od mnichów. Podróż nie zapowiadała się tak, jak oczekiwała.

Wprawdzie nie było dla niej całkiem jasne, czego właściwie oczekiwała, ale z pewnością nie tego nieznośnego milczenia. Przyszło jej do głowy, że po wczorajszym dniu musi pozostać pewne skrępowanie, nim wrócą ich przyjacielskie stosunki. Przyjacielskie? Nie była pewna, czy tak można to nazwać, ale z pewnością... poprawne. Od wyjazdu z opactwa Kit zachowywał się jednak, jakby była nieznajomą, kimś, czyje towarzystwo trzeba tolerować, ale z kim lepiej nie zacieśniać znajomości.

- Proszę się mnie nie bać - przerwał w końcu milczenie.

- Wcale się nie boję - odrzekła. Nie spodziewała się po nim tych słów. Chociaż to on sprowokował pocałunki, był także tym, który je przerwał. I właśnie dlatego zdecydowała się jechać z nim do Clyth.

- Nigdy nie zrobię niczego wbrew pani woli... Do diabła - wybuchł. - Dlaczego miałaby mi pani wierzyć? Przecież już raz dopuściłem się tego występku.

- Oczywiście, że nie zrobi pan niczego wbrew mojej woli - odparła spokojnie. - Jest pan dżentelmenem.

Roześmiał się.

- Nie jestem dżentelmenem, madame, tylko bękartem szkockiej nierządniczy. - Jego słowa były jak trzaśnięcia biczem, urażały ją a jego czyniły bezbronnym. Czytała z jego oczu, jak bardzo jest zraniony, widziała, jak stara się z tym walczyć.

- Przykro mi.

Pokręcił głową rozdrażniony.

- Nie chcę litości, tylko tego, by widziała pani rzeczy, jakimi są nie dała się zwieść opowieściom zbzikowanych staruszków, którzy tak dawno odsunęli się od świata, że nie odróżniają prawdy od zmyślenia.

Pokręciła głową.

- Opat nie jest zbzikowany i myślę, że ma dobre rozeznanie, co jest prawdą, a co nie.

- Chciałbym, żeby i mnie nauczył sekretu tej przenikliwości - odparł Kil.
- Opowiedział mi o pana korzeniach.

Westchnął.

- Doprawdy? Niech zgadnę. Powiedział, że jesteście synami ostatnich wielkich szkockich naczelników.

Kiwnęła głową.

- I nawet jeśli pochodzimy z nieprawego łoża, jesteśmy dziedzicami tych gór. Dzielnymi, wspaniałymi wojownikami starożytnej krwi.

- Tak. - Właśnie to powiedział jej opat.

Kit popatrzył na nią z odcieniem politowania.

- Nam powiedział to samo, kiedy przyszliśmy do niego. Ale to tylko bajka dla dzieci, by gorzki świat uczynić łatwiejszym do przyjęcia.

Nie. To nieprawda. Kate czuła, że nawet on sam nie do końca wierzy własnym słowom. Opat wydawał się nie tylko szczerzy, ale i spokojny, tym rodzajem spokoju, który wywodzi się tylko z głębokiego przekonania.

- Nie wierzę w to - powiedziała z uporem.

- Nie jestem dżentelmenem, pani Blackburn. Jestem synem mej matki. Lepiej, żeby pani o tym pamiętała następnym razem, kiedy przypisze mi cechy właściwe dżentelmenowi.

- Kogo pan chce ukarać? - spytała. - Mnie, za to, że wierzę opatowi? Czy siebie, za to, że mu pan nie wierzy?

Na długą chwilę pochłonęło go powożenie. Siedział sztywno, z zaciśniętymi ustami.

- Kit - powiedziała tytułem próby, nie mogąc znieść mrocznego, pustego wyrazu jego oczu. - Nie wolno ci...

- Proszę uważać na drogę, czy nie ma jakichś podróżnych. Zbliżamy się do wybrzeża.

Nie było żadnych podróżnych.

Godziny upływały jedna za drugą, a on na każde pytanie odpowiadał tylko ruchem głowy. Kiedy się z rzadka odezwał, dokładał starań, by zwracać się do niej formalnie, całkiem otwarcie, usiłując stworzyć dystans między nimi.

Gdy wjechali wyżej, pomiędzy niebieskozielone sosny, ożywczy ostry zapach igliwia zastąpił wilgotną, błotnistą woń wąwozu. Zaczęło się zmierzchać. Kit wypatrzył jakąś chałupę i podjechał pod nią.

- Proszę przytrzymać Dorana, a ja zajrzę do środka.

Podał jej lejce i zniknął wewnątrz. Wyszedł po paru minutach i pomógł jej zsiść, pilnując się, by jego dotknięcia były tylko zdawkową uprzejmością. Gdy weszła w drzwi, dostrzegła, że już rozpalili ogień pod dziurą wyciętą



w dachu. Nie wszedł za nią, a kiedy się obróciła, zauważyła, że wyprzągł Dorana i zakłada mu uzdą.

- Co pan robi?

- Chcę się rozejrzeć po okolicy - odparł. - Nie jestem pewien, gdzie jesteśmy. Przejadę się trochę i sprawdzę, czy trafię na coś znajomego.

Kłamał. Skąd by wiedział o chacie, gdyby nie znał tych stron? Nim mu zdążyła to wypomnieć, chwycił grzywę konia i wskoczył na nieosiodłany grzbiet Dorana. Gdy popatrzył w dół na nią, wiedziała, że łatwo wyczyta jej z oczu dawną obawę, że zostanie opuszczona.

Klnąc pod nosem, szorstkim ruchem ujął ją pod brodę.

- Nie patrz tak - powiedział zdławionym głosem. - Obiecuję, że wrócę, obiecuję, że nie doznasz tu żadnej krzywdy, kiedy mnie nie będzie.

- A jeśli poproszę, żebyś został, posłuchasz?

Popatrzył na nią jak człowiek torturowany.

- Obiecałem, że zrobię wszystko, o co poprosisz, prawda?

- Tak. Ale czy zostałbyś?

- Zrobiłbym wszystko, o co poprosisz.

- Zostałbyś?

Minęło jedno uderzenie serca.

- Tak.

Poważnie pokiwała głową.

- Więc nie poproszę.

Ścisnął piętami boki konia i odjechał.

Kiedy Kate obudziła się, na palenisku ćmiło się tylko kilka gasnących węgli. Lekko oszołomiona wlepiła wzrok w kompletną ciemność chaty bez okien. Na zewnątrz zarżał koń i doszedł ją ludzki głos, cichy i wyczerpany, przemawiający łagodnie do zwierzęcia. MacNeill.

Nie wątpiła, że wróci. Ani przez chwilę. Nawet kiedy ogień prawie się wypalił i wiatr zaczął zawodzić, a ciemność spłynęła z niebajak welon zmarłej oblubienicy. Cały czas był w pobliżu, pełniąc straż przy chacie. Nie widziała go. Nie potrzebowała. Po prostu wiedziała.

Usłyszała, jak drzwi skrzypnęły, i przymknęła powieki. Przez krótką chwilę stał jak czarny cień na tle nieba usianego gwiazdami. Potem drzwi się zamknęły i izba pogrążyła się w ciemności. Usłyszała trzaskanie ognia, gdy doło-

żył dREW, i po chwili oblało ją złote światło. Podłożyła sobie ramię pod głowę i przyglądała mu się na pół przymkniętymi oczyma.

Siadł przy ogniu oparty plecami o ścianę, z podkulonymi nogami, z dłońmi na kolanach. Gdy ogień mocniej rozbłysnął, szkarłatny blask zadrgał niepokojnie na jego twarzy, surowej i silnej, twardej i drapieżnej. Wyglądał jak duch starożytnego celtyckiego króla.

Może nim jest, pomyślała w półśnie. Taki surowy, groźny i piękny. Żyjące widmo chwalebnej, zuchwałej przeszłości.

- MacNeill?

- Niech pani śpi.

- MacNeill - powtórzyła. - Czy wierzysz w duchy?

Już prawie zasypiała, gdy doszła jajego odpowiedź skądś z daleka, wypowiedziana głosem cichym i zagubionym.

- Tak. Na Boga. Tak.

## *O wątpliwych urokach wiejskiego życia*

Gdy Kate obudziła się następnego ranka, stwierdziła, że chata jest pusta. Wybiegła na dwór i zastała Kita czekającego przy faetonie.

- Dzień dobry - powiedziała. W odpowiedzi podał jej jajko na twardo i kromkę chleba z koszyka, który zakonnicy dali im na drogę. Gdy sięgała po pożywienie, z kieszeni wypadła jej zapisana kartka i wylądowała u stóp Kita. Kate schyliła się pospiesznie, by ją podnieść, ale on był szybszy.

Podniósł kartkę i przeczytał:

- „Zalety rzepy jako podstawowego pożywienia”. - Popatrzył przenikliwie na Kate. - Co to jest?

- Książka, którą piszę - odparła nadąsana. - Jestem przekonana, że znajdę dla niej wydawcę.

- A jakież jest jej temat? - spytał uszczypliwie. Był w fatalnym nastroju.

- Piszę książkę o tym, jak z godnością staczać się po drabinie społecznej. Znieruchomił.

- I dlatego zadawała mi pani te wszystkie pytania?

- Nie!

- Użyła mnie pani jako źródła wiedzy? - Z wściekłością rzucił okiem na papier i przeczytał: - „Opryszek. Relacja ku przestrodze o jego sposobach działania i kamratkach”.

- No, może trochę - powiedziała słabym głosem. - Ale pan umyślnie doszukuje się najgorszej motywacji dla tego, co dla mnie jest po prostu próbą zdobycia środków do życia.

- Rozumiem - stwierdził. - W takim razie, błagam, proszę mi wybaczyć moje niczym nieusprawiedliwione obiekcje. Jeśli tylko mogę być pomocny w zgłębieniu duszy klas niższych, proszę bez skrupowania czerpać z mego widzenia świata.

Przyglądała mu się w zamyśleniu.

- Istotnie, jest pewna rzecz, którą chciałam...

- Starałem się być ironiczny, madame - wycedził przez zaciśnięte zęby.

- Doskonale zrozumiałam - skłamała.

Zaśmiał się krótko, wcale nierozbawiony, i wrócił do zaprzęgnięcia Dorana, trzymając się sztywno. Gdy skończył, w milczeniu pomógł jej wsiąść.

A zatem powtórzy się wczorajszy cichy dzień? Doskonale. Jeśli on nie chce mieć z nią więcej do czynienia, ona musi się z tym pogodzić. Zostało jej jeszcze trochę dumy.

No i dobrze, powiedziała sobie. Niedługo się rozstaną i nigdy więcej się nie zobaczą. Kit ma słuszność, zachowując się wobec niej z rezerwą. W gruncie rzeczy jest rozsądniejszy od niej.

Ma inne sprawy do rozważenia, ważne plany, które szybko powinny się ziścić. Musi myśleć o przyszłości. Jutro o tej porze będzie już w zamku. Myśl ta obudziła w niej niepokój pełen wyczekiwania. Wiele lat temu markiz spoglądał na nią życzliwie. Żeby jej to okazać, często z nią tańczył, a nawet raz poprowadził ją do stołu.

Niektóre z jej przyjaciółek szeptały, że niewiele brakuje, by zaczął się o nią starać. Ale, choć pochlebiała jej taka bezpodstawna wiara w siłę jej wdzięków, Kate wiedziała, co o tym myśleć. Ludzie z tak odległych kręgów społecznych nie zawierają związków małżeńskich. Faktem jest jednak, że markiz flirtował z nią, subtelnie, ostrożnie, tak by nie wzbudzać fałszywych oczekiwań, lecz całkiem szczerze.

Liczyła na to, że miło wspomina tych kilka tygodni, gdy ich drogi na krótko się spotkały. Czy dostrzeże w niej coś z dawnej, pełnej życia młodej kobiety? Czy zobaczy tylko jeszcze jedną suplikantkę do jego szczodrości? Poprawiła sobie włosy.

- W Clyth jest gospoda, gdzie może pani się przygotować do wizyty w zamku.

Wyprostowała się na twardych deskach siedzenia, zawstydzona, że Kit dostrzegł i rozpoznał jej próżność. Ale kobieta bez rodziny i dochodów, taka

jak ona, musi dobrze się prezentować, zachowywać nienagannie i mieć miły sposób bycia, by zapewnić sobie wsparcie dalekich krewnych.

- Dziękuję. Bardzo by mi to odpowiadało.

Koło południa skończyły się wzgórza i odtąd droga prowadziła równiną w jesiennych kolorach. Mijali coraz więcej chat, których omszałe kamienne ogrodzenia były wyszczerbione i zaniedbane. Opuszczone placówki porzucone przez ginącą hodowców bydła i rolników. Gdy dzień chylił się ku wieczorowi, dał się wyczuć słony zapach morza. Pokazały się morskie ptaki, wrzeszczące rybołówki w czarnych czapczkach i białe mewy, które krążyły nad odległym srebrzystym widnokregiem.

Kilka kilometrów dalej znaleźli się na szczycie białych skał schodzących do morza. Droga opadała stromo ku wiosce, małe ceglane domki przylegały ciasno do skalnych ścian, wąskie spirale węglowego dymu wznosiły się z kominów jak znaki zapytania.

Na dole stromej drogi domy skupiały się gęsto wzdłuż wąskiego nabrzeża. Dwa starożytne mola odchodziły od niego w morze, rzucając cienie na kilkanaście odkrytych łodzi rybackich, leżących na burtach w połyskującym błocie. Był odpływ, a gęsty i przykry zapach ryb, dziegciu i rozkładających się wodorostów wisiał w powietrzu.

- Clyth - rzucił Kit, prawidłowo odczytując jej odrazę. - Gospodajest na nabrzeżu. Może wolałaby pani jechać prosto do zamku?

- Nie! - Na może pokazać się w zamku w sukni, w której spała. Zwłaszcza że ma w kufrze absolutnie uroczą sukienkę i szczotkę do włosów. - Proszę.

Bez słowa skierował faeton ku nabrzeżu. Na ulicach prawie nie było przechodniów. Dwóch krzepkich rybaków o zniszczonych twarzach spoglądało na nich z ponurą wrogością kobieta o zmęczonym wyrazie twarzy wynurzyła się z niskich drzwi, ściskając zniszczone wiaderko węgla.

Kit wstrzymał konia przed wąskim budynkiem, wciśniętym między dwa magazyny. Szara deska zwiisała z drążka sterczącego nad drzwiami, ale sól morska i czas wymazały wszystko, co mogło tam być wypisane. Błady jak ściana urwis wyskoczył z drzwi i chwycił lejce Dorana.

- Stajnie są na tyłach - wychrypiał. - Natrę go jak należy, nakarmię i dopilnuję za dwa pensy, kapitanie.

Kit rzucił mu monetę, a chłopak chwycił ją w powietrzu. Chcąc jak najszybciej uciec przed ostrym wiatrem wiejącym od portu, Kate, nie czekając na pomoc Kita, wygramoliła się z powozu i wbiegła do gospody. Wnętrze wyglądało lepiej, niż się spodziewała. Cienka warstwa kurzu pokrywała belki

stropu, ale ogień na palenisku płonął czysto, a zaduch portowy osłabł, gdy tylko drzwi się zamknęły. Dwóch mężczyzn siedziało w mrocznym końcu sali. Na widok Kate przerwali rozmowę i utkwili w niej swe spojrzenia. Starszy, chłop o wysuniętej szczęce z masywnymi, przygarbionymi ramionami, wstał i wytarł dłonie w brudny fartuch zawiązany w pasie. Powoli prześliznął się oczyma po Kate.

- Czym mogę służyć?
- Jesteście oberżystą?
- No.
- Jak daleko jest do zamku Parnell?
- Niecałą godzinę na przełaj, dwie godziny drogą.

Miała nadzieję dotrzeć do zamku przed nocą, ale wyglądało na to, że musi się zdobyć na cierpliwość i poczekać do rana. Wolała się nie zastanawiać nad tym, dlaczego czuje bardziej ulgę niż irytację z powodu zwłoki.

- Moglibyście posłać kogoś do zamku? - spytała.

Jej rozmówca spojrzał na swego towarzysza, atletycznie wyglądającego młodzieńca o gęstych czarnych włosach i krzaczastych brwiach, w niespotykanym koronkowym halsztuku pod brodą, z równie zadziwiającym rapierem, przytroczonym u pasa. Był przystojny i sądząc ze sposobu, w jaki omiótł spojrzeniem Kate, dobrze o tym wiedział. Kiwnął głową oberżystcie.

- Czemu nie. Mogę pójść.
- Proszę więc zaraz go posłać. I powiedziec, żeby dał znać w zamku, iż pani Katherine Blackburn przybyła do Clyth i rano wyruszy do zamku.
- A to pani jest panią Blackburn? - spytał towarzysz oberżysty.
- Tak.
- Witamy w Clyth - powiedział. - Ja jestem Callum Lamont.

Nagły prąd zimnego powietrza poruszył brzeg jej spódnicy. Drzwi za jej plecami otwały się.

- Ta dama potrzebuje pokoju.

Oberżysta skierował wzrok za Kate, tam gdzie stał Kit, bez wysiłku kołysząc na ramieniu ciężki kufer, w drugiej ręce trzymając skrzynkę za uchwyt ze sznurka. Lamont gwałtownie zmrużył oczy, ale nie odezwał się słowem, tylko cofnął w cień.

- Trzy szylingi za noc - oznajmił oberżysta, człapiąc za kontuar i wskazując Kitowi i Kate, by poszli za nim. - Płatne z góry.

Kit położył koronę na księdze gości.

- A co z wami, kapitanie? - spytał oberżysta. - Dla was też pokój czy... - uśmiechnął się obleśnie.

- Opacznie mnie zrozumiałeś, przyjacielu. - W sposobie, w jaki Kit wymówił to ostatnie słowo, nie było absolutnie nic przyjacielskiego. - Jestem jej woźnicą. Mężczyzna prychnął, ale postanowił nie drażyć głębiej sprawy.

- Jest tylko jeden pokój. Wynajmą ci pryczę nad stajniami za dwa pensy.

- Zgoda. - Chłodne zielone oczy Kita zerknęły w stronę Kate. - Czy pani czegoś jeszcze potrzebuje?

- Tak. Chciałabym, by wniesiono na górę wannę z gorącą wodą...

Oberżysta parsknął śmiechem.

- Pani życzy sobie się wykapać. - Ton Kita skutecznie ostudził jego wesołość.

Ponuro łypnąwszy okiem, oberżysta przyłożył do ust potężne łąpsko zwinięte w trąbkę i ryknął:

- Meg!

Po chwili zjawiła się chuda, zahukana jasnowłosa kobieta.

- Czego chcesz, Gordie?

- Wnieście z Robbiem miedzianą balię do kuchni i nalejcie do niej gorącej wody. Pani chce wziąć kąpiel. - Posłał Kate spojrzenie, wyraźnie mówiące, że ten pomysł uważa za szalony. - Nie można wciągnąć balii po schodach, ale kuchnia jest dość wygodna. Meg pani usłuży, a Robbie popilnuje drzwi. Za jeszcze jednego szylinga.

- Doskonale - powiedziała Kate. Gdyby nie było nic innego, wykapałaby się w korycie dla koni. Chciała znów poczuć się czysta. Meg, szeroko otworzywszy oczy ze zdumienia, że ktoś może kąpać się w zimie, pospiesznie dygnęła i zniknęła.

- Jeszcze coś? - spytał oberżysta, trochę skwapliwiej, kiedy Kit brzęknął złotem.

- Macie jakiś godny napitek? — spytał Kit.

- Nikt do tej pory nie narzekał. - Oberżysta schylił się i postawił na ladzie brązową szklaną butelkę i dwa cynowe kubki. Bez słowa nalał na palec trunku do jednego z nich i podsunął Kitowi, który tak samo w milczeniu uniósł naczynie do ust i pociągnął łyk. Popatrzył z uznaniem.

- Francuski koniak. Nic dziwnego, że nikt się nie uskarżał.

- Znaleziony na plaży. Sam znalazłem.

- Zdumiewające, że niektórzy ludzie nie pilnują jak trzeba takiego skarbu. - Musnął spojrzeniem Kate. Jej twarz spochmurniała. Nalał miarkę najpierw jej, potem sobie. Uniósł kubek.

- Niech pani znajdzie to, czego pani pragnie, pani Blackburn - powiedział z wymuszoną dobroduszością.

I niech znajdę to, czego potrzebuję, panie MacNeill - odparła, wytrzymując jego spojrzenie.

## *Pokrzepianie się na duchu*

Gorąco wody wsączało się w zmęczone mięśnie Kate, a zapach drogiego mydła nęcił zmysły. Znużenie w końcu pomogło jej rozładować napięcie ostatniego tygodnia.

W czasie gdy moczyła się w balii, Megan wyprała jej halkę i koszulę, cmo-kając nad złym stanem sukni. Rozwiesiła pranie przed kominkiem na poręczy krzesła i zdjęła z haka parujący kociołek. Ostrożnie dolała wody do miedzianej balii.

- Proszę. Tak będzie lepiej. - Przerażona początkowo kobieta powoli odprężyła się, krzątając przy Kate. - Ale ma pani śliczne włosy! Wielka szkoda, że takie poczochrane. Tutejsze ludzie nie przejmują się tym, co się liczy dla damy ani co się dżentelmenom podoba.

- Nie? - bąknęła Kate niewyraźnie.

- Kapitan dba o panią, to widać - powiedziała Meg przebiegle.

Kit? Tak. Istotnie dbał. Nieszczęśliwie, ponuro i niechętnie.

- Dlaczego nazywasz go kapitanem?

- Co? - Meg przejechała szczotką po obrębie sukni. - Niech mi pani wierzy, zem się napatrzyła dość mundurów, by wiedzieć, który jest jaki. Połowa młodych w Szkocji nosi pułkowe odzienie. To jest oficerska kurtka, ta jego. A czemu mówię kapitan, no bo kapitan czy major, co to komu za różnica. - Czy on tu przyjechał, żeby dołączyć do milicji? - ciągnęła. - Bo jeśli tak, to bym mu radziła się tym nie chwalić w Clyth.

Kate zmarszczyła brwi.

- Do jakiej milicji?

- No przecie do tej, co stacjonuje w zamku Parnell, od kiedy im kapitana zabili.

- Zabili? - powtórzyła Kate.

Twarzyczka Meg przybrała wyraz z troskaniem.

- Ano tak. Nowy kapitan przyjechał w zeszłym tygodniu, kapitan Waiters, i przeniósł żołnierzy do zamku, tak jak sobie markiz zażyczył. - Uśmiechnęła się kpiąco. - Przecie markiz nie po to ściągnął taką obronę, żeby sie-

działa daleko od jego podwórka. A zresztą, tylko głupi trzymałby milicję w Clyth.

- A to dlaczego? - spytała Kate, na nowo zaniepokojona.

- Dlatego. - Meg zmrużyła oczy. Zaciśnęła powieki, jakby ważyć coś w myśli, a potem słowa popłynęły już wartkim strumieniem.

- Ostatniemu akcyznikowi starczyło jednego dnia, żeby zginąć.

Kate zamarła. Zalała ją fala strachu, gwałtownego i wywracającego trzewia.

Meg chrząknęła i twarz jej wykrzywił grymas wściekłości.

- Co się pani tak patrzy? - Zdumiewająca rzecz, sprawiała wrażenie urażonej. - Pani nie widziała go, jak mu krew chlustała z brzucha - wymamrotała. - Takiego białego i wystraszonego... - Urwała nagle, a Kate z rosnącym przerażeniem pojęła, że Meg widziała, jak mordowano poborcę. Była przy tym.

Skuliła się w wodzie. Łudziła się tylko, że jest bezpieczna. Wcale nie. Nigdy nie będzie. Nigdy, dopóki...

- Tak! Bałam się! - powiedziała Meg piskliwie, jakby broniąc się przed oskarżeniem, i Kate pojęła, że Meg powiedziała jej o tym, bo Kate jest tu obca, a Meg już dłużej nie potrafi żyć z tym sekretem czy winą. - I jeszcze się boję! Za bardzo się boję, żeby samej sobie pomóc, a co dopiero komu drugiemu. Stałam i nie mogłam się ruszyć! Nie mogłam tchu zaczerpnąć. - Z nagłą gorliwością przysunęła się do Kate i wyszeptwała: - Ale pani może pomóc. Niech się pani pilnuje. Niech pani uważa na Calluma Lamonta.

Wyrzuciwszy z siebie tajemnicę, Meg wyprostowała się, jakby straszliwa wina trochę przestała jej ciążyć.

- No dobrze. Zrobiłam, co mogłam.

Kate zaszczekała zębami.

- Ojej! Co pani? - Meg złapała się dłońmi za czerwone policzki. - Pani ziębnie. Ale to nic. Jużśmy skończyły. - Mówiła od niechcienia, jakby nigdy nie wspomniała o morderstwie. - Proszę wstawać, pani Blackburn.

Kate podniosła się. Udało jej się nie zdrzeć, kiedy kobieta otuliła jej ramiona grubym ręcznikiem. Co by było, gdyby Meg powiedziała Lamontowi, że wyznała jej to, czego była świadkiem? Co by zrobił?

- Nie ma się pani co tak martwić. - Meg żartobliwie pogroziła jej palcem, a Kate z wysiłkiem pokonała mdłości wzbierające w żołądku. Jak ta kobieta może się zachowywać jakby nigdy nic, jakby dopiero co nie wyznała, że widziała morderstwo? Jak może żyć z myślą, że nic nie zrobiła, by mu przeskodzić? - Dobrze pani będzie w zamku. To tylko my musimy się bać, aleśmy



do tego nawykli. - No, halka i koszula już wyschły, niech je pani włoży, otuli się płaszczem i pójdzie na górę do pokoju. Nikt nie zobaczy, że nie ma pani sukni pod spodem. Szkoda wkładać brudne ubranie na czystą skórę.

Kate wkładała bieliznę, miotana burzą sprzecznych uczuć: potępienia, chęci wypłakania się, przerażenia. I litości.

Czy już nigdy nic w jej życiu nie będzie zwyczajne? Za każdym zakrętem trafiała na ścieżki, których istnienia nawet nie podejrzewała, a tym bardziej nie miała chęci badać. Przemycnicy i rozbójnicy, ofiary i oprawcy, wyliczała w myśli, ogarnięta paniką i rozżalona. Wiedza jest dodatkową karą, jaką niesie ze sobą ubóstwo.

Nie chciała wiedzieć o niczym więcej. Musi się dostać do zamku, w otoczenie, gdzie rządzą znane jej reguły. Nie chce mieć nic wspólnego z tym zdziczeniem i bestialstwem. Nie chce znać mężczyzn, którzy zabijają lub ranią, albo polują jeden na drugiego. Takich jak Christian MacNeill.

Zapagnęła powrotu do dawnego życia, w którym była chroniona i utrzymywana w błogiej nieświadomości.

A pierwszy krok do tego to przygotowanie się na przybycie do zamku. Musi ubrać się tak, jak przystoi damie. Tak, powtarzała sobie, z trudem poruszając się na drżących nogach po pochyłej podłodze kuchni. Tak. Właśnie to musi zrobić.

Ubierze się w batystową suknię w kolorze bzu. Kiedy zacznie wyglądać jak dama, koszmar zblednie i rozwieje się. Już nigdy nie będzie patrzeć na mężczyzn bijących się w gospodzie. Rozmawiać z żadnym świadkiem morderstwa. Leżeć bezsennie, bojąc się, że w nocy może ją ktoś napaść. Nigdy nie odda się pod opiekę obcemu.

A Kit MacNeill jest obcy. Bez względu na to, co mówi jej ciało. Przystanie marzyć o słodkich, gwałtownych pocałunkach i zadumanych oczach. Nie będzie się przejmować ranami, jakie dostrzegła, ani tymi, których się domyślała.

Z obrębu płaszcza wydłubała ostatnie monety. Bez słowa wcisnęła je w dłoń Meg. Nie czekając, aż kobieta wprowadzi ją głębiej w swe życie podszyte strachem, wypadła z kuchni jak strzała.

W sali gospody znajdowało się tylko paru mężczyzn. Kate przemknęła ku schodom prowadzącym do jej pokoju, z każdym krokiem mocniej pragnąc wyjechać stąd jak najszybciej. Musi kogoś namówić, by ją dziś wieczór zawiózł do zamku. Nie potrafi znieść myśli o leżeniu bezsennie przez całą noc i zastanawianiu się, czy pijący na dole mężczyźni pozarzynali się nawzajem. Czuła się chora. Kręciło jej się w głowie. Drżała na całym ciele.

Pchnęła drzwi pokoju i skamieniała.

Przewrócony na bok kufer Grace leżał pusty, z wyrwaną podszewką z granatowego jedwabiu, a gwiazdy haftowane złotem mrugały na nią z podłogi. Cała zawartość kufra, pognieciona i porozrywana, rozsypana i zgarnięta bezładnie na stos, została wysypana na podłogę i przetrząśnięta: okrętowy barometr, zniszczona chińska układanka, teleskop Grace, rozbity porcelanowy zegar, książki z pozrywanymi okładkami i podartymi kartkami. Kate oszłamiona wodziła wzrokiem po tym śmietniku. Ze strasznym przecuciem nieuniknionego spojrzała pod nogi, gdzie leżała skórzana podróżna apteczka Charlesa, z wyszarpanymi szufladkami i fiolkami opróżnionymi z ich płamiącej zawartości.

Dokładnie na jej suknie.

Callum Lamont wpatrywał się przed siebie nieruchomym wzrokiem, bawiąc się rapierem. Nie był w najlepszym nastroju. Pozbawiono go podstępem wielkiego skarbu. To prawda, poczuł satysfakcję, gdy posłał na śmierć oboje, Charlesa Murdocha i tę sukę, jego żonę, ale satysfakcja dawno znikła, pozostawiając tylko bezsilny gniew.

Zbyt się pospieszył. Teraz widzi to jasno. Ale był taki wściekły. Charles Murdoch nie tylko ukrył wiadomość od ich „przyjaciela” o trasie francuskiego jola z bogatym ładunkiem, ale też użył czterech ludzi Calluma, by doprowadzić do zatonięcia żaglowca i ukryć łup w jednej z... - Callum zatopił spojrzenie w suficie i w zamyśleniu podrapał się w brodę - ..pięciu? Dziesięciu? Tysięcy jaskiń i podwodnych grot, rozsianych wzdłuż wybrzeża. Bezczelny drań.

Charles, myślał Callum ponuro, nie był dobrym współnikiem, nie takim jak jego „prawdziwy” partner. Chociaż ten diabeł przyprawiał Calluma o dreszcz, z uwagi na nawyk wydłubywania dziur we własnej skórze.

Murdoch byłby się zresztą wymknął ze swym skarbem, gdyby partner nie ostrzegł Calluma. Kiedy Callum odkrył, co zrobił Murdoch, zabił go i jego żonę, zachowując tyle przytomności umysłu, by złożyć ciała na jachcie Murdocha, który rozbił na rafach. Potem ruszył na poszukiwanie swych ludzi i skarbu, jaki mu się słusznie należał. Oby tak dalej mu szło.

Ale zdarzyła się rzecz nie do pomyślenia. Odkrył, że Charles Murdoch pozabijał ludzi, którzy mu pomagali - ludzi Calluma - by nie wyjawili tajemnicy skarbu ani nie uciekli z nim sami. W każdym razie ci ludzie nie

/yj;|. Niech diabli wezmą szczwane oczy Murdocha. To się stało parę miesięcy temu, a skarbu wciąż jak nie ma, tak nie ma.

Galium wysączył ostatnią whisky. Podniósł głowę, słysząc, jak drzwi otwierają się z rozmachem. Oczekiwał, że to któryś z jego chłopców się do niego przyłączy. Ale to wszedł wysoki woźnica tej ciemnej kobiety. Czuło się w nim żołnierza, poczawszy od kurtki, a na mieczu przytroczonym między łopatkami kończąc. I wyglądał jakoś znajomo.

Callum przekrzywił głowę, zastanawiając się, czy to milicja go przysłała. Nie. Ten człowiek jest zapewne dezerterskim, który zatrzymał kurtkę z sentymentu lub na złość. Milicja nie powstrzymała jednej łodzi przed lądowaniem i to, przynajmniej tak mu mówiono, nurtowało kapitana Wattersa, który zastąpił zabitego oficera.

Callum trochę się rozpogodził.

Wysoki mężczyzna ściągnął pled z ramion i rozejrzał się po sali z naturalną ostrożnością człowieka obytego z niebezpieczeństwem. Zawadził spojrzeniem o Calluma, zerknął na schody, potem przemierzył salę, wybrał sobie krzesło i zawołał na Brodiego, by przyniósł mu whisky.

Oberżysta posłuchał natychmiast, reagując na władczy sposób bycia nieznanego i takiż ton. Jedno i drugie irytowało Lamonta. Nie lubił, gdy ktoś się wywyższał, jeśli to nie był on sam. Callum Lamont był królem prostych ludzi. Skinał na Brodiego, by przyniósł mu następną whisky, wstał i przeszedł przez salę do górala.

- Z jakiego pułku uciekłeś?

Nieznamy powoli podniósł na niego wzrok. Jego oczy były równocześnie jasne i ciemne, jak lód pokrywający bazalt, iskrzące się na powierzchni i hebanowe w głębi. Boże! Gdzie on widział tego bękarta?

- Nie przypominam sobie, że bym był panu przedstawiony.

Callum błyskawicznie podniósł brwi.

- Przedstawiony, powiadasz? Czyżbyśmy byli jaśnie panem? - Przyciągnął krzesło na drugą stronę stołu, przerzucił przez nie nogę i usiadł. - Nie - odpowiedział sam sobie, pochylając się w przód, z dłońmi opartymi na powierzchni stołu - nie jesteśmy panem. Jesteśmy góralskim śmieciem.

- Jesteśmy? - Nowo przybyły obojętnie wytrzymał wzrok Calluma.

- Nie słyszałem twego nazwiska.

Świetliste, głębokie oczy błysnęły ku niemu.

- Nie podałem go.

- No to może teraz byś się zdecydował.

Z szybkością atakującego węża dwa sztylety błysnęły nagle w garściach górala i wbiły się głęboko w stół, drasnąwszy nadgarstki Calluma, przyspi-

łając mu rękawy do blatu. Nieznajomy spokojnie puścił rękajeści i podniósł kubek do ust. Napił się.

- Albo nie.

Wargi Calluma drgnęły.

- Nie chcesz chyba mieć we mnie wroga, chłopcze.

- Nie chcę cię w ogóle znać... chłopcze.

- Moi ludzie zaraz tu będą. Nie są grzeczną gromadką.

- Doprawdy? - spytał góral, bardziej rozbawiony niż przestraszony.

- To ten rodzaj chłopaków, którzy rwą się do bitki. - Głos Calluma obniżał się znacząco. - Albo do pochędożenia sobie. - Przeniósł wzrok ku schodom.

Góral poszedł za jego wzrokiem, a potem na powrót spojrział w szydercze oblicze Calluma.

- Niestety, nie da się pogodzić jednego z drugim naraz, prawda? Człowiek może być tylko w jednym miejscu jednocześnie - stwierdził, przekonany, że nieznajomy przejmie się jego niezbyt subtelną groźbą.

Dłoń górala wystrzeliła i zacisnęła się na gardle Calluma. Przez moment Callum był zbyt zdumiony, by zareagować, potem zaczął walczyć o życie. Nieznajomy, z obojętną twarzą, zaciskał chwyt.

Przed oczyma Calluma eksplodowały światełka. Usłyszał grzechoczący dźwięk i przez mgłę bólu dotarło do niego, że sam go wydaje, chcąc chwycić oddech.

- Nigdy - usłyszał górala przemawiającego do niego spokojnie - nigdy więcej nie groź pani Blackburn.

Ale rozważa nie była mocną stroną Calluma. Nie potrafił ustąpić temu człowiekowi. Nie w obecności Brodiego.

- Będzie mi dziękować, kiedy z nią skończę! - wycharczał, uwalniając wreszcie ręce. Ale potrafił tylko wczepić się bezskutecznie w dłoń duszącą go nieubłaganie.

Z góry spoglądały na niego oczy tak bezlitosne i zimne jak arktyczne morza. Wśród ogarniającego go przerażenia dawne wspomnienie przebijało się z głębin niepamięci. Zielone oczy. Złote włosy. Umorusany, niedożywiony chłopak o zielonych oczach i ta jego chłodna zaciekłość, która kazała Callumowi myśleć, że kiedyś może mu się przydać. Że może warto się nim przejąć. Może warto...

- Chcesz zabić człowieka, który ocalił ci skórę, Christianie MacNeillu? - Ucisk na szyi odrobinę zelżał. W chłodnych oczach błysnęło nagłe rozpoznanie.

- Tak! - wychrypiał Callum z triumfem. - Jesteś mi winien życie. Nie możesz mnie uśmiercić, bękarcie!

Czuł, że silny uchwyt zgniata mu tchawicę. W uszach mu dzwoniło. Ogar-  
nęła go ciemność i usłyszał, jak Christian MacNeill mówi:

- Z drugiej strony patrząc, niewiele mi z tego życia przyszło.  
I już nie widział nic więcej.

*Lochy zamku LeMons, Francja, maj 1799*

- Uważaj! - Anglik całym swym ciężarem uderzył Kita w bok, powalając go na ziemię. Kit przeturlał się, wyskoczył w górę i odwrócił w samą porę, by zobaczyć ostrze zagłębiające się w gardle opryskliwego Francuza i szty-  
let wypadający z dłoni zabitego.

Serca Kita przyspieszyło. Znał zabitego, wściekłą bestię, która żerowała na młodych mężczyznach osadzonych w więzieniu. Ta bestia zakochała się w jego zielonych oczach. Dopóki nie kazał mu się odkochać, używając pię-  
ści.

- Dzięki - powiedział Kit, obracając się ku swemu obrońcy.  
Anglik, zdyszany, kiwnął głową w kierunku zabitego.
- Mógł cię zabić.
- Dzięki Bogu, spostrzegł pan, co się święci - powiedział Douglas, który nadszedł właśnie razem z Dandem.
- Szczęśliwie dla ciebie połapałem się, co ten bękart szykuje - przytaknął Anglik skwapliwie. - Szacuję, że jesteś mi sporo dłużny.
- Istotnie. - Ramsey natychmiast zorientował się w sytuacji. - Prościej, a będzie wam dane. Jaka jest cena za ludzkie życie ostatnimi czasy? A co ważniejsze, czego chcesz?
- Znam cię. - Anglik wskazał na Rama. - Widziałem cię, jak walczyłeś kijem przeciw szpantom z jakimiś Francuzikami. Dobrze ci szło. Elegancko.  
Ram skłonił głowę.
- Zbyt pochlebnie mnie oceniasz.
- Chcę, żebyś mnie nauczył tej wymyślnej szermierki.
- To ja mam dług, a nie on - oświadczył chłodno Kit.
- Tak, ale nie widzę niczego, co ty masz, a ja chciałbym osiąść. Na razie.
- Przestań, Kit. - Ram wzruszył ramionami. - Jeśli uważasz, że twój ho-  
nor tego wymaga, utnij sobie rękę i ciśnij temu żalosnemu gnojnikowi, ty prze-  
kłęty dumny szkocki zły kundlu, ale potem daj i mnie się zabawić. To przy-  
najmniej powinno zabić nudę między utarczkami.
- W porządku - zgodził się Kit niechętnie. - Ale pewnego dnia go spłacę.

## *Pokusy, omamienia i pułapki czyhające na nieostrożną damę*

**K**it ścisnął mocniej, a Lamont zabębnił obcasami o podłogę. Oberżysta, będący świadkiem Bóg wie ilu aktów przemocy, dyskretnie się usunął. W ostatniej chwili Szkot zwolnił chwyt i upuścił dyszącego mężczyznę jak zapowietrzonego szczura.

Wzdrygnął się z obrzydzenia i przestąpił przez swego niegdysiejszego wybawcę. Kit MacNeill zawsze spłaca długi: to jedyny powód, dla którego ten bękart jeszcze oddycha. Ale jeśli kiedykolwiek znów zagrozi Kate - aluzją, słowem czy czynem - będzie po nim.

Przypatrywał się beznamiętnie nieprzytomnemu człowiekowi u swych stóp, badając jego rysy. Z początku go nie rozpoznał. Wtedy wszyscy byli nieogoleni, pokąsani przez pchły, pokryci pryszczami i brudni. Ale rapier powinien poruszyć właściwą strunę. Kto używałby rapiera oprócz Rama i jego ucznia? Kit nachmurzył się. Czy to możliwe, żeby Ram przysłał tutaj tego człowieka?

Rozpaczliwy krzyk kobiecy nagle przerwał nie do końca sformułowane podejrzenia.

Kit rzucił się na górę, skacząc po dwa schody naraz. Wyciągnął miecz z pochwy szybkim ruchem. Drzwi do pokoju Kate stały otworem, a ona sama leżała skulona na podłodze, z twarzą ukrytą w dłoniach. Peleryna w kolorze indygo zsunęła się z jednego nagiego ramienia. Kitowi serce zabiło jak młotem. Jeśli ktoś ją tknął...

Zamknął drzwi i prześliznął się obok niej, lustrując wzrokiem pokój. Nie było miejsc, gdzie ktoś mógłby się ukryć; byli sami. Zwrócił się na powrót ku niej.

- Spójrz mi w oczy, dziewczyno - zażądał rzeczowym tonem. - Jesteś ranna?

- Nie.

- Czy on cię tknął?

- Nie. - Pokręciła głową, a atramentowe pukle rozsypały się, odbijając blask świec. - Dlaczego ktoś to zrobił?

Czy to...? Rozejrzał się wkoło i dopiero teraz zauważył stan pokoju. Dookoła leżały kawałki porcelany i szkła, połupane drewno i podarte papiery. Ktoś zniszczył prawie całą zawartość kufra.

Ale jej nic się nie stało.

- Jesteś pewna, że nic ci nie jest?  
- Nawet nikogo nie widziałam. - Uniosła twarz. Łzy ciekły jej po białych policzkach.

Odetchnął z ulgą, porzucając myśl o zemście, i wsunął miecz do pochwy. Kiedy upewnił się, że Kate jest cała i zdrowa, ogarnęło go uczucie ulgi, a z nim zaświtała świadomość jej neglizżu. Żarliwie pragnął, by tak nie było. Można było ignorować jej ciało okutane w narzutkę koloru indygo i gruby wełniany zakonny habit. Ale teraz, gdy się poruszyła, narzutka zsunęła się, a cienka koszula, którą miała pod spodem, nie osłaniała jej ani trochę. Koronka figlowała z jej piersiami, biała atłasowa wstążka snuła się prowokująco wzdłuż ocienionej doliny pomiędzy nimi. Przez cienki biały materiał otoczki sutek prześwitywały jak późne pąki pod pierwszym śniegiem. Zrobiło mu się sucho w ustach z pragnienia.

- Czemu płaczesz? - Głos jego brzmiał szorstko i oskarżycielsko, w rzeczywistości Kit oskarżał sam siebie. Jakimże jest zwierzęciem, że potrafi tak szybko przejść od przerażenia do pożądania?

Jej dłoń opadła na zmiętą suknię na podłodze i bezsilnie skubnęła ją palcami.

- Są zniszczone. Wszystkie suknie są zniszczone.

Suknie? - pomyślał niedowierzająco. Tyle łez o cholerną suknię?

- To tylko suknia.

- Nie. - Gwałtownie pokręciła głową. - Nie. To moja droga ratunku.

Droga ratunku. Nie miała pojęcia, jak głęboki cios zadała mu tymi słowami.

- Czy to takie niezdolne nie być zamożną? - Nie potrafił ukryć drwiny. - Nie mieć ładnych sukni?

Uniosła ku niemu oczy lśniące od łez.

- Tak! - krzyknęła. - To niezdolne. Pan to uważa za płytkie? - spytała. - A mnie się przejadło usprawiedliwianie tego, że nie chcę być biedna... jakby takie pragnienie było tchórzliwe i niesłuszne, a za to znoszenie ubóstwa szlachetne i godne. - Nie ma nic szlachetnego w ubóstwie, panie MacNeill. Ubóstwo jest zimne i rozpaczliwe, i przerażające, zawsze przerażające. Przygląda się biernie zabijaniu ludzi i nie śmie temu przeszkodzić. A potem dławi cię winą, że ty żyjesz.

Zmarszczył brwi, niepewny, skąd się wzięła jej zaciekleść, ale rozumiejąc doskonale, że nie chodzi o zniszczoną suknię. Wyciągnął rękę, by pomóc jej wstać, ale szarpnęła się w tył i wlepiła w niego wzrok.

- Chcę mieć to, co miałam kiedyś. Nie chcę się więcej bać ani przyglądać się, jak zabijają człowieka, i nic nie robić, by to powstrzymać... - Zamilkła. - I osiągnę to, czego chcę. Bo wiem, jak ona się bała!

Ona? O kim mówi Kate?

- Kate, przykro mi...

- Nie. Nie waż się mnie pocieszać!

Wsparła się dłońmi o podłogę.

- Nie pogodzę się pokornie ze spędzeniem reszty życia w taki sposób, jakbym sprzeniewierzyła się memu stanowi i ponosiła karę za jakiś grzech.

Odepchnąwszy się od podłogi, stanęła tuż przy nim, z gniewnym wyzwaniem w ciemnych oczach.

Narzutka spadła na podłogę.

- To on umarł, nie ja!

Jej ojciec? Kit stanął nad nią, wreszcie pojmując.

- Nie byłam przygotowana. Nie miałam zostać wdową i *sierotą*. - Głos jej się załamał, a cierpienie nagle zastąpiło wściekłość. - Przyznaję, są inni, którzy cierpią dużo gorszy los niż ja i powinnam być wdzięczna, że mnie to nie dotknęło. Ale nie potrafię. Nie jestem wdzięczna. Nie jestem taka szlachetna, by dziękować za okruchy z pańskiego stołu. - Głos jej zadrżał. - Jestem zmęczona wiecznym strachem przed tym, jakie wyzwanie przyniesie następny dzień. Strachem, że mogę mu nie sprostać.

- Rozumiem.

- Naprawdę? - szepnęła.

Zapatrzyła się w niego ponuro, a on utonął w jej oczach, zagubił się, czując, że już nigdy nie znajdzie powrotnej drogi. Ujął w dłonie jej twarz. Nie ma prawa jej całować. Obiecał jej i sobie, że więcej tego nie zrobi.

Kłamał.

Minęły prawie cztery lata od czasu, kiedy Kate drgnęła pod męskim dotykiem, wygięła się pod ciałem mężczyzny, instynktownie mu się oddając. Blisko cztery lata, odkąd pożądała i była pożądana.

Wszystko to wróciło przyplływem tak nagłym, że zakręciło jej się w głowie, zapalając długo uśpione instynkty jak błyskawica stertę zwalonych konarów. Kolana ugięły się pod nią, więc Kit chwycił ją, osunął się razem z nią na kolana i mocno objął ją w talii, przyciągając do muskularnego męskiego torsu.

Nie oderwała warg od jego ust.

Wolną ręką ujął ją pod brodę, uniósł jej twarz ku górze i przytrzymał, jakby w obawie, że się odwróci. Niepotrzebnie. Oddała pocałunek z rozchyłonymi



ustami, by smakować go językiem i wargami: orzeźwiający, męski, słonawy i soczysty.

Odchylił się, położył dłoń u dołu jej pleców, tuż nad okragłością pośladków, i powoli przyciskał ją do siebie, rozgniatą o twardą męską wypukłość. Jego oczy ze świetlistych i chłodnych zmieniły się w ciemne i szalone.

- Nie powinienem tego robić - powiedział. Ale nie wypuszczał jej z objęć. - Nie powinienem cię znów pocałować. Klnę się, że nie powinienem.

- Chcę, żebyś mnie całował - odpowiedziała, porzuciwszy skromność.

- Nie. - Pokręcił głową i podniósł się. Gdy przestał ją podtrzymywać, osunęła się na zniszczone suknie.

- Nie minęły dwa dni, od kiedy poprzysiągłem, że więcej cię nie tknę.

Wyciągnęła ku niemu ręce i położyła mu dłoń na brzuchu. Przebiegł go dreszcz. Spuścił oczy na jej dłoń, wstrząśnięty jej dotknięciem. Kiedy podniósł głowę, miał w oczach kłębowisko sprzecznych uczuć, przeklinając ją i błagając. Pragnął jej.

- Nie pamiętam uścisków mego męża. - Musiała mu wytłumaczyć rzeczy, które sama ledwie pojmowała. - Byłam zamężna przez pół roku. Znajdowaliśmy radość w czułości i tkliwym przywiązaniu, kochaliśmy się, ale nie potrafiliśmy sobie tego przypomnieć. Chyba że w snach. Ale ostatnio to ty mi się śnisz.

Zduszony dźwięk wydarł się z gardła Kita.

- Jezu! Kate!

- Pocałowałeś mnie i od tamtej chwili cała płonę. Twój pocałunek wypalił wszystko. - Wytrzymała jego spojrzenie. - Wszystko oprócz ciebie.

Wyglądał jak dotknięty nieszczęściem, schwytany w sidła.

- Przepraszam. Wymusiłem ten pocałunek. Nie powinienem.

- Nie przyjmuję przeprosin.

- Co innego mogę zrobić?

Spuściła wzrok, bojąc się napotkać jego spojrzenie.

- Kochać się ze mną - szepnęła ledwie dosłyszalnie, porażona własną zuchwałością. - Sprawić, bym zapomniała. Dać mi coś, co będę pamiętała.

Drżącymi palcami odgarnął włosy z twarzy i zaczął mówić, chodząc po pokoju.

- Wcale tego nie chcesz. Jesteś przerażona i czujesz się bezbronna. Chcesz pocieszyciela. Nie kochanka.

W milczeniu wodziła za nim ciemnymi, zagadkowymi oczyma.

- Powinnaś mieć kochanka dżentelmena, żeby całował koniuszki twoich palców, pisał listy miłosne i szeptał wiersze. Nie jestem taki, Kate. Nie jestem dżentelmenem, tylko żołnierzem. I wszystko, co mam, czym jestem, to

zaciekłość. - Wyrzucał gwałtowne i pełne skruchy słowa przez zaciśnięte zęby. - To wszystko, co znam.

Wyminął ją, zmierzając do drzwi, lecz chwyciła go kurczowo za przegub, zatrzymała, zmusiła, by spojrzął jej w oczy. Uwiesiła się na nim, dopóki nie osunął się na kolana. Sprzeczne uczucia mieniły się w jego surowych ry-  
sach: ciemność i światło, honor i hańba, nadzieja i rozpacz.

- Nie wierzę w to. - Zahaczyła palcami o górę jego koszuli, która pod naciskiem jej dłoni rozchyliła się na piersi. Ciemne włosy pokrywające tors przeżyły się pod jej dotykiem. Ciało miał gibkie, muskularne i gładkie.

- Boże! Proszę. - Zamknął oczy i odciągnął jej dłoń, z trudem wydobywając z siebie słowa.

- To nie moje miejsce. Kiedyś zajmie je kto inny.

- Jaki inny? - roześmiała się szyderczo. - Jestem ubogą wdową bez koneksji rodzinnych i już nie pierwszej młodości. Moje najwyższe aspiracje to pędzić życie na łasce dalekiego krewnego. Nie ma żadnego innego, Kit, ani nie zanoszę się na to w przyszłości.

Wyrwała się z jego uścisku i lekko dotknęła jego twarzy, gestem dziwnie poważnym, wyrażającym jakby oficjalną prośbę, petycję czy apel.

- Jesteś tylko ty. Jedna noc pomoże mi wytrzymać wszystkie noce, które przyjdą.

- Czy to jakaś diabelska próba? - Żył nabrzmiały mu na szyi. - Co mam zrobić, żeby ją przejść? - spytał z zastygłą twarzą, której rysy wyostrzyły skaczące cienie. Chwycił Kate za ramiona z nagłą, zacieklą gwałtownością i pociągnął w górę ku sobie. - Słuchaj, Kate. Nic innego, prócz krzywdy dla ciebie, nie wyniknie z tego, że wezmę cię tu i teraz. A ja przysiągłem, że nie dam cię skrzywdzić.

- Przysiągłeś też, że zrobisz wszystko, o co poproszę. - Głos jej się łamał w zuchwałym wyzwaniu. '

Wlepił w nią wzrok, a światło odbiło się w nefrycie jego oczu, obramowując bliźnę na brodzie. Ręce mu się trzęsły, ciało stężało.

- Wedle pani życzenia, madame - wyszeptał wreszcie. Pochylił się nad jej skulonymi plecami wśród stosu zniszczonych atłasu, koronek, jedwabiu i aksamitu. - Jakie jeszcze piętno mam znieść?

Przysiadł na piętach, płynnym ruchem odpasał miecz i zerwał z siebie koszulę. Miał w sobie surowe, męskie piękno męznego wojownika. Gładka skóra powlekała mocarne mięśnie i kości. Cisnął koszulę precz, napinając muskularne ramiona. Pochylił się nad nią, czatując nad jej ciałem jak kot nad zdobyczą. Mięśnie jego płaskiego brzucha uwypukliły się jak u posagu.

Przez długą chwilę mierzył ją wzrokiem, po czym się odwrócił, umyślnie wystawiając na widok pęgi na plecach i coś jeszcze. Pod prawą łopatką widniała gruba, wypukła blizna, kształtem przypominająca różę.

Napiętnowano nas we Francji. W LeMons. Strażnik miał dobrą zabawę.

Dobry Boże, jakież ból musiał ścierpieć.

- Chciałem, byś to zobaczyła, żeby wyjaśnić to, co próbuję ująć w słowa. Mężczyzna wchodzący do twego łóżka nie powinien być napiętnowany, Kate. Ani nosić na plecach blizn po chłości. Miewa je tylko prostak lub zbrodniarz. Ja jestem prostakiem, jak najpodlejszy człowiek na Bożym świecie - powiedział z kamiennym wyrazem twarzy. - Nie pasuję do twej sfery, twego towarzystwa ani twego łóżka, to przyzna absolutnie każdy.

Pewność w jego oczach mówiła to wyraźnie. Oczekiwał, że ona cofnie się z odrazą. Czytała to z jego twarzy, z rezygnacji, kryjącej się pod spokojnymi słowami.

Zarzuciła mu ramiona na szyję.

- Każdy przyzna, panie MacNeill, że nie ma w tobie nic pospolitego. - Ogarnęło ją ciepło, gdy ich ciała się zetknęły.

Jego piękne oczy zabłyśły nagłym triumfem.

- Wykrzeszę z siebie czułość. Dam ci rozkosz, Kate, albo umrę.

Uśmiechnął się i nagle stał się oszałamiającym uosobieniem męskości. Zniknął wszelki ślad wewnętrznej walki. Skupione oczy nabrały aksamitnej miękkości. Śmiałym ruchem zsunął koszulę z jej ramion, obnażając piersi.

- Kit...

Nim zdążyła wyrzec następne słowo, zakrył jej usta.

Pożądanie dopadło go, bodąc brutalnie ostrogami. Ale nie ruszył się. Trwał w oczekiwaniu, póki jej piersi nie zaciążyły miękko w jego dłoniach, a sutki nie zmarszczyły się, wciągając go w pułapkę zastawioną po to, by zniweczyć jego najlepsze intencje. Prosiła o czułość, a on obiecał spełniać każdą jej prośbę, a gdyby dla dotrzymania obietnicy miał sparzyć się ogniem tłumionej namiętności, niech tak będzie.

Wziął ją na ręce i wstał, zaciskając zęby, gdy poczuł, jak wtuliła się w niego, modląc się o wstrzemięźliwość, do której nie czuł się zdolny. Łóżko stało o krok od nich, więc złożył na nim Kate i zapatrzył się w nią. Ani przez chwilę nie uznał tego, czego od niego chciała, za to, co on chciał jej dać. To nigdy nie będzie jego miejsce. Na jedną noc zostanie jej kochankiem, nie mogąc zostać ukochanym na zawsze.

Opuścił głowę, nakazując sobie delikatność i swobodę.

Nie od razu zareagowała na jego pocałunek. Może to i lepiej. Jej wzajemność mogłaby zburzyć opanowanie, jakie sobie narzucił. Obsypywał delikatnymi pocałunkami jej policzki, powieki i skronie. W głowie mąciło mu się od rozkoszy i pożądania. Czuł jej smak nie tylko językiem, ale wprost w powietrzu, nasyconym piżmem i kobiecością.

Osunął się niżej, szycząc z rozkoszy, gdy miękkie piersi Kate poddawały się naporowi jego torsu. A kiedy poczuł, że zacisnęła mu dłonie na barkach, wpijając długie palce w mięśnie, i odgięła szyję w łuk, jego ciało zadrgało. Zanurzył ręce w falach ciemnych włosów, wilgotnych i chłodnych w nocnym powietrzu, i napawał się jej ustami. Jedwab, atłas czy aksamit? Nie znajdował dobrego porównania. Niewiele wiedział o jedwabiu, jeszcze mniej o atłasie i zupełnie nic o aksamicie, ale z pewnością nic na ziemi nie mogło być bardziej lśniącej niż jej włosy, gładziej niż jej skóra, miększe niż jej wargi.

Otworzyła usta i poszukała językiem jego języka, niwecząc jego postanowienia. Obrócił się i wciągnął ją na siebie z udami obejmującymi jego biodra, swe podniecenie chowając pod osłonę jej nóg.

Kate jęknęła z nieznanej, choć znajomej rozkoszy. Pragnęła go. Chciała czuć go w sobie. Pulsowanie, które zaczęło się, gdy ją pieścił, mogło ukończyć tylko przyjęcie go w siebie.

Stała się bezwstydną. Wyciągnęła się na jego ciele, ocierała o niego, czyniąc jasnym zaproszenie. Potrzebowała go. Nie mogła jaśniej tego okazać, a on mimo to wydawał się zadowolony z zabawy w głębokie pocałunki i powolne, ospałe pieszczoty, głaszcząc ją leniwie dłonią.

- Proszę - wydyszała niecierpliwie.
- Nie. Jeszcze nie - westchnął ciężko.

Czubkiem palca zataczał kółeczka wokół jej sutka. Wzdrygnęła się pod delikatnym dotknięciem, przesadnie wyczulona i oszołomiona. W odpowiedzi poczuła, jak jego uniesiona męskość bodzie ją w udo. Naparła na niego kołyszącym ruchem, a on chwycił ją za biodra, przyciągnął mocno do siebie, uspokajając, z oczyma tak pociemniałymi i gwałtownymi, jak jego usta były czułe i delikatne.

- Przestań - jęknął - jestem tylko człowiekiem, jeśli jeszcze raz to zrobisz, koniec oczekiwań na subtelne zjednoczenie. Moje najlepsze intencje się zmarnują. Ja się wstrzymuję, madame. Ale z wielkim trudem.

Pobudził ją tymi słowami, zamiast zniechęcić. To, że mógłby poskromić żądę na jej życzenie, napełniło ją poczuciem siły, równocześnie żywiołowej i kobiecej. Ale zaraz poczucie triumfu ustąpiło pod naporem nowych doznań.

Dźwignął ją za ramiona i przesunął jej tors nad głowę, łapczywie wsunął do ust jej sutek. Ssał ją. Chwytała oddech, wyginając się w łuk, a on

delikatnie ścisnął jej pierś w palcach i językiem drażnił koniuszek brodawki, sprawiając, że bezwład ogarnął jej uda, a płucom zabrakło oddechu. Gdy prawie omdlała, chwycił ją i podtrzymał zawieszoną tuż nad sobą, tak że łatwiej mu było robić, co chciał, bawić się, pieścić, ssać i kąsać wargami, a ona nie była zdolna do niczego innego, jak tylko napawać się jego wirtuozerią i poddawać jego namiętności.

Czuła pomiędzy nogami wilgotność i śliskość, gotowa go przyjąć. Narzucony rytm wzywał jej ciało do odpowiedzi. Poruszyła się na nim raz, potem drugi, a napięcie spomiędzy jej ud rozlewało się po całym ciele i jednocześnie skupiało w jednym punkcie. Powstrzymywał ją, obcesowy w swych próbach utrzymania jej w bezruchu, ale nie zważała na to, co ryzykuje; cokolwiek to było, warte było swej ceny. Kołysała się na nim, z każdym mchem mocniej, a potężne zgrubienie poniżej rąbka jej halki pulsowało w przejmującej reakcji.

Z jękiem rozpaczy oderwał ją od siebie, rzucił płasko na plecy i przycisnął do materaca, uspokajając.

- Jeszcze nie.

- Tak.

- Pocałuj mnie - rozkazał, a ona posłuchała z całą rozwiązłością łapczywie przyciągając ku sobie jego głowę. Pocałunek był brutalny, namiętny. Kiełkujący zarost Kita obcierał jej wrażliwe wargi. Przez długie minuty karmiła namiętnością, którą rozniecił, pragnąc go, wyczekując zakończenia, ulgi, chcąc, by jedna krótka noc zdjęła z niej brzemię ostatnich czterech lat życia. - Kate! - Wyczuła granicę jego opanowania. Niecierpliwie poruszyła się na nim. Stęknął. - Rób tak dalej, a posiadę cię takimi sposobami, jakie nie przy stoją damie.

- Jakimi? - spytała, bezwstydnie i bezczelnie.

Zielone oczy Kita patrzyły między brzegami złotych rzęs.

- Wezmę cię leżącą na plecach, potem opartą o ścianę, a potem kłęczącą. Usłyszę, jak łkasz i błągasz, bym cię dotykał, a potem znów będziesz mnie błagać, a ja znów cię wezmę.

Nieustraszenie wpatrywała się w niego, z włosami rozsypnymi jak całun nocy na białym prześcieradle.

- Czy tego chcesz, Kate? Bo, na Boga, mogę ci to dać. Taki jestem. Ale, Kate, chciałem... się z tobą kochać. - Głos mu zadrżał z emocji, a oczy Kate pociemniały od zrozumienia.

Nie wiedział. Ale w końcu do tej pory ona też siebie nie znała. Ogarnęło ją zdumienie i wyciągnęła ręce, by pogłaskać go po policzku. Poddał się pieszczocie, zamknął oczy i wycisnął gorący pocałunek wewnątrz jej dłoni.

- Chcę cię takiego, jaki jesteś, Kit. Jacy jesteśmy oboje. - Głaskała go, zaczawszy od potężnego, pokiereszowanego bliznami barku, w dół aksamiitnej drabiny zeber, do bioder, a wreszcie sięgnęła do rozcięcia spodni i zgięła palce wokół wzniesionego członka. Wyszeptał coś, co równie dobrze mogło być przekleństwem, jak modlitwą. - To jest właśnie kochanie, Kit.

Gorące ciało poruszało się jak atłasowa otoczka na twardym rdzeniu, podniecającym, nieprzyzwoitym i wspaniale męskim. Osunął się na nią, chcąc oprzeć czoło o jej czoło na krótki moment napięcia. Potem przekreślił ją na bok, wrywając się jej.

Podwinął jej halkę, odsłaniając ciemne loczki u szczytu ud. Oddychał ciężko, a jego szczupła twarz przybrała pierwotny, nieokiełznany wyraz, gdy położył dłoń na intymnym wzgórku bez pośpiechu, ale i bez subtelności, gestem męskiego posiadania. Odpowiedziała jękiem rozkoszy, a wtedy uśmiech rozjaśnił jego chmurne rysy.

Pieścił ją, a ona powinna się spalić ze wstydu na taką poufałość, na pewność, z jaką się w niej zagłębiał, ale płonęła z zupełnie innego powodu. Opuściła powieki. Oddech stał się płytki i przyspieszony. Kit głaskał ją, a z każdym dotknięciem jej biodra unosiły się, rozkosz mieszała z podnieceniem.

Wiła *sią* na postaniu, w halce podwiniętej do pasa, *rozgorączkowana* i niecierpliwa. Bezradnie otworzyła oczy i napotkała jego spojrzenie.

Chciała zjednoczenia. Wyciągnęła ręce.

- Kit. Proszę.
- Kate, próbuję...
- Proszę!

Z nieartykułowanym jękiem rozchylił górę spodni. Kate kątem oka dojrzała sztywną i nabrzmiałą męskość wynurzającą się z ciemnego gąszczu. Kit wciągnął ją pod siebie, rozepchnął jej uda kolanami, opuścił głowę i otwartymi ustami przywarł do jej szyi, gdy unosił jej biodra, apotem... wreszcie! Wszedł w nią, próbując się hamować, nie wtargnąć za głęboko pierwszym pchnięciem, ale uniosła biodra na jego przyjęcie, jakby się domagając, by ją napełnił.

Krzyknęła, a on zaklął i znieruchomiał.

- Przysięgam, nie mogłem...
- Nie! - wyrzuciła zdyszana. - Nie. Po prostu... czuję cię... takiego...
- Nie mogę być... - tłumaczył się bezradnie, źle ją rozumiawszy. - Takie mam ciało... Nie mogę być mniejszy.
- Nie chcę, żebyś był - sapnęła, a na jego zdumione spojrzenie na pół się zaśmiała, na pół załkała, dygocząc z pożądania. Już zaczynał się wycofywać, ale teraz znieruchomiał. Kate cicho pojękiwała.

Był dużym mężczyzną pod każdym względem. Chciała go mieć takiego. Uniosła biodra, przywarła do jego barków i zacisnąwszy powieki, przeżyła się na spotkanie następnego pchnięcia. I następnego. I jeszcze jednego. Teraz wdzierał się głębiej, zapamiętawszy się w tym rytmie, ale ani na moment nie zapomniał o niej.

Z każdym ruchem miał świadomość, że ciało, które go przyjmuje, należy do Kate, że usta, które plądruje, są Kate. Czuł ucisk każdego z palców zacisniętych na jego barkach, słyszał najcichsze urywane westchnienie. Ujął w dłonie jej miękkie pośladki i przekręcił się tak, że go dosiadła, z kolanami ugiętymi po bokach jego bioder. Szeroko otworzyła oczy, zaskoczona, że czuje go tak głęboko w sobie.

- Tak jest lepiej - zdołał powiedzieć. - Ja jestem za ciężki i... Ou!

Osunęła się niżej na nim. Wyprężyła się do tyłu, a włosy spływające jej po plecach przejechały mu po udach, jedwabiste i delikatne jak kocie futerko. Umierał z rozkoszy. Wziął w ręce jej miękkie blade piersi i gniótł je, gdy unosiła się i opadała, anglezując na nim z rosnącą niecierpliwością. Twarz jej ściągnęła się z pragnienia.

- Użyj mnie, Kate - szepnął gorącym, kusicielskim głosem. - Użyj mnie. Zaspokoje cię, Kate. Będę ci służył i dam ci zaznać rozkoszy ze mną, na mnie.

Jego słowa były litanią namiętności i pożądania, modlitwą nienasyconej żądz, a ona słuchała i poddawała się. Prężąc się, wydawała jęki, przechodzące w szcęknięcie zębami, gdy ponosiła ją namiętność. Szlochała, gdy ją głąaskał, wyginała się, chwytając powietrze i... wtedy... Świat się zatrząsł, zawirował i wybuchł. Wykrzyknęła w wyśmienitej kulminacji, gdy rozkosz rozlała się w jej ciele.

Przez długą chwilę trwała w zawieszeniu, gdy świat jednocześnie wirował i był próżnią. A potem padła wyczerpana na pierś Kita błyszczącą od potu.

Kiedy ostatni dreszcz ustał, usłyszała szybkie bicie jego serca, rytm tak różny w swej gwałtowności od delikatnej pieczyoty jego dłoni, że jeszcze raz uniosła się na kolana. Rozcapierzyła mu palce na piersi i lekko zagłębiła paznokcie w jego ciele. Spotkała jego gorący wzrok.

- Nie błagałam - rzuciła mu wyzwanie.

Roześmiał się, wturlał ją pod siebie, wygiął jej ręce do tyłu i przytrzymał, gdy wchodził w nią głęboko i gładko.

- Jeszcze nie - przyznał.

## *O mylnych osądach*

*P* roszę pani! - zawołała Meg przez zamknięte drzwi.

- Co tam, Meg? - Kate przebudziła się i stwierdziła, że jest sama.
- Jest powóz z zamku, czeka w podwórzcu, żeby panią zabrać.

Kate rozejrzała się po pokoju. Kit zniknął. Zniknęły też jej suknie. Tylko szczątki poniszczonych przedmiotów walały się po podłodze. Kufer nadal leżał na boku.

Meg zastukała do drzwi.

- Co mam rzec woźnicy?

Kate wstała. Należało zapewnić Meg, że natychmiast wyjeżdża, wyskoczyć z łóżka i spakować, co się da z rzeczy Grace. Ale leżała dalej, owinąwszy się cienkim kocem, żałośnie świadoma, że nie znajduje przyjemności w fakcie, iż markiz przysłał po nią powóz.

Jest niemądra.

„Ta noc jest moja”, szepnął Kit w pewnej chwili. Oboje wiedzieli, że za drzwiami tego pokoju nie czeka ich wspólna przyszłość. Odszedł, zanim się obudziła, i powinna się z tego cieszyć.

W gorącej ciemności mogła przed sobą udawać, ale rano przywołał ją do porządku. Wiedziała, że chce mieć na powrót to, co miała kiedyś: bezpieczeństwo i dostatni byt. Chce oddychać swobodnie, śmiać się beztrudnie i zasypiać, nie bać się następnego dnia, czatującego jak wróg. Chce takiego życia, jakie kiedyś było jej udziałem.

Nawet gdyby poprosił, by z nim została, czego nie uczynił, i nawet gdyby ją kusiło powiedzieć: tak, czego by nie uczyniła, jakież by mieli perspektywy, żołnierz bez grosza i uboga wdowa? Za rok czy dwa znalazłaby się dokładnie w tym miejscu, gdzie jest teraz, tęskniąca za przeszłością i pełna obaw o przyszłość.

Może jest tchórzem, ale za to tchórzem rozsądnym.

- Madame? - zawołała znów Meg. - Czy pani się dobrze czuje?

Jak miała czuć się dobrze, kiedy straciła rozeznanie, kim właściwie się czuje? Nagle zrzuciła koc. Dość tego. Nic się nie zmieniło. Odłoży na bok ostatnią noc, przechowując starannie jak czułe dziewczęce marzenia. Zapomni o niej.

Gdyby tylko jej ciało nie pamiętało tego, o czym się stara zapomnieć.

Gdyby tylko Kit MacNeill wydawał się bardziej taki, jaki jest, a mniej taki, jakim chciała go widzieć.



- Słyszałam, że ktoś splądrował pani rzeczy, ale klnę się na wszystko, że ja żem nic z tym nie miała wspólnego - zawołała Meg, zaalarmowana brakiem odpowiedzi. - Proszę pani!

- Tak. Zaraz zejdę. - Kate uszczypnęła się ze złością w policzki i zagryzła wargi. Markiz przysłał powóz. Dobry początek i trzeba go dobrze wykorzystać. Ale jak się przyodziać? Dojrzała coś białego wciśniętego między łożko a ścianę. Jej koszula. Chwyciła ją. To była koszula Kita.

Boleśnie zacisnęła powieki. Ścisnęła dłonie w pięści na cienkim materiale, wysączając wnętrzem dłoni wymaginowane ciepło, chłonąc zapach męskiego piżma, delikatny i budzący wspomnienia.

- Proszę, madame. Wystraszyła mnie pani. Proszę otworzyć - błagała Meg. - Przyniosłam suknie, co to je kapitan dał do naprawienia - ciągnęła z nadzieją w głosie.

Kate zmusiła się, by podejść do drzwi i otworzyć. Meg czekała u progu, z sukniami przerzuconymi przez ramię. Przez drugie ramię miała przewieszony koszyk z przyborami do szycia, którego pokrywka w kształcie poduszeczki jeżyła się od szpilek i igieł nawleczonych jedwabną nicią.

Meg szeroko otworzyła usta, gdy zobaczyła pokój.

- Och! Co oni zrobili z pani rzeczami.

- To nie moje rzeczy. Należały do mej kuzynki Grace i jej męża - wyjaśniła obojętnie Kate. - Przysłała je do mnie, zanim umarła. Odwoziłam je markizowi.

- Pewnikiem szukali pieniędzy, a jak nie znaleźli, mścili się na rzeczach. Wstrętne łobuzy - powiedziała Meg, rozkładając suknie na łożku.

Ustawiła prosto kufel, ponaciągała rozerwaną podszewkę i przypięła ją szpilkami.

- Parę ściągów i będzie jak nowa. - Nie czekając na zgodę Kate, ukłękła przy kufrze i kilkoma zręcznymi ruchami naprawiła podszewkę.

Kate zakrzętnęła się wśród pobjowiska, apatycznie zebrała trochę książek i ułożyła na dnie kufra. Tyle zniszczeń. Tyle strat.

- No, proszę pani. Niech się tak pani nie chmurzy - powiedziała Meg, wstając. - Proszę tylko spojrzeć, jak mi się dobrze udało, zaraz się pani rozweseli. - Strzepnęła niebieską suknię i rozpostarła przed Kate. - Przy obrąbku była fatalna dziura, ale zakryłam ją wstążeczkami, widzi pani? - I wycięłam poplamiony bryt z fioletowej i zeszyłam na powrót. Pani taka szczuplutka, że to nie zrobi różnicy.

Kate obejrzała suknie i zdobyła się na uśmiech.

- Nie mam pieniędzy - powiedziała - ale jestem pewna, że markiz...

Meg machnęła ręką lekceważąco.

- Kapitan dość mi zapłacił - powiedziała. - Nigdy jeszcze nie widziałam Calluma Lamonta pokonanego, a pani człowiek to zrobił i jeszcze więcej.

- Jak to? - spytała Kate. - Kiedy?

- Zeszłego wieczoru - odparła Kate. - Zaraz po tym, jak poszła pani na górę po kąpieli. Kiedym tu weszła, Callum zwiisał mu z pięści jak szczur, z wybałuszonymi oczyma i wywieszonym jęzorem, a każdy w gospodzie gapił się, jakby samego diabła zobaczył. - Parsknęła śmiechem. - Potem ni stąd, ni zowąd upuścił Calluma i rzucił się na schody, nim ktoś się połapał, co się dzieje. Zresztą nikt się nie kwapił, żeby go gonić. Nie dziwota, wzięwszy pod uwagę, jak mu z oczu patrzyło.

- Mój Boże - szepnęła Kate. - Zabił tamtego?

Meg wzruszyła ramionami z brutalną obojętnością.

- Nie. Słyszałam, jak jęczał, kiedy jego ludzie go stąd zabrali. Ale pewnie do dziś liże rany - dodała z widoczną satysfakcją.

„Wszystko, czym jestem, to zaciekłość”. Nogi ugięły się pod Kate. Nie uwierzyła, gdy tak mówił o sobie. A powinna.

Jak mogła zapomnieć, zwłaszcza po tym, jak była świadkiem jego brutalności w gospodzie Pod Białą Różą? Mężczyzna, którego dłonie drżały z delikatności na jej ciele, zaledwie parę chwil przedtem tymi samymi dłońmi skatował człowieka do nieprzytomności. Boże! Przycisnęła dłonie do oczu..

Musi się stąd wydostać. Znaleźć azyl, w którym mężczyźni są cywilizowani, a kobiety chronione przed ohydą świata, w którym mężczyzna nie przychodzi do kochanki prosto po walce.

- Muszę odejść - szepnęła.

Meg, fałszywie ją zrozumiawszy, przytaknęła.

- Pewnie, że tak. Kto by chciał tu zostać, kiedy zamek czeka?

Kate zaczęła na nowo pakować to, co nie zostało zniszczone, skupiając się na tej czynności, by nie pozwolić myślom bujać swobodnie. Ale jej wzrok wciąż zahaczał o wymięte łóżko, wracała wizja męskiego ciała, śliskiego od potu, przeciągającego harmonijne muskuły... Zatrzasnęła wieko kufra. Musi wydostać się z tego pokoju. Zakręciła się na pięcie i wybiegła, zostawiając resztę pakowania na głowie Meg.

Na dole młody człowiek o miedzianych włosach, w zgrabnej czystej libeirii, zerwał się na nogi.

- Pani Blackburn? Ja jestem John, stangret markiza - oznajmił z dumą, podążając przed nią, gdy pospieszyła ku drzwiom.

Zatrzymała się w swej ucieczce na oślep i rozejrzała wkoło, roztargniona i niepewna.

- Muszę się rozliczyć z oberżystą.

- Markiz kazał mi załatwić wszystko, co trzeba, madame - powiedział John. - Jeśli pani zaczeka w powozie, dopilnuję, żeby zniesiono pani rzeczy.

- Ach. Oczywiście.

Otworzył przed nią drzwi i skłonił głowę z szacunkiem, gdy wychodziła z gospody. Na podwórzu stał otwarty czteroosobowy powóz, którego boki lśniły jak czarny olej. Złota plecionka podtrzymywała tył na pół opuszczonej budy. Stajenny czekał przy dwóch wspaniale dobranych gnidoszach, a na jego twarzy malował się nabożny podziw. Kiedy zobaczył Kate, otworzył drzwiczki powozu i pośpiesznie rozłożył schodki.

Kate wsiadła, starając się skupić na podziwianiu luksusowego pojazdu. Nigdy nie siedziała w tak eleganckim powozie, nawet dawniej w Yorku. Markiz musi być naprawdę bardzo bogaty. Powóz był świetnie utrzymany, a konie idealnie zadbane. Jej wizyta z pewnością okaże się owocna. W ciągu ostatnich paru dni podjęła kilka katastrofalnych decyzji, ale przyjazd tutaj do nich nie należy.

Westchnęła głęboko. Kit odszedł. To już koniec. I dobrze. Znow trzezy razy głęboko zaczerpnęła powietrza. I dobrze. Teraz czuje się bardziej sobą. Ma zamiar czuć się doskonale. Ma zamiar...

- Pani Blackburn.

Matowy głos zabrzmiał gdzieś za nią. Serce skoczyło jej do gardła i przez ułamek sekundy trwała nieruchomo, próbując się opanować. Odwróciła się.

Był taki męski. Taki potężny, surowy, wytrzymały. Absolutnie, przemożnie męski.

Dosiadał na oklep swego wałacha, wiatr chłostał mu szczupły brązowy policzek kołnierzem płaszcza. Głowę miał odsłoniętą, jakby umyślnie rzucał wyzwanie słońcu, by odkryło każdą bliznę na jego ogorzałej twarzy. Ale ogolił się, pomyślała. Na pewno ma gładkie policzki.

Gdyby powiedziała do niego „panie MacNeill” wydałoby jej się to nienaturalne. „Kit” brzmiałoby zbyt poufale. Może: „Christianie, ja...”

Wszystko to było nie do wytrzymania. Skóra drżała jeszcze od zmysłowych wspomnień. Wzór jego warg odbił się na jej wargach. Jej piersi noszą ślady jego zarostu, a... Zawadziła spojrzeniem o jego piękne, silne dłoń. Ciemnoczerwone smugi znaczyły nadgarstki tam, gdzie wpiła się w nie jego ofiara. Kate przełknęła ślinę.

Patrzył na nią z dawnym nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Ona nie była do tego zdolna. Nie należała do kobiet, które biorą kochanków, a następnego dnia rozmawiają z nimi, jak gdyby nic między nimi nie zaszło. Ale coś innego może zrobić, kiedy stangret stoi obok, nadstawia uszu i przygląda się zaciekawiony.

- Dziękuję za towarzyszenie mi w tej podróży.

- W przyszłości udzieli mi pani referencji. - Słowa brzmiały dość swobodnie, ale oczy zapłonęły ogniem, a Kate poczuła, że się rumieni.

Przez chwilę sądziła, że powie coś innego, coś katastrofalnie poufałego, ale rzucił tylko:

- Obawiam się, że jeszcze się pani mnie nie pozbyła. Obiecałem doprowadzić panią bezpiecznie do zamku i dopiero tam odejdę.

Proszę. Nie, błagała go w myślach. Być przy nim to jak rozdrapywać ranę.

- To niepotrzebne.

- Nie zgadzam się z panią. Widziała pani, jacy ludzie tu mieszkają. Drogi są pełne zbójów i nic pani nie pomoże, że się dowiedzą, iż już raz panią obrabowano. Ten powóz jest zbyt wykwintny. Markiz mógłby równie dobrze wysłać osobne zaproszenie do każdego rozbójnika w okolicy.

Zaczerwieniła się mocniej.

- Przypuszczam, że myślał o mojej wygodzie.

- A ja myślę o pani bezpieczeństwie - uciał.

- I zawsze dotrzymuje pan słowa - dopowiedziała złośliwie i natychmiast pożałowała swych słów.

- Pani dobrze o tym wie, madame. - Zniżył głos, a ona zarumieniła się i spuściła wzrok na wspomnienie tego, jak ostatniej nocy wykorzystała jego wierność danemu słowu, by pójść z nim do łóżka. - To nie jest...

Nim zdążył dokończyć, John wyszedł z gospody, uśmiechając się z zadowoleniem. Kate cofnęła się. Kit cofnął Dorana od powozu.

- Będę jechał z tobą całą drogę, chłopcze - powiedział młodemu stangretowi, zyskując sobie zaskoczone spojrzenie, wyrażające podziękę. - Ale muszę trzymać się nieco z przodu, by patrolować drogę. - Ścisnął boki Dorana i skoczył naprzód stromą drogą, prowadzącą pod górę z rybackiej wioski.

I więcej nie wrócił.

Jazda była długa i powolna. Góry schodziły do samego morza, kilometr po kilometrze szczeliny i zatoczki wdzierały się w linię brzegową. Fale przyboju rozbijały się o ukryte rozpadliny i podziemne groty, wytryskiwały gejzerami w powietrze, okrywając podnóże skał migoczącą mgiełką. Kate wstrzymała oddech, gdy popatrzyła w dół poza krawędź drogi, gdzie falochron nurzał się w kipieli.

Nic dziwnego, że Charles i Grace zginęli, żeglując po takich wodach. Jeśli się czemuś należało dziwić, to tylko temu, że w ogóle odważyli się wypłynąć.

Ale nawet dramat, który rozegrał się u wybrzeży, nie na długo powstrzymał Kate od rozpamiętywania minionej nocy. Obrazy tłoczyły się w jej wyobraźni, wszystkie zmysły ochoczo je przywoływały: rozpalone usta Kita na jej ustach, uścisk jego ramion, Kit szepczący jej do ucha natarczywie i namiętnie.

Zdesperowana pochyliła się do stangreta.

- Od dawna pracujesz u markiza?

John kiwnął głową pogodnie.

- Urodziłem się w zamku. Tatko był głównym stangretem przede mną.

- Znałeś moją kuzynkę, panią Murdoch?

Uśmiech Johna zbladł. .

Tak. - Pokręcił głową smętnie. - Straszna sprawa. Ale proszę się nie bać. Markiz poprzysiągł znaleźć winnych i wymierzyć im sprawiedliwość.

Kate spojrzała na niego zdumiona.

- Nie wymigają się od kary - stwierdził z zapałem John. - Jak mogliby na to liczyć? Zabić rodzzonego brata pana markiza i jego panią. To szaleńcy.

Zabić? - powtórzyła Kate jak echo. - Przecież... oni zginęli w katastrofie morskiej.

Uszy Johna nagle się zaczerwieniły.

- Myślałem, że pani wie!

- O czym? Co się wydarzyło? - spytała Kate. - Markiz napisał do nas, że Grace utonęła. Czy to nieprawda?

John, żałośnie skuliwszy ramiona, zapatrzył się przed siebie, unikając wzroku Kate.

- Wszyscyśmy tak z początku myśleli. Ale...

- Proszę, powiedz mi, co wiesz.

Przeczesał dłonią miedzianą czuprynę.

- Nie było krzty wody w płucach pana Charlesa, chociaż wyciągnęli go z morza, no i pan markiz dowiedział się, że się nie utopił. A kiedy raz taka myśl się zaległa, no to i ślady, co to się nam zdawało, że są z tego, że go rzuciło na skały, potem wydały się... Przepraszam! Proszę pani! Czy mam stanąć?

- Nie. Zaraz będzie mi lepiej. - Zmusiła się do opanowania, przyciskając dłoń do brzucha. - Dlaczego nie zawiadomiono mojej rodziny?

- Nie umiem powiedzieć, proszę pani - odparł John ponuro. - I tak zdaje mi się, że już dosyć powiedziałem.

- Kto ich zabił?

John wzruszył ramionami.

- Zbóje. Przemycnicy. Zrobiono wszystko, co możliwe, żeby to odkryć, tyle może pani być pewna. W Clyth zawsze byli przemycnicy, odkąd pamiętam, ale tym razem przekroczyli wszelkie granice i sami to wiedzą, dlatego tak się wysilali, żeby wszystko wyglądało na wypadek.

- Ale dlaczego ich zabili? - spytała Kate. - Dlaczego po prostu nie obrabowali ich i nie puścili wolno?

- Pan Charles nie był z takich, którzy łatwo dadzą się obrabować. A jeśli widział twarze tych ludzi... - John ściszył głos i nie dokończył zdania. - Ale nic ich nie uratuje, nędznych szubrawców, bo kiedy markiz pojął, że popełniono mord, posłał do Edynburga i zaraz przyjechała milicja, żeby zrobić porządek. A teraz mają swój powód, żeby złapać winnych. - To fakt, proszę pani - ciągnął John chętny do dzielenia się sekretami - że kapitana milicji zabito wkrótce po ich przybyciu, a niektórzy gadają, że to też sprawa przemycników. - Pokręcił głową. - Niech się pani nie martwi. Jego następcą przyjechał w zeszłym tygodniu i nie znajdzie pani bardziej chwackiego oficera i dżentelmena. Wreszcie wymierzy sprawiedliwość za Charlesa Murdocha i pani kuzynkę! - zakończył triumfalnie. - Zobaczycy pani!



Zamek Parnell był nieduży, zbudowany regularnie na planie kwadratu wokół małego wewnętrznego dziedzińca, który Kate widziała przelotnie, gdy wjechali przez szeroką bramę. Korzystnie położony w zagłębieniu skalnym nad morzem, uniknął śladów zniszczenia, na jakie była narażona większość zamków obronnych, a kamienne bloki, choć kilkusetletnie, połyskiwały jakby dopiero co wydobyte z kamieniołomu. Liczne okna złociły się w ukośnych promieniach porannego słońca.

Jest cudowny, pomyślała Kate w przyptywie nagłej tęsknoty, nieskazitelny, dobrze utrzymany, porządny i bardzo dobrze zabezpieczony. Koła powozu zazgrzytały. John zeskoczył z kozła i pospieszył pomóc jej przy wysiadaniu. Drzwi zamku otworzyły się i stanął w nich ósmy markiz Parnell James Murdoch.

Z miłego młodzieńca, jakim go zapamiętała, stał się eleganckim mężczyzną o ciemnoblonde włosach, harmonizujących z dużymi orzechowymi oczyma. Nieco więcej niż średniego wzrostu, cechował się wysportowaną atletyczną budową którą podkreślał wyśmienity krój ubioru. Biel halsztuka

przyprawiłaby o zazdrość świeżo spadły śnieg. Jednym słowem, prezentował się idealnie.

- Pani Blackburn! Nawet w tych smutnych okolicznościach to dla mnie przyjemność znów panią widzieć! - Ukłonił się nisko, a ona odwzajemniła się skromnym dygnięciem.

- Dziękuję, milordzie.

- Pani kuzynka była moją bratową, nalegam, by mnie pani traktowała jak krewnego. Musi mnie pani nazywać Parnellem.

- Jak pan sobie życzy.

- Proszę pozwolić się powitać w mym domu - powiedział, nie próbując ukryć dumy gospodarza. Kate polubiła go za to. Miała dość zagadkowych mężczyzn. Jego otwarcie okazywane zadowolenie było przyjemną odmianą. Usunął się z przejścia, a Kate minęła go, wchodząc do przestronnego, pełnego światła westybulu, gdzie płyty posadzki ułożone w czarno-białą szachownicę lśniły hebanem i skrzyły się bielą. Gromadka służących przykładała się gorliwie do pracy, czyszcząc marmurowe schody, które łagodną spiralą prowadziły na podest półpiętra, zaznaczony szeregiem wysokich wąskich okien.

- Jak tu uroczo.

- Jestem zachwycony, że podoba się pani.

- Milordzie - odezwał się lokaj zza ich pleców.

- Tak?

- Kapitan Watters przekazuje wyrazy uszanowania. Zapytuje, czy zechce się pan z nim zobaczyć dziś po południu w dogodnej chwili.

Watters, przypomniała sobie Kate, jest następcą zamordowanego kapitana Greene'a. Chwilowe zadowolenie uleciało.

- Poinformuj kapitana, że po południu jestem zajęty - powiedział markiz - ale po obiedzie z przyjemnością spotkam się z nim w bibliotece.

- Tak, proszę pana - odparł lokaj z ukłonem.

Markiz obrócił się ku Kate, jego twarz spochmurniała.

- Jestem marnym gospodarzem. Pani jest zmęczona. Zaraz każę pokazać pokoje pani pokojówce, gdy tylko przyjdzie, a potem...

- Nie mam pokojówki. - Spuściła wzrok zakłopotana. Teraz markiz pozna pozycję, czy też jej brak, krewnych swej bratowej. - Uciekła, porzuciwszy służbę.

- Co za okropna przygoda - wykrzyknął markiz współczująco. - W takim razie każemy Peggy panią obsługiwać w czasie pobytu u nas. Była pokojówką pani kuzynki.

- Dziękuję.

Drzwi otwały się i wszedł John, zgięty pod ciężarem skrzyni. Za nim, niosąc kufer podróżny tak swobodnie, jakby to była skórzana sakwa, wkroczył MacNeill. Spoglądał obojętnie i zachowywał się z rezerwą.

- To pani woźnica? - spytał markiz, przyglądając się Kitowi z nieukrywanym życzliwym zainteresowaniem. - Wygląda na człowieka zdolnego pokonać każdą przeszkodę. Udzielę mu pochwały w firmie przewozowej.

- Nie, proszę pana - powiedziała, czując, że się rumieni. - On... Trzeba powiedzieć...

- Miałem dług wdzięczności wobec ojca pani Blackburn, który ona łaskawie pozwoliła mi spłacić przez zapewnienie jej bezpieczeństwa w tej podróży - powiedział Kit gładko. Odchylona poła peleryny odsłoniła ciemnozieloną pułkową kurtkę.

- Ach, jest pan wojskowym - zauważył markiz. - To wszystko wyjaśnia. Nasłuchiwałem się niezliczonych opowieści o lojalności szkockich górali wobec swych dowódców. Pozostałość dawnego systemu klanowego, jak przypuszczam?

MacNeill nie kwapił się sprostować domysły markiza. Bo i po co? Wkrótce odjedzie. Nic go nic obchodzi, co markiz o nim myśli.

- Ma pan słuszność, milordzie.

- Bardzo dobrze... panie, hm...

- MacNeill, proszę pana. Kit MacNeill.

- Panie MacNeill - powtórzył markiz z uśmiechem. - Dziękuję za bezpieczne dowiezienie pani Blackburn. Jestem panu wielce zobowiązany.

Szarzielone oczy MacNeilla spotkały jej spojrzenie z umyślną beztróską.

- Jestem szczęśliwy, że mogłem się przydać.

Kate uniosła dumnie brodę. Jak on śmie afiszować się ze swoją obojętnością? Czyżby się bał, że ich noc zmieniła ją w romantyczną głuptaskę?

Płonne obawy. Nie jest niemądrą pensjonarką, której w głowie tylko kliwne romanse.

- Zostanie pan u nas kilka dni, póki wierzchowiec nie odpocznie, prawda? - spytał markiz z absolutną szczerością, cechą, której MacNeill pewnie nie był zdolny docenić, sam jej nie znając. - Ręczę, że tak. Zaraz każę przygotować pokój... Nie! Nie ma sensu protestować. Nalegam. Niech zrobię przynajmniej tyle.

Nim Kit zdołał odpowiedzieć, markiz uniósł dłoń.

- Hej, John! Zaprowadź do stajni wierzchowca pana MacNeilla. John jest czarodziejem, jeśli idzie o konie, prawda, Johnie?

- Doprawdy, proszę pana. To nie jest potrzebne - powiedział Kit. Przynajmniej był łaskaw okazać zakłopotanie.



- Ależ jak najbardziej potrzebne - zapewnił go markiz. - Czy opiekun i obrońca pani Blackburn ma nocować z żołnierzami jak prosty człowiek? - Ukradkiem powiódł wzrokiem po wystrzępionym i znoszonym pledzie MacNeilla.

- Peggy! - Stanął przed nimi drobna, rozsądnie wyglądająca kobietka. - Zaprowadź pana MacNeilla do pokoju w wieży i dopilnuj, by się nim zajęto, a także wyczyść jego okrycie, co ty na to? - Pytająco popatrzył na kurtkę MacNeilla. - Wieczereżę podadzą za trzy godziny.

Wypowiedziawszy kilka słów podziękii i skłoniwszy się w kierunku Kate, MacNeill ruszył po schodach za Peggy i, niech Bóg nad nią czuwa, Kate nie mogła opanować przepełniającego ją poczucia głębokiej ulgi.

Markiz podał jej rękę.

- A teraz, droga pani Blackburn, jest mnóstwo rzeczy, które mam pani do powiedzenia.

## *Zabieganie o dłuższy pobyt w przyjaznym otoczeniu*

Ciepłe przyjęcie przez markiza podniosło Kate na duchu, a jego życzliwość rozproszyła przykre zakłopotanie wywołane sarkastycznym sposobem bycia MacNeilla. Mimowolnie uniosła wzrok ku schodom, na których zniknął Kit.

Nietrudno mu przyszło przekazać opiekę nad nią innemu mężczyźnie. Dlaczego miałoby być inaczej? Ma ważne sprawy do załatwienia, ludzi do pozabijania. Powinna być zadowolona, że okazał się tak rozważny. Nie dał powodu do najmniejszego podejrzenia, iż łączy ich coś innego niż tylko pobieżna znajomość. Musi pamiętać, że postępował w jej interesie, i docenić to, a nie być rozżalona, nieszczęśliwa i...

Przywołała na usta promienny uśmiech i zmusiła się do poświęcenia całej uwagi markizowi.

- Przypuszczam, że chciałaby pani obejrzeć swoje pokoje - powiedział do niej. - Ale najpierw proszę o poświęcenie mi kilku minut. Będę wielce zobowiązany.

- Oczywiście - odpowiedziała. Markiz zaczekał, aż służący zabierze jej płaszcz i kapturek, a ona pospiesznie ściągnęła rękawiczki, by nie zauważył, jakie są połatane.

- Pozwoli pani? - Markiz podał jej ramię.

Wyczuła natychmiast stosowną moc uścisku, świadcząca o przyjaźni bez poufałości, jak w dawnych czasach, jakby zrzuciła z siebie minione trzy lata tak łatwo jak rękawiczki. Tu wszystko było znajome: cichy szept grzecznej konwersacji, szelest rąbków sukien na grubym puszystym dywanie, ką, pod jakim przechylano głowy, by okazać zainteresowanie. Wszystkie te drobiazgi, które czynią życie wytwornym i wartym zachodu. Zanotowała w pamięci, by włączyć do książki urywek o niewyzbywaniu się ogłady towarzyskiej.

Tak, pomyślała z głębokim przekonaniem, to jest mój świat.

Dom markiza robił imponujące wrażenie. Nie było tu ponurych kamiennych murów, jakich się spodziewała. Ściany pomalowane na biało stanowiły tło uwydatniające sztukę malowideł i uroczej kolekcji rycin. Spodziewała się kolekcji zbroi, czających się po kątach, tymczasem w zamku Parnell nie przechowywano pamiątek rycerskiej sławy jego właścicieli. Pokoje były wygodnie umeblowane, jasne i przestronne, gipsowe sufity obramowano sztukateriami.

Trzy z czterech skrzydeł zamku, poinformował ją James, zajmowała rodzina, czwarte, opuszczone już w poprzednim pokoleniu, teraz gościło kompanię milicji, chociaż obecność wojska w zamku była czymś wyjątkowym.

Dawni dziedzice zamku, wyjaśnił markiz, trzymali się możliwie jak najdalej od politycznej gorączki, która zaraziła wiele szkodliwych rodów. Nie znaczyło to bynajmniej, że cofali się przed oczywistym wyborem, kiedy należało tak uczynić, ale gdy mieli możliwość, na ogół unikali mieszania się do spraw królów i generałów. Ich roztropność została nagrodzona tym, że pozwolono im zatrzymać siedzibę przodków, gdy wielu sąsiadów pozbawiono jeśli nie ziemi, to tytułów.

- Czy podoba się pani zamek? - spytał markiz. Zdawało się, o dziwo, że bardzo mu zależy na jej opinii.

- O tak - odparła. - Jest wprost cudowny.

- Jestem uradowany, że zasłużył na pani pochwałę.

Rzuciła mu zaciekawione spojrzenie.

- Mamy też szczęście do sąsiadów - dodał.

Kate uniosła brwi.

- Przyznam, że to dla mnie niespodzianka. Czyżby Clyth mogło dużo zaoferować, jeśli idzie o dobre towarzystwo?

- Nie Clyth. - Twardy wyraz twarzy zastąpił poprzedni uśmiech. - Mówię o majątkach w sąsiedztwie. Dwa leżą w promieniu dwudziestu kilometrów. Nigdy by pani nie pomyślała, że to tak gęsto zamieszкана okolica,

prawda? A dalej w głąb ładu można się doliczyć jeszcze ośmiu wielce szanowanych rodzin, zaledwie jakiś dzień drogi od nas. Jak więc pani widzi, towarzystwa nam nie brakuje.

Popatrzyła na niego zadziwiona.

- To doprawdy miłe.

- Tak sądzę - odparł, otworzył drzwi i puścił ją przodem. - To moja biblioteka. Zechce pani usiąść?

Wskazał pokrytąjedwabiem kanapę i przekonawszy się, że Kate usadowiła się wygodnie, zaczął mówić:

- Przyznaję, że przyprowadziłem panią tutaj rozmyślnie. Chciałbym powiedzieć pani o sprawach, o których powinienem był napisać, dotyczących się okoliczności śmierci pani kuzynki.

- Już je poznałam.

Markiz uniósł brwi zdziwiony.

- Powiedziano mi, że śmierć mej kuzynki nie była spowodowana wypadkiem.

Spojrzał na nią pytająco.

- Tak. Właśnie tak, jak napisałem do pani rodziny w moim drugim liście.

- Drugim?

- Tak. Napisałem go, gdy tylko zdałem sobie sprawę, że... ich śmierć może nie być przypadkowa. - Popatrzył na nią poważnie, jakby nie rozumiejąc. - Nie otrzymała go pani?

- Nie. - Zmarszczyła brwi, szukając w pamięci. To całkiem naturalne, że listy czasem giną, zwłaszcza gdy służąca nie zapłaci listonoszowi... Jednak jaki to dziwny zbieg okoliczności!

- Moja droga! - zawołał markiz. - Moja biedna pani Blackburn! Nie wiedziała pani?

- Nie. Dowiedziałam się dopiero po przyjeździe tutaj.

- Jestem wstrząśnięty, że w moich progach powitały panią takie nowiny, a teraz znalazłem się w ciężkim położeniu, gdyż muszę powiększyć pani szok.

Kate nerwowo poderwała głowę.

Markiz założył ręce za plecami i zaczął chodzić po pokoju.

- Źle postąpiłem, że nie napisałem całej prawdy od razu. Fakt, że nie otrzymała pani mego drugiego listu, w żadnej mierze mnie nie usprawiedliwia, ale może kiedy usłyszysz pani całą historię, nie osądzi mnie źle za to przemilczenie.

Kate kiwnęła głową, zachęcając go do mówienia.

Westchnął głęboko,

- Charles i Grace nie mogli sobie znaleźć miejsca na północy Szkocji.

W to Kate nietrudno było uwierzyć. W niewielu listach, jakie napisała Grace, nie kryła niechęci do wiejskiego życia. Wolała Londyn z jego licznymi urokami.

- Charles nieustannie ponawiał prośbę, bym kupił miejski dom w Londynie do ich użytku, lecz ja odmawiałem. - Markiz poczerwieniał. - Nie chciałbym pani urazić, wciągając ją w intymne sprawy rodzinne, ale pragnę, by pojęła pani okoliczności tej okropnej zbrodni.

- Proszę mówić.

- Mój ojciec, zanim umarł, przez wiele lat był niezdolny do poświęcenia posiadłości należytej uwagi. Gdy ją odziedziczyłem, zapożyczyłem się, by obrócić ziemię w zyskowne przedsięwzięcie i przywrócić zamek do dawnej świetności. Z czasem me wysiłki zostały nagrodzone. Nie w takim stopniu jednak, by urządzić w Londynie Charlesa i Grace na poziomie, który by im odpowiadał. To właśnie im powiedziałem. Utaił się nasz doroczny rytuał: Charles prosił, a ja odmawiałem. Miałem nadzieję, że nie żywi o to urazy. - Zmarnotniał jeszcze bardziej. - Myliłem się. W rzeczywistości nigdy się nie pogodził z moją decyzją. Co gorsza, wdał się w konszachty, dzięki którym zamierzał się wzbogacić. I wzbogacił się, jak można mniemać z faktu, że Grace wysłała do pani swoje rzeczy. Przynajmniej stał się na ryle zamożny, by móc się przenieść do Londynu i urządzić na wysokiej stopie.

- Nie bardzo rozumiem.

Markiz usiadł obok niej.

- Charles związał się z bandą złodziei, przemytników i bandytów zatapiających statki. - Gestem ręki wskazał wybrzeże za oknem. - Widzi pani, gdzie mieszkamy. Pozwolił tym łajdakom korzystać z mego wybrzeża do uprawiania przemytu i, Boże miej litość nad jego duszą, do wciągania w zasadzkę nieszczęsnych statków, szukających bezpiecznego portu w czasie sztormu.

- Wielkie nieba! - szepnęła Kate. - Ale co się stało?

Na twarzy markiza odbiła się gorycz, która, jak Kate wyczuwała, była z gruntu obca jego naturze.

- Coś, co musi się stać, kiedy ktoś się zada z brutalami i dzikusami! Doszło do kłótni, a potem do morderstwa.

- Mnie powiedziano, że zabito ich przez pomyłkę! - zawołała Kate. - Zbójcy mieli ich ograbić, a potem zabić, by Charles ich nie rozpoznał.

- Chcę, by ludzie właśnie tak myśleli - stwierdził markiz smętnie. - Dlatego nie napisałem pani, jak się rzeczy naprawdę mają. Obawiałem się, że wmiecha w to pani brytyjskie władze, a one wykryją związek mego brata z przemytnikami.

Błagalnie ścisnął jej dłoń.

- Mam cztery siostry. Dwie mieszkają w tych stronach, ale pozostałe należą do londyńskiego towarzystwa. Skandal zrujnowałby im opinię, a ja, nie wiem czy słusznie, nie widzę powodu, by cierpiały za grzechy brata.

- Nie - odparła Kate bez namysłu. - Oczywiście, że nie.

- Nie zawahała się pani, bo ma pani dobre serce - oświadczył markiz. <- Ale nie mógłbym się uważać za człowieka honoru, gdybym nie przypomniał, że pani kuzynkę Grace zamordowano z powodu słabości mego brata. Nie śmiałybym oskarżać jej o współudział. Nigdy nie zamierzałem ukrywać przed panią faktów, chciałem tylko zaczekać, póki się nie spotkamy, bym mógł je przedstawić i dać pani możliwość podjęcia decyzji co do tego, co należy przedsięwziąć. A zatem musi pani rozważyć, czy uważa za słuszne pozwolić mi szukać sprawiedliwości bez narażania reputacji mej rodziny, czy też wyznać szczerze wszystko brytyjskim władzom.

Chociaż Kate nie miała cienia wątpliwości co do współudziału Grace, wołała w tej kwestii trzymać język za zębami i spytała tylko:

- Jakie działania pan podejmie, milordzie?

Uśmiechnął się niewesoło i puścił jej dłoń.

- Milicja już tu jest, jak pani wie. Wykurzy tych łajdaków z ich jaskiń i dziur. Dojdę do tego, kto zabił mego brata i pani kuzynkę, i wymierzę sprawiedliwość.

Z wyraźnym wysiłkiem starał się okiełznać gniew.

- Proszę wybaczyć, że obarczam tym panią tuż po przyjeździe, ale jestem człowiekiem bezpośrednim. Czułem, że najlepiej zrobię, gdy powiem wszystko od razu i poznam pani zdanie.

Markiz chciał, by to ona podjęła decyzję. Wspaniałość tej propozycji oszłomiła Kate. Jest mu winna staranne rozważenie sytuacji.

- Czy zamierza pan sam wytropić zbrodniarzy?

- Dobry Boże, nie. - Wydawał się zdziwiony. - Pokpiłbym tylko sprawę. Kapitan Watters już poczynił wielkie postępy w wykryciu złoczyńców.

- A co potem?

- Kiedy winni zostaną ujęci, przekażę ich władzom, oskarżając o zatapianie statków i przemyt. Słowo „morderstwo” nigdy nie padnie.

Innymi słowy, nie będzie procesu o morderstwo, lecz o zatapianie statków, za co kara jest taka sama. Sprawiedliwości stanie się zadość, a niewinni nie ucierpią.

- Podporządkuję się temu, co uzna pan za najlepsze - odpowiedziała łagodnie.

- Dziękuję - wyrzucił z siebie z westchnieniem ulgi - w imieniu moim i siostr. Jestem pani dłużnikiem.
  - Proszę mnie nie zawstydząć.
  - Za żadne skarby nie chciałem pani wprawiać w zakłopotanie. I zrobię wszystko, by pani czuła się u nas dobrze. Mam opinię człowieka sympatycznego. Chciałbym, by mnie pani bliżej poznała.
  - Ja też bym tego chciała - szepnęła.
- Podał jej rękę.
- A zatem kontynuujemy nasz spacer.

Kate podobał się zamek. Czuło się, że jest domowym ogniskiem, a nie rezydencją na pokaz. Markiz dołożył starań, by w tych dzikich stronach krzewić komfort i wyrafinowanie. Przyglądała się zacisznej wnęce w bibliotece, gdy doszło ją energiczne postukiwanie obcasów. Obejrzała się w chwili, gdy w drzwiach stanął dżentelmen w oficerskim mundurze. Nosił długie włosy zaplecione w harcap, upudrowane staromodnie, i trzymał kapelusz pod pachą. Na dłoniach miał białe oficerskie rękawiczki.

Choć nie był tak przystojny jak markiz, nie miał też szorstkiej męskości Kita MacNeilla, widać w nim było wewnętrzną siłę. Głęboko osadzone oczy spoglądały z niezwykłą otwartością znad wysokich kości policzkowych. Wyglądał inteligentnie i budził zaufanie, w czym pomagał mu nieskazitelny mundur.

- Milordzie. - Podeszedł do markiza i z szacunkiem skłonił głowę.
- Kapitanie Watters - odpowiedział markiz zdziwiony. - Przekazałem panu wiadomość, że spotkam się z panem dziś wieczór. Czyżby jej pan nie otrzymał?
- Otrzymałem, milordzie. Ale mam pewne informacje, które, jak sądzę, chciałby pan usłyszeć natychmiast.

Markiz nachmurzył się.

- Jestem zajęty.
- Rozumiem. Powiedziano mi, że do zamku przybyła młoda kobieta, a z nią gruboskórnie wyglądający człowiek w wojskowej kurtce. - Czekał na potwierdzenie.
- Tak. Pani Blackburn.
- I towarzyszył jej pewien dżentelmen? - nalegał kapitan Watters.
- Tak, kapitanie. Chociaż gubię się w domysłach, co panu do tego.

- Może się to okazać sprawą najwyższej wagi. Nie podoba mi się nagłe pojawienie nieznanomych osób. Zwłaszcza w takiej chwili. Wiemy z całą pewnością, że przemytnicy mają konfidenta pracującego dla nich, który zostaje poza obszarem ich działań. Kogoś, kto ich ostrzega...

- Kapitanie Watters! - Markiz, czerwony z zakłopotania, ruszył ku Kate. - To mój gość.

Oficer rozejrzał się i zauważył Kate schowaną w niszy okiennej.

- O! - wykrzyknął, kłaniając się. - Bardzo przepraszam. Proszę mi wybaczyć.

- Nic się nie stało. Nie mogę winić pana za gorliwość. - Markiz uśmiechnął się nieco poirytowany. - Przedstawię pana, Watters, jeśli pan pozwoli.

Twarz kapitana rozbiły zadowoleniem.

- Pani Blackburn, czy mogę przedstawić kapitana Wattersa? Kapitanie Watters, pani Blackburn.

Watters zgiął się w pół w głębokim ukłonie.

- Bardzo mi miło - szepnęła Kate, nieco speszona nieukrywanym podziwem kapitana. Uśmiech zmienił jego surowe rysy, czyniąc z niego człowieka niezwykle atrakcyjnego i przydając ciepła spojrzeniu, w którym odbiło się całe bogactwo uczuć. Przyłapała się na tym, że niepewnie odwzajemnia uśmiech. W tym momencie zdawało jej się, że dobrze go zna.

- Mnie również, madame - odpowiedział tak pogodnie, że nie mogła się obrazić. Markiz nie wydawał się równie zadowolony.

- Doskonale, Watters. A zatem co takiego chciał mi pan oznajmić?

Watters starał się słuchać słów markiza, ale jego zachwycone spojrzenie ciągle wracało ku Kate.

- To może poczekać, milordzie. Gdybym wiedział, że zabawia pan panią Blackburn, nigdy bym się nie ośmielił.

- Podejrzewa pan, że pan MacNeill jest zamieszany w przestępczy proceder w tych stronach - powiedziała Kate.

- Pan MacNeill.

- Młody człowiek, który mnie tutaj eskortował.

- Nie, proszę pani - zapewnił Watters gorliwie, lecz mało przekonująco.

- Odniosłam wrażenie, że jest inaczej. Jeśli nie mam racji, proszę mi wybaczyć, ale mogę wyperswadować panu tak absurdalny pomysł. Dobrze znam pana MacNeilla - małe kłamstwo i najszczerza prawda - i mogę zaświadczyć, że nie ma konszachców z przemytnikami.

Kapitan wdzięcznie skłonił głowę.

- To mi zupełnie wystarczy, szanowna pani.

- I mnie - oświadczył markiz.

Kapitan nie czynił dalszych uwag, ale nie przestawał przyglądać się Kate, póki wreszcie, zdenerwowana i nieprzywykła do takiego zainteresowania swoją osobą, nie odezwała się:

- Pan mnie peszy, kapitanie. Proszę mi powiedzieć, co pana tak fascynuje? Nie próbował się wykręcać.

- Pani twarz, poza tym, że tak urocza, przypomina mi czyjaś inną. Czy nie jest pani przypadkiem spokrewniona z rodziną z Yorku nazwiskiem Nash?

- To moje panieńskie nazwisko, moim ojcem był pułkownik Roderick Nash.

- Tak właśnie myślałem! - oświadczył kapitan. Głębokie poruszenie za-barwiło jego głos. - Nie znałem osobiście pani ojca ani nie służyłem w jego pułku, ale kiedy byłem we Francji, raz się z nim spotkałem. - Jego ton stał się posępny. - Jego śmierć była wielką stratą, proszę pani.

- Dziękuję panu.

- Zje pan z nami obiad dziś wieczór, kapitanie? - spytał markiz. - Pan MacNeill będzie nam towarzyszył. On też jest wojskowym.

- Doprawdy?

- Może macie panowie wspólnych znajomych.

- Wątpię, milordzie, i w każdym innym terminie z zadowoleniem przyjąłbym pańskie zaproszenie, ale niestety, obowiązki wzywają. Sytuacja na wybrzeżu może wymagać, bym poświęcił jej czas.

- Doskonale. A zatem zobaczymy się po pańskim powrocie.

Kapitan zwrócił się do Kate.

- Będę czekał niecierpliwie.

Kate skłoniła głowę, a kapitan, złożywszy jeszcze jeden ukłon, zostawił ją sam na sam z markizem. Przyjęła to z ulgą. Kapitan był człowiekiem o silnej osobowości i doskonałej prezencji, inni mężczyźni, bez względu na ich wyższą pozycję, bledli przy nim. Nawet tak szacowni jak markiz.

Chociaż wątpiła, czy Kit MacNeill cokolwiek by przy nim stracił.

Spróbowała ukryć chmurny wyraz twarzy, który pojawił się na wspomnienie Kita, ale markiz zauważył to i wbrew jej niezbyt szczeremu protestom nalegał, by zakończyli obchód zamku, gdyż jest wyraźnie zmęczona. Przekazał ją Peggy, czekającej posłusznie w holu. Pokojówka poprowadziła ją na górę po schodach, a potem długim jasno oświetlonym korytarzem do przestronnego pokoju umeblowanego na żółto i biało, o ścianach pokrytych turkusową tkaniną. Ten pokój, tak jak wszystkie inne, które widziała, urządzone były w doskonałym guście.



- Jesteśmy, proszę pani. - Peggy zakrzętała się przed Kate, cmokając językiem, gdy układała poduszki na fotelu przed kominkiem. Miała szeroką, pogodną twarz. - A tu jest pani kufer.

- Nie jest mój. Należał do Grace - powiedziała Kate.

Chmura przemknęła po radosnej twarzy pokojówki.

- Przykro mi, że pani wizyta wypadła w takich smutnych okolicznościach.

Kate schyliła głowę, przyjmując jej współczucie, jednocześnie uświadomiła sobie, że nikt nie wyraził cienia osobistego żalu z powodu śmierci Grace. Nawet pokojówka kuzynki nie okazywała żalu.

Kate miała nadzieję, że Grace znalazła szczęście, ale wszystko wskazywało na to, że niespokojne, wiecznie niezadowolone dziecko, jakim była, stało się kobietą o podobnym usposobieniu. Ta myśl kazała Kate zastanowić się, czy ona sama stała się taką młodą kobietą, jaką kiedyś miała nadzieję zostać. Z pewnością nigdy by siebie nie posadziła, że jest zdolna wziąć kochanka, z którym nie wiąże ją ślub. O dziwojednak, nie to było przyczyną, że czuła się skompromitowana.

Tylko... to, że tu jest.

Oddaliła od siebie dziwaczną, przykrą myśl.

- Czy coś się stało, proszę pani? - Peggy oderwała się od rozpakowywania nielicznych sukien Kate.

- Nie. - Zmusiła się do uśmiechu.

Pokojówka jęknęła na widok jej garderoby.

- John powiedział, że zniszczono rzeczy pani Murdoch, ale nie wspominał, że podarto też pani suknie.

Pokiwała głową domyślnie.

- Zniszczyli prawie całą pani garderobę, to jasne jak dzień, a pani, jak to dama, nie chciała nic powiedzieć. - Młasnęła językiem. - Biedne jagniątko, przybyszające ledwie z parą niemodnych sukien. Nie ma zmartwienia, moja droga. Pani Murdoch ciągle posyłała do Inverness po krawcową, by szyła jej nowe stroje. Musi ich być z tuzin w jej garderobie, nawet raz ich nie włożyła. Może je pani nosić.

- Nie mogłabym...

- A to czemu? - zawołała Peggy, lustrując wzrokiem jej figurę. - Jest pani trochę chudsza, ale prawie tak samo wysoka, a te ubrania tylko się kurzą, nikomu niepotrzebne.

- Markizowi może się nie podobać, że ktoś nosi rzeczy pani Murdoch.

Peggy wcale się tym nie przejęła.

- Będzie zadowolony, że ktoś zrobił z nich dobry użytek.

- No, ale ktoś inny z rodziny może boleśnie to odczuć.

Ze sposobu, w jaki Peggy uniknęła jej wzroku, Kate wywnioskowała, że trafiła w sedno. Dzięki Bogu, przynajmniej jedna osoba żałuje Grace.

- Kto to jest? - spytała.

Peggy nie owijała niczego w bawełnę.

- Panna Mertice Benny, wychowanica lorda Parnella. Okropnie tęskni za panią Murdoch. Były sobie bardzo bliskie, obie takie młode i ładne. - Westchnęła. - Z czasem z pewnością dojdzie do siebie.

- Nie chciałabym powiększać jej cierpienia.

- I nie powiększy pani - odparła Peggy stanowczo, a Kate zdała sobie sprawę, że zyskała w tym domu sojusznika. - Dopilnuję, żeby pani nosiła tylko te suknie, których nigdy nie nosiła pani Murdoch.

Kate nie była pewna, czy chce się ubierać w rzeczy zmarłej kuzynki, ale była zbyt zmęczona, by się sprzeczać, i już nie miała tej władczości, która sprawiała, że bez sprzeciwu spełniano jej życzenia. Kiwnęła głową, a Peggy pospieszyła wypełniać swą misję.

Kate nawet się nie potrudziła, by obmyć twarz przed wypróbowaniem grubego, miękkiego materaca. Położyła się i natychmiast ogarnęło ją poczucie dobrze pamiętanego luksusu. Ileż to czasu upłynęło, odkąd przytulała policzek do pościeli gładkiej jak atlas. Zamknęła oczy, a słońce oblało ją swym blaskiem jak ciepłą kołdrą.

Przesłość minęła bezpowrotnie, dwa lata, które ciągnęły się za nią, a także parę godzin ostatniej nocy. Nadszedł czas, by patrzeć w przyszłość.

Markiz nie mógł być bardziej troskliwy i uprzejmy, a pełen fantazji kapitan Watters przypominał jej, co znaczy być podziwianą kobietą, a nie żalostną istotą, która straciła pozycję w świecie. Wszystko, co chciała osiągnąć, miała na dłoni. Wystarczyło tylko zacisnąć palce.

Łza wymknęła jej się spod powieki i spłynęła po policzku.

## *O zaletach sztuki dyskretnego wycofania się*

**K**it siedział w miedzianej wannie, zanurzony w szybko stygnącej wodzie i ciskał piorunujące spojrzenia. Przeklęta pokojówka zabrała mu kurtkę,

w dodatku zwędziła koszulę i spodnie, obiecując „troszeczkę je wyczyścić”. Nie miał innego wyjścia, jak moczyć się jak jakaś cholerna ryba, dopóki dziewczyna nie wróci.

Dwóch barczystych chłopaków wtaszczyło wannę na górę, chociaż wcale o to nie prosił, potem wtargnęła grupka chichoczących pokojówek - swoją drogą, ile człowiek może potrzebować służby? - wnosząc jeden za drugim czajniki parującej wody. Kiedy zażądał, by mu objaśniły, co ma zrobić, najmłodsza z dziewczyn, smarkuła od ziemi nie odrosła, z uśmiechem wyższości popatrzyła na niego znacząco i powiedziała: „Umyć się, jak sądzę, proszę pana”, po czym dygnęła i uciekła razem ze stadkiem gęgających towarzyszek.

Uległ nieprzepartej pokusie i wykąpał się. Był to luksus i wielka przyjemność, temu nie mógł zaprzeczyć. Zbyt wiele lat spędził w otoczeniu tak podłym i plugawym, że po wielokroć zdawało mu się, że już nigdy nie będzie czysty. Oprócz chwil w jej ramionach...

Nagle poderwał się na nogi, a woda chlupnęła na podłogę. Rozejrzał się, złapał ręcznik zostawiony do jego użytku i ze złością trzepnął się nim po nagim ciele. Najwyraźniej traci resztkę zdrowych zmysłów, jaka mu pozostała. Poczł się jak ktoś, kto wyruszył w podróż z dokładną mapą w ręku, a potem odkrył, że prostej drogi nie ma i że odsłoniła się przed nim inna, której na mapie nie było.

Owinął się ręcznikiem wokół bioder, przeszedł przez pokój, oparł o parapet i wyjrzał przez okno. Gdzie ona jest? Z markizem, rzecz jasna, i tak właśnie być powinno, bez względu na to, co uczyniła z nim jedna noc. Do diabła! Wiedział, że nie powinien tego robić. Czy dostał najsurowszą lekcję w swoim życiu? Nie powinien zawierzać omylnemu organowi, zwanemu sercem. Już dawniej popełniał ten błąd... ze skutkiem rozdzierającym duszę.

Gwałtownie wałnął pięścią w ścianę nad oknem, ciesząc się na przeszywający ból.

Ktoś zastukał do drzwi i Kit obrócił się ku nim, rad wszystkimu, co zajęłoby mu myśli. Wszedł lokaj, niosący porządnie złożony stos ubrania.

- Jego lordowska mość składa uszanowanie, proszę pana, i błaga, by przyjął pan najszczerze przeprosiny, ale praczka nieuważnie prasowała pana koszulę i spodnie i przypaliła je.

- Co takiego? ~ Kit miał tylko dwie koszule i żadnych zapasowych spodni.

- Jego lordowska mość błaga, by przyjął pan w zamian te rzeczy. Zdaje sobie sprawę, że mogą nie pasować, ale Peggy ma zręczną rękę do igły i umie zrobić wszystkie konieczne poprawki.

- Do diabła!

- Tak, proszę pana. Zaraz przyślę tu Peggy. Czy mogę powiedzieć lordowi Parnellowi, że będzie pan gotów do obiadu na ósmą?

Jeśli taki jest pożytek z posiadania służby, Kit poczuł satysfakcję, że nigdy nie dotknęła go ta plaga. Chichoczące pokojówki, panoszący się lokaje, a teraz szwaczka, która wytoczy z niego igłą więcej krwi niż pustynny wojownik.

- Oczywiście.

- Czy życzy pan sobie, bym mu pomógł przy ubieraniu? - spytał lokaj.

- W żadnym razie.

- Wobec tego od razu przyślę Peggy. - Lokaj złożył stos ubrania na brzegu łóżka, ukłonił się i wyszedł, zostawiając Kita markotnie oglądającego pożyczone wytworności.

Śnieżnobiały halsztuk leżał starannie złożony na delikatnej batystowej koszuli prawie tak samo białej. Pod spodem znajdowały się pończochy, podwiązki, ciemna kamizelka i krótki wełniany żakiet ze srebrnymi guzikami. Bieliznę ułożono dyskretnie pod spodem, pod parą żółtobrazowych spodni. Odrzucił żakiet na bok i z dna stosu wyszarpnął swoją kurtkę.

Dzięki Bogu, głupia praczka nie próbowała wygotować jego pułkowej kurtki. Uniósł ją. Udało się wyszczotkować trochę plam i naprawić rozdarcia. Ciemna zieleń spłowiała pod palącym słońcem Indii, ale w miejscach, gdzie odwrócono szwy, odsłonięty materiał jaskrawo odbijał się na tle starego, jak wysepki szkockiej wiosny.

Naburmuszony włożył bieliznę i spodnie. Były za ciasne w udach i ścisnęły go w kolanach. Nigdy nie lubił spodni do kolan, wolał długie. Ale takich nie znalazł. Spojrzał na zegar. Było wpół do ósmej.

Suknia była zbyt głęboko wydekoltowana, ze zbyt przejrzystego materiału, a blad różowy kolor nieodpowiedni dla osoby w żałobie. Ale Peggy zapewniła Kate, że stanik nie jest niżej wycięty, niż przystoi damie do kolacji, a okres żałoby po Charlesie i Grace został zachowany jak należy. Zdecydowanie nadeszła pora, by jego lordowska mość i reszta rodziny wrócili do normalnego życia.

Pamiętając, by dodać rozdział o pożyczonych strojach do swego podręcznika, Kate wyszła z sypialni i podążyła za lokajem do jadalni, starając się

uspokoić przyspieszone bicie serca. Kita też zaproszono na obiad. Westchnęła głęboko, mając nadzieję nie okazać poruszenia ani, co gorsza, niepokoju.

Jadalnia jaśniała od świateł, rzucających blask na stół zastawiony kryształami, srebrem, porcelaną i złotem. Markiz, stojący obok małego, podobnego do ptaka, starego dżentelmena, natychmiast podszedł do niej.

Kit, jak zauważyła, jeszcze nie przybył.

- Droga pani Blackburn! - odezwał się markiz. - Ufam, że jest pani zadowolona z Peggy. Jeśli nie, doprawdy nie zgadnę, w czym mogła panią zawieść.

- Dziękuję, milordzie.

Obrócił się i poprowadził Kate.

- Pozwoli pani, że przedstawię ją memu stryjowi. Stryju, pani Blackburn. Pani Blackburn, pan Kervin Murdoch, najmłodszy brat mego ojca.

- Bardzo mi miło - bąknęła Kate, dygając.

- Miło mi poznać panią. - Dżentelmen skłonił głowę. Wbił w nią jasnoniebieskie spojrzenie spod krzaczastych siwych brwi i przekrzywił głowę, co powiększyło podobieństwo do ciekawego, a może wrogiego ptaka. - Angielka? Krewna Grace? Więc musi być Angielką.

- Tak, proszę pana - odparła Kate, nieco rozbawiona. - Jestem Angielką.

- Szkoda - stwierdził starszy pan, przekrzywiając głowę w drugą stronę. - Można pomyśleć, że nie ma miłych Szkotek w okolicy, zważywszy na to, że moja rodzina wciąż sprowadza angielskie dzierlatki. - Spojrzał potępiająco na bratanka.

- Stryju!

Rozgoryczenie staruszka nagle znikło.

- Jestem staromodny. Nic na to nie poradzą. Nie miałem złych zamiarów, młoda damo.

- Musiałam coś przeoczyć, bo nie przypominam sobie, by powiedziano coś, co by mnie uraziło.

Parsknął śmiechem.

- Anglicy zawsze są dobrzy w słowach. Nawet Grace, kiedy jej zależało, potrafiła zakamuflować groźbę pięknymi słówkami tak, że brzmiała jak obietnica.

- Dość, stryju - powiedział markiz z udawaną rozpaczą, gdy przybyła starsza kobieta wsparta na ramieniu młodsiutkiej dziewczyny.

Kate z zainteresowaniem przyglądała się tej parze. Kobieta miała mocno upudrowaną i uróżowaną twarz w stylu dworu francuskiego sprzed dwudziestu lat. Jej wysoko upięta fryzura była oczywiście peruką. Dziewczyna u jej boku nie mogła liczyć więcej niż siedemnaście lat. Puszyste puki jasnych

włosów zręcznie upięła wokół twarzyczki w kształcie serca. Jej usta były czerwone, małe, o pełnych wargach, oczy trochę skośne i jakby słowiańskie.

- Ciociu Matyldo, to pani Blackburn, kuzynka Grace - powiedział markiz głośno. - Siostra mego ojca, lady Matylda.

- Tak, tak, Jamie. Mówiłeś rano, że przyjeżdża. - Stara dama uśmiechnęła się do Kate. Oczywiście zasnuła katarakta, ale nie przysłoniła błysku zniecierpliwienia w ich mętnej głębi.

- A to moja podopieczna, panna Mertice Benny, którą nazywamy Merry.

Panią bąknęła bez przekonania, że przyjemnie jej poznać Kate, a ta przez moment nie mogła powstrzymać ciekawości, czy zdrobnienie oznaczające wesołość traktowano ironicznie, bo tmdno było sobie wyobrazić istotę mniej wesołą niż ta dziewczyna, z jej zimowym kolorytem i chłodnym sposobem bycia. Oczywiście panny Merry, spoglądające z wyższością, nagle szeroko się otwarły, gdy ich spojrzenie padło na suknię Kate.

- Jaką uroczą ma pani suknię - powiedziała sztywno.

- Dziękuję - wykrztusiła Kate. - Tak jak i pani.

- Nie mówcie mi, że przyjeśliśmy jeszcze jedną niewiastę do naszego grona, żeby rozprawić o falbankach i świecidełkach - sarknął pan Murdoch.

- Co powiedziałaś, Kerwinie? - spytała lady Matylda.

- Powiedziałem, moja droga - zagrmiał pan Murdoch - że doskonale wyglądasz dziś wieczór.

Jego siostra rzuciła mu podejrzliwe i poirytowane spojrzenie.

- Bardzo wątpię, Murdoch. I pozwolę sobie powiedzieć ci po raz kolejny, że nie musisz tak ryczeć. Wystarczy po prostu podnieść głos.

Zwróciła się do Kate.

- Moja droga, czy byłabyś tak miła i odprowadziła mnie na kanapę? Od strony kominka. Każdej zimy coraz dotkliwiej odczuwam chłód.

- Ależ bardzo proszę - odparła Kate radośnie, podając jej ramię. Spojrzenie Merry ukłułoby ją do krwi, gdyby stało się choć trochę ostrzejsze.

- Trochę niedosłyszysz i dlatego moja rodzina uparła się, żeby ryczeć. To niepotrzebne, jeśli ktoś mówi wyraźnie i powoli. Masz uroczy głos, moja droga. Nie taki jak Merry - obejrzała się na dziewczynę i pana Murdocha, idących tuż za nimi - która ostatnio zaczęła seplenić.

- Wcale nie! - zaprzeczyła Merry ostro.

Lady Matylda zignorowała ją.

- Grace sepleniła, a miała ona - dama nachyliła się ku Kate, jakby miała zamiar zawierzyć jej sekret - wielki wpływ na naszą Merry. Mała strasznie po niej rozpacza. O! Jesteśmy. Dziękuję ci, moja droga.

Stara dama usadowiła się wygodnie, jej brat przyczłapał, by pogrzebać w kominku, a markiz podszedł do Kate.

- Myślałem, że będziemy mieć dziś wieczór prawdziwy szkocki obiad - oświadczył nagle pan Murdoch, jakby właśnie dotarło do niego, że nie dostanie obiecanych łakoci.

- Będzie pan musiał zadowolić się mną - przemówił niski, znajomy głos od strony korytarza i Kate obróciła się gwałtownie.

Szeroki kilt Kita MacNeilla kołysał się w rytm jego długich kroków, ukazując muskularne łydki, gdy przemierzał pokój. Plec udrapował na góralską modłę przez pierś i bark na pułkowej kurtce, której srebrne guziki lśniły, starannie wypolerowane. Olśniewająco biały hal sztuk podkreślał ogorzałość jego szczupłej, świeżo ogolonej twarzy. Włosy lśniły, podwijając się tam, gdzie muskały kołnierzy koszuli. Policzki Kate zarumieniły się z uznania, a gdy się obejrzała, ujrzała jak Merry uśmiecha się do niej domyślnie.

- Panie MacNeill - powitał markiz gościa - proszę pozwolić mi przedstawić pana mej rodzinie.

Kit prezentował się świetnie, kiedy markiz przedstawiał go swym domownikom, i Kate poczuła niczym nieuzasadnioną dumę. Nikt w tym domu nie mógł się z nim równać. Nawet markiz. I nie powinien, upomniała siebie. Kit jest żołnierzem, a markiz dżentelmenem.

Dopełniwszy prezentacji, stryj markiza powrócił do lady Matyldy, markiz zaś przeprosił na chwilę towarzystwo, by wydać ostatnie polecenia lokajowi. Kate została z Kitem i Merry.

- Miło mi widzieć panią w dobrym zdrowiu, pani Blackburn. - Kit ujął dłoń Kate i musnął wargami rękawiczkę. Serce zabiło jej mocno. Uważał siebie za nieokrzesanego i bez ogłady, ale w rzeczywistości błyszczał jak stal piękna, zabójcza stal, inni mieli tylko pozłotę.

Uniosł głowę. Ich oczy się spotkały i trwało to chwilę za długo.

- Państwa oczywiście nie trzeba sobie przedstawiać. - Merry uśmiechnęła się uszczypliwie. - Musi pan znać panią Blackburn dość dobrze, po iluż to dniach drogi?

Fala gorąca załała Kate. Kit obojętnie popatrzył na dziewczynę.

- O co panience chodzi?

Spokojne pytanie zbiło Merry z tropu. Kit i Kate powinni teraz popaść w niezręczne milczenie. Bezpośredniość Szkota sprawiła, że strzał okazał się niewypałem.

- Jak to o co chodzi? - zająknęła się Merry. - Och, o nic. Zapewne... Pani Blackburn była żoną oficera, może dlatego tak dobrze się czuje w towarzystwie żołnierzy?

Kit zmrużył tylko szarozielone oczy, przyglądając się w zamyśleniu dziewczynie. Była niedopuszczalnie niegrzeczna. Kate z ulgą zauważyła, że markiz wraca, by się do nich przyłączyć.

- Walters nie mógł do nas dołączyć, biedaczysko - oznajmił markiz, nieświadomy tego, co zaszło.

- Kto to jest Watters? - spytał Kit.

- Człowiek, który zastąpił dowódcę milicji, kapitana Greena. Green popełnił ten nietakt, że dał się zabić, gdy niezbyt fortunnie usiłował wyplenić zbrodnię z tych okolic - powiedziała Merry z dużą dozą zblazowanej sztuczności.

- Kapitan Watters wydał mi się godny zaufania, jemu powinno się powieść - powiedziała Kate.

- Poznała go pani? - Merry spojrzała na nią zdziwiona.

- Tak. Dziś rano. Wygląda bardzo dzielnie.

Dziewczyna przechyliła głowę na bok, lustrując Kita wzrokiem doświadczonej kokietki. Jej manieryczny sposób bycia wydawał się znajomy i nieprzyjemnie żenujący.

- Nie aż tak dzielnie, jak niektórzy inni.

Zatrzepotała rzęsami w bardzo wulgarny sposób.

- Panią nie uważa, że kapitan wyjdzie z próby zwycięsko? — spytał Kit.

- Jestem pewna, że jego usiłowania będą godne podziwu - odparła, wdzięcząc się. - Ale wolę pokładać ufność w mężczyznach, którym obce są usiłowania, a znają tylko zwycięstwo. Czy należy pan do nich, panie MacNeill?

Kate mocno zagryzła wargi.

- Nie, panno Benny - odparł Kit poważnie. - Aż za dobrze znam smak niepowodzeń.

- Doprawdy? A wygląda pan tak groźnie! Rozczarowuje mnie pan. Myślałam, że znaleźliśmy rycerza i obrońcę. Czy pani nie jest rozczarowana, pani Blackburn?

- Ależ nie. Pan MacNeill mnie nie rozczarował pod żadnym względem - powiedziała spokojnie.

Dziewczyna zaśmiała się, a Kit zamiast przyjąć pochwałę z uśmiechem, odwrócił oczy z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Kate spojrzała na niego niepewnie. Markiz patrzył to na powściągliwą minę Kita, to na zaróżowione policzki Kate.

- Czy Meny znów pieje hymny pochwalne na cześć przemytników? - Pan Murdoch stanął u boku Kate, starając się załagodzić jej kontuzję. - Jako dziecko była owładnięta myślą o królu przemytników.



- Już nie jestem owładnięta, zapewniam pana - burknęła Merry, z kokietki zmieniając się nagle w nadąsane dziecko. - Nie znaczy to jednak, że nie rozumiem tego, co wie każdy mężczyzna, kobieta czy dziecko w Clyth: że przemytnicy są prawem sami dla siebie, nie boją się niczego i nikogo.

- Meny, mówisz tak, jakbyś ich podziwiała - zganił ją markiz. - Z łaski swojej nie zapominaj, że mają na sumieniu śmierć członków naszej rodziny.

Dziewczyna skrzywiła się jak do płaczu, jej nonszalancki sposób bycia okazał się tylko maską.

- Zapomnieć? Jak mogłabym zapomnieć? - spytała z taką udreką, że Kate wyleciała z głowy uprzednia niechęć do niej. - Nigdy nie zapomnę.

Jak ciężko musi jej być po stracie jedynej powiernicy, pomyślała. W gruncie rzeczy dopiero teraz zdała sobie sprawę, że Merry jest jakby nowym wcieleniem Grace: pewnej siebie, nonszalanckiej i światowej.

Markiz również zdawał się pojmować głęboki ból dziewczyny, bo jego gniew szybko się ulotnił.

- Już dobrze. Wiem, że nie miałaś nic złego na myśli. I nie martw się. Watters postara się, by ujęto tych łotrów.

- Oczywiście - stwierdził pogodnie pan Murdoch, poklepując ją po ręce. Ale Merry wcale nie wyglądała na pocieszoną i zaśmiała się gorzko.

- Tak. Oczywiście, że ich schwyta. Przepraszam, lady Matylda mnie prosi.

- Nie jest sobą od śmierci Grace - szepnął markiz, patrząc, jak się oddała. - Jako jedyne dziecko w zamku była przez wszystkich rozpieszczana i przyznam, że ja też pozwoliłem jej biegać samopas.

- Przeważnie do Clyth - zgodził się pan Murdoch, kiwając głową zło-wróźnie.

- Jak to, stryju?

- Czasem wieczorem Meny jeździ w stronę Clyth. Widziałem ją wczoraj, jak galopowała w świetle księżycy. Ta mała jeździ jak bogini.

- Dlaczego stryj nic mi wcześniej nie powiedział? — spytał markiz.

Kate spojrzała na Kita. Jeśli czuł podobne zakłopotanie jak ona, nie okazał tego. Speszona chciała się wycofać, ale markiz ją zatrzymał.

- Przepraszam panią. Nikt z nas nie jest sobą.

- To zrozumiałe - szepnęła.

- Jaka pani dobra.

Spuściła wzrok. Akurat! Po prostu stara się wejść w ich łaski, by zechcieli pomóc jej i jej siostrze. Uściskałaby samego diabła, gdyby w ten sposób mogła sobie kupić spokój i bezpieczną przyszłość.

Zawstydziała się tych myśli, wyczuła też, że Kit aż zeszywniał. Co sobie o niej myśli? On, który nigdy nie stracił kropli dumy dla jakiegokolwiek korzyści.

Pan Murdoch chrząknął, nastroszył brwi i szukał tematu, by przerwać niezręczne milczenie. Spojrzał na Kita i twarz mu się rozjaśniła.

- Widzę, że mamy jeszcze jednego kapitana w zamku - powiedział. - Nosi pan kurtkę kapitana 95. Pułku Strzelców. Nie wiedziałem, że strzelcy zostali zdemobilizowani.

- Nie zostali - odparł Kit. - To ja poprosiłem o urlop.

- Oczywiście - powiedział markiz lojalnie. - Spełnił pan swój obowiązek i zasłużył na trochę spokoju. Ale zawsze może pan wrócić, jak sądzę?

- Tak. W obecnych czasach brakuje oficerów. Najpierw jednak muszę załatwić sprawy osobiste, mam stare długi do spłacenia. - Uśmiechnął się, by dać do zrozumienia, że te długi to zwykła, powszednia sprawa. Ale Kate wiedziała, że chce wytropić człowieka z zamku. Tego, który bez słów zagroził, że go zabije. Świadomość niebezpieczeństwa, które umyślnie na siebie ściągał, poraziła Kate jak grom.

- Czy coś się stało, pani Blackburn? - spytał markiz niespokojnie.

- Kiedy pan odjeżdża? - spytała. Zignorowała troskliwość markiza, właściwie prawie przestał on dla niej istnieć. Wszystko zbladło wokół niej: ludzie, pokój, nie zdawała sobie sprawy, gdzie jest, wcale też jej to nie obchodziło. Kiedy podróżowali, zapominała, że zły los Kita czeka o krok. Łatwo jej było zapomnieć, jaka przyszłość go czeka, podobnie jak udała, że nie pamięta o własnej przyszłości. - Kiedy pan jedzie? - nalegała. - Myślałam, że zostanie pan kilka dni?

On jednak nie zapomniał, gdzie są. Uśmiechnął się do wszystkich.

- Pani Blackburn obawia się, że zostanie bez woźnicy - wyjaśnił - i będzie zmuszona nadużyć państwa gościnności, gdyby drogi zostały zasypane. Pani Blackburn jest - proszę mi wybaczyć śmiałość - bardzo dumna.

Markiz zaczął już marszczyć brwi, ale teraz odetchnął z ulgą.

- Ach! - zawołał. - Nie wolno pani nawet myśleć, że jej towarzystwo może być ciężarem. Sam gotów jestem je zasypać, by cieszyć się pani uroczym towarzystwem.

Kit uśmiechnął się uprzejmie do markiza, jak dżentelmen doceniający galanterię drugiego dżentelmena. Zdobył dla niej kilka minut, by się opanowała, ale i to było za mało. Jakiś lęk ścisnął jej serce. Nie mogła patrzeć na Kita. Przycisnęła palce do skroni.

- Ja... proszę mi wybaczyć.

- Co się stało? - spytał markiz żywo zaniepokojony.
  - Błagam, proszę się nie niepokoić. Czasami miewam nagłe ataki migreny.
  - Czy mogę coś dla pani zrobić? - dopytywał się markiz. Kit patrzył na nią obojętnie.
  - Obawiam się, że nic. Potrzebuję odpoczynku w ciemnym pokoju i za kilka godzin stanę na nogi. Czy wybaczy mi pan, że wymówię się od obiadu?
  - Ależ oczywiście. Merry - zawołał do wychowawicy - odprowadź panią Blackburn do jej pokoju.
  - Nie. Tylko bym się gorzej poczuła, gdybym zakłóciła państwu wieczrę. Proszę.
- Skoro takie jest pani życzenie - rzekł markiz z powątpiewaniem, dając znak lokajowi.
- Tak - potwierdziła i, ukłoniwszy się obecnym, ruszyła w ślad za milczącym lokajem do swego pokoju.

Wszystko dałoby się znieść, gdyby nie ta przeklęta różowa suknia. Wycięcie dekoltu podkreślało szczupłą kolumnę szyi, odsłaniało delikatny zarys obojczyków i zaznaczało zbyt wyraźnie jej kremowy biust. Gdyby tylko nie wiedział, że tuż pod krawędzią materiału kryje się znak, który wycisnęły jego usta. Ale wiedział to. Tak samo, jak wiedział, że znak ten zblednie równie szybko, jak upłynie czas, który im został. Dzięki Bogu. To było piekło; kompletne piekło w miłym towarzystwie, z uroczym gospodarzem i najlepszym z win, jakie pił, ale jednak piekło.

Doznał ulgi, gdy Kate odeszła. Nie musiał udawać, że nie zauważa wszystkich uczuć na jej wyrazistej, intrygującej i mrocznie pięknej twarzy. Nie musiał udawać, gdy serce podchodziło mu do gardła ze strachu, że ona zdradzi się z ich intymną więzią i zrukuje swe szanse u markiza. Nie musiał udawać, że nie chce, by to właśnie zrobiła, całym sobą, każdym złym, samolubnym włóknem swej istoty. Zateśknił za nią, gdy tylko drzwi się za nią zamknęły.

Po jej ucieczce zmusił się, by uważnie słuchać rozmów, zdecydowany nie wydać jej żadnym czynem, gestem czy zaniedbaniem ani czymś niestosownym w swym zachowaniu. Starszy pan spierał się z bratankiem na temat zalet rządów Napoleona, starsza pani wtrącała uwagi, co pewien czas prosząc Kita, by powtórzył jakąś myśl. Markiz raz odszedł od stołu, by sprawdzić, jak się ma Kate, a Kit siłą powstrzymał się, by nie upomnieć się o to prawo

dla siebie, i gapił się ponuro w kieliszek wina. Nawet się nie spodziewał, że potrafi wytrzymać o wiele więcej wylewności markiza, na którą Kate odpowiadała rumieńcem, i własnej dręczącej tęsknoty.

Miał przed sobą cel. Uczepił się go teraz, jak jedyne go sensu życia. Wreszcie może podjąć zadanie, które poprzysiągł wypełnić całe lata temu. Zacznie w Clyth, od Calluma Lamonta. Jeśli to okaże się bezowocne, wyruszy do Londynu, do Ramsey a Munro.

A potem? Wróci do wojska. Jego ludzie na pewno go potrzebują. Toczy się wojna, a z każdym mijającym tygodniem coraz bardziej uświadamiał sobie, że jego miejsce w tej wojnie przejmie inny oficer, który może nie mieć jego umiejętności ani doświadczenia. A poza tym gdyby znów wysłano go do Indii, miałyby tam szansę wypalić z duszy wspomnienie Kate, a przy okazji, w duchu wzruszył ramionami, ocalić imperium.

Po deserze markiz poprosił go, by towarzyszył mu do sąsiedniego pokoju. Kit zgodził się, oczywiście. Znosił już takie rzeczy, a jeśli jego lordowska mość chce bratać się z prostym człowiekiem, Kit jest na jego usługi. Dla dobra Kate. Pozostali wyszli z jadalni, by grać w karty.

- Uprawia pan hazard, panie MacNeill?

- Nigdy, milordzie.

- Nie? - Markiz wyglądał na zdziwionego. - Myślałem, że żołnierze są urodzonymi graczami.

- Gramy tylko o własne życie, milordzie. Nie mam nic innego, co mógłbym stracić.

Markiz spojrział na niego ostro.

- Wydaje mi się, kapitanie, że jest pan kimś o wiele znaczniejszym, niż chciałby pan ukazać.

- Jestem prostym żołnierzem. Przedtem byłem nikiem.

- Czyżby? - Markiz podszedł do kredensu i wyjął karafkę z kryształowymi kieliszkami. - Napije się pan?

Kit zastanawiał się, skąd ta uprzejmość.

- Dziękuję.

Markiz nalał po calu brandy do dwu kieliszków i podał jeden Kitowi. Wyciągnął ku niemu swój kieliszek w toaście, Kit odwzajemnił ten gest i wypili w milczeniu.

- Może usiądziemy, panie MacNeill? - Markiz usiadł i założył nogę na nogę. Buty lśniły czernią jak pióra kormorana. - Chciałbym spytać o dług wobec pani Blackburn.

Ach, więc o to chodzi.

To sprawa sprzed wielu lat, milordzie.

- Natury osobistej?
- Jej ojciec zapłacił życiem, ocalając moje. Poprzysiągłem, że zrobię co w mej mocy, by pomóc jego rodzinie.

Markiz wyprostował się, a podniesiona stopa opadła na podłogę z głośnym tupnięciem. Wychylił się z krzesła, patrząc na Kita ze zdumieniem.

- Jest pan zatem jednym z tych chłopców, których uratował pułkownik Nash'. Grace wszystko nam o tym opowiedziała. To straszne. Jak długo was więziono?

- Dwadzieścia jeden miesięcy.
- Mój Boże - szepnął markiz. - I ta obietnica to sposób wynagrodzenia Nashom ich straty?
- Tak.

- Rozumiem - powiedział cicho markiz. - Mogą tylko raz jeszcze podziękować za przywiezienie do mnie pani Blackburn.

Kit nienawidził markiza za jego subtelność i nawet za irytującą życzliwość. Ale przede wszystkim zapragnął walczyć z nim o Kate.

Ale nic nie odpowiedział. Nauczył się przyjmować uderzenia bez jęku. Tyle że żaden cios nie zadałby mu tak wielkiego bólu.

Dziś wieczór wyjedzie stąd.



Kit zastał Johna dłubiącego w podkawkach Dorana. Młody stangret podniósł wzrok.

- Piękne zwierzę - stwierdził.
- Tak. - Kit nie był w nastroju do rozmowy.
- Irlandzki?
- Tak.

John postawił nogę Dorana i wytarł dłonie w skórzany fartuch.

- Nie chciałem być wścibski.

- Przepraszam cię, chłopcze. - Nie było winą Johna, że wytrzymałość Kita wystawiono na ciężką próbę. - Jestem w diabelnie kiepskim nastroju. Doran to kawalerski wierzchowiec. Spędził pięć lat w Indiach i zachował się bardzo patriotycznie.

- Był pan w kawalerii? - spytał John, obchodząc konia i znów przy kucając. Ostrożnie powiódł dłonią po pęcinie wałacha i uniósł mu kopyto.

- Ja nie. Koń - mruknął Kit. - Kupiłem go od oficera, który sprzedał swój patent.
- Rozumiem - powiedział John w roztargnieniu.  
Kit podjął nagłą decyzję.
- Jakim człowiekiem jest markiz, Johnie? - spytał.  
Stangret spojrzął na niego zaskoczony.
- Jest szlachetny, proszą pana.
- Uczciwy?
- Jak najbardziej - odparł John skwapliwie.
- Szczodry?
- Cóż, to rodowity Szkot, ale żaden dzierżawca nigdy nie znajdzie się w potrzebie z powodu jego długów karcianych i żaden dach w dobrach nie będzie ciekły, żeby on mógł się ubierać według najnowszej mody. Nie ma zwierzęcia w tych stajniach, które równałoby się z pana Doranem - dodał, poklepując wałacha. - Ile kosztował, jeśli wolno mi spytać?
- Diabelną fortunę - odparł Kit krótko. - Ale jak markiz odnosi się do tych, którzy zagrażają jemu lub jego bliskim?
- Lepiej z nim nie igrać, proszę pana. Wezwał milicję, by rozprawiła się z zabójcami państwa Murdochów, przysiągł, że odda ich w ręce sprawiedliwości, i z pewnością to zrobi. Nigdy nie słyszałem, żeby jego lordowska mość coś przyrzekł i nie dotrzymał.
- Dłoń Kita zanurzona w grzywie Dorana nagle znieruchomiała.
- Zabójcami?
- Stangret klepnął się dłonią w czoło.
- Myślałem, że panu powiedziała.
- Pani Blackburn?
- Tak. Sam jej o tym mówiłem i bardzo się zdziwiłem, że ode mnie pierwszego się dowiaduje.
- Dlaczego markiz nie zawiadomił pani Blackburn, że jej kuzynkę zamordowano?
- Myślałem, że napisał - przyznał John. - Pisał przecież do niej parę razy. Zdziwiłem się, jakim usłyszał, że tu przyjeżdża, i jakoś czuję, że i markiz był zdziwiony. Ale on jest markizem, ja stangretem, i nie jestem taki, by wypytywać lepszych ode mnie. - Popatrzył na Kita, jakby chciał wy badać, czy jego ma zaliczyć do kategorii lepszych. - Proszę pana - dorzucił. - Te morderstwa to nie był żaden sekret - ciągnął. - Myślę, że posłaniec upił się w oberży i zgubił list od markiza. To by wyjaśniło, czemu pani Blackburn ruszyła w taką drogę, prawda? Byłaby dwa razy pomyślała przed wyjazdem, gdyby wiedziała, że morderca wciąż tu grasuje.

Pewnie tak było - zgodził się Kit ostrożnie. - Dziwię się, że markiz przysłał po nią powóz. Musiał wiedzieć, że to bardzo ryzykowne.

John wzruszył ramionami.

- Kto to wie, jak jest z kobietami? Może ona tego chciała, a on bał się ją urazić odmową.

Mogło tak być.

- Ale wszystko dobre, co się dobrze kończy. Pani Blackburn jest tutaj cała i zdrowa, a jego lordowska mość wezwał milicję, by ściagała złoczyńców.

Wspaniale, pomyślał Kit, to właśnie człowiek powinien zrobić. Z czego wynika, że jemu samemu daleko do porządnego człowieka. Gdyby to jego brata zamordowano, nie zawracałby sobie głowy wzywaniem pomocy, tylko sam zapolował na drani i niewątpliwie sprowadził nieszczęście na wielu niewinnych ludzi.

Markiz jest inny. To dobrze dla Kate. Nie trzeba będzie długo czekać, by Parnell jej się oświadczył, bez względu na to, co ona o tym myśli. Wystarczyło mu kilka minut spędzonych w towarzystwie markiza, żeby zdać sobie sprawę, wbrew oczywistemu zaślepieniu Kate, że markiz Parnell był i prawdopodobnie jest do tej pory trochę w niej zakochany. Czas sprawi, że jego fascynacja stanie się głębsza. I bardziej namiętna.

Kit miał szczerą ochotę stłuc go na kwaśne jabłko.

Instykt nakazywał mu upomnieć się o swoje prawa do Kate. Ale nie zrobił tego. Odwoła się do swoich szlachetniejszych uczuć. Kate pragnie bezpieczeństwa i dobrobytu, a on nie może jej zapewnić żadnej z tych rzeczy.

Na Boga, jak mógł dopuścić, by zdarzyła się ta noc? Chciał, by przez jedną krótką noc Kate była jego. I ta krótka noc to wszystko, co będzie miał kiedykolwiek. Kate jest przechodniem w jego życiu, które nie jest jej światem, a Kit widzi na własne oczy, że markiz jest bogaty, szanowany, odpowiedzialny i że zależy mu na Kate.

Będzie jej tu dobrze. Dostanie wszystko, czego chciała. A on musi odejść.

- Wrócę za parę godzin, gotowy do drogi - powiedział do Johna.

Stangret zerknął na niego ponuro.

- Może pan wrócić za godzinę, dwie albo dziesięć, ale gdyby pan dbał o to zwierzę, nie dosiadałby go pan ani dziś, ani jutro.

Kit znieruchomiał.

- Dlaczego?

- Utkwił mu kamyk między podeszwą a strzałką. Drobna rzecz i wydłubałem go, ale został siniec, więc nie radziłbym na nim jeździć przez dzień lub dwa.

- Niech to diabli! - Młody woźnica skulił się. Kit zaklął jeszcze raz i zaśmiał się szyderczo. - No dobrze, dlaczego nie? Dlaczego nie, do cholery?
- Tak, proszę pana?
- Cały dzień, powiadasz?
- Co najmniej. A lepiej dwa. Nie ryzykowałbym okulawienia go.
- Ani ja.

Wyszedł ze stajni i ruszył do zamku, przeklinając los, który kazał mu widzieć Kate Blackburn i nie móc się do niej zbliżyć.

Tak jak kiedyś Douglasa Stewarta.

*Zamek LeMons, liyiec 1799*

Strażnik wszedł do cuchnącego lochu i zaczekał chwilę, by przyzwycząić wzrok do ciemności. Rozglądał się, póki nie wypatrzył Danda, siedzącego apatycznie pod ścianą.

- Gdzie reszta twoich przyjaciół?

Kit wyprostował się. Pod przeciwległą ścianą dostrzegł Rama, opartego o mur tak beztrosko, jakby znajdował się w londyńskim klubie dla dżentelmenów. Douglas torował sobie drogę, przepychając się przed nich.

Kit wcale się nie spieszył do tego, co miało się rozegrać w ciągu najbliższych minut. Nie wątpił, że będą bolesne. Ram również się cofnął. Do lochu weszło jeszcze kilku strażników. Kitowi wydało się to podejrzane.

- Wczoraj nasza gilotyna źle działała! - wykrzyknął dramatycznie dowódca straży. - Ale... - uniósł dłoń, jakby uspokajając malkontentów, chociaż w lochu zapanowała martwa cisza - . . .po paru godzinach pracy zdaje się, żeśmy jąnaprawili. Oczywiście nigdy nie wiadomo, dopóki... hm. - Uśmiechnął się z dezaprobatą. - Rozumiecie, hę?

Wśród więźniów rozległ się cichy szmer wystraszonych głosów.

- Do rzeczy. - Strażnik zatarł ręce. - Potrzebujemy ochotnika... Szkockiego ochotnika. Nalegamy, ściśle mówiąc. A jeśli nikt się nie zgłosi sam, weźmiemy wszystkich.

Dand zamarł. Ram wyprostował się szybkim ruchem, a Kit zaczął się przepychać przez tłum ku Douglasowi, który wciąż posuwał się w kierunku drzwi.

- Który zechce się zgłosić, by nam pomóc w naszym kłopotcie? - zadrwił strażnik.

- Ja - głos Douglasa zadźwięczał echem wzdłuż kręgosłupa Kita, jakby sama śmierć uderzała w dzwon.



- Bardzo dobrze...

- Nie! - Dand rzucił się naprzód, ale strażnicy byli czujni. Powalili go na ziemię, dwóch innych chwyciło Douglasa i wywlekło za drzwi celi. Kit zaczął się przedzierać przez tłum jednocześnie z Ramem, ale drzwi już się zatrzasnęły.

Rzucił się do malutkiego okienka wysoko w murze i podskoczywszy, podciągnął się na rękach, uczeplił prętów i wlepił wzrok w podwórze. Nie mógł wypatrzeć przyjaciela przez kłębowisko nóg żądnych kiwi gapiów.

- Douglas!

Wreszcie, po drugiej stronie dziedzińca, dojrzał kata prowadzącego Douglasa na szafot, na którym pyszniła się gilotyna. Tłum szczydził i wrzeszczał. Zawiazano mu oczy czarną opaską, popchnęli na kolana. Słońce błysnęło w czymś wypolerowanym do blasku i...

- Nie!

## *Okazywanie sympatii tym, którzy mogą nas wspomóc*

**N**adszedł ranek, a z nim Kate odkryła, że zmyślony ból głowy, na który się uskarżała, stał się faktem. Ubrała się, nie troszcząc się o to, jak wygląda. Myślami była przy Kicie MacNeiłu, który miał zamiar wyjechać, może nawet dzisiaj.

Drzwi pokoju otwały się i Merry Benny zajrzała do środka.

- Przyszłam sprawdzić, czy pani czegoś nie potrzeba.

- Nie - odparła Kate. - Wszystko jest w zupełnym porządku. Dziękuję.

Wzrok dziewczyny padł na stos sukien, przyniesionych przez Peggy. Podbiegła do nich przez pokój.

- To suknie Grace! - krzyknęła. - Ja powinnam je dostać!

- Oczywiście. - Kate zmusiła się do współczucia dla dziewczyny. - Moje suknie zostały zniszczone i markiz dał mi te do użytku w czasie pobytu tutaj. Zwrócę je pani, gdy tylko wyjadę.

- Ach, proszę wybaczyć. Ja... - Dziewczyna miała tyle przyzwoitości, by udawać speszoną. - Nie chciałam się wydać chciwa. Tak niewiele pozostało mi po Grace, że zazdroścę każdemu, kto ma jej rzeczy.

Przyjrzała się sukni, którą Kate miała na sobie. Była batystowa, w białofioletowe pasy z bufkami na rękawach i delikatnie haftowanym paskiem z ciemnofioletowego atłasu zawiązanym pod biustem.

- Grace sama wyhaftowała szarfę - powiedziała. - Miała do tego talent. Potrafiła wziąć najpospoliej wyglądającą rzecz i w kilka godzin zrobić z niej coś wykwintnego.

- Byłyście z sobą bardzo blisko.

- Uważałam ją za najlepszą przyjaciółkę - odparła Merry cicho.

- Musi jej pani bardzo brakować.

- Tak. - Rozejrzała się po pokoju. - Czy to jest kufer, który Grace pani przysłała?

- Tak.

- Czy nie miałyby pani nic przeciwko temu, żebym do niego zajrzała? Niektórych rzeczy nie znaleziono w jej pokoju. Domyślam się, że wysłała je do pani. Chciałabym je mieć. Dla wszystkich oprócz mnie są bez wartości.

- Bardzo proszę - odparła Kate.

Merry nie potrzebowała więcej zachęty. Podniosła wieko i zaczęła opróżniać kufer, starannie oglądając każdy przedmiot, zanim odłożyła go na podłogę. Trwało to dość długo, ale stopniowo stos dobytku Grace rósł u stóp Merry.

Kate usiadła przy oknie, nie chcąc zakłócać żałoby dziewczyny, ale nie miała zamiaru zostawić jej samej. Wreszcie kufer był pusty. Menny zajrzała do niego z niezadowoleniem.

- Czy to wszystko? - spytała. - Nadal brakuje paru rzeczy.

Kate kiwnęła głową.

- Raczej wielu, jak się obawiam. Ci sami złodzieje, którzy zniszczyli mi suknie, przetrząsnęli rzeczy Grace. Było trochę książek, które odarli z okładek. Dałam je markizowi, by sprawdził, czy da się je naprawić. Pudełko z przyborami do haftu jest tutaj, ale tamborki są połamane. Kilka tabakierek, zegar i wszystkie fiolki zostały strzaskane.

Dziewczyna pokręciła głową kapryśnie.

- Nie. Żaden z tych przedmiotów nie ma znaczenia. Może były jakieś puste albo dziennik Grace?

- Nie było dziennika. A to - Kate wskazała rozsypany plik akwareli - są jedyne malowane przez nią obrazki.

- A szkatułka z biżuterią?

- Bardzo mi przykro.

Dziewczyna patrzyła na nią tak, jakby podejrzewała ją o kradzież.

- Wiem, że pani jest bardzo biedna - odezwała się. - Grace mi mówiła. Kate zamarła.

- Nie winiłabym pani, gdyby zatrzymała pani coś dla siebie. Należy się to pani jako jedynej krewnej Grace. Ale zapewniam, że każda z rzeczy ma dla mnie sentymentalną wartość i z całego serca postaram się, by to pani stosownie zrekompensować.

- Niczego takiego nie ma.

Słyszając chłód w głosie Kate, Merry wyciągnęła do niej rękę błagalnym gestem.

- Obraziłam panią.

- Proszę się nie dziwić - powiedziała Kate lodowato. - Może pani jest przyzwyczajona do tego, że się ją oskarża o kradzież. Ja nie.

Dziewczyna poczerwieniała.

- Niczego takiego nie powiedziałam. - Wargi jej drżały. - Tak bardzo za nią tęsknię. Odeszła i zostawiła mnie samą.

Żadne inne słowa nie zaskarbiłyby jej większego współczucia Kate, która wiedziała, jak czuje się osoba opuszczona i rozżalona.

- Rozumiem - powiedziała, podchodząc do Merry z wyciągniętą ręką.

- Nie! - odparła tamta, odwracając się. - Nie może pani tego rozumieć, więc proszę tak nie mówić!

Kate nie obraziła się. Widziała, jak nastroje dziewczyny przechodziły z jednej ostateczności w drugą: raz była zagubiona i bezbronna, to znów rozgoryczona i wojownicza. Podobnie jak sama Kate w roku śmierci męża i ojca.

Merry otarła policzki.

- Gdybym tylko mogła przeczytać jej ostatnie słowa. Dowiedzieć się, czy choć trochę o mnie myślała.

- I to by panią pocieszyło? - spytała Kate ostrożnie.

- Przypuszczam, że jeszcze bardziej pogorszyłoby wszystko - szepnęła, nerwowo bawiąc się rękami. — Ale chciałabym wiedzieć, czy była szczęśliwa, zanim umarła. I to byłoby pocieszeniem.

Niewątpliwie istniała między nimi więź. Obie straciły bliskie osoby, które spotkał gwałtowny, niepotrzebny koniec. Grace padła ofiarą zbrodni, a ojciec Kate dobrowolnie poszedł na śmierć, co nie powinno mieć znaczenia, a jednak miało. Mimo to ona też chciała znać stan umysłu ojca przed śmiercią. Czy szukał sposobu sprawdzenia się, czy jego śmierć naprawdę była skutkiem zbiegu okoliczności, jak myślał Kit?

Pragnęła, żeby ojciec coś napisał, aby rodzina znalazła pociechę, wiedząc, że przed śmiercią myślał o nich z miłością i może z dumą. Ale ojciec nie lubił pisać i nigdy się tego nie dowie.

Podobnie jak Merry.

- Jest mi naprawdę przykro, panno Meny, ale Grace nie przysłała żadnego listu. Tylko ten z wiadomością, że ona i Charles wkrótce przeniosą się do Londynu, i z prośbą, żebym przechowała ich rzeczy, póki po nie nie przyjadą.

- Zachowała pani ten list?

Kate pokręciła głową.

- Nie. Był taki krótki, zaledwie kilka linijek.

Dziewczyna splotła ręce, patrząc w okno niewidzącymi oczyma. Na dziedzińcu ukazał się kapitan Watters, złote epolety błysnęły w porannym świetle. Rozejrzał się, a zobaczywszy Kate i Merry stojące w oknie, uśmiechnął się i skłonił nisko.

- Zapewne to panią pociesza, że markiz ma pełne zaufanie do kapitana Wattersa - powiedziała Kate. - Odkąd go poznałam, też czuję, że nie spocznie, póki nie osiągnie celu.

Merry zarumieniła się lekko.

- To nadzwyczajny człowiek.

Kapitan niewątpliwie podbił serce dziewczyny.

- A ja sądziłam, że podziwia pani tylko przemysłników - powiedziała Kate, drażniąc ją specjalnie, by wyrwać dziewczynę ze smutku. Podziałało. Merry parsknęła szyderczo.

- Pan Murdoch źle mnie zrozumiał. Nie podziwiam przemysłników. Stoją niewyobrażalnie nisko. - Machnęła ręką. - Och, kiedyś może wyobrażałam ich sobie jako romantycznych zbójców.

- Na przykład Calluma Lamonta?

Merry ostro spojrzała na Kate.

- Jest pociągający na swój szorstki sposób - przyznała. - I nieźle się prezentuje.

- Co chce pani przez to powiedzieć?

- Ludzie dzielą się na przywódców i naśladowców. Pierwszych jest niewiele, drugich mnóstwo. - Pobiegła wzrokiem ku kapitanowi Wattersowi, przemierzającemu podwórze z czterema ludźmi idącymi w ślad za nim. - Jak ten kapitan.

- To dobry człowiek - powiedziała Kate z aprobatą.

Meny spojrzała na nią z politowaniem.

- Niech pani nie będzie naiwna. Dobroć nie ma tu nic do rzeczy. Chodzi tu o wolę przywódcy, która kieruje krokami podwładnych. Większość ludzi idzie w ślad za najsilniejszym i postępuje według reguł, które ten im dyktuje. - Westchnęła. - Dobroć rzadko idzie w parze z siłą.

Martwi się pani, że Callum Lamont może się okazać zbyt groźnym przeciwnikiem dla kapitana Wattersa?

Merry wzruszyła ramionami.

- Poznawszy ich obu, śmiem twierdzić z całym przekonaniem, że kapitan Watters zdoła przyciągnąć do swojej sprawy więcej ludzi niż pan Lamont do swojej - stwierdziła Kate. - A więc zgodnie z pani filozofią w tym przypadku wygra dobry i silny.

Dziewczyna utkwiała wzrok w męskiej sylwetce kapitana Wattersa z nieukrywanym podziwem, a Kate doznała ulgi w imieniu rodziny Murdochów. To oczywiste, że Merry przestała się durzyć w Callumie Lamontcie i zwróciła uwagę na stosowni ej szego człowieka.

- To prawda, ma się przekonanie, że kapitan Watters osiągnie wszystko, co sobie zamierzy - przyznała Merry. Obejrzała się na Kate i grymas złościwości przemknął po jej twarzy. - Kapitan MacNeill wygląda na podobnego człowieka.

- Trudno mi powiedzieć - odparła Kate.

- Czyżby? - Czy w głosie Merry był cień niedowierzania, czy tylko pogarda? - Przypuszczam, że już dość długo odrywałam panią od toalety - powiedziała i bez słowa pospiesznie wybiegła z pokoju, zostawiając Kate z dobytkiem Grace rozrzuconym po podłodze.



Uprzątnęła bałagan i zeszła na śniadanie. Zastała markiza siedzącego już przy stole. Wstał, by odsunąć jej krzesło, wypytał o zdrowie i wyjaśnił, że cała rodzina jada śniadanie o późniejszej porze. Potem skinął na lokaja i niezadługo stanęła przed nią taca pełna wędzonych i solonych śledzi, jajek, owsianki i ciastek.

Dziobała jedzenie jak ptaszek, a markiz dotrzymywał jej towarzystwa, rącząc anegdotkami z historii rodziny. Wysilała się, by słuchać go uważnie, ale wciąż spoglądała ku drzwiom, wyczekując nadejścia Kita.

- Musi pani tęsknić za siostrami.

Kate wzdygnęła się.

- Za siostrami? O, tak. Bardzo. - Prawdę mówiąc, niewiele myślała o siostrach w ostatnich dniach, własne rozterki pochłonęły ją całkowicie. Teraz jednak przypomniała sobie o nich.

Helenie ogromnie by się spodobał zamek. Zachwycałaby się jego malowniczością i elegancją. W bibliotece znalazłaby niezliczonych towarzyszy na

długie miesiące zimy. Charlotte natomiast nie byłaby taka zachwycona. Odosobnienie by jej ciążyło, chyba że znalazłaby godnego przeciwnika dla swego ciętego języka i żywego umysłu.

- Mam nadzieję, że kiedyś i one odwiedzą mój dom. Wiem, ile znaczy rodzina. Moja jest mi bardzo bliska. - Przez chwilę cień melancholii gościł na ładnej twarzy markiza. - Spędziłem tyle lat na porządkowaniu mego dziedzictwa, że zaniedbałem sprawy osobiste. Myślę, że nadszedł czas to zmienić.

Kate nie odpowiedziała. Myślała o siostrach, dziwiąc się sobie, że na tak długo wyrzuciła je z myśli.

Markiz chrząknął, by zwrócić na siebie uwagę.

- Uważam, że nadeszła pora, by moja rodzina zakończyła żałobę - powiedział, kładąc serwetkę gestem człowieka, który nagle podjął ważną decyzję. - Nie możemy na zawsze zamknąć się w zamku. Zwłaszcza tutaj na północy, gdzie zwyczajnie żałobne nie są tak restrykcyjne, a nieobecność każdej osoby z naszego małego grona sprawia przykrość przyjacielom i sąsiadom. Chyba że - spojrzawszy na nią z troską - uważa pani, że nie uczciliśmy jeszcze dostatecznie pamięci zmarłych?

- Jestem pewna, że państwo uczcili - pospieszenie zapewniła go Kate.

Markiz uśmiechnął się z nieukrywaną ulgą.

- Skoro tak się sprawy mają powiem, że dwa dni temu zaproszono nas na małe spotkanie towarzyskie do MacPhersonów. Odpisałem, że odmawiam, ale teraz myślę, że może powinniśmy tam pojechać. Nie chciałbym, żeby pani uważała nas za nudziarzy.

- Proszę się mną nie kłopotać, milordzie, nie potrzebuję rozrywki.

- Oczywiście. Ale - wychylił się z krzesła, uroczy w swej bezpośredniości - chcę, by nas pani polubiła.

- Musiałabym mieć wyjątkowo przykre usposobienie, gdyby tak się nie stało.

- W takim razie chcę, by pani nas bardzo polubiła. Bo mam nadzieję, że zostanie pani u nas.

Kate zdumiała się. To niemożliwe, by dawał jej coś do zrozumienia.

Widząc jej zakłopotanie, dodał pospieszenie:

- Przynajmniej do wiosny. Podróż powrotna byłaby nie do pomyślenia uciążliwa. Zostanie pani, obieca to? - Spoglądał na nią serdecznie i szczerze, bez pretensjonalności i udawania.

Markiz zaleca się do niej, stwierdziła w osłupieniu.

- Mogę posłać po pani siostry, by do nas dołączyły.

Mój Boże! On naprawdę się o nią stara! Czekająca, że serce skoczy jej z radości. Ale nic takiego się nie stało.

- Mam nadzieję, że nie uważa pani, iż postępuję zbyt pośpiesznie? Chodzi o zaproszenie na przyjęcie. - Zdecydowanie nie chodziło tu o przyjęcie i oboje o tym wiedzieli. - Proszę mi powiedzieć, pani Blackburn - zapytał z troską- czy naprawdę uważa pani, że to za szybko? Często wspominałem pani uroczę towarzystwo w Brighton i tak bardzo się cieszę z odnowienia tej znajomości.

Nie wiedziała, co myśleć. Oczywiście, zdawała sobie sprawę, że kiedyś markiz miał do niej słabość, z tego właśnie powodu zebrała się na odwagę, by zwrócić się do niego o pomoc finansową. Ale nie sądziła, że jest to coś głębszego. A teraz on czeka na jej odpowiedź.

Byłaby niemądra, gdyby go nie zachęciła, lecz słowa, które powinna wypowiedzieć, uwięzły jej w gardle. Zmusi się, by je wykrztusić.

- W tej kwestii zdaję się całkowicie na pana, milordzie.

- Jeśli tak - uśmiechnął się zadowolony i na powrót rozparł w krzesle - złożymy wizytę MacPhersonom. To będzie tylko spotkanie, jak najbardziej stosowne na pierwsze publiczne pojawienie się, zaledwie pięć czy sześć rodzin spędzi tam czas. Mieszkamy daleko od siebie, tak że na ogół kiedy już się wybierzemy, zostajemy w gościnie trochę dłużej. Ale bez przesady - dodał pośpiesznie, jakby nie chciał zniechęcić Kate tym, że ujrzy się w roli wiecznego gościa. - Cztery lub pięć dni.

- Tak, milordzie.

Wstał od stołu.

- Zaraz wyślę wiadomość, że okoliczności się zmieniły i będziemy zaszczytzeni, przyjmując ich zaproszenie. Stryj Kerwin uwielbia panią MacPherson. Jej rodzinę pozbawiono tytułu w czterdziestym piątym roku, a on czerpie wielką przyjemność z tytułowania jej hrabiną, ona zaś z równą przyjemnością tego słucha. Lady Matylda też będzie zachwycona, że w końcu odwiedzi sąsiadów.

Kate uśmiechnęła się. Czuła się jak oszustka i naciągaczka i nienawidziła się za to uczucie, a jednocześnie winiła Kita, który był tych uczuć przyczyną.

Nie wolno jej postępować w ten sposób. To żalosne. Nie jest naiwną heroiną z pieśni średniowiecznych trubadurów, wiecznie wzdychającą do jednego mężczyzny, dlatego że spędziła z nim noc. Wiele dam zarówno niżej, jak wyżej od niej stojących, miało kochanków, a wychodziło za kogo innego i żyło długo i szczęśliwie. Powinna być taka sama, z uśmiechem wspominać

Kita MacNeilla. Czemu teraz bliżej jej do płaczu niż do śmiechu? Musi wziąć się w garść, bo nie jest aż taką idiotką!

- Oczywiście.

- Czy dziś po południu mógłbym namówić panią na przejażdżkę konną? Mam w stajni bardzo spokojną klacz, odpowiednią dla damy. Albo moglibyśmy odbyć spacer powozem wzdłuż nadbrzeżnych skał. - Rozłożył ręce i uśmiechał się chłopcę, prowokująco i czarująco. - Co tylko pani zechce.

- Przejazdźka powozem byłaby miła. - Czego zechcę? - pomyślała.

- Natychmiast wydam dyspozycje. A zatem, powiedzmy, o pierwszej?

- Dobrze.

Oddalił się, by dokończyć korespondencję i mieć wolne popołudnie, a ona została w pokoju śniadaniowym, posępnie wpatrzona w porcelanowy talerz przed sobą. Miał złożoną obwódkę, po bokach leżały ciężkie srebrne sztucce. Obok stał kryształowy kielich. Pod stopami czuła puszysty dywan. Przy drzwiach lokaj, pozostawiony do jej dyspozycji, czekał, by spełnić każdej zachciankę. Na kominku płonął ogień, w pokoju było ciepło, nawet tu, w najbardziej wysuniętych na północ rejonach Szkocji w środku listopada.

Czego ty chcesz, Kate?

Zamknęła oczy i ujrzała twarz matki, pociemniałą od smutku, wychudłe dłonie Heleny, posiniałe wokół paznokci od chłodu, i ładną twarzyczkę Charlotte, ożywioną uczuciem ulgi, gdy odjeżdżała z pustych pokojów. Całowała siostry i szeptała: „Calutki sezon, Katherine! Wyobrażasz sobie szczodrość Weltonów? Będę w Londynie przez cały sezon!”

Ale Charlotte nie będzie miała swego sezonu, jeśli markiz jej tego nie zapewni. Kate uśmiechnęła się gorzko, drwiąc z samej siebie. Nie będzie traktować siostr jako wymówki. Helena i Charlotte to tylko jedna z przyczyn, dla których powinna przyjąć oświadczenia markiza. Czy ma zamiar je przyjąć?

Czego ty chcesz, Kate?

Wstała od stołu, lokaj skoczył, by otworzyć przed nią drzwi. Wyszła do rozległego, dobrze oświetlonego holu, minęła galerię przodków rodu Murdochów i skierowała się do biblioteki, stąpając po dywanie tak grubym, że poruszała się bezgłośnie. Musiała się zastanowić.

Czego ty chcesz, Kate?

Powinna sobie raczej zadać pytanie, czego nie chce. Nie chce być głodna. Nie chce, by było jej zimno. Nie chce martwić się o przyszłość swoją i siostr. Nie chce się bać. Nie chce być zrozpaczona. Nie chce być biedna.

I już. Odpowiedziała sobie na postawione pytanie.

Położyła dłoń na klamce biblioteki i zacisnęła zęby, bo choć doskonale wiedziała, czego nie chce, równie dobrze wiedziała, czego chce.



Drzwi otworzyły się. Poczwała na sobie wzrok Kita MacNeilla, spoglądającego na nią z góry.

Stał tuż przed nią.

## *Odpowiedzialne wybory*

Nie miał prawa wyglądać tak dobrze, skoro wyglądał tak nędznie. **Plastron** pod szyją był tani, lniana koszula przetarta, płaszcz stary, a buty porysowane. Ale dłonie... dłonie miał piękne. Nie miękkie i różowe, lecz poodgniatane i szorstkie, o palcach szczupłych, mocnych i męskich. Zauważyła, że wyszczotkował je do czysta. Ale gdzie podział mundurową kurtkę?

- Dlaczego nie powiedziałeś mi, że jesteś kapitanem?

Uśmiechnął się krzywo.

- Jakoś się nie zgadało. Zresztą, nie warto o tym wspominać.

- Myślałam, że jesteś zaciężnym żołnierzem.

- Byłem. Ale znalazłem się na właściwych miejscach we właściwym czasie, albo może raczej w niewłaściwych miejscach w niewłaściwym czasie. W każdym razie przeżyłem i za to moje szczęście awansowano mnie za zasługi na polu bitwy.

Przechylił głowę, patrząc na nią ironicznie.

- Gdybym był prostym żołnierzem, jak mógłbym się tu znaleźć, zamiast być z moim pułkiem? Córkę pułkownika powinno to zastanowić.

Odwróciła wzrok zakłopotana.

- Sądziłam, że zdezerterowałeś.

- Miła ocena mojej osoby.

- Zadałeś sobie wiele trudu, by mi wmówić, że twój charakter daleki jest od doskonałości; nie możesz nagle twierdzić, że jestem niesprawiedliwa, jeśli wzięłam to poważnie.

- Słusznie! - Uśmiechnął się, a ona zapragnęła z całego serca, żeby tego nie zrobił. Kiedy uśmiechał się takjak teraz, był o tyle przystojniejszy, bardziej przystępny.

- Poza tym - dodała ostro, odwracając od niego wzrok, ponieważ patrzeć znaczyło pożądać - nie przyszłoby mi do głowy, że się zaciągnąłeś po tym wszystkim, przez co przeszedłeś.

- Byłem pijany.

Nikt nie mógłby go oskarżyć o upiększanie swojej historii. Kpiący uśmiech błądził mu po wargach, jakby czytał w jej myślach.

- Moje życie to nie bohatera opowieść, Kate, tylko pospolita i wulgarna powiastka. Nie wolno ci dopatrywać się rzeczy nieistniejących. Ale nie przyszedłem tu mówić o swoich niedostatkach. Znasz je całkiem dobrze.

- Znam?

- Pożądliwość. - Uniósł rękę, jakby chciał dotknąć jej twarzy, ale się zawahał. - Gniew. Duma. - Koniuszkami palców odgarnął jej z twarzy kosmyk włosów. - Hardość wobec lepszych ode mnie. - Znieruchomiała, pełna obaw, czy Kit pozwoli sobie na coś więcej, i jeszcze większych obaw, że sobie nie pozwoli. - Tak. Wiesz, ile osób zawiodłem.

- Mnie nie zawiodłeś - wyrzuciła jednym tchem, stapiając się wzrokiem ze srebrzystym szronem jego spojrzenia.

Delikatnie dotknął palcem kącika jej oka i leciutko pogładził rzęsy. Obróciła głowę, ledwie zauważalnym ruchem, ale to starczyło, by wymusić bliższy kontakt. Słyszała, jak Kit wstrzymuje oddech, i nagle przesunął kciukiem wzdłuż jej policzka, do czubka brody. Ujął ją pod brodę, uniósł jej twarz i zajrzał w oczy.

- Przyszedłem ci powiedzieć, że niedługo wyjeżdżam.

Serce skoczyło jej do gardła. Zatrzęsła się z przerażenia.

- Kiedy? Nie dzisiaj?

- Nie ma żadnego powodu, żebym został, a są wszelkie, bym odszedł - powiedział poważnie.

Pokręciła głową.

- Nie. Nie dzisiaj.

Na chwilę zamknął oczy, skupiony na wewnętrznej walce, odbijającej się w pociągłych rysach.

- Kiedy będziesz gotowa, żebym cię opuścił?

Nie wiedziała. Za miesiąc? Za tydzień? Nigdy? Myśl, że może go więcej nie zobaczyć, że wyjedzie z zamku, by szukać zdrajcy i mordercy, sprawiła, iż nogi się pod nią ugięły, a oddech uwiązał w piersi. Byłe nie dzisiaj.

- Może... za kilka dni?

Wytrzymał jej spojrzenie.

- Jutro, Kate. Nie prosz o więcej. Błagam.

Zrobiłby wszystko, czego by zapragnęła. Przysięgł to. Mógłby zostać, i to tak długo, jak by zażądała. Ale nie powinna wiązać go przysięgą. Nie potrafiłaby go poprosić, by został i przyglądał się, jak zachęca markiza kobiecymi sztuczkami. Jest zła, to prawda, ale nie perfidna.

- Jutro. - Głos jej się załamał i zamknęła oczy, nie chcąc, by widział jej łzy.  
- Czy wiesz, co zauważyłem w tobie trzy lata temu? - spytał łagodnie. - Twoją odwagę, Kate. Wyrosłem w poszanowaniu odwagi, jest najważniejsza oprócz wierności. Kiedy zobaczyłem cię pierwszy raz, byłaś jak żelazo, twarda i waleczna.

Parsknęła szyderczo, ubawiona mimo smutku.

- Tb nie była odwaga, tylko strach.

- Nie znałem twego ojca, Kate, ale w wojsku dowiedziałem się o jego reputacji. Pułkownik Roderick Nash był dobrym oficerem i przewidującym taktikiem. Ale przede wszystkim robił to, co należało zrobić, bez wahania. Jesteś taka sama, Kate. Masz odwagę.

- Co za głupstwa! - Nie jest ani trochę taka jak ojciec.

Kit ujął jej podbródek silnymi palcami.

- Twoja matka była już cierpiąca, starszej siostrze jeszcze nie otworzyły się oczy na los, jaki was czeka, młodsza nadal usiłowała zrozumieć to, co się stało. W ciągu niespełna roku odartło was ze wszystkiego, czym byłyście i co przywykłyście mieć. Zniknął komfort i bezpieczeństwo. Styl życia. Mąż. Ojciec. Ale ty wiedziałaś, co trzeba robić, i robiłaś to.

Obrócił jej twarz do światła lejącego się przez wysokie okna.

- Czym można to nazwać, jak nie odwagą? Twój ojciec byłby dumny.

Nie miał racji. Ojciec nie byłby dumny. Kate jest tchórzem. Nie wyrzekła-by się zamożności, wygod i bezpieczeństwa w imię dumy i miłości. Nie umiałyby.

Ale może ukraść jeszcze chwilę, jeszcze jeden pocałunek. Śmiało położyła dłoń na piersi Kita. Czuła uderzenia jego serca. Przynęła się bliżej. Ręką sukni musnęła czubki jego butów.

- Kit. - Skuliła palce na jego muskularnym torsie.

- Ktoś może wejść - szepnął, głosem zdławionym, zrozpaczonym i czułym.

- Nie dbam o to.

- Dbasz - zaprzeczył z zawziętością w głosie. - Powinnaś dbać. Będziesz tu bezpieczna, Kate, otoczona troską. Będziesz żyć tak jak kiedyś.

- Tak.

- Będziesz bezpieczna. Widziałem tego kapitana Wattersa z oddziałem, jak wyjeżdżali do Clyth dziś rano. On znajdzie zabójców twojej kuzynki.

Kit nie wiedział, że Charles miał konszachty z przemytnikami i przez to zginął. Nie musi się martwić o jej bezpieczeństwo. Ona nie jest przemytniczką ani nikogo nie zdradziła. Poza sobą.

- Nie jestem bogata - powiedziała, chcąc rozproszyć jego obawy, nie nadużywając zaufania markiza. - Nigdzie się nie będę oddalać bez eskorty. Markiz dobrze zna sytuację w okolicy i jestem pewna, że przedsięweźmie wszelkie środki ostrożności.

- Tak. Ten, kto był w zamku na wrzosowiskach, polował na mnie, nie na ciebie - powiedział Kit, szukając oczyma jej wzroku. - W gruncie rzeczy będziesz bezpieczniejsza beze mnie. Nie mogę zostać, Kate.

Błagalny głos domagał się od niej potwierdzenia niemożliwości pozostania i przyznania, że Kit jej nie porzuca.

Wszystko, czego chcesz, masz w zasięgu ręki, Kate. A wszystko, co musisz zrobić, to patrzeć, jak Kit MacNeill znika za drzwiami.

- Tak, musisz odejść.

Nagle chwycił ją i przyciągnął gwałtownie do siebie. Oddychał ciężko i nierówno. Przywarła do niego, rozchylając wargi.

- Boże, pomóż mi - wyszeptał gwałtownie. - Nie odejdę bez pocałunku. Zgniół wargami jej usta. Pragnienie, rozpacz i ból tęsknoty zawarły się w tym pocałunku, paląc ją żądaniem. Odwzajemniła jego namiętność z takim samym żarem, objęła go mocno za szyję i przyciągnęła bliżej, wtapiając się w niego, jakby mogła stać się jego częścią. W tym pocałunku wyraziła całą tęsknotę i beznadziejność, jaką czuła. Przez jedną ulotną chwilę przyciskała ją do siebie, jakby nigdy nie mieli się rozstać.

A potem puścił ją.

- Muszę jechać.

Nie umiała odprawić go nieświadomego... nie powiedzieć mu... zostawić bez nadziei...

- Markiz przyjął zaproszenie do sąsiadów na jutro - szepnęła. - Poprosił mnie, bym została.

Kit zeszczywniał, ale nie odwrócił od niej oczu.

- Ja... - Przełknęła ślinę. - Czy widzisz jakiś powód, dla którego nie powinnam z nim zostać?

Pięć uderzeń serca. Tyle trzeba, uświadomiła sobie, by je złamać. Pięć uderzeń serca, podczas których nadzieja zrodziła się, wezbrała, napełniła ją radością i...

- Nie - odparł. - Nie widzę.  
...umarła.

## *Wystrzeganie się życia ponad stan*

Lokaj wyprężył się z szacunkiem, kiedy Kit go mijał, a pokojówka obdarzyła go nieśmiałym uśmiechem. Nie zauważył jednego ani drugiego.

Kate zapytała go na tyle wyraźnie, na ile pozwalała jej pozycja i duma, czy on rości sobie do niej jakieś prawa. Drżącą ręką odsunął zasuwę w drzwiach. Kate nigdy nie może się dowiedzieć, jak go pograżyła ani jak rozpaczliwie pragnął to potwierdzić. Jest samolubnym brutalem, ale nie do tego stopnia. Zostawi ją z dobrym markizem, tu, gdzie jej przyszłość, a także przyszłość jej sióstr, będzie zapewniona. A po latach, kiedy o niej pomyśli, poczuje satysfakcję, że przez krótką chwilę dama była skłonna poświęcić dla niego wszystko, co sobie ceniła.

Wyszedł na dwór, gdzie zima cofnęła się o pół kroku, powietrze było rozrzedzone, ale łagodne, a niebo blade, i skierował ku stajniom. Przy koniach nie było nikogo. Znalazł Dorana i podniósłszy mu kopyto, powiodł dłonią wzdłuż tylnej nogi konia. Nie zauważył zasinienia, a delikatnie uciskając strzałkę, przekonał się, że koń nie czuje bólu. Wyjedzie jutro.

Odgłos skradających się kroków kazał mu podnieść głowę w samą porę, by dostrzec kobiecą postać, przemykającą się między boksami. Ścisnęła uchwyt pękatej walizy. Była to Mertice Benny, wychowanka markiza. Dotarła na sam koniec stajni, postawiła walizę i spróbowała otworzyć ostatni boks. Zasuwka widocznie się zacięła, więc szarpnęła gniewnie za klamkę.

- Pani pozwoli - powiedział.

Odskoczyła i zakreśliła w miejscu, chwyciwszy się dłonią za gardło.

- Przestraszył mnie pan!

- Najzupełniej niechcący, zapewniam. Czy mogę pani pomóc?

Spojrzała na niego podejrzliwie, a Kit poczuł ukłucie irytacji. Jej cnota nie mogła być bezpieczniejsza.

- Pani?

W końcu z irytacją wskazała na boks, dając mu w ten sposób do zrozumienia, jak przypuszczał, że mógłby go otworzyć.

Zbadał drzwiczki i znalazł kawałek drewna wbity przy zawiasie. Wydłubał go sztylblem i drzwi otworzyły się na oścież, odsłaniając pusty boks. Pusty z wyjątkiem ułożonych w nim nowiutkich waliz> sądząc z wyglądu, o skórze jeszcze błyszczącej i lśniących mosiężnych zamknięciach. Dziwne miejsce na przechowywanie bagażu.

Zauważywszy jego pytające spojrzenie, Merry wyniośle uniosła głowę, jakby chciała go onieśmielić. Nic go nie obchodzi ona sama i jej bagaż. Usunął jej się z drogi, gdy podnosiła walizę i taszczyła ją do środka.

- Mam zamiar... wybrać się w dłuższą podróż - wysapała, gdy przedstawiała ciężkie paki. -1 nie widzę powodu, żeby... zagracać bagażem swój pokój... kiedy tu jest całkiem rozsądne miejsce do przechowania go.

- A jeśli znajdują się jacyś całkiem nierozsądni złodzieje? - podsunął obojętnie.

Dziewczyna spojrzała spode łba i przygryzła dolną wargę, wyraźnie wahając się, czy dać mu odprawę, na jaką zasługiwał, czy spróbować go skaptować.

Spróbowała kokieteryjnego uśmiechu. Przyznał, że nawet nieźle jej to wypadło... gdyby komuś na tym zależało.

- Proszę nie mówić markizowi.

O czym?

O tym bagażu. O moim... wyjeździe.

O ucieczce, pomyślał. Kawałki układanki pasowały do siebie idealnie. Uciekała z kimś, a Kit łatwo się domyślił z kim. Merry umiała się maskować, ale jego życie tak często zależało od znajomości ludzi i czuł, że ta dziewczyna jest fałszywa jak pusty rękaw żebraka.

- Murdochowie tego nie rozumieją. On nie jest taki jak oni. - Dygotała, nie mogąc opanować podniecenia.

A więc podziw Merry dla niezłomnego kapitana Wattersa był tylko mydleniem oczu; w przeciwnym razie nie użyłaby określenia „jak oni”. Kapitan Watters jest z pewnością „Jak oni”. Nikt by się nie sprzeciwił jej związkowi z kapitanem. Nie, ta idiotka ma zamiar uciec z Callumem Lamontem.

- Nie musi pan patrzeć w taki sposób. Ze wszystkich ludzi pan najlepiej powinien zrozumieć.

Zmarszczył brwi, chociaż przyznał w głębi duszy, że dotknęła go do żywego. Tak, z pewnością jest kimś pokroju Calluma Lamonta, a nie kapitana Wattersa. Ale powiedział tylko:

- Zrozumieć, że ucieka pani ze złodziejem i przemytnikiem? - Na chwilę zamilkł. - Bo to właśnie pani robi, prawda?

Przez chwilę patrzyła na niego zaskoczona.

- Nie powinno to pana obchodzić. Zresztą, jesteśmy małżeństwem.

- Małżeństwem? - Mimo wszystko go zadziwiła.

- Tak - powiedziała wyniośle. -- Jesteśmy w Szkocji. Tutaj nietrudno się pobrać.

- Nie wierzę pani.

Wzruszyła ramionami.

- Nie musi pan. Ale wystarczy spytać kowala w Selwick.

- Jest pani niemądra.

- Kapitanie! Anglicy od lat uciekają do nas przez granicę. Nie ma powodu, żeby Szkotka nie miała skorzystać z naszych uświęconych zwyczajów.

- Myśli pani, że ucieczka jest romantyczna i emocjonująca - powiedział. - To nieprawda. Jest obrzydliwa i wulgarna. I prowadzi donikąd.

Uniosła brodę.

- Nie będę sama.

- Na razie. - Popatrzył na nią z politowaniem. - Jak pani myśli, ile czasu zostanie z panią? Miesiąc? Rok? Dopóki nic zginie w pijackiej burdzie albo nie zadynda na sznurze?

- Nikt go nie schwyta. Jest na to za sprytny - oświadczyła, a Kit popatrzył na nią ze zdumieniem.

Na Boga, ona naprawdę w to wierzy. Spróbował z innej beczki.

- Może i nie, ale romans będzie trwał tylko tak długo, jak pani uroda. He to może być czasu, jak pani myśli? Bez luksusów i wygod, w jakich pani wyrosła, kobieca uroda szybko blaknie.

- Nie wydaje się, żeby pani Blackburn bardzo ucierpiała - powiedziała złośliwie.

Atak nastąpił z zaskoczenia i Kit popatrzył na nią z pewnym uznaniem. To kociątko jest w istocie kotką o ostrych pazurkach.

- Pani Blackburn jest wyjątkowa - odparł. - Ma także dość rozsądku, żeby nie pozwolić mrzonkom rządzić jej życiem. Lepiej pani robi, biorąc z niej przykład.

- Taki pan zasadniczy, kapitanie? - mruknęła. - Kto taki, mówi pan, jest dość mądry, by nie pozwolić mrzonkom rządzić życiem pani Blackburn? Przysięgłabym, że powiedział pan, że to ona, ale ja sądzę... - przysunęła się do niego - .. że to pan za nią zdecydował.

Zadośćuczynił już nakazowi sumienia, by ją ostrzec. Odwrócił się, lecz ona wyciągnęła rękę i przytrzymała go za rękaw.

- Czy mam rację? To pan ją opuszcza?

- Nie jest moja, żebym ją miał opuszczać - powiedział ze spokojem, który chciałby czuć naprawdę.

Merry roześmiała się.

- Nie bardziej pańska, niż słońce należy do dnia, a księżyc do nocy. Zdaje się panu, że tego nie widać? Sposobu, w jaki pan na nią patrzy? Sposobu, w jaki ona omija pana wzrokiem?

- Wyobraża sobie pani niestworzone rzeczy.  
- Ty zakuty łbie - parsknęła. - Zostawiasz ją? Jemu? Wiesz, co się dzieje z kobietą, którą się tak porzuci? Miłość zmienia się w nienawiść, kapitanie. A nienawiść jest żyzną glebą. Kiełkują na niej wszelkie nieszczęścia.

- Dość tego - powiedział Kit. Sączyła w niego słowa jak truciznę, podstępne i zabójcze.

Przysunęła się jeszcze bliżej.

- Chcesz, by cię znienawidziła? Bo tak będzie. Nie przyszło ci to do głowy? Myślałeś, że będzie ci wdzięczna, że ją tu zostawiłeś? Pokręciła głową. - Nigdy! Będzie nienawidzić ciebie i siebie, i markiza, bo zawsze będzie pamiętała, że to ty zdecydowałeś. Nie pomyśli o biedzie, której, jak ci się zdaje, jej oszczędzasz. Pomyśli o rozkoszy i namiętności, a każda jej myśl będzie splamiona nienawiścią, bo to tyją porzuciłeś!

Jej głos był pełen gorczy.

- Ja nie pozwolę się porzucić. Nigdy więcej.

Okręciła się wkoło, furkocząc spódnicą, i stanęła tyłem do niego. Oddychała głęboko, starając się uspokoić. Kiedy znów się odwróciła, jej wojowniczość uleciała bez śladu. Wyglądała na wyczerpaną, jakby nerwy odmówiły jej posłuszeństwa. Ona też balansowała na krawędzi, bała się kochanka i jeszcze bała się za nim nie pójść.

- Powie pan markizowi? - szepnęła.

Popatrzył na nią zdumiony.

- Nie mam wyboru. Jak mogę mu nie powiedzieć, że jego wychowanica ucieka z mordercą?

- Nikogo nie zamordował - oświadczyła. - Przysięgam panu, że to nie on zabił Charlesa i Grace. Jestem pewna, że nie jest winien ich śmierci, bo wiem, kto jest jej winien.

- Kto?

Pokręciła głową.

- Nie powiem, dopóki nie znajdziemy się daleko stąd. Wtedy, przysięgam panu, napiszę i wszystko wyjawię. Proszę pozwolić mi odejść. Jutro, kiedy wszyscy pojedą do MacPhersonów, zostanę w domu. Wtedy odjedziemy i nikt nas więcej nie zobaczy.

- Przykro mi.

Zacisnęła pięści z bezsilnej wściekłości.

- Mówię panu, że to nie on zabił Grace i Charlesa. Czy uciekłabym z kimś, kto zamordował moją najdroższą, jedyną przyjaciółkę? - Mówiła z głębokim przekonaniem. Szczerze wierzyła, że Lamont nie jest winien tej zbrodni. - Poza tym pobraliśmy się i w końcu to nie pana sprawa.



Była głęboko przekonana, że Lamont nie zabił Grace, miała też większe podstawy niż on, by to rozsądzić. Może mówi prawdę, a jeśli nie...? No cóż, to wyjedzie i ryzyko, że ściągnie skandal na rodzinę Murdochów, stanie się mniejsze. A jeśli poślubiła Lamonta, to już nic nie może dla niej zrobić ani markiz, ani nikt inny.

- Dobrze - powiedział, świadomy, że postępuje wbrew rozsądkowi. Ale w końcu ostatnio niewiele mu przyszło z rozsądku.



- Dolej mi! - wycharczał Callum Lamont, unosząc kielich i pocierając się po szyi. Zdawało mu się, że głos ma na stałe uszkodzony i będzie rechał jak żaba do końca życia, a to nie było w porządku. Zwłaszcza że kiedyś ocalił życie temu sukinsynowi.

Zapatrzył się ponuro w puste naczynie. Niewdzięczność, tak to trzeba nazywać. Ale nauczy go manier, zwłaszcza że teraz tamten nie ma przy sobie nikogo, kto pilnowałby mu tyłów. Żaden z tych szkockich wilków nie chodzi już w stadzie. Nie takie to dziwne, skoro ich „braterstwo” nie wytrzymało jednej małej zdrady.

Uśmiechnął się na tę myśl.

- Powiedziałem, dolej mi!

Meg przemknęła, by napełnić mu kielich, a potem, rozejrzawszy się ukradkiem, położyła mu na kolanach zapieczętowany list. Callum wcisnął jej w dłoń monetę, zapłatę za pełnienie roli kuriera między nim a zamkiem. Wypadła z izby, jakby się bała o swą cnotę, a Callum poczuł się urażony.

Nigdy jeszcze nie zniewolił kobiety i nigdy tego nie robi. Nie musi siłą ciągnąć kobiet do łóżka. Lgną do niego jak pszczoły do miodu - lustro wyjaśniało to całkowicie. Ale to nie powodzenie u kobiet trzymało go z daleka od róznych Meg tego świata, lecz jego serce.

Oddał je pewnej damie, prawdziwej damie, pięknej jak róża i jak róża kłującej. Specjalnie mu nie szkodzi jeden czy drugi kolec, pomyślał, rozpamiętując wieczory, kiedy grzała jego łożo, a on rozgrzewał jej wdzięki. Wkrótce znów będą razem.

Callum Lamont, łotr i gwałtownik, demon mordu, kochał nikczemnie, ale szczerze. Był tak wierny jak przyptyw morza i równie niezawodny. Ałe dumanie o urokach Meny żadnego z ich dwojga nie przybliżyło do ich bogactw, z westchnieniem więc złamał pieczęć listu i skupił się na interesach.

Uważnie studiował eleganckie pismo. Było to tylko kilka słów, ale sprawiły, że uśmiechnął się szeroko. Zmiał list i cisnął w ogień, a kiedy przyglądał się, jak trawi go płomień, roześmiał się.

Kto powiedział, że nie należy mieszać pracy z przyjemnością?

## *Sztuka wyrzeczeń*

**K**erwin Murdoch stał obok bagaży piętrzących się w holu. Lady Matylda nie przestawała dreptać wokół Kate, a markiz wydawał ostatnie polecenia lokajowi. Panna Meny nie chciała z nimi jechać. Powiedziała markizowi, że nawet o godzinę nie skróci okresu żałoby po „drogiej Grace” i że zmuszanie jej do tego byłoby niewybaczalne.

Markiz, zaskoczony, znalazł się w okropnej rozterce. Odmówił MacPhersonom na pierwsze zaproszenie, potem poprosił, żeby je ponowili, aby mógł je przyjąć. A teraz znów musi odmówić.

Lady Matylda, zasmucona tym, że jej powrót do życia towarzyskiego się odwleka, utrzymywała, że dziewczynie nic się nie stanie w zamku pod opieką ludzi kapitana Wattersa i ponad pięćdziesięciorga służby markiza. Ale trzeba było listu kapitana doręzonego przez kuriera wojskowego, by przekonać markiza, że jego wychowanka może zostać sama bezpiecznie.

Lady Matylda, pokonawszy szczęśliwie przeszkodę, jaką stanowiła Merri, mamrotała do siebie, robiąc w myśli przegląd garderoby.

- Pół tuzina sukien dziennych. Powinno wystarczyć. Ale tylko cztery na wieczór. Mam nadzieję, że to dosyć. Bóg wie, jak działają przewody kominowe u MacPhersonów tej zimy. Może być ciepło i przytulnie lub pełno przeciągów jak w katedrze. Trzeba być przygotowanym na wszystko - utyskiwała do Kate. - Będzie pani potrzebowała stroju do jazdy konnej, pani Blackburn. Czy jeździ pani konno? Nie? Szkoda. Parnell jest zapalonym jeźdźcem. Ale nic złego w tym, że jest się osobą dystygowaną, a nie krzepaką. - Przyjrzała się z bliska Kate. - O to ostatnie trudno byłoby panią posadzić. - Zmarszczyła współczująco starcze usta. - Źle wyglądasz, dziecko. Czy czujesz się na siłach, by odbyć tę podróż?

Kate uśmiechnęła się z wdzięcznością do starszej pani. Nie. Nie czuje się na siłach. Nie widziała Kita od wczoraj i z każdą upływającą minutą intensywniej odczuwała jego nieobecność.

Jeszcze tu jest gdzieś w zamku, ale nie pokazał się wieczorem na obiedzie, który przez to stał się dla niej uciążliwym, wlokącym się niemiłosiernie mozołem. Nie było jej łzej przez to, że każda uprzejmość, każda żartobliwa uwaga, stawiały jej przed oczyma ogrom jej niewybaczalnej niewdzięczności. Chociaż markiz nie znał przyczyny jej znużenia, nie mógł go nie zauważyć. Był cudownie troskliwy. A Merry, kiedy już pozwolono jej zostać w domu, nie tylko zjawiła się przy stole, ale starała się zjednać wszystkich z niespodziewanym wdziękiem.

Kate nie przestawała myśleć o tym, gdzie jest Kit, kiedy odjeżdża, czy będzie o niej myślał, a jeśli tak, to jak długo zachowa część jego serca. Wreszcie doszła do wniosku, że sama straciła spory kawałek własnego i nigdy go nie odzyska. Ale... on nie rości sobie żadnych praw do jej uczuć. Po prostu przekazał ją markizowi.

Dzięki Bogu, jedno z nich miało trochę rozsądku.

- Pani Blackburn? - spytała lady Matylda zaniepokojona, a Kate zdała sobie sprawę, że od dłuższej chwili mówi do siebie.

- Przepraszam, Przyznaję, że jestem ogromnie zmęczona.

- Ach! - Lady Matylda pogroziła Kate palcem. - Zmęczenie często przechodzi w chorobę. Należało się tego spodziewać. W końcu podróżowała pani do nas w odkrytym powozie. Pomyśleć tylko! - Jej oczy zrobiły się okrągłe ze zdumienia na myśl o takim wyczynie.

- Powinnam ostrzec Jamesa, ale... przyznaję, jestem kobietą samolubną - powiedziała ze skruczą. - A on tak bardzo chciał panią przedstawić sąsiadom. - Powiedziała to znacząco, a rumieniec zabarwił jej papierowe policzki.

Kate skręcała się ze wstydu wobec oczywistej aprobaty lady Matyldy dla zalotów markiza, czuła się nikczemna i nękały ją wyrzuty sumienia... Nie! Musi skończyć z tym nonsensem. Ale jak? I gdzie? Pod ciekawymi spojrzeniami MacPhersonów?

Nie. Potrzebuje po prostu czasu. Wszystko stało się za szybko. Nie przypuszczała, że zostanie kochanką Kita, ani nie spodziewała się, że markiz się nią zainteresuje. Jedno zdarzyło się w odstępie zaledwie paru godzin od drugiego. Co w tym dziwnego, że czuje się dezorientowana, w głowie jej się kręci, myśli mąca, a serce ją boli?

Jest córką żołnierza. Wie, że wobec przeważających sił przeciwnika trzeba się wycofać i przegrupować.

- Boję się, że ma pani rację, lady Matyldo - powiedziała, podjąwszy w końcu decyzję. - Podróże obeszły się ze mną brutalniej, niż mi się zdawało. Zrobiłabym najlepiej, gdybym została i odzyskała w pełni zdrowie.

Lady Matylda smutno pokiwała głową, nie kryjąc rozczarowania.

- Poinformuję markiza, że jednak zostajemy.
- Ależ nie. To by było niewybaczalne, gdyby państwo odwołali wizytę w ostatniej chwili. - Kate nie mogła powstrzymać uśmiechu, widząc, jak nagły przypływ nadziei rozjaśnia twarz starszej damy. - Porozmawiam z markizem.

Dwadzieścia minut później markiz z rodziną stali na dziedzińcu, gotowi do odjazdu, a Kate żegnała się z nimi przed krótkim rozstaniem. Powiedziała markizowi, że jest bardziej zmęczona, niż jej się zdawało. Może to i dobrze się składa, że zostanie i pocieszy w miarę swych możliwości Merry, nadal zamkniętą w swych pokojach.

Markiz oczywiście się zgodził. Już zaczął wydawać dyspozycje, by wniesiono bagaże do pokojów, gdy Kate uprosiła go, by nie zmieniał planów z jej powodu. Prosiła z taką łagodną stanowczością, iż nie miał wątpliwości, że naprawdę potrzebowała czasu, by uporządkować myśli. W każdym calu dżentelmen, przestał protestować i tylko ujął jej dłoń i ucałował z czcią czubki palców.

- Wątpię, czy ktokolwiek mógłby mocniej niż ja pragnąć, by biesiadne chwile szybko mijały, skoro będę pozbawiony pani towarzystwa. - To był naprawdę wytworny komplement. A on jest naprawdę wytwornym mężczyzną. - Nie zostawiłbym tu pani, nawet z żołnierzami i służbą, gdybym właśnie nie otrzymał listu od kapitana Wattersa, że tylko godziny dzielą go od oddania w ręce sprawiedliwości sprawców naszego wspólnego smutku. Znajduje się dość daleko stąd.

- Nigdy się nie bałam - zapewniła go.
- Mam pewność, że nic tu pani nie grozi. - Mimo wszystko wyglądała na zmartwionego.
- Niepotrzebnie się pan kłopotce, milordzie.  
Opanował się i odstąpił na bok.
- Niecierpliwie czekam na chwilę, gdy będzie mi wolno przedstawić panią moim przyjaciołom.
- To bardzo uprzejmie z pana strony.  
Zawahał się, jakby chciał powiedzieć coś więcej, a ona odsunęła się niepewnie, jeszcze nie egotowa go wysłuchać. Uśmiechnął się blado, zrozumiałszy, i zwrócił się ku ciotce i stryjowi.
- Moi drodzy, czy możemy ruszać?

Kiedy usadowili się w powozie, na końcu podjazdu ukazał się jeździec: wysoki, szczupły mężczyzna na potężnym dereszowatym wałachu. Wiatr rozwiewał mu płaszcz, a słońce połyskiwało we włosach. Kate mimowolnie się uśmiechnęła w przypływie radosnego oczekiwania. Kit jednak wrócił.

Serce skoczyło jej z trwogi połączonej z nadzieją. Czekwała w otwartych drzwiach. Nawet z tej odległości czuła na sobie jego spojrzenie, tak rozkoszne,

jak ciepło słońca na policzkach. Zeszła krok po schodach, nie rozumiejąc, na co czeka, i wtedy nagle zrozumiała: on nie zamierzał się zbliżyć.

Nie. Zeszła kilka stopni w dół, jakby ciągnięta przez niewidzialny sznur, John składał schodki powozu, dalej Kit unosił dłoń na pożegnanie.

Opuszczał ją. Ale patrząc na samotną postać smaganą znów wzmagającym się wiatrem, czuła się tak, jakby to ona go porzucała. Dlaczego czeka, z uniesioną ręką, jak ktoś proszący o pozwolenie odejścia?

I co innego ona może zrobić, jak tylko go udzielić?

Powoli uniosła dłoń. Zawrócił konia. Po kilku sekundach zniknął za drzewami. Dziesięć minut później powóz również odjechał.



Pozwolono mu odejść. Znowu jest niezależny od nikogo. Czyż to nie lepiej? Czy nie tego chciał od początku? Pozbyć się wszelkich zobowiązań? Na Boga, udało mu się to całkiem dobrze.

Tak. Dla Kale też tak będzie lepiej. Będzie jadła na złotych talerzach i piła z kryształowych pucharów. Dziś wieczór wystroi się w jedwabie, jej oczy będą rzucać iskry jak czarne diamenty, a cera poróżowieje w blasku tysiąca świec. Będzie się uśmiechać i rozgrzeje się w tańcu, policzki jej się zarumienia, a markiz, ulegając jej urokowi, powie jej, że jest piękna. Ale nigdy się nie dowie, jak piękna jest naprawdę, bo nie ujrzy jej oczu wciąż jeszcze czarnych z namiętności, wilgotnej skóry, włosów rozsypanych beładnie na ramionach... A może ujrzy.

Kit spiął Dorana do galopu, jakby mógł uciec przed własnymi myślami, a długie nogi potężnego wierzchowca bez wysiłku pokonywały kolejne kilometry. Nic już go tu nie trzyma. Podziękował markizowi za gościnność i jeszcze raz przyjął jego wyrazy wdzięczności za przywiezienie mu Kate. Stał, wysłuchując grzecznie projektów markiza zaprezentowania jej na jakimś domowym przyjęciu i bąkając coś stosownego w odpowiedzi na zatroskanie markiza, że Meny zostaje w domu. I trzymał język za zębami, bo to nie były jego sprawy, żadna z nich, ani Merry, ani markiz, ani Kate.

Miał w uszach szum przyboju zmieszany ze świstem wiatru, lecz nie zagłuszył w sobie brzmienia jej głosu: „Czy znasz jakiś powód, dla którego nie powinnam tu zostać?” Zna ich tysiąc. Żaden nie jest dość dobry.

Wypełnił swe zobowiązanie wobec córki pułkownika Nasha i jest wolny, by ciągnąć dalej swą sprawę, spłacić ostatni dług, znaleźć zdrajcę i mordercę Douglasa. A potem może... Co?

Wrócić do pułku, pomyślał. Jest doświadczonym żołnierzem i dobrym taktykiem i umie prawidłowo ocenić sytuację na polu bitwy. Przy odrobinie szczęścia po kilku latach mógłby zostać majorem.

- Ale po co? W jakim celu? Żeby przeżyć życie niezależny, sercem ani duszą z nikim niezwiązany. Taką właśnie obietnicę sobie złożył, kiedy ich zdradzono w LeMons.

Tak się jednak nie stanie. Nigdy nie będzie wolny. Bez względu na to, że wypełnił względem niej swe zobowiązanie, zawsze będzie związany z Kate Nash Blackburn więzami mocniejszymi niż przysięga, obowiązek czy powinność. Kochają. Zawsze będzie...

- Stać!

Czterech mężczyzn wystąpiło zza głazów po obu stronach drogi, dwaj z przodu i dwaj z tyłu. Byli uzbrojeni w piki. Jeden trzymał pistolet gotowy do strzału. Kit ściągnął Dorana i chwycił za rękojeść miecza, zawieszzonego na plecach. Zdażył wyciągnąć broń do pół ostrza, gdy usłyszał za sobą znajomy głos.

- Niczego się nie nauczyłeś, chłoptasiu?

Kit obrócił się ku Callumowi Lamontowi, który podszedł z muszkietem wymierzonym w jego brzuch. W twarzy Lamonta czaiła się żądza mordy, jego ludzie okazywali złowrogie podniecenie.

- Po tym, jak cię wystrychnęli na dudka we Francji, powinieneś być trochę ostrożniejszy i wiedzieć, komu zaufać.

Nie było nadziei na ucieczkę. Ale to nie znaczyło, że Kit będzie się przed nim płaszczył.

- Na litość boską, Callum - pozwolił, by klinga zsunęła się do pochwy. ~ Powiedz coś jeszcze, chłopie. Masz głos na wpół uduszonego kurczaka.

Callum zamachnął się dłonią jak tasakiem, a Kit poczuł ból rozsadzający mu czaszkę.

A potem już nic nie czuł".

## *Przewycięzanie cielesnych przypadłości*

Trzecie wiadro śniegu ciśnięte w twarz przywróciło Kita do życia. Chwytał oddech, wstrząsany dreszczem i falami mdłości, pieczenie ramion i barków

zacierają ból połamanych żeber. Zaczepili sznur na haku pod niskim sufitem chaty, przywiązali go za nadgarstki, a potem Callum zabawił się trochę, ale nie dowiedział się niczego.

Dobry był w biciu ludzi. Lepszy niż Kit mógłby podejrzewać po tym nadeętym gnojku, pomociu szkockiego skurwysyna. Chociaż czerwony woal bólu znów groził pochłonięciem go, Kit przytomnie policzył straty: para złamanych żeber, jedno oko zapuchnięte, wybity ząb i dwa palce prawej ręki wyłamane pod kątem, który nigdy nie leżał w zamiarach Stwórcy.

- Wiem, że przyjechałeś po skarb - powiedział Callum, chodząc tam i z powrotem przed Kitem. - Ale go nie dostaniesz. Jest mój. Już dla niego zabijałem i ciebie też zaraz zabiję. Masz tylko wybór, czy umierać szybko, czy powoli. Tak czy inaczej, powiesz mi, gdzie jest ukryty.

- Nie wiem. - Powtórzył im to już tuzin razy, a za każdym razem zarobił kolejne bicie. Jeszcze trochę i w ogóle przestanie odpowiadać.

- Wiesz. - Z dzikim warknięciem Callum szarpnął Kita za kołnierz koszuli, rozrywając znoszony materiał wzdłuż pleców. Jeden z ludzi stojących z tyłu gwizdnał.

- Słodki Jezu. Ten bękart jest napiętnowany - wyszeptał człowiek zwany Benem.

- Zatkąło was? - zaśmiał się Kit szyderczo. - Może też byście to polubili. A może bardziej smakuje wam chłosta? Calluma zawsze takie rzeczy podniecały.

- O co mu chodzi?

- Callum i ja jesteśmy starymi kumplami. Uratował mi życie w więzieniu.

- To prawda? - spytał jeden z ludzi.

Kit gadał dalej, bo póki go słuchali, zaprzestawali bicia.

- Jest coś, o co chcę cię zapytać, Callum.

- Masz odpowiadać, a nie pytać.

Kit zignorował jego słowa.

- Kto nas zdradził? Mnie, Rama, Danda i Douglasa? Wiesz?

- Wiedziałem! - zapał Callum, uśmiechając się szeroko. - Wiedziałem, że nigdy się nie połapałeś! A to dobre! Dobry kawał! Wyśmienity nawet!

- Kto to był?

Uśmiech Calluma zniknął. Pochylił się, przysuwając twarz do twarzy Kita.

- Powiedz mi to, co chcę wiedzieć, a gdy tylko dostanę skarb, powiem ci to, co ty chcesz wiedzieć.

Kit zacisnął zęby.

- Nie wiem.

Callum wyprostował się, zawiedziony.

- Ładnie go zabojadiły urządziły, no nie, chłopaki? Ale założę się, że potrafię tak samo.

Kit spotkał jego spojrzenie poprzez mgłę bólu. Niech go piekło pochłonie, jeśli okaże temu nędznikowi chociaż krztynę strachu.

- Czy aby ci starczy wigoru, Callum? Jakoś tak rządzisz. Może już oklapłeś... ou!

Callum uderzył Kita pięścią w szczękę, tak że głowa poleciała mu do tyłu.

- Zobaczymy, czy ci zostanie ochota do żartów do wieczora. Daj mi lejce swojego konia, Ben.

- Nie sądzisz, że to za wiele, Callum? - spytał Ben. - Już nam było trudno go docucić, a jak przyłożysz za mocno, nie da rady nam powiedzieć, gdzie Murdochowie ukryli złoto.

- Coś w tym jest - zauważył Kit.

- Zamknij się.

- Jesteś pewien, że on wie, gdzie to jest, Callum? - spytał drugi. - Bijemy go, a on się zaklina, że nic nie wie. I tak sobie myślę, że może i nie wie.

- Myślisz? - zawołał Callum. Wyzywającym spojrzeniem przygwoździł każdego ze swych ludzi. - No, no, powiadają, że na wszystko przychodzi pierwszy raz.

Kit czekał, starając się zebrać resztki sił. Znał ten rodzaj ludzi, szkolił takich jak oni, dowodził nimi i walczył obok nich. Szanowali tylko jedną rzecz: siłę. Teraz właśnie Callum przeciwstawił swą wolę woli Kita i przemytnik dobrze rozumiał, że jeśli nie uda mu się zdobyć informacji, której szuka, podkopie swoją pozycję.

Kit uśmiechnąłby się, gdyby twarz go tak nie bolała. Callum może go bić, póki szpik nie wycieknie mu z kości, a on i tak nie wie, gdzie jest jakiś tam skarb.

- Skąd wiesz, Callum, że on coś wie? Ona ci powiedziała?

Merry.

- Nie. Wiem wprost od naszego współnika. Dokładnie sprawdził, że on wie, co jest czym, a co ważniejsze, co jest gdzie. I co wy na to?

- Aha! - zgodzili się obaj.

- Myślałem, że jest we Francji - powiedział Ben.

- Już nie. Nie chciał stracić udziału w ostatnim zatopieniu, podobnie jak my, chłopcy. Królewski okup to nie byle co. Kręcimy się koło tego, on w zamku, a ja tutaj, w Clyth.

W zamku?



Galium chełpi się, chcąc zaimponować swym ludziom chytryścią i zasługami jego współnika.

- Wykrył, że żona Murdocha wysłała swojej kuzynce list z wiadomością, gdzie jest schowany łup, i że wdowa ze swoim kochankiem przyjechali go zagarnąć.

Ktoś chwycił Kita za kosmyk włosów i uniósł mu głowę.

- To prawda, kapitanie? Przyjechałeś ukraść naszą zdobycz?

- Wasza? Zatapiacie statki, zbójce. - Głos Kita był pełen pogardy. Ci bandyci byli gorsi niż piraci, którzy przynajmniej podejmowali walkę ze swymi ofiarami. Zatapiacze wyczekiwali sztormów, sprowadzających w te strony statki szukające bezpiecznego portu, a potem za pomocą latarni i ognisk palonych na łądzie zwabiali je na rafy, gdzie wzburzone morze i przybój dokonywały dzieła. Wtedy zbierali z plaży ładunek, po zamordowaniu rozbitków, jeśli tacy dotarli do lądu, aby usunąć świadków. - Mordercy.

Uderzenie na odlew trafiło Kita w skroń i odrzuciło mu głowę do tyłu.

- Gdzie moje złoto?

- Jeśli potrzebny ci był list Grace Murdoch do pani Blackburn, to dlaczego nie kazałeś twej oblubienicy go wykraść, kiedy płądrowała pokój pani Blackburn w tawernie? - spytał pogardliwie. - Wiesz dlaczego? Bo go tam nie było. A gdzie jest uroczna pani Lamont? Przed chatą, czeka w powozie? Nie wydała mi się wrażliwym dziewczętkiem bojącym się widoku krwi.

- Pani Lamont? - Callum wlepił w niego wzrok.

- Dziwisz się, że wiem? - spytał Kit, licząc na chwilę wytchnienia, by pozbierać myśli. - Przyłapałem ją w stajniach, szykującą bagaże do ucieczki. To dlatego została w domu, prawda?

Coś się nie zgadzało. Callum zrobił krok wstecz, mrugając gwałtownie, z osłupiałym wyrazem twarzy. Był wstrząśnięty. I nagle Kit zrozumiał.

- Wystawiła cię do wiatru. - Zaśmiała się. - Nas obu wystawiła do wiatru.

- O czym on mówi?

- Zamknijcie się.

Wyczuwając rosnący niepokój Calluma, jakby zmartwienie zawisło nad nim jak stęchły zaduch nad torfowiskiem, Ben wysunął się ku przodowi.

- Co on plecie?

- Wyjrzyj na dwór - kazał mu Kit. - Nie widać tam milicji? Pewnie jeszcze nie. Zaczeka, żeby mieć pewność, że mnie zabięś. Jeszcze możesz uciec, Callum. Lepiej z tego skorzystaj.

- Milicja!

- Cicho, wy tam - huknął Callum.

- Myślałem, że ona chce uciec z tobą, a to szło o kapitana Wattersa. Twego współnika- stwierdził Kit. - Powinienem to zrozumieć. W wojsku nic nie dzieje się szybko, a nowy kapitan zjawił się w podejrzenie krótkim czasie. To Watters zabił kapitana Greene'a, prawda? A potem się przycisnął. Pewnie właśnie w tej chacie. To dlatego kazał ci mnie tu sprowadzić, żeby wiedzieć dokładnie, gdzie postać milicję.

- Jaką milicję? - W głosie Bena zabrzmiała panika.

Kit zignorował go, dalej snując swe rozważania.

- Zabija Greene'a, wkłada jego kurtkę i szarfę, jedzie do zamku i obejmuje dowództwo, żeni się z dziewczyną, zgarnia fortunę, zabija świadków, także współników, i odjeżdża. Bezczelny drań. Ale zręczny. - Nie ukrywał swego podziwu.

Callum przysunął się do niego i wbił mu pięść w brzuch.

- Zamknij mordę!

Kit chwycił oddech, walcząc z chmurami zaciemniającymi mu widzenie.

- Ona z nim ucieknie, Callum - wycharczał. - Może już uciekła. Pomyśl tylko! Była z markizem, kiedy dostał wiadomość o przybyciu pani Blackburn do Clyth. Przyjechała do gospody tego samego popołudnia i splądrowała jej pokój, szukając tego czegoś, co mówiło, gdzie Grace ukryła skarb. Znalazła to. Nie rozumiesz? Mają już skarb. Uknuli to, żeby się pozbyć każdego, kto wie, że pomogła zabić Grace, każdego, kto wie, że kapitan Watters nie istnieje, każdego, kto ma pretensje do części skarbu. Czyli ciebie, Callum! Wykiwali cię, głupcze. Ona wyjeżdża z Wattersem, czy jak tam on się nazywa, i ze skarbem, a ty, ja i wszyscy twoi ludzie zostaniemy zabici, otoczeni przez milicję Greene'a...

Drzwi trzasnęły i Callum obrócił się za Benem, który wypadł z chaty.

- Ben! — krzyknął. — Wracaj! On chce wybronić własną szyję! To kłamstwa!

- Łatwo sprawdzić! - odkrzyknął Ben. - Powiedziałaś, że Merry Benny pojechała do MacPhersonów. Skoczę do zamku i sprawdzę.

Znikł im z oczu, nim Callum zdołał go zatrzymać.

- Cholerny bękart! - wybuchł Callum. Ciosem w brzuch powalił Kita na kolana. Ciężar własnego padającego ciała niemal wyrwał mu ręce ze stawów, ale udawał nieprzytomnego, nie próbując stanąć na nogi. Wisiał bardzo długo.

Drugi mężczyzna nie odzywał się. Zmrużywszy jedyne sprawne oko, Kit przyglądał się, jak Callum klnie, chodzi po izbie, wlewa sobie do gardła pół bukłaka wina i znów chodzi. Minuty ciągnęły się, ludzie trwali w wyczekiwaniu posępni i czujni, Callum krążył po chacie jak zwierz w klatce.

- Nie ośmieliłaby się. Wie, że bym ją zabił, gdybym się dowiedział. Ona mnie kocha... - I wreszcie, urywanym głosem, z jeszcze większym przerażeniem i wściekłością rzucił: - Przecież wie, jak bardzo ją kocham!

Siły Kita topniały z każdą minutą. Jeśli Ben nie wróci szybko, straci przytomność i nie wykorzysta zamętu, jaki wkrótce nastąpi. Kiedy ból stał się prawie nie do zniesienia, usłyszał zbliżający się tętent. Callum z rozmachem otworzył drzwi i zawołał:

- A nie mówiłem, że to stek kłamstw!

- Została w zamku! - Ben zdyszany wpadł do izby. - I co gorsza, widziałem na własne oczy, jak pakuje te bagaże, o których gadał. Szykuje się do ucieczki, Callum, a gdybyś o tym nie wiedział, to ci powiem...

- Zejść mi z drogi! - Z rykiem wściekłości Callum przepchnął się przez grupkę mężczyzn przy drzwiach i wypadł w popołudniowy zmierzch. Po chwili rozległ się tętent kopyt.

- Myślicie, że ten kapitan mówi prawdę i o milicji? - spytał jeden z mężczyzn.

- Chcecie zostać i sprawdzić? - sarknął Ben.

- A co z Callumem?

- Z Callumem? - powtórzył Ben. - Pojechał porachować się ze swoją kobietą. - Zniżył głos. - Nie chciałbym być tą małą suką za żadne skarby. To straszne i niesamowite, do czego jest zdolny zakochany człowiek - zakończył uroczyście. - Zabije ją, to pewne, a jeśli wdowa spróbuje mu przeszkodzić, ją też zabije.

Kit wstrzymał oddech. Przecież Kate pojechała do MacPhersonów. Sam widział, jak wyjeżdżała.

- Wdowa? Miała jechać z markizem. Na pewno jest w zamku? - spytał ktoś.

- Juści, że jest. Widziałem ją w oknie, jak wyglądała na morze.

Dobry Boże! Walters już mordował, by zachować tajemnicę swego udziału w spisku. Jeśli Kate zostanie go z Meny...

- Źle mi to pachnie. Powiadam wam, zmywajmy się z powrotem do Clyth - powiedział Ben.

- A co z nim?

- Zabijemy go. Poderżniemy mu gardło.

Nie wolno mu umrzeć. Musi chronić Kate i nie powstrzyma go ludzka ani boska ręka, ani słabość ciała czy ducha. Sprężywszy się, czekał ze zwieszoną głową, aż dojrzał przed sobą parę butów.

Mężczyzna westchnął i złapał Kita za włosy, zadzierając mu głowę do góry. Ale mu się to nie udało. Resztką sił Kit runął do przodu, mocno uderzając swego prześladowcę kolanami w krocz. Temu nóż wypadł na ziemię, gdy

złamany bólem osunął się na kolana, a Kit wskoczył mu na plecy, szarpnięciem zrucając z haka sznur krępujący mu nadgarstki.

Nim inni zdążyli się ruszyć, padł na podłogę i pochwycił upuszczony sztylet. Ben sięgnął po pistolet, a Kit cisnął sztyletem, trafiając go w gardło. Dwaj pozostali skoczyli po szpady, Kit rzucił się w kąt chaty po swój wielki miecz.

- Prawą rękę ma roztrzaskaną! - krzyknął któryś ze zbójów. - Jest kaleki! Zabić go!

Ale Kit nauczył się walczyć obu rękami. Z dzikim okrzykiem zakręcił się, nie wstając z kolan, i zatoczył ostrzem śmiercionośny łuk. Nie wysoko, jak oczekiwali, ale nisko, tak że stalowe ostrze cięło po muskułach i ścięgnach, zatrzymując się dopiero na kościach. Mężczyźni wrzeszczeli i chwyтали się za nogi, a krew tryskała im między palcami, gdy osuwali się na ziemię.

Już nie byli groźni. Zwrócił się do człowieka, którego kopnął kolanem, i zobaczył, że ten oprzytomniał i zaczął się czołgać się ku drzwiom. Kit obrócił w dłoni ciężki miecz, rękojeścią uderzył tamtego w tył głowy i porzucił leżącego twarzą do ziemi.

Potyając się, z zamglonym wzrokiem i drżącymi nogami, kopnął spod nóg rozrzuconą broń i odszukał pochwę miecza. Zdarł z siebie poszarpaną koszulę i zębami oddarł z niej pas materiału, którym ciasno zbandażował połamane palce. Żebra będą musiały zaczekać. Stękając z bólu, przytroczył po dawnemu skórzaną pochwę i ruszył ku drzwiom. Doran stał uwiązany do słupa. Zdjęli mu siodło, ale zostawili uzdę.

Zaciskając zęby, Kit przytrzymał się końskiej grzywy i dosiadł wierzchowca na oklep. Obejrzał się za siebie. Jeden, a może dwóch zabitych, dwóch pozostałych ciężko pokiereszowanych. Ben miał rację. Człowiek zakochany zdolny jest do strasznych rzeczy.

Ścisnął Dorana nogami i odjechał.

Ma jeszcze dużo strasznych rzeczy do zrobienia.

## *Jak ważne jest stawianie sobie wysokich wymagań*

Czyste niebo zasnuło się z nadejściem popołudnia. Zmiana pogody przyszła ni stąd, ni zowąd z morza, przynosząc śnieg twardy jak kuleczki lodu, który tłukł

w okna i grzechotał po dachu. Pociemniałe niebo j ochłodzenie kazały służbie pospiesznie dokończyć swych czynności i schronić się w domu.

Kate stała w oknie biblioteki i przyglądała się, jak przybój wali o brzeg. Wewnątrz ogień głośno trzaskał na kominku, ogrzewając całe wnętrze, a jasne światło świec wygoniło mrok z najgłębszych zakamarków. Wszystko w zamku Parnell zachęcało ją, by przyjęła niewiarygodne zrządzenie losu, który najwyraźniej jej sprzyjał, i zapomniała o Kicie MacNeillu. Martwiło ją, że nie czuje się do tego zdolna. Zawsze uważała się za kobietę praktyczną.

Jak ma postąpić? Nie widziała pożytku z romantycznych rojeń, które zostawiały rodziny bez środków do życia, i uważała za absolutnie niepraktyczne wdychanie do szkockiego żołnierza. Czy ma zlekceważyć lekcję, której udzielono jej tak dosadnie w jej ledwie dwudziestoczteroletnim życiu? Straciła już ojca i pierwszego męża, ponieważ byli żołnierzami.

Ważną sprawą byłoby poślubić markiza, przy którym nie groziła jej kolejna żałoba. Tylko że... co może być tragiczniejszą stratą niż strata kochanej osoby? I jaka to różnica, czy strata ta jest skutkiem śmierci, czy roztropności?

Prychnąwszy z irytacji, odeszła od okna i siadła przy kominku. Ale książka, którą wyszukała, by się rozerwać, nie pozwoliła jej uciec od rzeczywistości i po kwadransie zrezygnowała z lektury. Dobrze, jeśli nie zazna spokoju, póki nie opadnie z sił, rozmyślając o czymś nie do pomyślenia, niech tak będzie: nie może poślubić markiza.

To byłoby nie w porządku i wcale nie dlatego, że została kochanką Kita. Nic, co zrobiła z Kitem, nie było niewłaściwe. Niewłaściwe byłoby znaleźć się w ramionach innego. Zmarszczyła brwi i podkuliła nogi pod siebie.

Rozumiała teraz te żony żołnierzy, które nigdy powtórnie nie wyszły za mąż, otrzymawszy wiadomość, że ich mężowie zaginęli i prawdopodobnie nie żyją. Kiedy umarł Michael, zajęła się pogrzebem, a szykując ciało do pochówku, pojęła w sposób, którego zwykłe słowa nie mogłyby przekazać, że nigdy już do niej nie przemówi i że oczy nigdy mu się nie zaświecą jej widok. Bez tej wiedzy, niewyraźnej w słowach, byłoby nie do zniesienia zostać skazaną dożywotnio na okropną nadzieję, niemożliwą do zniesienia wiarę, że pewnego dnia, jakimś zrządzeniem losu, jakimś aktem łaski, ukochany stanie w drzwiach i wszystko znów będzie jak dawniej.

Tak właśnie czuła teraz. Kit o nic ją nie poprosił, nie uczynił najmniejszej aluzji, że rości sobie do niej prawa, a jednak posiadał jej serce. Dopóki jedno z nich nie umrze, nie wyobraża sobie porzucenia nadziei, że pewnego dnia on wróci i powie jej to wszystko, co jego dłonie i oczy tak wymownie wyrażały.

Zamknęła oczy, starając się rozwikłać tę gmatwaninę. Żyła przez ostatnie trzy lata z jednym tylko pragnieniem, by poczuć się znów sobą. Ileż razy powtarzała to sobie? I oto znalazła się w miejscu tak podobnym do tego, w którym się wychowała, wśród ludzi podobnych do tych, których znała jako młoda dama, a jednak nie czuje się dawną Katherine Nash, ani nawet Katherine Blackburn, jeśli już o tym mowa.

Ale kim się stała? Tylko w obecności Kita MacNeilla i w jego ramionach czuła się pewna. Czy osoba, którą tak rozpaczliwie starała się postawić na nogi, w ogóle jeszcze istnieje? I czy naprawdę chce nią znowu być?

Nie.

Nie. Lubi tę kobietę, którą się stała. Nie chce znów być tym wesołym, czarującym, niekonsekwentnym dzieckiem, karmionym mlekiem i miodem, traktującym życie jak jedno wielkie święto i cieszącym się aprobatą otoczenia. Jest zadowolona z siebie. Nie chce być nikim innym.

Ani z nikim innym prócz Kita MacNeilla.

I już. Takie to proste. Takie ostateczne. Takie głupie i takie wspaniałe.

Kiedy markiz wróci, powie mu, że docenia jego gościnność, ale musi zaraz odjechać. Przy okazji poprosi, żeby wspomógł ją i jej rodzinę pewną sumą, powiedzmy dwustu funtów rocznie? Zdumiała się, że potrafi śmiać się z siebie. Zdziwiło ją to i ucieszyło.

Otuliła ramiona szalem. Raz podjąwszy decyzję, nie mogła usiedzieć w miejscu beczynnie. Musi się spakować. Musi znaleźć Kita, powiedzieć mu, co czuje i czego chce, nie zawierając dłużej swego losu jego przesadnemu poczuciu honoru. A to znaczy, że powinna wysłać żółtą różę. Wybiegła z biblioteki i ruszyła ku tylnej klatce schodowej.

Nic dziwnego, że w korytarzach jest pusto, służba skończyła swe prace. Wzdrygnęła się, nie mogąc pozbyć się wrażenia, że śledzą ją czyjeś niezyczliwe oczy. Gdy biegła opustoszałym korytarzem, doznała prawie namacalnej ulgi na dźwięk ludzkiego głosu.

Brzmiał jak głos Merry. Poszła za nim, wyrzucając sobie, że dotąd nie zaferowała dziewczynie ramienia, na którym by się mogła wypłakać, jeśli rzeczywiście jest to jej potrzebne. W pewnym stopniu współczuła jej stracie, odstręczała ją jednak coś w jej nastawieniu, jakby obracała śmierć Grace w osobisty afront, jakby Grace umarła specjalnie, żeby ją zranić. Właśnie położyła rękę na klamce, gdy dobiegł ją męski głos, szorstki i gniewny.

- ...myślałaś, że jestem za głupi, no, powiedz? Jak mogłaś? Przecież cię kochałem!

Dłoń Kate opadła. To był Callum Lamont, człowiek, o którym Meg powiedziała, że zadzgał młodego poborcę.

- Klnę się, że to przez Wattersa, Galium. - Głos Merry brzmiał fałszywie i słabiotko. - On mi kazał... Och!

Kłaśnięcie ciała o ciało dotarło przez zamknięte drzwi, a Kate cofnęła się zbulwersowana.

- Nic nie zrobił, poza tym, że kręcił z tobą, ty nędzna dziwko. To twoja robota, Merry - powiedział Galium ochryple. - Ty go skołowałaś tak, że nie wie, co czyni. Nigdy nie zabiłem kobiety przed Grace Murdoch, nie myślałem, że będę mógł, ale ty mnie do tego namówiłaś.

- Zaslugiwała na śmierć! - Głos Merry był prostacki i jadowity.

Pod Kate ugięły się kolana. To Merry sprowokowała zabójstwo Grace.

- Okłamała mnie! Powiedziała, że zawsze będziemy razem, że pojedziemy do Londynu i będziemy żyły jak księżniczki. - Wybuchła łkaniem.

Zabiła najlepszą przyjaciółkę, bo ta miała zamiar ją opuścić. Ta świadomość napełniła Kate zgrozą.

- To ona cię zdradziła, Callum. Zdradziła nas. - Merry odzyskała panowanie nad głosem. - Mówiłam ci, jak śledziłam ją i Charlesa tamtej nocy. Widziałam Charlesa strzelającego do twych ludzi. Powystrzelał ich jak psy. Kiedy wrócili, zmusiłam Grace, by mnie dopuściła do sekretu i powiedziała wszystko o bogatym francuskim jolu, który zwabili na skały. Powtórzyłam co to. Byłam z tobą uczciwa.

- Wątpię, czy w całym swoim życiu kiedykolwiek byłaś uczciwa, Merry Benny.

- Byłam, z tobą. - Słaby nerwowy śmiech. Myślała, że odzyskała jego zaufanie.

Kate rozejrzała się, mając nadzieję natknąć się na kogoś.

- Gdyby nie ja, nigdy byś się nie dowiedział o skarbie, Callum.

- Masz mnie za głupiego, Merry? - Callum był rozwścieczony, ale nawet Kate wyczuwała w jego słowach rozpaczliwe pragnienie, by uwierzyć Mer-ry. - Nie widzę żadnego skarbu. A ty? Może już się do niego dobraliście z Wattersem?

- Nie! Przysięgam. My nie...

Za późno uświadomiła sobie własny błąd.

- My? - Głos Calluma przeszedł w cichy syk. - Jacy „my”, Merry?

- Callum, błagam cię... - Dało się słyszeć tupot stóp, ryk wściekłości, próbę złapania oddechu i krzyk. Kate obróciła się, wiedziała, że musi pobiec i znaleźć kogoś, ale czuła, że nie zdąży. Jeśli odejdzie, skaże Merry na śmierć.

- Błagaj sobie, ile chcesz. Nic ci z tego nie przyjdzie. Zdradziłaś mnie tak samo, jak ta suka Grace zdradziła ciebie. Grace wysłała coś do swej kuzynki

ukryte w kufrze, co mówiło, gdzie schowali skarb, może nie? A ty wiesz to od początku, tylko mi nie powiedziałaś. O nie, kazałaś mi przeszukiwać wybrzeże, a ja dałem się na to nabrać. Ty cały czas wiedziałaś, że wiadomość o skarbie jest w drodze do kuzynki. To ty, nie markiz, napisałaś i poprosiłaś panią Blackburn, żeby przyjechała szybko i przywiozła wszystko, co Grace Murdoch wysłała, bez względu na to, jak mało ważne są te rzeczy. I to ty podarłaś następne listy markiza, w których zawiadamiał wdowę, że Charles z żoną zostali zamordowani, bo nie chciałaś, by odwołała podróż ze strachu. A potem czekałaś. No i w końcu dostałaś to, czego chciałaś, a ja przyszedłem po to, co mi się należy za wykonanie za ciebie brudnej roboty. Jeśli przeżyjesz ten dzień, to będzie cud. Lepiej nie wystawiaj mnie na jeszcze cięższą próbę, niż już wystawiłaś.

- Nie mam żadnego skarbu! - krzyknęła Meny w popłochu. Rozległ się trzask i uderzenie i Kate domyśliła się, że Callum pchnął dziewczynę na ścianę. Zamknęła oczy i zapragnęła, żeby ta wstrętna, głupia dziewczyna powiedziała mu wszystko, co chciał wiedzieć.

- Na pewno masz. I jeśli chcesz żyć, powiesz mi, gdzie jest.

- Nie wiem! Grace skłamała! - zawołała Merry. - Przysięgła, że wysłała mapę kuzynce, zanim ukryli skarb w miejscu tak odległym, że nie dałoby się go odszukać bez mapy. Zwłaszcza po tym, jak wyjadą na rok.

- Rok?

- Tak, bo mieliśmy wszyscy pojechać do Londynu zaraz po tym, jak przemytnicy...

- Jak przemytników się aresztuje i zabije? - warknął Callum.

- Tak. Planowali, że ty zostaniesz zabity, a oni wrócą później, kiedy już nie zostanie nikt, kto by wiedział o konszachtach Charlesa z tobą. Ale nie ja! - Mówiła pospiesznie. - Grace śmiała się, kiedy mi to opowiadała, i powiedziała, że jej kuzynka nie zgadnie, co ma w ręku, kiedy to zobaczy. Ale tam nie było żadnej mapy. Porozrywałam wszystko. Obejrzałam każdy szew. Dwa razy, w gospodzie i tu. Grace mnie okłamała!

Jej głos był szorstki, nie było w nim nic prócz wściekłości, ponieważ, jak Kate nagle zdała sobie sprawę, gdyby Meny przestała być wściekła na nieżyjącą, musiałyby stawić czoło okropności faktu, że zabiła najlepszą przyjaciółkę.

- Jeśli nie znalazłaś złota, to czemu planujesz ucieczkę z Wattersem, kiedy ja i moi ludzie byliśmy w chacie? Tak. Wiem o tym wszystko, Merry.

- Wcale nie chciałam z nim uciec! Zmusił mnie. Powiedział, że nie ma sensu tu tkwić, że powinniśmy uciec. Zmuszał mnie od początku! - Głos Merry był histerycznie cienki. - Mówił, że powie ci o nas, że i ty już mnie



nie zechcesz ani nikt inny. Nic nie wiem o pułapce zastawionej na ciebie...

- Nie wspominałem o pułapce - przerwał jej Galium łagodnie. - Powiedziałem tylko, że byliśmy w chacie.

Merry zawyła w bezsilnej wściekłości, a on odpowiedział śmiechem tak okrutnym i pełnym cierpienia, straszego cierpienia, że Kate poczuła dla niego drgnienie litości.

- Nie ma w tobie nic prócz kłamstw i zdrady. Skończyłem z tobą. Świat ma ciebie dość.

- Nie chciałam - zawodziła Merry jak niegrzeczne dziecko, a Kate nie potrafiła powiedzieć, co próbuje odwołać: kłamstwa, zdradę czy śmierć.

- Łamiesz mi serce, Merry. Tak jak ja złamię twoje, jeśli mi nie powiesz, gdzie jest złoto.

Jej głos wydawał się stłumiony, jakby ukryła twarz w dłoniach.

- Nie wiem.

- Więc zabiję cię teraz, ty dziwko.

Dobry Boże, pomyślała Kate.

- Proszę!

- Nie marnuj ostatnich oddechów, Merry. Nie wierzysz, że to zrobię, co? - Starał się wprawić ją we wściekłość. Kate słyszała jego kroki, coraz szybsze. - Wykorzystałeś mnie. I zdradziłeś. Czy szłaś prosto z mego łóżka do jego? Może nie?

- Nie - załkała Meny.

Kate wstrzymała oddech. Ta dziewczyna jest przeżarta zgnilizną moralną, której nic nie oczyści. Wtrącanie się byłoby głupotą. Lekkomysłnością. Ma dwie siostry. Winna jest im troskę. Musi zapewnić im piżyszość, nie narażając własnego życia. I... i... Boże, musi żyć, żeby jeszcze zobaczyć Kita.

Kroki ustały.

- Ty mordercza, podła, podstępna dziwko.

Nic już nie uratuje Merry. Nie warto dla niej narażać życia...

- Callum, nie!

- Przestań!

Drzwi rozwarły się z rozmachem, odsłaniając scenę tak straszną, jak ta, w wyobraźni Kate. Callum stał nad Merry, która skamlała u jego stóp. Zasłaniała się rękami od ciosów, wargi miała spuchnięte i krwawiące. Strużka krwi sączyła jej się po czole i kapała na suknię. Szeroko otwarte oczy zwróciła ku otwartym drzwiom, z gorliwością zająca widzącego, jak rozwierają się wnyki. Zerwała się na równe nogi i rzuciłaby się przed siebie, gdyby

Callum jej nie chwycił i brutalnie nie zawrócił. Krzyknęła, a Kate podskoczyła krok ku niej. Dobrze naoliwione, idealnie zawieszono drzwi zatrzasnęły się za nią.

- Proszę, proszę, czy to nie nasza piękna wdówka? Proszę bliżej, pani Blackburn.

- Wypuść ją.

- Ją? - Callum spojrzał na Meny, dygocącą w jego żelaznym uścisku, jakby zdziwiony, że ją tu widzi. - Obawiam się, że nie mogę zrobić pani tej przyjemności. Ona ma coś mojego, widzi pani, i nie odejdę bez tego. - Zniżył głos, wypowiadając groźbę. - Ale pani stanowi nie mniejszy kłopot, pani Blackburn.

- Niech pan pozwoli jej wyjść i odjedzie natychmiast, panie Lamont, póki jeszcze ma pan szansę. - Mówiła chłodno i z opanowaniem, nie pokazując po sobie, że jej wnętrzności zmieniają się w galarete. - Kapitan Watters jest spodziewany lada chwila.

- Och, w to nie wątpię. Prawdę rzekłszy, nie jestem od tego, żeby zamienić z nim słówko.

Merry zaczęła się wrywać. Callum od niechcienia uderzył ją tak silnie, że zbił ją z nóg i opadła bezwładnie.

- Przestań! - krzyknęła Kate. - Zabijesz ją.

- Zapewne. Proszę mi wierzyć, pani Blackburn, świat będzie miłszy, kiedy ta zmija przestanie się po nim ślizgać.

- Nie może pan jej zabić.

- Ależ mogę.

Złapał Meny za gęste jasne włosy i szarpnął w górę. Krzyknęła i wczepiła się w jego dłoń.

- To ona zabiła pani kuzynkę. To znaczy, tak jakby to zrobiła.

- To nie ma znaczenia. Niech ją pan puści. Proszę.

Przekrzywił głowę.

- Dlaczego się pani nią przejmuje?

- Nie zajmuję się. Nie chodzi o nią, tylko o mnie.

Przyglądał jej się, zaciekawiony mimo gniewu.

- Jeśli pozwolę panują zabić, nie próbując temu przeszkodzić, to nie jestem osobą, za jaką się uważam. Nie mogę pozwolić bez sprzeciwu, żeby kogoś zabito. - Jak jej ojciec. Ojciec nie wybrał poświęcenia się; po prostu zrobił to, co musiał. - Może pan to zrozumieć?

- Ani trochę.

- Nie mogę panu pozwolić jej zabić.

- A jak mnie pani powstrzyma?  
- Oferując coś, czego chce pan bardziej.  
- To znaczy? - Z powątpiewaniem powiódł oczyma po jej postaci, a ją ogarnęła niewytłumaczona chęć śmiechu.

- Nie siebie. Skarb.

Tym razem skupił na *niej* całą uwagę. Merry przestała walczyć i zdumiona wlepiła w nią wzrok.

- Nie wiesz, gdzie jest! - szepnęła Merry zdumiona. - Nie możesz wiedzieć. Ona by ci nie powiedziała. Uważała, że jesteś żałosna.

- Nie powiedziała mi. Sama to odkryłam.

- Pani kłamie - powiedział Callum.

- Chce pan skorzystać z tej szansy? Potrafi pan skorzystać? - spytała Kate.

- Dobrze. Gdzie on jest?

- Nie powiem, dopóki Merry nie wyjdzie z pokoju.

Parsknął drwiąco.

- Niech *mnie pan* posłucha, panie Lamont. Co zyskam, okłamując pana? Wiem, że zażąda pan, bym z panem poszła; byłby pan głupcem, gdyby mnie nie zabrał. Wiem, że mnie pan zabije, jeżeli okaże się, że kłamałam. Czy oddałabym własne życie za życie tej morderczynie i oszustki, gdybym nie była absolutnie pewna, gdzie jest skarb?

Milczał, przyglądając jej się w skupieniu.

- Może ona wie - szepnęła Merry. Nagle zaczęła się śmiać, dławiąc się w ataku hysterii. - Ty szeszwana czarna kocico! Cały czas wiedziałas. Dobre, prawda, Callum? Czy to nie doskonałe?

- Zamknij się i daj mi pomyśleć.

- Niech pan ją puści, panie Lamont. Za chwilę wyruszymy i pokażę panu, gdzie jest skarb. Nawet dam panu mapę, jeśli pan chce. Może pan pójść ze mną. Tylko niech pan ją puści.

Albo zapomniał o złamanym sercu, albo postanowił rozprawić się z Merry później, tego Kate nigdy się nie dowie. Puścił włosy dziewczyny i trzepnął ją otwartą dłońią po plecach, tak że zatoczyła się przez pokój.

- Wyoś się, zanim się rozmyślę!

Merry *nie* potrzebowała dalszej zachęty. Chwiejąc się, wyminęła Kate, nie podnosząc na nią wzroku, jednym szarpnięciem otworzyła drzwi i zatrzasnęła je za sobą.

Merry przyśle pomoc, pomyślała Kate. Znajdzie lokaja i pomoc nadejdzie w ciągu paru minut.

- Nie sprowadzi pomocy, szanowna pani. - Musiał czytać w jej myślach, bo zbliżał się ku niej z wyrazem litości na ciemnej twarzy. - Kazała zabić

Grace Murdoch i pani o tym wie, a ona nie chce, by jeszcze ktoś się dowiedział. Teraz właśnie się chowa w swoim pokoju, żywiąc nadzieję, że jak tylko dostanę skarb, zabiję panią i nikt się nie dowie, co zrobiła.

Dreszcz budzący mdłości powiedział Kate, że Lamont mówi prawdę. Nie doczeka się pomocy od Merry Benny.

- A zabije mnie pan? - spytała.
- Nie, jeśli zobaczę złoto.

Przełknęła ślinę. Callum ustawił się między nią a drzwiami. Nie miała w zasięgu rąk niczego nadającego się na broń. Nie było ucieczki przez drugie drzwi. Nawet gdyby ktoś usłyszał jej krzyk, nic nie powstrzyma Lamonta przed zabiciem jej, zanim służący dobiegną.

Sytuacja była beznadziejna.

Odwróciła się i zamknęła oczy. Ile życia jej pozostało? Kilka minut? Pomyślała o Kicie, jak dosiadała Dorana, z długimi nogami w porysowanych skórzanych butach, gdy wiatr zwiewał mu pled z szerokich barów, a włosy lśniły złotorudym blaskiem w porannym słońcu. Pomyślała o ostatnich słowach, które wymienili, o jej dumie, i jak spytała go o powód, dla którego nie powinna zostać z markizem.

Drzwi za nią otworzyły się z trzaskiem. Obróciła się gwałtownie.

Wyglądał strasznie, jak ofiara, która zwłokła się z ołtarza, zbity i połamana, ale wciąż jakimś cudem żywy. Krew zalała mu lewą stronę twarzy i poplamiała kołnierz poszarpanej kurtki, która stanowiła jedyne okrycie nagiej piersi. Brudny strzęp materiału krępował palce prawej ręki, ale w lewej dzierżył swój ciężki miecz.

- Przypomniałem sobie jeden powód - powiedział Kit MacNeill.

## *Gdy liczy się brutalna siła*

Uczucie ulgi zalało Kita jak czysta zimna woda. Kate jest cała i teraz już nic jej się nie stanie.

- MacNeill - warknął Callum z niedowierzaniem. - Na Boga, człowieku, nie wiem, czy jesteś bardziej żywy, czy martwy.
- Może się przekonamy? - spytał Kit. To przekłute ostrze jest za ciężkie; jego czubek opada ku ziemi. Zakręciło mu się w głowie, podłoga stała się dęba i wydało mu się, że umiera. Ale nawet gdy formowała się ta

myśl, powitał ją z uśmiechem, bo już ze sto razy w swym krótkim życiu myślał, że jest martwy. Śmierć go nie przerażała.

- Wyjdź, Kate.

Nie spojrzął na nią, tylko po prostu ją wyminął, idąc ku środkowi pokoju i nie spuszczać wzroku z Lamonta. Nie zwykł lekceważyć przeciwnika, a Lamont jest uczniem mistrza, Ramseya Munro.

Sam Kit nie był biegły w sztuce szermierki. Jego bronią był zawsze ciężki miecz, a styl walki polegał na odpieraniu ataku siłą, nie wyrefinowaniem. Obraz Ramseya Munro stanął mu żywo w pamięci: eleganckiego, szczupłego, o miękkich zwinnych ruchach. Tak. Ram znał rapier. Ale pora nie jest odpowiednia, by pogrążyć się we wspomnieniach. Kit pokręcił głową, próbując odzyskać jasność myśli i ostrość widzenia.

- Kate, powiadasz? Rapier wysliznął się z pochwy u pasa Calluma. - Cóż, obawiam się, że Kate musi zostać. Ona wie, gdzie jest skarb, przynajmniej tak mówi. Zostaniesz tu, Kate. Bo gotów jestem zostawić żywego twego kochanka i pozwolić ci zatamować mu krwawiące rany i ocalić jego szczątki. Ale jeśli odejdziesz, obiecuję, że posiekam go tak, że wykrwawi się na śmierć w dziesięć minut.

Kit zauważył jej wahanie.

- On wie, że jeśli zostaniesz, będę miał rozproszoną uwagę.

- A jeśli odejdziesz, pan MacNeill z pewnością umrze.

- Kate, on nigdy ci nie pozwoli mnie opatrzeć - powiedział Kit, rozpaczliwie starając się przekonać. - Każę ci się przyglądać, dopóki mu nie powiesz, gdzie jest ten cholerny skarb. Ja i tak umrę, a potem zabije też ciebie.

- Nie wiem, gdzie jest skarb.

- Co? - ryknął Cailum i zakręcił się w miejscu, obracając ku niej twarzą, a Kit z przerażeniem i ponurym podziwem pojął, że Kate z rozmysłem prowokuje łotra, by dać mu parę sekund przewagi.

Skorzystał z nich.

Zebrawszy resztki sił, napał na przeciwnika, wymachując ciężkim mieczem jak toporem. Ale upływ krwi i ból spowolniły jego ruchy. Miecz ciążył mu w dłoni jak kowadło, nieporęczny i gruby. Cailum uchylił się, unikając ostrza, i sam runął naprzód. Migający czubek rapiera celował w twarz Kita, szukając jego oczu.

Kit cofał się, a Cailum nacierał. Krok, dwa, trzy, szybko jeden po drugim, i przesunęli się obok Kate. Kit uderzył plecami w drzwi i wzniosł ostrze broni jak tarczę, rozpaczliwie odparowując zamachy cienkiej igły, która przebiła i kłuła jakby bez wysiłku.

Callum nie był Ramseyem Munro, ale znał zalety swej broni i umiał nią władać. Kit modlił się, by przeciwnik nie wyczuł jego słabych punktów. Callum ciął zamazyście i odskoczył. Zadowolony z cienkiej czerwonej kreski, którą zostawił na brzuchu Kita, wygiął wargi w podnieconym uśmiechu. Jeszcze jeden pozorowany atak, jeszcze jedni cięcie i następna rana na przedramieniu.

Iskierki zawirowały w kąciakach oczu Kita, zebra krzyczały z męki z każdym unikiem, którym wymykał się z trudem z zabójczego zasięgu rapiera Calluma. Zdawało mu się, że barki ma źle zawieszzone, kwas zżera mu stawy, nadgarstki mając z gumy. Miecz jakby rósł, z każdą chwilą stawał się cięższy, niepewnie odpierał grad ciosów i pozorowanych ataków Calluma.

Kit potykał się pod ciosami, nie czując kłosa stali za każdym razem, gdy smakowała jego ciało. Wiedział, że przegrana jest tylko kwestią czasu. Jedyne, na czym mu zależało, to oderwać się od drzwi, by otworzyć Kate drogę ucieczki. Ale nie potrafił się zdobyć na obronę i nie było nawet po co myśleć o przeniesieniu walki na przeciwną stronę pokoju.

Ile minut upłynęło, odkąd tu wszedł? Trzy? Cztery? Nie więcej.

- Uciekaj. Zaklinam cię, uciekaj teraz, Kate!

Nagle z boku pokoju poleciał wazon, trafiając Calluma w nasadę szyi przy barku. Lamont potknął się, choć nie przewrócił. Kit skoczył naprzód, ale Callum już chwycił Kate za rękę, zanim zdążyła sięgnąć po drugi identyczny wazon. Okręcił się, wściekle szarpnął ją ku sobie, rozpostarł jej ramiona i osłonił się nią jak tarczą. Ciągnął ją na siebie, posuwając się naprzód z wystawionym rapierem.

Kit nic nie mógł zrobić. Tylko czekać...

Na co u diabła czekasz, Kit? - sztychł Ramsey, zataczając rapierem eleganckie ósemki w powietrzu. Obraz zjawił się nie wiadomo skąd, kryształowo klarowny i idealnie ostry. Zaczął mieć zwiady od upływu krwi. Wytworne brwi Rama uniosły się ironicznie, gdy szeptał: Masz zamiar stać i czekać, póki cię nie przebiję?

I nagle zrozumiał, co ma zrobić. Pozwolił, by czubek miecza opadł, a wolną dłoń opuścił otwartą do boku w powszechnie uznawanym geście poddania się.

- Nie! - krzyknęła Kate.

Callum przysunął wargi do jej ucha.

- Tyle łąz dla brudnego szkockiego żołnierza. Wątpię, czy jest tego wart, moja droga.

- Przynajmniej ktoś wyleje po mnie łzy - powiedział Kit, czekając i obserwując, czyjego słowa docierają do Calluma, oszołomionego triumfem. - A to więcej, niż da ci Merry. Czy to ją i Wattersa widziałem, jak...

Z rykiem bólu Callum pchnął Kate na bok i skoczył naprzód, wymierzając pchnięcie prosto przed siebie. Kit zrobił krok ku czubkowi rapiera. Ostrze zagłębiło mu się w barku, a wtedy z dzikim okrzykiem rzucił się naprzód.

I teraz Callum zrozumiał. Rozpaczliwie ścisnął rękojeść uwięzionej broni, starając się uwolnić ją z ludzkiej tarczy. Nim zdążył, Kit chwycił go za halsztuk i przyciągnął mu gardło do ostrza miecza.

- Czekaj! - wybełkotał Lamont z przerażeniem. - Ocaliłem ci życie!
- A ja już raz cię oszczędziłem - odparł Kit. - Rachunek wyrównany.
- Jeśli mnie zabijesz, nigdy się nie dowiesz, kto zdradził...

Strzał z pistoletu huknął Kitowi nad uchem, a pierś Calluma zakwitła czerwienią rozlewającą się z ziejącej czerwonej dziury. Osunął się na ziemię, ciężar jego ciała wyzwolił rapier z barku Kita. Na progu Merry Benny rzuciła dymiący pistolet i uciekła, zyskując pewność, że Callum nie będzie szukał na niej zemsty.

Kit zachwiał się i upadł. Kate rzuciła się na kolana przy nim i ujęła w dłonie jego twarz, szukając oznak życia w jego oczach. Ale on nic nie widział i mało co czuł.

- Kit! Zostań ze mną! Obiecałeś zrobić wszystko, o co poproszę. Wszystko! - Szlochała, czuł, jak cała dygocze, i sprawiało mu to ból, ale, dobry Boże, było to cudowne uczucie, bo ból oznaczał życie, a życie oznaczało Kate.

- Proszę, Boże... - głos jej się łamał i zanosila się urywanym, gniewnym oddechem wpatrzona w niego. - Masz ze mną zostać, Christianie MacNeillu! Słyszysz? Obiecay mi!

Chciała jego słowa i dostanie je.

- Tak, madame. Wedle pani życzenia.

Pozbierała się na nogi i popędziła po pomoc.

Czterdzieści kilometrów na północ od Clyth, kilka godzin po tym, jak Christian MacNeill stoczył walkę na śmierć i życie, kapryśny wiatr baraszkował wzdłuż pustego wybrzeża i wionął za monolityczny głaz osłaniający skrawek plaży. Tam szarpnął niespokojnie rękawem mokrej sukni. Jej właścicielce było to obojętne, jej ładna twarzyczka znieruchomiła na zawsze w wyrazie zdziwienia. Jeszcze parę minut i znajdzie się pod wodą.

Na półce skalnej zawieszonej nad plażą kapitan Watters uspokoił niecierpliwego rumaka, zapatrzony w dół na ponurą scenę rozgrywającą się poniżej. Ze skwaszonąminą lekko westchnął, zdjął z głowy białą perukę i przestał być kapitanem Wattersem.

Nie udało mu się. MacNeill żyje. Kate Blackburn, której ojciec wyratował wszystkich z tego potwornego miejsca, żyje, a scena, którą tak starannie i zręcznie zaaranżował, by zgładzić ich oboje, rozegrała się inaczej.

Byłoby o wiele łatwiej, gdyby mógł po prostu wymordować ich jednego po drugim. Przypadkowe spotkanie w jakimś zaułku, kropla trucizny w piwie. Ale ratowało ich to samo pęknięcie, które niegdyś ich rozdzieliło. Rozproszyli się jak plewy na wietrze. Sięgnął do kieszeni, leniwym ruchem wyciągnął wąski scyzoryk i rozłożył ostrze. Zapatrzył się w nie zamyśloni.

Jeśli jeden umrze, ile czasu zajmie wytropienie następnego? Czy zdąży, zanim następna ofiara usłyszy o śmierci dawnego kompana i stanie się podejrzliwa i czujna?

Człowiek na koniu wiedział, że więź między nimi nie została zerwana. Jeśli jeden umrze, inni się o tym dowiedzą. Nie będzie mógł bezpiecznie przebywać w Anglii, w Londynie, obracać się w towarzystwie, do którego należy, dopóki nie zginą wszyscy. Oni jedni mogą wyjawić jego zdradę i zniszczyć pozycję, na którą pracował długie lata, snując intrygi.

Obrócił dłoń i popatrzył na jej nagie wnętrza, poznaczone tysiącem malutkich blizn. Całe lata temu nauczył się, że ból pomaga człowiekowi się skupić. Przycisnął ostrze noża do kciuka i nacisnął, czując cudowne ukłucia bólu, gdy ostrze trafiało we wrażliwe zakończenia nerwów. Od razu poczuł, jak ulatuje zniecierpliwienie.

Będą *następne* okazje, chociaż teraz musi być ostrożniejszy. Pycha popchnęła go do melodramatycznego epizodu ze szczurem w ruinach starego zamku. Mimo wszystko warto było zobaczyć rozpaczliwą udrękę i wściekłość na twarzy MacNeilla, gdy ten zmuszał się do odjazdu z dziewczyną do St. Bride's.

Nie powinien niepotrzebnie wpadać w popłoch. I nie czuł już niepokoju. Wątpił, czy kiedykolwiek się zorientują, że to on przekupił pokojówkę Kate Blackburn, by porzuciła swą panią. To samo było z różą, która trafiła w ręce MacNeilla i skłoniła go do pospiesznej podróży do Szkocji. Gdy odkryją, *te* nie wysłała jej żadna z sióstr Kate Blackburn, koga będą podejrzewać?

Byłoby niemądrze za szybko ponowić atak na MacNeilla. Nie. Trzeba dla odmiany zająć się pozostałymi. Jeden po drugim, wszyscy, którzy wiedzą lub podejrzewają, kim jest naprawdę, muszą być usunięci. Nie wątpił, że mu się uda. Krew kapała mu z kciuka na skałę w dole. Wzdrygnął się i zdał sobie



sprawę, że trzyma ostrze wbite w ciało. Wyciągnął je niespiesznie i otarł palec derką przy siodle. Z powrotem skierował uwagę na dziewczynę na plaży.

Przybój już obmywał jej kolana i uniósł jedną rękę, łagodnie nią kołyszając, jakby żartobliwie przyzywała gestem niewidocznego towarzysza. Fale lizały jej uszy i obmywały twarz, a wreszcie przelały się przez pierś, biorąc Merry Benny w wodniste objęcia i unosząc łagodnie w morze.

Mężczyzna pobożnie nakreślił dłonią znak krzyża, po czym skierował konia na południe.

## *Postawienie się w przyjemnej sytuacji*

**K**it żył. Wracał do zdrowia wbrew najgorszym rokowaniom. To prawda, przez dwa dni i dwie noce tonął we własnym pocie, pomstował na niewidzialnych wrogów i wzywał urojonych towarzyszy, ale trzeciego dnia bandaż przestał nasiąkać krwią i stało się jasne, że przeżyje.

Ku wielkiemu zakłopotaniu Murdochów Kate uparła się, żeby wniesiono rannego do małej garderoby przylegającej do jej sypialni, tak by go słyszała, jeśli zawoła w nocy. Nie odstępowała go na krok.

Markiz zajął dwa razy, pierwszy raz sprawdzić, czy Kate nie potrzebuje pomocy, a drugi, by ujrzeć, jak opiekuje się MacNeillem i spojrzeć w oczy prawdzie, że ona nie jest jego i nigdy nie będzie. Wystarczyło mu parę minut. Z trzech odwiedzin zrezygnował.

Prawdę mówiąc, mieszkańcy zamku wkrótce zapomnieli o swych zastrzeżeniach co do nocnej bliskości ciemnowłosej wdowy i szczupłego, ciężko rannego Szkota. Zajęli się własnymi zmartwieniami.

Jak Kit odgadł, Watters wysłał milicję pod dowództwem porucznika MacPheila, któremu zapewnił łatwy triumf, by rozgromić bandę Lamonta w chacie, a stamtąd najechał gospodę w Clyth. Tam między belami siana w stajniach znaleziono ukryte skrzynie pełne łupów z zatopionych okrętów.

W następnych dniach wykryto, że kapitan Greene został napadnięty i zabity przez tajemniczego współnika Lamonta, tego samego, który potem stał się fikcyjnym kapitanem Wattersem i objął dowództwo nad milicją. O kapitanie Wattersie słuch zaginął. Zniknął, tak samo jak jego żona Merry.

Honor rodziny został narażony na szwank, a skandal wisiał na włosku. Ale Murdochowie, którzy okazali się ludźmi praktycznymi, utrzymywali, że

Merry, choć prawnie pozostająca pod opieką markiza, nie była z nimi związana pokrewieństwem. Oni dołożyli wszelkich starań, by zwalczyć w niej skłonności, które, w świetle obecnej sytuacji, należało uznać za skutki „niepewnego pochodzenia”. Doprawdy, trudno ich winić za niepowodzenie.



- Licho by wzięło tę twoją pupilkę szwaczkę! - oznajmił Kit. - Te szwy drapią jak diabli.

Kate odwróciła wzrok, gdy zirytowany rozchylił pod szyją nocną koszulę, a spod skromnego lnianego okrycia wyjrzała ciemna muskularna pierś. Drapał się zawzięcie po szwach, którymi Peggy ściągnęła największe rany.

- Zdaje się, że wolałbyś mieć ogromną bliznę? - spytała. Było po południu. Kit właśnie się obudził i zastał ją przy łóżku z tamborkiem w ręku. Kufer Grace stał otwarty w nogach łóżka.

Wróciła do ulubionego zajęcia, gdy zaczął odzyskiwać siły. Powiedziała mu, że haftowanie należy do niewielu umiejętności wyniesionych z arystokratycznego wychowania, z których nie należy rezygnować w ubóstwie. Myśli nawet o poświęceniu tej sprawie rozdziału książki. Teraz jednak przyznawała się sama przed sobą, że z największą uwagą śledzi każdy ruch igły tylko po to, by utrzymać wzrok z dala od muskularnego torsu Kita.

- To godne pożałowania, jak lubisz zbierać blizny.

Uniósł głowę i śledził ją spod przymkniętych powiek.

- Tylko po to, by tobie wydały się intrygujące.

Pod jego wzrokiem Kate zarumieniła się, a ponieważ uznała za nierozważne, by się zbyt podniecał, nie wspominając już o niej samej, skierowała rozmowę na bezpieczniejszy grunt.

- Osoba, nad którą najbardziej się lituję, to Merry Benny - powiedziała, szukając w kufrze Grace srebrnych nożyczek.

- Dlaczego? - spytał. - Bo nie będzie pędzić życia w takim luksusie, na jaki liczyła? To morderczyni, która odeszła z kochankiem, by żyć z jego nieuczciwych zysków.

- Żał mi jej - odparła spokojnie Kate, ucinając jedwabną nitkę - ponieważ jest winna śmierci Grace, którą kochała. Nie, nie patrz tak na mnie. Naprawdę ją kochała. Nie widziałeś jej, kiedy mówiła, jak bardzo za nią tęskni. Nie każda miłość jest wspaniałomyślna i niesamolubna. Może dreczyć i przeklinać równie dobrze jak uszlachetniać i umoralniać.

- Słusznie. - Zmarszczył brwi, a Kate domyśliła się, że wspomina swych towarzyszy i zdradę, jaka ich dotknęła.

Nadszedł ten moment. Już dłużej nie podobna unikać tego, co musi być powiedziane. Odłożyła tamborek.

- Przypuszczam, że gdy tylko wy dobrzejsz, zechcesz odjechać.

Jeszcze bardziej się nachmurzył.

- Przyznasz chyba, że nie mogę tu zostać?

- Nie o to mi chodziło i dobrze o tym wiesz.

- A o co?

- Dokąd pójdziesz?

- Z powrotem do wojska. Ostatnio myślałem sobie, że już za długo zaniedbuję swe obowiązki względem pułku. Jestem dobrym żołnierzem, Kate. I dobrym dowódcą. To, czy ja dowodzę, czy kto inny... może mieć znaczenie. - Jego cera ściemniała i Kate ze zdumieniem zdała sobie sprawę, że się zarumienił. I nie wspomina o szukaniu człowieka, który ich zdradził. Jej spojrzenie stało się czujne.

- Poza tym — ciągnął Kit szorstko - przy odrobinie szczęścia mogę do czegoś dojść w armii.

- Rozumiem.

- Kate... - Wziął głęboki oddech.

- Tak?

- Nie, nic. - Na chwilę mocno zacisnął zęby. - A ty? Co z tobą?

- Nie wiem. - Przybrała nonszalancki ton, ale bez powodzenia. - Wrócę do Yorku, jak sądzę. Albo do Londynu.

- Dlaczego? - zapytał całkiem zbity z tropu.

- Cóż, nie mam pieniędzy, chociaż nie kryję nadziei związanych z wydaniem mego poradnika o tym, jak żyć godnie po stracie fortuny. Jestem pewna, że istnieje krąg czytelników...

- Tak, tak - przerwał jej Kit. - Ale dlaczego chcesz wracać do Yorku?

Skarciła go surowym spojrzeniem, by nie śmiał jej więcej przerywać.

- Mam mało pieniędzy, a chociaż przypuszczam, że mogłabym uzyskać wsparcie od markiza, byłoby mi to wstrętne, ponieważ... - wahała się, szukając sposobu, by wyrazić to delikatnie - ponieważ myślę, że miał pewne nadzieje względem naszego przyszłego związku, co do których nie potrafiłabym go zachęcać, co mu zresztą powiedziałam.

- Odmówiłaś mu? - Kit dźwignął się na poduszkach i zamrugał. Kate na pół wstała ze swego miejsca, nie chcąc dopuścić, by sprawił sobie ból, ale on ze złością machnął, by się cofnęła.

- Mój Boże, kobieto - powiedział. - Całymi dniami wyliczałaś mi kryteria, które składają się na twój obraz przyszłości, i o ile wiem, markiz mógł ci je zapewnić wszystkie po kolei: bezpieczeństwo, pewną przyszłość, ognisko domowe, spokój, dostatek. Czyś ty rozum straciła?

- Nie miałam wyboru - odparła zaczepnie. - Nie mogę poślubić mężczyzny i przez resztę życia zamykać oczy za każdym razem, gdy się do mnie zbliży... - Nie. Nie może być tak zuchwała. Nawet w tak sprzyjających okolicznościach.

- Mów dalej, jestem ciekaw.....Patrzył na nią jak wielki, płowy lew.

Podniosła brwi Jakby zdziwiona, że musi dokończyć zdanie.

- Udając, że... tam nie jestem. Co innego miałabym udawać?

Nie zawałał się ani na chwilę.

- Że markiz jest mną.

Otworzyła usta i zaraz je zamknęła.

- Z pewnością masz wysokie mniemanie o sobie.

Kit jednym rzutem ciała wyprostował się na poduszkach.

- Muszę. Muszę wierzyć, że widzisz we mnie coś więcej niż człowieka szukającego zemsty. Przez trzy lata myślałem, że wszystko, czego chcę, to wykryć, kto wydał nasze nazwiska Francuzom... ale to ty mnie nauczyłaś chcieć czegoś innego.

Wstrzymała oddech, a radosne podniecenie rodziło się i trzepotało w jej piersi jak skrzydła schwytanego ptaka.

- A cóż to takiego?

- Przyszłość - powiedział, wytrzymując jej spojrzenie. - Zawsze myślałem, że musi być we mnie coś z gruntu błędnego, co uczyniło mnie ślepym na charakter osoby, która nas zdradziła. Że nie chcąc widzieć łajdaka takim, jak jest naprawdę, stałem się winny naszego ujęcia i uwięzienia. Ale doszedłem do wniosku, że choć nasiona zdrady zostały zasiane w przeszłości, ja ich nie zasiewałem. To nie ja zawiodłem. Czy osoba, którą kochałem, była prawdziwa czy nie, warta tego czy nie, to przestało się dla mnie liczyć. Serce nie sługa. Nie pyta o pozwolenie. - Przyglądał jej się z takim wyrazem oczu, że wstrzymała oddech.

- Nie będziesz; go więcej szukał?

Wyraz jego twarzy stał się chłodny i nieprzejednany.

- Nie mogę tego obiecać. On ci groził. Przyjdzie dzień, że za to zapłaci, ale nie teraz. Jest wojna i jestem potrzebny. Nie mam czasu na zemstę. Doszedłem do przekonania, że są ważniejsze rzeczy, o które należy walczyć. - Patrzył na nią, nie kryjąc uczuć. - Czy się zgadzasz?

- Tak. - Zdolna była zaledwie do najcichszego szeptu. - Tak, zgadzam się.

- Naprawdę? - Wyglądał na niezadowolonego, gdy leżał taki duży i ciemny na białej pościeli. Tyle blizn. Tyle ran.

- Przed walką z Callumem - powiedziała - kiedy wszedłeś do pokoju, powiedziałaś, że przychodzisz, bo przypomniałeś sobie powód, dla którego nie powinnam wyjść za markiza. Zastanawiam się, co miałeś na myśli.

Speszył się.

- Nic takiego. Głupi nonsens. Udawałem bohatera.

- Zauważyłam.

Popadł w milczenie, skrzywiwszy usta w uśmiechu politowania nad sobą samym, który jej wydał się urzekający.

- Pytam dlatego - mówiła dalej - że na chwilę przed tym, jak stanąłeś w drzwiach, myślałam o tobie, przypominałam sobie twą twarz i próbowałam przywołać ostatnie słowa, jakie do mnie powiedziałaś.

Spojrzał jej w oczy.

- Skąd ci przyszło do głowy myśleć o mnie w takiej chwili?

- Stał, że cię kocham.

Wyciągnął ku niej rękę i chwyciwszy jej dłoń, przyciągnął ku sobie i przycisnął, prawie zgniatając, do obandażowanej piersi.

- Wyjdź za mnie - zażądał ochryple, obsypując pocałunkami jej powieki i usta. - Kiedyś będę kimś, Kate. Z tobą u boku, nie będzie rzeczy, której bym nie podołał. Której my byśmy nie podołali. Wiem, że życie, jakie ci proponuję, nie będzie łatwe, ale przysięgam, że poświęcę się, żebyś nie żałowała małżeństwa ze mną.

Odgarnął jej włosy z twarzy, wpatrując się w nią żarliwie, głos miał wzruszony.

- Jeśli powiesz nie, będę musiał cię wykraść. Kochasz mnie, Kate. Sama powiedziałaś.

Z leciutkim dreszczem zdała sobie sprawę, że naprawdę by to zrobił. Ale... nie będzie musiał.

- Tak - powiedziała. - Tak.

- Kiedy?

- Dziś. Jutro. Ale gdzie? Nie mogę prosić...

- Ani ja ci nie pozwolę. Jesteśmy dwa dni drogi od St. Bride's. Jest tam gromadka mnichów, którzy znajdują wielką pociechę w myśli, że zrobiłaś ze mnie uczciwego mężczyznę.

Roześmiała się, a on też się uśmiechnął i mocniej zacisnął wokół niej ramiona. Kate zauważyła małą plamę świeżej krwi na bandażu. Był taki żywotny, taki krzepki, zapomniało się, że jest śmiertelny. Odsunęła się od niego, cofnęła niezdarnie i przyjrzała mu z konsternacją.

- Uraziłam cię.

Spojrzał na pierś, zobaczył plamę i roześmiał się.

- To? Nie bądź zabawna. Wracaj. - Wyciągnął ku niej rękę.

- Nie. To dopiero trzy dni. Nie chcę ci zrobić krzywdy.

- Kocham cię - szepnął nagle takim zakłopotanym tonem, że się uśmiechnęła, ale zaraz gwałtownie pokręciła głową.

- Nie - powiedziała surowo. - Nie. Połóż się. Odpoczywaj. Zdrowiej.

Sięgnęła po tamborek, który upuściła do kufra, zaczepiając dłonią o podszewkę wieka zreperowaną naprędcę i odrywając jej róg. Nachyliła się, by go poprawić, i wtedy zauważyła, że gwiazdy haftowane złotem mają różną wielkość i się różnią, a kiedy materiał jest złożony tak jak teraz, układają się...

To Grace wyhaftowała podszewkę. Grace, która razem z Kate i jej ojcem siadywała latem przy teleskopie i przez całe życie interesowała się astronomią. Wśród jej rzeczy znajdował się teleskop. Grace przysięgała Merry, że wysłała mapę z lokalizacją skarbu. I faktycznie ją wysłała: gwiazdną mapę.

Kate wyprostowała się powoli, a na jej twarzy zakwitł uśmiech. Kit będzie miał swój patent oficerski. Może mieć dziesięć patentów, jeśli zechce. Charlotte spędzi sezon w Londynie, a Helena może rzucić pracę u swojej jędzy.

Trwa jeszcze wojna, na której on musi walczyć. Są ludzie, którzy potrzebują dowództwa jej męża. Będą jeszcze musieli stawiać się na rozkaz wszędzie, gdzie pośle ich Jego Królewska Mość, ponieważ Kit MacNeill jest żołnierzem. A ona, córka żołnierza, wdowa po żołnierzu, która rok temu nie uwierzyłaby, że jest zdolna oddać się sercem i duszą takiemu mężczyźnie, już to zrobiła i nie chciała, żeby był inny.

- Kate, o co chodzi? - spytał Kit. - Wyglądasz na bardzo zadowoloną z siebie. Chodź no tu do mnie.

Jakikolwiek łup czekał w jakiejś grocie czy jaskini, bladł wobec tego skarbu.

Usłuchała wezwania.

## *Małżeństwo ku obopólnej korzyści*

*Opactwo św. Brygidy, styczeń 1804*

Panna młoda była piękna, a pan młody poważny i skupiony. Jego wojownicza mina łagodniała tylko wtedy, kiedy mimochodem zerkał na żonę.

Wyszędłszy z małej kaplicy opactwa, zastali pod stopami dywan z suchych płatków róż. Brat Fidelis promieniał z zadowolenia. Kate tak się wzruszyła tym dowodem uczucia, że odstąpiła męża i wspięła się na palce, by ucałować potężnego mnicha w okrągły, gładki policzek.

- Róże są piękne! - powiedziała.

- Jest tam też lawenda i mięta - wtrącił brat Marcin, przepychając się łokciami przez tłumek mnichów, składających gratulacje nowożeńcom.

- Ach! Zdawało mi się, że rozpoznaję jakiś cudowny zapach - powiedziała Kate.

- Nie sądzę, byś poczuła się usatysfakcjonowana, dopóki mnie też nie ucałujesz! - powiedział szorstkim, zrzędliwym tonem.

- Nie - oczy Kate zaiskrzyły się. - W żadnym razie.

Opierał się, lecz niezbyt stanowczo.

- Głupiutkie, egzaltowane gęsie jaja, oto dzisiejsze młode kobiety - sarknął, lecz szybko podreptał naprzód.

- Zrobione! - powiedziała, cmokając go głośno w policzek.

- Ach! - Brat Marcin zarumienił się po uszy i szybko się cofnął z wyrazem twarzy stanowiącym dziwne pomieszanie zdumienia, dezaprobaty i zadowolenia. Zwrócił się do pozostałych mnichów:

- A teraz nie ma potrzeby, byście wszyscy spełniali świeckie zachcianki tej młodej damy. A kiedy ojciec opat wyjdzie z zakrystii...

- Ojciec opat wyszedł. - Opat, jak zwykle prosto się trzymający, schodził po niskich schodkach. Uniósł brwi na widok kwietnego dywanu. - Jak... odświętnie. To brat Fidelis, jak sądzę.

- Tak, ojczu opacie.

- I ja też, ojczu opacie - dodał brat Marcin.

- Pomyślałem, że trzeba to uczcić. Młody wilk dał się oswoić pięknej wdowie - wyjaśnił brat Fidelis. Gromadka mnichów ochoczo pokiwała głowami.

- Młody wilk? - szepnęła Kate do Kita.

- Oswojony? - odpowiedział jej również szeptem i oboje się uśmiechnęli.

- Bracie Marcinie, chciał brat coś powiedzieć? - przypomniał mu opat.

- Tylko tyle, że nie będzie potrzeby, by któryś z nas objuczał pana młodego - powiedział brat Fidelis, nawiązując do szkockiego obyczaju obładowywania pana młodego workiem kamieni i wyprawiania go do wsi, gdzie przyjaciele dorzucali do worka, dopóki panna młoda nie uwolniła go od ciężaru. Ponieważ w klasztorze nie było kobiet, nie odbyło się też tradycyjne przygotowanie panny młodej do łożnicy.

Kate nie była rozczarowana. Wystarczyło jej do szczęścia, że zapowiedzi wreszcie zostały trzykrotnie odczytane i że zostali sobie zaślubieni - ale kto na tym odludziu miałby się sprzeciwić ich małżeństwu, spytała beczelnie opata. Odpowiedział surowym, nieprzejednanym milczeniem. Ostatnie trzy tygodnie zdawały się wlec nieskończenie. Ale jutro wyjadą St. Bride's jako mąż i żona, a tej nocy... Zerknęła nieśmiało na Kita, a on ladaco, jakby czytał w jej myślach, uśmiechnął się... tak, to był wilczy uśmiech, ani trochę nieoswojony. Ogarnęła ją fala ciepła, gdy ujrzała ten uśmiech.

- Kate! Kate! - Okręciła się w miejscu. Para koni ciągnąca zamknięty powóz wjeżdżała na kościelny dziedziniec. Młoda kobieta o włosach koloru imbiru, do połowy wywieszona za okno, z zapałem wymachiwała koronkową chusteczką.

- Charlotte! - krzyknęła Kate i porzuciwszy męża, skoczyła w stronę powozu.

- Mieże trochę taktu i przestań się wychylać! - zabrzmiał głos Heleny, a potem drzwi się otworzyły i ukazała się ona sama, opanowana i pełna wdzięku, z uśmiechem opromieniającym jej śliczną twarzyczkę, a zza niej energicznie przepychała się młodsza siostra otulona szarym aksamitem obramowanym norkami, z ramionami rozpostartymi do uścisków.

Charlotte zarzuciła ręce na szyję Kate i wydała dziki pisk. Helena, jak zawsze rozważna, zatrzymała się i czekała na swoją kolej. Popatrywała na brązowo odzianych mężczyzn, starając się ukryć ciekawość.

- Dopiero co przyjechałyśmy! - opowiadała Charlotte. - Jedziemy prosto z Londynu! Markiz wysłał do Heleny powóz z listem relacjonującym tę absolutnie nadzwyczajną historię. Domagał się, byśmy natychmiast jechały do zamku Parnell. Helena zabrała mnie od Weltonów, kiedy byliśmy w pół drogi do Brighton, ni mniej, ni więcej, przez co biedaczka musiała strasznie nadłóżyc drogi, i zjawiłyśmy się w zamku Parnell tylko po to, by się dowiedzieć, że przyjechałaś tutaj, do tego opactwa, czy jak je zwa, i że wychodzisz za mąż! - paplała Charlotte. - Za tego Szkota! I to nie za tego przystojnego, tylko za tego przerażającego draba, którego...

- Hm!

Charlotte obróciła się na pięcie i stanęła twarzą w twarz z przerażającym drabem, który mierzył ją wzrokiem z jedną brwią uniesioną pytająco. Zakrzuszyła się z wrażenia. A on uśmiechnął się. Czarująco, pomyślała Kate.

- Moja nowa siostrzyczka - zamruczał Kit. - Jestem zachwycony, że możemy odnowić znajomość. - Zakreślił łuk ręką, a potem przeniósł wzrok z Charlotte na Helenę, której spokoju ani trochę nie zachwiało dziwne otoczenie, w jakim się znalazła.



Panno I Iclno, jakże mi miło.

Dziękuję panu.

Jak pani widzi, cokolwiek mogła zawierać relacja markiza, pani siostra jest w doskonałym zdrowiu. Teraz mnie przypadł zaszczyt dopilnowania, żeby taką pozostała. - Nie odwrócił oczu pod pytającym spojrzeniem Heleny. - I dotrzymam tego. Chyba że zginę.

- A niech mnie! - sapnęła Charlotte, wachlując dłonią zarumienione policzki. - Zaczynam rozumieć, dlaczego za niego wyszłaś.

- Charlotte! - Helena skarciła dziecinne zachowanie siostry. - Trochę przyzwoitości!

- Po co? - Charlotte rozejrzała się po otaczających ich mnichach, po czym szepnęła: - Czy oni w ogóle się znają na dobrym wychowaniu?

- W niewielkim stopniu - odpowiedział jej czyjś łagodny głos.

Obróciły się ku podchodzącemu ku nim opatowi Tarkinowi.

- Widzę, że przybyła pani rodzina.

Skąd on to wie? - Kate zamyśliła się, ale uczucie ciekawości ustąpiło radości.

- Przygotowaliśmy małe przyjęcie weselne dla nowożeńców. Czy zechcą panie przejść do sali jadalnej?

- Jest ojciec zbyt dobry! - zawołała Kate.

- Och, chodźmy prędko! - zapaliła się Charlotte. - Umieram z głodu. - Wzięła pod rękę Kate i Helenę i ruszyły w ślad za bratem Fidelisem, który cały czas promiennie się uśmiechając i gawędząc, poprowadził je ku sali jadalnej.

- Coraz więcej kobiet. Może zmienimy się od razu w żeński klasztor? - mruzczał brat Marcin za ich plecami.

Kate obejrzała się na Kita. Stał z opatem, pochylony ku niemu ze skupionym wyrazem twarzy. Widząc, że Kate się ogląda, uśmiechnął się i zawołał:

- Zabawiaj siostry, kochanie, zaraz do was dołączę.

Obrócił się do opata, a jego pogodny nastrój ułeciał.

- Gdzie on jest?

- W kaplicy - odparł spokojnie opat. - Widział twój ślub.

- Co ojciec mówi? Skąd wiedział?

- Zawiadomiłem go. Wysłałem różę. Tylko on odpowiedział. O ile wiem, oczywiście.

- Ale po co posyłał ojciec różę? - spytał Kit, zerkając ku ciemnemu wejściu do kaplicy.

- Powiedziałeś, że musisz wiedzieć, kto was zdradził. Pomyślałem, że może dostarczę ci odpowiedź.

- Tak. Zależało mi na tym, ale stare grzechy nie wydają mi się już takie ważne. Zwłaszcza cudze.

- Może więc popełniłem błąd. W każdym razie idź do niego. Jak zauważyłeś, gdyby to on był w ruinach zamku i chciał cię zabić, już byś nie żył. Nie zrobił tego. Jeśli to on cię zdradził.

- Jest tylko jeden sposób sprawdzenia.

- Kit!

- Niech się ojciec nie martwi. Ja też nie chcę rozgniewać żony rozlewem krwi w dzisiejszym dniu - powiedział Kit z ponurym uśmiechem i skierował się do kaplicy.

Wewnątrz panował chłód i mrok, w powietrzu wciąż wisiał delikatny zapach kadzidła. Trwało to chwilę, nim wzrok dostosował się i...

.. Kit poczuł, jak czubek szpady dotyka z boku jego szyi.

- A słyszałem, że stałeś się żołnierzem - odezwał się kpiąco znajomy głos. - Niech Bóg czuwa nad tym krajem.

Kit odskoczył w bok, schylił głowę, jednocześnie unosząc łokieć, odtrącił rapier, zbliżył się. W ułamku sekundy rapier znalazł się znów na jego gardle, ale tym razem czubek jego własnego sztyletu przyciskał się twardo do brzucha przeciwnika.

- Poddaję się - powiedział cicho Ramsey Munro, mrużąc piękne niebieskie oczy.

- Źle wyglądasz, Ram - stwierdził Kit od niechcenia. - Strasznie jesteś wyczerpany.

Ramsey wzruszył ramionami.

- Obawiam się, że masz rację, chłopie. Za to ty wyglądasz kwitnąco. Z pewnością to wpływ twojej oblubienicy. Ładna z niej dziewczyna. Moje błogosławieństwo dla waszego związku.

- Czy to znaczy, że nie, chcesz mnie zabić?

Ram uniósł czarną, skrzydlatą brew.

- No, to będzie zależało od tego, czy ty zamierzasz zabić mnie. Życie jest nędzne, przyznaję, ale moje własne. - Uśmiechnął się z tą samą wiefkopańską uprzedzającą grzecznością, która go cechowała już jako chłopca.

Kit powoli wycofał sztylet, a Ram równie powoli opuścił koniec szpady.

- Ram, nie zabiję cię, jeśli to zrobiłeś, przez wzgląd na przyjaźń, która nas łączyła w chłopięcych latach. Ale muszę wiedzieć, czy to ty wydałeś nas Francuzom?

Ram przekrzywił głowę. W mrocznej pustej kaplicy jego twarz wydawała się nieziemsko piękna, jak znużone oblicze świętego wojownika.

- Nie.

Kit schował sztylet.

- Przypuszczam, że to znaczy, że ty też jesteś bez winy.

Kit prychnął.

- Tego bym nie powiedział, ale tego jednego grzechu nie popełniłem.

- A to znaczy...

- Dand.

- Albo Touissaint.

Ram pokiwał głową zamyślony.

- Kate i ja odpływamy statkiem pocztowym z Portsmouth w przyszłym tygodniu. Pod koniec miesiąca będę na kontynencie w mojej nowej jednostce. Nie mam czasu szukać odpowiedzi.

- Ja mam czas. - Ram uśmiechnął się. Przez długą minutę obaj mężczyźni patrzyli sobie w oczy. Cokolwiek zobaczyli, zadowolilo obydwu.

- Jeśli kiedyś będziesz mnie potrzebował... - powiedział Kit szorstko. - Wiesz, jak się ze mną skontaktować?

- Tak. - Ram nagle się uśmiechnął, a jego twarz złagodniała i znów dało się w nim poznać brata z młodości lat. - Tęsknię za tobą, Kit.

- A ja za tobą.

- To tyle, jeśli idzie o uczucia. A teraz lepiej wracaj do swojej pięknej pani - powiedział Ram - zanim znajdzie sobie kogoś lepszego.

Kit uśmiechnął się kwaśno.

- Na szczęście wszyscy mężczyźni w St. Bride's ślubowali celibat.

- Nie wszyscy - zaprzeczył Ram z naciskiem. - Masz szczęście, że wolę blondynki.

- To ty masz szczęście - sprostował Kit spokojnie.

Ramsey Munro roześmiał się i znikł na powrót w cieniu.



Zakonnicy zmienili małą szopę na tyłach ogrodu różanego w alkwę nowożeńców. Cienkie, prześwitujące lniane zasłony wisiały we frontowym wejściu, powiewając w łagodnym podmuchu powietrza. Wnętrze opróżniono z rupieci, zostawiwszy tylko miękki puchowy materac ułożony na posadzce z płytek, obłożony wysokim stosom poduszek i zaścielony nieskazitelnymi prześcieradłami, wybielonymi w słońcu. Obok stał stolik, a na nim dzbanek, dwa puchary i półmisek pełny pomarszczonych brązowych gruszek, przyniesionych z piwnicy.

Ostatnie promienie popołudniowego słońca zmieniły szklany dach pomieszczenia w pryzmat, oświetlający ciepłą milionami kolorowych światła. Zapach zieleni, intensywny i elastyczny, mieszał się z aromatem goździków, cynamonu i innych egzotycznych korzeni, którymi przyprawiono ciepłe wino w srebrnym dzbanie.

- Żadnej panny młodej tak nie uczczono - wyszeptała Kate.

Jej siostry zaprowadzono do pomieszczeń dla gości po drugiej stronie opactwa, a ona znalazła się sama z mężem. Nareszcie sami. Po prawie miesiącu. Czuła lekki dreszcz obawy, ale nie był on przykry.

- Mógłbym cię ugościć w bardziej wyszukany otoczeniu - powiedział Kit. - Stać by nas było na zamek, gdybyś tego chciała.

Gwiezdna mapa okazała się prawdziwa. Gdy tylko Kit wydobrał na tyle, by móc dosięść konia, udali się zgodnie z jej wskazaniem wiele kilometrów wzdłuż wybrzeża do miejsca, gdzie monolityczne głazy trwały na straży, wchodząc w kipiel przyboju. Tam w podwodnej grocie znaleźli francuski skarb. Nawet po zwróceniu go markizowi, któremu podlegała ta część wybrzeża, udział znalazcy stanowił fortunę. Byli bogaci.

Ale, pomyślała Kate, była już bogata, zanim znaleźli skarb. Poczuła, że Kit przysunął się bliżej. Objął ją i przyciągnął do muskularnej piersi. Tak, jest prawdziwą królową, jeśli bogactwo mierzy się skarbami serca.

- Myślałem, że w tym ostatnim tygodniu uschnę z pragnienia, by być z tobą - szepnął jej Kit do ucha. Oddech miał ciepły, głos słodki jak miód. - Z pożądania ciebie.

Serce zabiło jej szybciej, gdy dotknął ustami jej ucha.

- A nie z pragnienia, by mnie kochać? - spytała. Znała doskonale odpowiedź, ale chciała ją usłyszeć z jego ust.

Delikatnie objął jej szyję, a potem oparł sobie jej głowę na ramieniu. Zajął jej głęboko w oczy. Spojrzenie srebrnozielonych oczu Kita odebrało jej oddech, tak wyłodniałe, tak czytelne.

- Chcesz słów? Czy czynów? - wyszeptał i poszukał wargami jej warg.

- Jednego i drugiego - odparła bez tchu.

- Wedle życzenia, madame.

I oddał się na jej rozkazy.

Na zawsze.